

TANYA HUFF

CENA KRWI

ROZDZIAŁ 1

Ian wcisnął dłonie głęboko w kieszenie i zerknął spode łba na pusty peron metra. Ręce mu skostniały, miał najgorszy ze wszystkich możliwych złych humorów, za to nie miał pojęcia, czemu zgodził się spotkać z Coreen w jej mieszkaniu. Ogólnie rzecz biorąc, teren neutralny byłby lepszym pomysłem, Ian przesunął chmurne spojrzenie na podświetlany zegar zwisający z sufitu. 12:17. Trzydzieści minut, żeby dostać się z Eglinton West na stację Wilson, sześć przecznic do pokonania autobusem i jeszcze trzy biegiem. Niewykonalne.

„Spóźnię się. Ona się wkurzy. I to tyle, jeśli chodzi o naszą szansę na pogodzenie”. Westchnął. Namówienie jej na to spotkanie kosztowało go dwugodziną sprzeczkę przez telefon. Podtrzymywanie związku z Coreen bywało czasochłonne, ale z całą pewnością nie nudne. Boże, ta kobieta to dopiero miała temperament... Jego usta odruchowo wygięły się w uśmiechu. Druga strona tego medalu sprawiała, że warto było znosić wieczną karuzelę, Ian uśmiechnął się szerzej. Coreen miała sporo krzepy jak na kogoś o wzroście niewiele ponad półtora metra.

Ponownie zerknął na zegar.

Gdzie, do diabła, był ten pociąg?

12:20.

„Bądź o 12:30 albo daj sobie spokój”, powiedziała, kompletnie ignorując fakt, że w niedzielę Przedsiębiorstwo Transportowe Toronto, wszechobecne TTC, drastycznie zmniejszyło liczbę połączeń i musiałby mieć szczęście, by o tej godzinie załapać się na ostatnie.

Ale patrząc na to z innej, jaśniejszej strony - Ian dotrze na miejsce dopiero nocą, a że oboje o ósmej rano mieli zajęcia, będzie musiał przenocować u Coreen. Westchnął. Jeśli ona w ogóle wpuści mnie do

środka...”

Przeszedł się na południowy kraniec peronu i zajął do tunelu. Ani śladu świateł, ale na twarzy poczuł powiew wiatru, który zwykle oznaczał, że pociąg jest już niedaleko. Odwrócił się, kaszląc. Śmierdziało, jakby coś tam zdechło. Jak w wiejskim domku, kiedy mysz gnije wewnątrz ściany.

- Wielka Mysibaba - mruknął, pocierając pięścią nos. Odór dotarł do jego płuc, a on znowu zakaszał. Umysł płatał mu dziwne figle. Teraz, kiedy już poczuł ten smród, miał wrażenie, że przybiera on na sile.

I wtedy usłyszał dźwięk, który mógł być tylko odgłosem kroków dochodzących z tunelu, z ciemności. Wolnych kroków, nie takich jak pracownika spieszącego się, żeby po nadgodzinach zdążyć na pociąg, albo bezdomnego szukającego bezpiecznego kąta. Wolne, ciężkie kroki kierujące się w stronę jego pleców.

Ian z radością powitał paniczny strach, który sprawił, że serce zabiło mu mocniej, a oddech uwiązł w gardle. Doskonale wiedział, że kiedy się odwróci i spojrzy, wyjaśnienie okaże się banalne. Zamarł więc i rozkoszował się nieznanym, póki pozostawało nieznanie, zadowolony z wywołanej strachem fali adrenaliny, dzięki której wszystkie zmysły wyostrzały się, a sekundy wydawały długie jak godziny. Nie odwrócił się, póki kroki nie pokonały sześciu schodków prowadzących na peron.

A wtedy było już za późno. Ledwie zdążył krzyknąć.

Wysiadając z autobusu i wchodząc na stację metra w Eglinton, Vicki Nelson wcisnęła podbródek w kołnierz płaszcza. Może i był kwiecień, ale wciąż wilgotny, zimny i bez śladu wiosny.

- No cóż, to była katastrofa - stwierdziła. Starszy pan, który wysiadł z autobusu tuż za nią, wydał z

siebie jakiś pytający dźwięk. Spojrzała na niego obojętnie, a potem przyspieszyła kroku. „Więc nie tylko jestem marnym towarzyszem, tak podenerwowanym, że aż strach ze mną porozmawiać, ale w dodatku gadam do siebie”. Westchnęła. Lawrence był przystojny, ale nie w jej typie. Odkąd osiem miesięcy temu odeszła z policji, nie spotkała jeszcze takiego mężczyzny. „Powinnam była to przewidzieć, kiedy zgodziłam się umówić z kimś atrakcyjniejszym od siebie. Nie wiem, czemu się zgodziłam”.

To nie do korka prawda. Zgodziła się, bo była sa-motna. Doskonale o tym wiedziała - ale nie miała zamiaru się przyznawać.

W połowie pierwszych schodów prowadzących na południowy peron usłyszała krzyk. Czy raczej półkrzyk, nagle zdławiony. Jednym susem znalazła się na pierwszym podeście. Z miejsca, gdzie stała, widziała przez szybę tylko połowę każdego peronu i żadnych śladów wskazujących, z której strony nadciągały kłopoty. Ale południowy peron był bliżej.

Pokonując naraz dwa, trzy schodki, darła się:

- Wezwijcie policję!!! - Nawet jeśli nikt jej nie słyszał, mogła przynajmniej odstraszyć to coś, co spowodowało krzyk.

Dziewięć lat na służbie i nigdy nie musiała użyć broni. A teraz bardzo była jej potrzebna. Dziewięć lat na służbie i nigdy nie słyszała takiego krzyku.

„Gdzie ty, do diabła, idziesz?” - pojękiwała racjonalna część jej umysłu. „Nie masz broni! Nie masz wsparcia! Nie masz pojęcia, co tam się dzieje! Osiem miesięcy bez służby i już zapomniałaś wszystko, czego cię uczyli! Co ty, do cholery, chcesz udowodnić?”

Vicki zignorowała ten głos i parla naprzód. Może i próbowała coś udowodnić. I co z tego.

Kiedy wypadła na peron, natychmiast się zorientowała, że wybrała ten niewłaściwy, i przez chwilę była z tego bardzo zadowolona.

Ogromna ilość krwi - szerokie czerwone strumienie i drobne karmazynowe kropelki - rozbryznię-ła się łukiem po wyłożonych pomarańczową glazurą ścianach stacji. Na podłodze, z szeroko otwartymi oczami i ustami i kompletnie zmasakrowanym gardłem, leżał młody mężczyzna. Nie: ciało młodego mężczyzny. Niedawno zjedzony obiad stanął Vicki w gardle, ale zdobyte podczas wielu śledztw w sprawie zabójstw opanowanie pomogło jej go z powrotem przełknąć.

Wiatr w tunelu przyspieszył i usłyszała nadjeżdżający z północy pociąg. Był blisko.

Słodki Jezu, tylko tego brakowało. Całkiem prawdopodobne, że o 12:35 w niedzielną noc pociąg będzie całkiem pusty, nikt nie wysiadzie i nie zauważy

ciała ani rozbryzgów krwi na ścianach na południowym końcu północnego peronu. Ale biorąc pod uwagę, jak działał współczesny świat, było o wiele bardziej prawdopodobne, że z ostatniego wagonu wyjdzie grupa dzieci i małeńka staruszka o słabym sercu i spojrzą prosto w wytrzeszczone oczy i otwarte w niemym krzyku usta świeżego trupa.

Zostało tylko jedno rozwiązanie.

Ryk pociągu wypełnił stację, kiedy Vicki z bijącym mocno sercem i szumem adrenaliny w uszach zeszła na południowe tory. Drewniane przejście nad szynami było zbyt daleko, prawie na środku linii betonowych filarów, więc skoczyła nad nimi, starając się nie myśleć, ile z milionów woltów płynących w tym czymś wystarczy, by zmienić ją w węgiel. Chwiała się przez chwilę na krawędzi podkładu, przeklinając swój długi płaszcz i żałując, że nie włożyła kurtki, a potem, chociaż wiedziała, że to najgłupsza rzecz, jaką może zrobić, spojrzała prosto na nadjeżdżający pociąg.

Czemu był tak blisko? Światło oślepiło, łoskot ogłuszał. Zamarła niczym zahipnotyzowana, pewna, że jeśli się poruszy, upadnie, a metalowe koła bestii pokroją ją na kawałeczki.

I wtedy coś wzrostu człowieka zamigotało w północnym tunelu. Nie dostrzegła wiele, tylko rozmazany cień, ciemną plamę w świetle reflektora pociągu, ale wyrwało ją to z oszołomienia i pozwoliło pokonać resztę torów.

Żwir chrzęścił jej pod stopami, metal drgał, aż wreszcie sięgnęła rękami skraju peronu i podciągnęła się. Świat wypełniły dźwięki i światła, a coś delikatnie otarło się o jej podeszwę.

Ręce miała lepkie od krwi, ale nie swojej i w tej chwili tylko to się liczyło.

Zanim pociąg się zatrzymał, narzuciła na ciało swój płaszcz i wyciągnęła legitymację.

Maszynista wystawił głowę.

Vicki machnęła w jego kierunku skórzaną okładką i warknęła:

- Zamknąć drzwi! Już!

Drzwi, jeszcze nie do końca otwarte, zamknęły się.

Dopiero kiedy maszynista ponownie wystawił głowę, przypomniała sobie, że ma oddychać.

- Wezwij policję przez radio - poleciła. - Powiedz im, że to 10-33, nieważne, co to znaczy! - uprzedziła

pytanie. - Oni wiedzą! I nie zapomnij im powiedzieć gdzie. - Ludzie w nagłych sytuacjach robili głupsze rzeczy. Kiedy maszynista schował się z powrotem do pociągu, spojrzała na okładkę i

westchnęła, palcem wskazującym popychając okulary w górę nosa. Legitymacja prywatnego detektywa w takich wypadkach nie znaczyła absolutnie nic, ale ludzie reagowali na władzę, nie na drobiazgi.

Odsunęła się od ciała. Z bliska zapach krwi i ury-ny - dzinsy chłopaka były z przodu mokre - przedzierał się przez metaliczne zapachy metra. Samotna twarz wyrzała przez okno najbliższego wagonu. Vicki prychnęła w jej kierunku i przygotowała się na czekanie.

Po niecałych trzech minutach z ulicy dobiegł ją

słaby dźwięk syren. Prawie się rozpogodziła. To były najdłuższe trzy minuty jej życia.

Spędziła je na myśleniu, dodając do siebie rozbryzg krwi i ułożenie ciała. Wynik tego działania nie przypadł jej do gustu.

Z tego, co wiedziała, nic nie mogło zadać pojedynczego ciosu wystarczająco mocno, żeby przedrzeć się przez ciało jak przez chusteczkę higieniczną, nie pozostawiając ofierze czasu na obronę. Nic. Ale coś to zrobiło.

I było w tunelach.

Vicki przechyliła się, aż zdołała zajrzeć w mrok za ostatnim wagonem. Włosy na karku stanęły jej dęba. Zastanawiała się, co kryją cienie. Dostała gęsiej skórki, i to nie tylko z powodu chłodu. Nigdy nie uważała się za specjalnie obdarzoną fantazją, wiedziała, że zabójca już dawno uciekł, ale coś w tym tunelu było.

Charakterystyczny stukot policyjnych butów wyrwał ją z zamyślenia. Ręce trzymała z dala od siebie. Policjanci wezwani do brutalnego morderstwa, znajdując nad zwłokami kogoś umazanego krwią, mogli dojść do pochopnych wniosków.

W kilka minut zapanował chaos, ale na szczęście czterech z sześciu funkcjonariuszy słyszało o „Wiktorii Nelsona” i po wymianie przeprosin i wytłumaczeń zabrali się do pracy.

- ...mój płaszcz na ciebie, kazałam maszynie wezwać policję i czekałam. - Vicki patrzyła, jak funkcjonariusz West z zapalem bazgrze w swoim służbowym notatniku, i skryła uśmiech. Pamiętała, jak to jest być młodym i pełnym zapału. Prawie. Kiedy podniósł wzrok, skinęła w stronę ciała i zapytała: - Chce pan zobaczyć?

- O nie! - Po chwili dodał, odrobinę zakłopotany: - To znaczy nie powinniśmy niczego ruszać przed przyjazdem tych z zabójstw.

Wydział zabójstw. Żołądek Vicki skurczył się, a dobry nastrój znikł. Zapomniała, że nie ona tu rządzi. Nie była nikim więcej niż świadkiem - pierwszym na miejscu zbrodni, i to tylko dlatego, że zrobiła parę naprawdę głupich rzeczy, by się tu dostać. Z powodu mundurów czuła się jak dawniej, ale zabójstwa... jej wydział. Nie, już nie jej. Wierzchem nadgarstka poprawiła okulary.

Przysłany na gapieniu się funkcjonariusz West z zakłopotaniem spuścił wzrok.

- Hm... chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zmyje pani krew z rąk.

- Dzięki. - Vicki zdobyła się na uśmiech, ale zignorowała niezadane pytanie. Jak dobrze albo jak źle widziała, to wyłącznie jej sprawa. Niech sobie krąży kolejna porcja plotek. - Gdyby mógł pan wyciągnąć parę chusteczek z mojej torby...

Młody funkcjonariusz wsunął niepewnie dłoń do wielkiej torby z czarnej skóry i najwyraźniej naprawdę mu ulżyło, kiedy wyciągnął ją razem z chusteczkami, wciąż mając wszystkie palce. O torbie Vicki krążyły legendy nie tylko w komendach miejskich, ale i w okolicach. Większość krwi na jej rękach zaschła w czerwono-brązowe plamy, reszta jedynie się rozmazywała. Mimo to Vicki ścierała ją chusteczką, czując się przy tym jak Lady Makbet.

- Niszczymy dowody? „Celluci” pomyślała. „Musieli wysłać Mikea Celluciego. Ten drań zawsze za cicho chodził”. Nie rozstali się w zbyt dobrej atmosferze. Zanim się do niego odwróciła, zdołała ukryć swoją reakcję.

- Po prostu próbuję utrudnić ci życie. - Głos i towarzyszący mu uśmiech były w oczywisty sposób fałszywe.

Skinął głową. Zbyt długi kosmyk brązowych włosów opadał mu na twarz.

- Granie własnymi atutami to zawsze najlepszy sposób. - Jego wzrok wyminął kobietę i skupił się na ciebie. - Złóż zeznanie Dave'owi. - Stojący za nim partner pomachał. - Ja pogadam z tobą później. To twój płaszcz?

- Mój. - Vicki patrzyła, jak Celluci podnosi przesiąknięty krwią materiał za róg, i wiedziała, że przez chwilę nie będzie dla niego istniało nic poza ciałem i jego najbliższym otoczeniem. Choć ich metody się różniły, był tak samo oddany wykonywaniu swoich obowiązków jak ona - jak ona była, poprawiła się w myślach - i nieoficjalny wyścig, jaki między sobą rozgrywali, wpływał na wiele śledztw.

Włączając te, których żadne z nich nie prowadziło.

- Vicki?

Przestała zaciskać zęby i wciąż wycierając ręce, przeszła za Dave'em Grahamem kilka metrów dalej. Uśmiechnął się z lekką nieśmiałością. Kiedy Vicki opuszczała służbę i doszło do ostatecznej roz-

grywki, on był partnerem Mike'a Celluciego dopiero od miesiąca.

- Może zrobimy to zgodnie z procedurą? Vicki wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech.

- Jasne, tak będzie dobrze. - Ucieczka od emocji w policyjne procedury: światowa tradycja sił porządkowych.

Kiedy rozmawiali, pociąg metra, już pusty, wolno odjechał ze stacji.

- ...słyszając krzyk, pobiegłaś w dół na południowy peron, potem przez tory przed nadjeżdżającym z północy pociągiem i dotarłaś do ciała. Podczas przekraczania torów...

W głębi ducha Vicki się wzdrygnęła. Dave Graham był jednym z najmniej skłonnych do oceniania innych ludzi na świecie, ale nawet on nie mógł ukryć przebijającej w głosie opinii o jej wyczynie.

- ...zobaczyłaś coś o kształcie człowieka, co wydawało się luźnym, powiewającym ubraniem i przeleciało między tobą i światłami. Tak było?

- W rzeczy samej. - Bez tych wszystkich starannie zapisanych szczegółów wyglądało to na naprawdę głupie zachowanie.

- W porządku. - Zamknął notes i podrapał się w nos. - Będziesz się... hm... gdzieś tu kręcić?

Vicki zmrugała oczy, kiedy policyjny fotograf strzelił kolejną szybką serię zdjęć. Nie widziała Mike'a, ale słyszała, jak w głębi tunelu wywarkuje rozkazy swoim doprowadzonym do perfekcji tonem głosu a la „dar boży dla biura śledczego”. W głębi tunelu... Włosy na karku znowu jej się zjeżył, kiedy przypomniła sobie to wrażenie, że coś się czai, coś mrocznego, coś, skoro już o tym mowa, złego. Nagle poczuła potrzebę ostrzeżenia Celluciego, żeby był czujny. Nie zrobiła tego. Wiedziała, jak by zareagował. Jak ona by zareagowała, gdyby zamienili się miejscami.

- Vicki? Będziesz w pobliżu?

Na końcu języka miała „nie, wiecie, gdzie mnie szukać, gdybyście czegoś jeszcze potrzebowali”, ale ciekawość - tego, co policja może odkryć, tego, jak długo uda jej się pozostawać w pobliżu ukochanej pracy i nie załamać - zmieniła „nie” w mruknięcie:

- Przez jakiś czas. - Byłaby potępiona, gdyby teraz uciekła.

Patrzyła, jak Celluci wchodzi po schodkach na peron i rozmawia z technikiem, wskazując ręką za siebie, na tory. Technik zaprotestował, że do pracy potrzebuje odpowiedniego oświetlenia, ale Celluci zignorował to zastrzeżenie. Parskając z niezadowoleniem, technik zabrał swoją torbę i skierował się do tunelu.

Jak zawsze czarujący, pomyślała, kiedy Celluci zgarnął jej płaszcz z posadzki i ruszył w stronę Vicki, lawirując między ludźmi koronera, którzy w końcu zapięli pomarańczowy plastikowy worek z ciałem.

- Nie musisz mówić - odezwała się, kiedy był już wystarczająco blisko, głosem celowo zimnym, prawie sarkastycznym i, jak miała nadzieję, nieujawniającym buzujących w niej emocji, które ścisnęły wnętrze. - Jedyne odciski palców na miejscu

zbrodni są moje? - Oczywiście na miejscu była masa innych odcisków, na razie nieokreślonych. To sprawa dla komendy, ale krwawe ślady rąk rozsiane przez Vicki łatwo zidentyfikują.

- Bingo, Sherlocku. - Rzucił jej płaszcz. - A ślad krwi prowadzi do wnęki i tam się urywa.

Vicki wzdrygnęła się, kiedy wyobraziła sobie, co się działo tuż przed tym, jak dotarła na peron.

- Sprawdziliście południową stronę?

- Tam straciliśmy ślad. - W jego tonie brzmiało niewypowiedziane „nie ucz ojca dzieci robić”. Uniósł rękę, ucinając następne pytanie. - Kiedy Dave rozmawiał z tobą, wysłałem jednego z mundurowych, żeby pogadał ze starszkiem, ale ten wpadł w histerię. Ciągle tylko bredzi o Armagedonie. Zięć przyjedzie go odebrać, pójdę do niego jutro.

Vicki spojrzała na drugi koniec stacji, gdzie starszy pan, który wysiadł za nią z autobusu, rozmawiał z policjantką.

Nawet z tej odległości widać było, że nie wyglądał najlepiej. Miał poszarzałą twarz i chyba bełkotał niekontrolowanie, zaciskając wychudzoną dłoń w wyraźnie zarysowanymi ścięgnami na rękawie funkcjonariuszki.

- A co z metrem? Zamknęliście je na tę noc? - zapytała, z powrotem skupiając uwagę na stojącym obok policjancie.

- Taaa. - Mike pomachał ręką w stronę końca peronu, - Chcę, żeby Jake wyczyścił tę wnękę. - Sporaadyczne błyski światła dowodziły, że fotograf ciągle

pracował. - To nie jest jedna z tych spraw, które da się rozwiązać w kilka minut. - Weisnął ręce w kieszenie płaszcza i rzucił światu nieprzyjazne spojrzenie. - Ale sądząc po rabaniu, jakiego narobiła komisja do spraw transportu, zamykamy wszystko w godzinach szczytu, żeby pozbierać śmieci.

- Więc jaka to sprawa? - to pytanie było najbliższe temu, które Vicki naprawdę chciała zadać: czy on też poczuł tę nieokreśloną obecność.

Wzruszył ramionami.

- Ty mi powiedz. Zadałaś sobie wiele trudu, żeby wylądować w samym środku tego wszystkiego.

- Byłam tu - odburknęła. - Wolałbyś, żeby ten fakt zignorowała?
- Nie miałaś bronii, wsparcia, nie miałaś pojęcia, co się dzieje na dole - Celluci wygłosił dokładnie tę samą litanie, którą sama sobie wcześniej powtarzała. - Nie mogłaś w ciągu ośmiu miesięcy zapomnieć wszystkiego.
- A co ty byś zrobił? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.
- Nie próbowałbym się zabić tylko po to, by udowodnić, że jeszcze mogę.
Cisza, jaka zapadła po tym stwierdzeniu, ważyła więcej niż cementowy blok i Vicki pod jej ciężarem zacisnęła mocniej zęby. Czy to właśnie robiła? Spuściła wzrok na czubki swoich butów, a potem podniosła i spojrzała na Mike'a. Mając metr siedemdziesiąt wzrostu, nie musiała często zadzierać głowy, by spojrzeć jakiemuś mężczyźnie w twarz, ale Celluci ze swoim metrem dziewięćdziesiąt sprawiał, że czuła się małeńka. Nienawidziła czuć się małeńka.
- Jeśli znowu będziemy się rozwodzić nad moim odejściem ze służby, to ja się stąd zmywam. Podniósł ręce w zmęczonym geście poddania.
- Masz rację. Jak zwykle. Przepraszam. Nie będziemy nad niczym się rozwodzić.
- Ty zacząłeś - w jej głosie pobrzmiwała wrogość. Trudno. Powinna była posłuchać instynktu i pójść sobie zaraz po złożeniu zeznania. Musiała oszaleć, skoro zdecydowała się pozostać w pobliżu Celluciego.
Miesięć na jego szczęce drgnął.
- Powiedziałem, że przepraszam. Proszę bardzo, jeśli chcesz, rób za superkobietę, ale może - dodał napiętym głosem - może nie chcę cię zobaczyć martwej. Może nie mam zamiaru zapomnieć o ośmioletniej przyjaźni...
- Przyjaźni? - Vicki poczuła, że jej brwi wędrują w górę.
Celluci przeczesał palcami włosy gestem, który zdradzał, jak bardzo stara się utrzymać nerwy na wodzy.
- Może nie mam zamiaru zapomnieć o ośmioletniej przyjaźni i czterech latach seksu przez jakieś głupie nieporozumienie!
- Tylko seksu? I niczego więcej? - Vicki postanowiła pójść po linii najmniejszego oporu, ignorując bardziej skomplikowany temat nieporozumienia. Brak powodów do kłótni nigdy nie stanowił dla nich problemu. - Dla mnie to nie był tylko seks, detektywie!
Teraz już oboje krzyczeli.
- Czy ja powiedziałem, że to był tylko seks?! - Rozłożył szeroko ramiona, a jego głos odbijał się echem od kafelków na ścianach stacji. - To był wspaniały seks, jasne? Genialny seks! To... Czego?!
Poczerwieniały na twarzy funkcjonariusz West aż podskoczył.
- Zablockował pan ciało - wyjąkał.
Z niewyraźnym przekleństwem na ustach Cellu-ci cofnął się pod ścianę.
Kiedy wyprowadzano wózek, zawartość leżącego na nim jaskrawopomarańczowego worka kiwała się lekko na boki. Vicki zacisnęła pięści i rozważała umieszczenie jednej z nich dokładnie na klasycznie pięknym nosie Mike'a Celluciego. Jak mogła pozwolić mu tak na siebie wpłynąć? Zdecydowanie miał talent do przedzierania się przez jej starannie zbudowane ściany samokontroli i wpychania nosa w emocje, nad którymi, jak sądziła, panowała. Do diabła z nim. I nie wpływał na nią dobrze fakt, że tym razem to on miał rację. Kąciki jej ust uniosły się lekko w górę. Cóż, przynajmniej znowu ze sobą rozmawiali...
Gdy wózek przejechał, wyprostowała palce, położyła dłoń na ramieniu Celluciego i powiedziała:
- Następnym razem zrobię wszystko zgodnie z procedurą.
To były najbliższe przeprosin słowa, na jakie mogła się zdobyć, i on o tym wiedział.
- Czemu miałabyś teraz zaczynać... - westchnął. - Słuchaj, jeśli chodzi o opuszczenie służby... Vicki, nie jesteś ślepa, mogłaś zostać...
- Celluci... - wywarczała jego nazwisko przez zaciśnięte zęby. Zawsze mówił o jedno zdanie za dużo.
- Nieważne. - Wyciągnął rękę i poprawił jej spadające okulary. - Podwieźć cię do centrum?
Spojrzała na swój zniszczony płaszcz.
- Czemu nie.
Kiedy szli za wózkiem po schodach, Celluci szturchnął ją lekko w ramię.
- Miło znów się z tobą pokłócić.
Poddała się - ostatnie osiem miesięcy nie stanowiło pasma triumfalnych zwycięstw - i uśmiechnęła.
- Ja też tęskniłam.

Poniedziałkowe gazety pisały o morderstwie na pierwszych stronach. Brukowiec miał nawet kolorowe zdjęcie wózka wyprowadzanego ze stacji, z odcinającą się od szarości i błękitów, wręcz obsceniczną

plamą pomarańczowego worka na zwłoki. Vicki rzuciła gazetę na rosnącą kupkę makulatury po lewej stronie biurka i przygryzła paznokieć. W teorii Celluciego, którą wyłożył, kiedy jechali do centrum, istotną rolę odgrywał anielski pył i przemocowywane pazury.

- Jak u tego faceta w filmie.

- Tamto to była rękawiczka z brzytwami, Cel-luci.

- Wszystko jedno.

Vicki jakoś to nie przekonywało i wiedziała, że

Mike'a tak naprawdę też nie. To była po prostu najlepsza teoria, jaką mógł wymyślić, póki nie pozna więcej faktów. Ostateczne wnioski często zupełnie nie przypominały teorii, od której zaczynał; po prostu nie lubił zaczynać od zera. Vicki wołała, żeby fakty powoli opadały w pustkę, a wtedy mogła zobaczyć, w jaki kształt się układają. Problem w tym, że tym razem po prostu opadały. Potrzebowała ich więcej.

Jej dłoń była już w połowie drogi do telefonu, zanim Vicki się opamiętała i ją cofnęła. To już nie miało z nią nic wspólnego. Złożyła zeznanie i to by było na tyle, jeśli chodzi o jej zaangażowanie.

Zdjęła okulary i wytarła o bluzę. Krawędzie jej świata rozmazywały się, aż wreszcie patrzyła w zamglony szeroki tunel, który z dnia na dzień się zwiężał. Jak dotąd straciła mniej więcej jedną trzecią widzenia obwodowego. Jak dotąd. Teraz mogło być już tylko gorzej.

Okulary pomagały jedynie na krótkowzroczność. Na resztę nic nie mogło pomóc.

- Dobra, to jest robota Celluciego. Świetnie. Ja mam swoją - powiedziała stanowczo. - Taką, którą mogę wykonać. - Taką, którą powinna wykonać. Jej oszczędności nie były kufrem bez dna, a szuflada na dokumentację prowadzonych spraw świeciła żenującą pustką, bo stan wzroku zmuszał Vicki do odmówienia o wiele więcej niż tylko jednemu potencjalnemu klientowi.

Zaciskając zęby, wciągnęła na podolek ogromną książkę telefoniczną Toronto. Przy odrobinie szczęścia poszukiwany przez nią F. Chan, dziedzic całkiem przyzwoitej sumy zostawionej przez zmarłego wujka z Hongkongu, okaże się jednym z dwudziestu sześciu wymienionych w spisie. Jeśli nie... były jeszcze trzy strony pełne Chanów, szesnaście kolumn, tysiąc osiemset pięćdziesiąt sześć nazwisk.

Vicki mogła się założyć, że przynajmniej połowa z nich miała jakiegoś Fu w rodzinie.

W tej chwili Mike Celluci pewnie szukał mordercy.

Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie można być policjantem, jeśli się nie widzi. A ona już posłała sobie łóżko. Teraz musiała w nim spać.

Terri Neal oparła się ciężko o ścianę windy, wzięła kilka głębokich oddechów, a kiedy doszła do wniosku, że zebrała wystarczająco dużo sił, uniosła rękę, by spojrzeć na zegarek.

- Dwunasta siedemnaście? - jęknęła. - Gdzie, do diabła, podział się poniedziałek i po co w ogóle wracać do domu? Za osiem godzin i tak muszę tu wrócić". Poczula ciężar pagera na biodrze i szybko zmówiła cichą modlitwę o pełne osiem godzin. Firma dziś już wycisnęła z niej swoje - ten cholerny dzwonek odezwał się, gdy tylko wsiadła o 4:20 do samochodu - więc może, może dadzą jej spokój w nocy.

Drzwi otworzyły się, a Terri, powłócząc nogami, wysiadła z windy do podziemnego garażu.

- Wyjście z biura - mruknęła do siebie. - Etap drugi.

Mrużąc oczy, rozejrzała się po prawie pustym garażu, po którym jej cień tańczył jak szalona marionetka. Nigdy nie lubiła zimnego, mocnego światła jarzeniówek. Świat w nim skąpany wydawał się nieprzyjazny i przerysowany. A już tej nocy...

Potrząsnęła głową. Brak snu powodował, że umysł płatał jej figle. Powstrzymując chęć obejrzenia się za siebie, dotarła wreszcie do tego, co wynagradzało jej nieskończone nadgodziny.

- Cześć, słodziutki. - Sięgnęła do kieszeni po kluczyki. - Tęskniłeś?

Otworzyła tylne, piąte drzwi, dźwignęła walizkę - „to cholerstwo waży chyba tonę!” - i wsunęła do bagażnika. Oparła łokcie na uszczelce i zamarła, do połowy zanurzona w samochodzie, wdychając zapach świeżego lakieru, nowego winylu, nowego plastiku i... psującego się jedzenia. Marszcząc brwi, wyprostowała się.

„Przynajmniej dochodzi spoza mojego samochodu...”

W milczeniu zamknęła bagażnik hatchbacka i odwróciła się. Ochrona zajmie się tym jutro, ona chciała jak najszybciej wrócić do domu.

Potrwało chwilę, zanim zrozumiała, że nigdy tam nie dotrze.

Kiedy krzyk wreszcie trafił do gardła Terri, jego już tam nie było - zostało wyrwane, a krzyk stał się bulgotem, gdy przecięta krtań napełniła się krwią.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, gdy głowa opadała jej do tyłu, były czerwone linie spływające po karoserii jej nowego samochodu. -

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, było uporczywe

„pip, pip” jej pagera.

A ostatnią rzeczą, jaką poczuła, był dotyk ust na tym, co zostało z jej gardła.

We wtorek rano pierwsza strona brukowca oznajmiała wielkimi literami: PRZECINACZ ZNOWU ATAKUJE. Pod tytułem widniało zdjęcie trenera drużyny Toronto Maple Leafs, w podpisie mające - nie po raz pierwszy w tym sezonie - pytanie, czy powinien zostać zwolniony, skoro Leafsowie znowu okupowali sam dół ligowego rankingu. Układ strony był dość dziwny, ale ta gazeta właśnie w takim celowała.

- Zwolnijcie właściciela - mruknęła Vicki, poprawiając okulary i mrużąc oczy nad maleńkim drukiem pod tytułem, gdzie napisano: „Więcej na stronie 2”. A tam, uzupełniony o zdjęcie podziemnego garażu i histeryczną relację kobiety, która znalazła ciało, znajdował się opis zmasakrowanych zwłok, dokładnie odpowiadający temu, co Vicki zastała na stacji Eglinton West. - Cholera.

„Jak stwierdził śledczy z wydziału zabójstw, Mike Celluci”, czytała, „nie ma wątpliwości, że nie jest to przypadek naśladownictwa, a ktokolwiek zamordował Terri Neal, zabił również w niedzielę w nocy Iana Reddicka”.

Vicki podejrzewała, że Mike powiedział coś zupełnie innego, chociaż sens mógł być taki sam.

Rzadko uznawał za konieczne współpracować lub chociaż ukryć niechęć do prasy. I nigdy nie był tak uprzejmy.

Jeszcze raz przeczytała o wszystkich szczegółach i przeszył ją trudny do zidentyfikowania lęk. Przypomniała sobie o dziwnej, ociągającej się obecności, jaką czuła. Wiedziała, że to nie koniec morderstw. Wybrała numer, zanim jeszcze zdecydowała się zadzwonić.

- Poproszę z Mikiem Cellucim. Co? Nie, nie zostawię wiadomości.

Odkładając słuchawkę, zastanawiała się, co takiego chciała mu powiedzieć. „Że mam przeczucie, że to dopiero początek? Byłby zachwycony”.

Odsunęła brukowiec i sięgnęła po dziennik. Na stronie czwartej znajdowała się mniej więcej ta sama historia, tylko bez połowy przymiotników i większości histeryzowania.

Żadna z gazet nie wspomniała, że rozerwanie gardła pojedynczym ciosem było raczej niemożliwe.

Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, czego brakowało tamtemu trupowi... Westchnęła i przetarła oczy.

Miała pięciu Fu Chanów do odwiedzenia...

Na dnie wykopu coś było. DeVerne Jones oparł się o siatkę i wydychając w ciemność opary piwa, zastanawiał się, co powinien z tym zrobić. To był jego wykop, pierwszy, odkąd został brygadzystą. Rano mieli zaczynać układać konstrukcję, tak żeby moc od razu wylać cement, kiedy wreszcie przyjdzie wiosna. Przesunął wzrokiem po ciemnych kształtach maszyn. A teraz coś tam było. W jego dole.

Pożałował w duchu, że zdecydował się zajrzeć na budowę w drodze z baru do domu. Minęła już północ, a kształt, który dojrzał przez płot, był pewnie jakimś biednym lumpem szukającym ciepłego kąta, gdzie miałby spokój od glin. Załoga wyrzuciłaby go rano, nikomu by nie szkodził. Tyle że trzymali tam masę drogiego sprzętu i mogło chodzić o coś zupełnie innego.

- Szlag.

Wyrzebał klucze i poszedł w stronę bramy. Kłódka była otwarta. Przez wilgoć i zimno czasem nawalała, ale to on wychodził ostatni z terenu budowy i sprawdził ją. Prawda?

- Większy szlag. - Właśnie się okazało, że zaglądając tu, bardzo dobrze zrobił.

Zawiasy skrzyknęły na znak protestu, kiedy otwierał bramę.

DeVerne czekał przez chwilę na szczycie podjazdu, sprawdzając, czy dźwięk spłoszył zwierzynę.

Nic.

„Żołądek pełen piwa i już jesteś bohaterem” pomyślał, wystarczająco trzeźwy, by uświadomić sobie, że mógł się pakować w kłopoty, ale wystarczająco pijany, by się tym nie przejmować.

Gdy był w połowie drogi do wykopu, jego oczy przyzwyczały się do ciemności na tyle, że znowu to zobaczył. Ludzki kształt, poruszający się zbyt szybko jak na lumpa, znikający za jednym z buldożerów.

Tak cicho jak tylko był w stanie DeVerne przyspieszył. Miał zamiar złapać tego sukinsyna na gorącym uczynku. Zboczył trochę z drogi i wyciągnął ze sterty złomu prawie metrową rurę. Skrobanie metalu o metal, nienaturalnie głośne, odbiło się echem od ścian wykopu. Zdradziwszy swoją obecność, De-Verne ruszył za buldożer z uniesioną bronią, wykrzykując wyzwanie.

Ktoś leżał na ziemi. DeVerne widział znoszone, obszarpane buty, reszta kryła się w cieniu. W tym

cieniu - albo może rzucając go, tego nie był pewien -czaiła się druga postać.
DeVerne znowu krzyknął. Postać wyprostowała się i odwróciła, owijając w ciemność.
Nie zauważył, że się poruszyła, póki nie wyszarpaneła mu rury z dłoni. Ledwie miał czas, żeby unieść drugą rękę w daremnej próbie ocalenia życia.
- Coś takiego nie istnieje! - zakwilił cicho, kiedy umierał.

W środę rano nagłówek brukowca, wysoki na dziesięć centymetrów, oznajmiał: WAMPIR
PRZEŚLADUJE MIASTO.

ROZDZIAŁ 2

Uniół jej ramię i przesunął językiem po delikatnej skórze na wewnętrznej stronie nadgarstka. Z głową odrzuconą do tyłu Caroline pojękiwała, oddychając z wysiłkiem. Już prawie. Obserwował ją uważnie i kiedy zaczynała szczytować, gwałtownie się ku niemu, ujął małą, pulsującą żyłkę u nasady jej kciuka między czubki zębów i wgrzył się. Delikatny ból był tylko jednym spośród już i tak zbyt wielu bodźców. Podczas gdy ona przeżywała kolejne fale orgazmu, on pił. Skończyli niemal w tej samej chwili.

Delikatnie odsunął z jej twarzy kosmyk wilgotnych mahoniowych włosów.

- Dziękuję - powiedział miękko.

- Nie, to ja dziękuję - wymruczała, chwytając jego dłoń i składając na niej pocałunek.

Leżeli przez jakiś czas w ciszy. Ona lekko przysypiała, a on rysował delikatne wzory na krzywiznach jej piersi, śledząc palcami błękitne linie żył pod białą skórą. Teraz, kiedy był nasycony, już go nie rozpraszały. Upewniwszy się, że koagulant w ślinie zadziałał i mała ranka na nadgarstku nie będzie więcej krwawić, wyplątał swoje nogi spomiędzy jej i powłókł się do łazienki, by się umyć. Ocknęła się, kiedy wkładał ubranie.

- Henry?

- Wciąż tu jestem, Caroline. - Teraz. Ale wychodzisz.

- Mam pracę. - Włożył sweter i zamrugał, kiedy wysunął głowę, spojrzał w ostre światło lampki nocnej. Wieloletnia praktyka powstrzymała go przez wzdrgnięciem, ale odwrócił się, żeby pozwolić wrażliwym oczom dojść do siebie.

- Nie mógłbyś pracować w dzień, jak normalni

ludzie? - zaprotestowała Caroline, podciągając koł drę i zwijając się pod nią w kłębek. - Wtedy miałbyś noce wolne dla mnie. Uśmiechnął się i odparł zgodnie z prawdą:

- Źle mi się myśli w dzień.

- Pisarze... - westchnęła.

- Pisarze - zgodził się, pochylając, żeby dać jej całusa w nos. - Jesteśmy zupełnie innym gatunkiem

- Zadzwonisz?

- Jak tylko będę miał czas.

- Mężczyźni!

Sięgnął nad jej głowę i wyłączył lampkę.

-To też.

Zręcznie unikając szukających go po omacku dłoni, pocałował Caroline na pożegnanie i cicho przeszedł przez sypialnię i pograżone w ciemności mieszkanie. Słyszał za plecami, jak rytm jej oddechu się zmienił. Wiedział, że już śpi. Zwykle zasypiała, jak tylko skończyli, i nie zauważała, kiedy wychodził. To była jedna z tych cech, które szczególnie w niej lubił, bo dzięki temu rzadko musiał wymyślać wymówki, czemu nie zostaje na noc. Włożył buty i płaszcz, po czym wyszedł z mieszkania, nasłuchując, czy zamek zatraskowy w drzwiach wskoczył na swoje miejsce. Pod wieloma względami to były najbardziej bezpieczne czasy, w jakich kiedykolwiek zdarzyło mu się żyć. Pod innymi - najbardziej niebezpieczne.

Caroline nie miała pojęcia, czym on właściwie jest. Dla niej nie był niczym więcej niż przyjemnym przerywnikiem, nieregularnym kompanem, seksem bez poczucia winy. Nawet nie musiał się specjalnie

starać, by sprawy tak się ułożyły.

Na widok odbicia w drzwiach windy uniół brew. - Chce więcej.

Niepokój rósł w nim od jakiegoś czasu, przesładując, nie dając chwili wytchnienia. Konsumpcja pomogła go uciszyć, ale nie na długo. Dusząc jęk frustracji. Henry obrócił się i walnął dłonią w plastikową ścianę. Uderzenie w zamkniętej przestrzeni było głośne jak wystrzał. Wbił wzrok w sieć pęk-

nięć rozchodzącą się spod jego dłoni. Czuł pieczenie, ale wyglądało na to, że przemoc pozwoliła odegnąć przyczynę niepokoju.

Hałas nie zwabił nikogo do holu i Henry, już niemal w szampańskim humorze, bez przeszkód opuścił budynek.

Na ulicy panowało przesywające zimno. Szczelniej owinął szyję szalikiem i podniósł kołnierz. Co prawda był mniej podatny na pogodę niż zwykli ludzie, ale nie znaczyło to, że lubił, jak zimny wiatr hula mu po plecach. Z połami skórzanego płaszcza powiewającymi wokół nóg poszedł w stronę dzielnicy Bloor, skręcił na wschód i skierował się do domu.

Chociaż dochodziła pierwsza w nocy w czwartek, a wiosna 1991 miała chyba zamiar pojawić się wyjątkowo późno, ulice nie były jeszcze puste. Na biegnącej ze wschodu na zachód osi miasta wciąż panował ruch, a im bardziej Henry zbliżał się do Yonge i Bloor, głównej krzyżówki miasta, tym więcej ludzi mijał. To jedna z cech tej części miasta, którą najbardziej lubił: tak naprawdę nigdy nie spała. Dlatego zamieszkał tak blisko niej, jak tylko się dało. Dwa kwartały za Yonge skręcił na półkolisty podjazd i po łuku doszedł do drzwi swojego budynku.

Niegdyś mieszkał w zamkach każdego kształtu i rodzaju, w przeróżnych prywatnych wiejskich posiadłościach, nawet w krypcie czy dwóch, kiedy czasy były szczególnie ciężkie. Ale od wieków nie miał domu, który służył mu równie dobrze co apartament w budynku w centrum Toronto.

- Dzień dobry, panie Fitzroy.

- Dzień dobry, Greg. Coś się działo? Ochroniarz uśmiechnął się i sięgnął do przycisku odblokowującego drzwi.

- Cicho jak w grobie, proszę pana.

Henry Fitzroy uniósł rudozłotą brew, ale czekał, aż drzwi się otworzą, a brzęczyk przestanie wydawać elektroniczny dźwięk, nim zapytał:

- A skąd wiesz, jak cicho jest w grobie? Greg wyszczerzył się radośnie.

- Byłem strażnikiem na cmentarzu Mount Plea-sant.

Henry pokręcił głową i też się uśmiechnął.

- Powinienem być wiedzieć, że masz gotową odpowiedź.

- Tak, proszę pana, powinien pan. Dobranoc.

Ciężkie szklane drzwi zamknęły się, uniemożliwiając dalszą rozmowę, więc kiedy Greg sięgnął po gazetę, Henry skinął mu na pożegnanie, po czym ruszył w stronę wind. I wtedy się zatrzymał. I odwrócił, żeby spojrzeć przez szkło.

WAMPIR PRZEŚLADUJE MIASTO Poruszając wargami w miarę czytania, Greg położył gazetę na biurku, zakrywając nagłówek.

Świat Henryego zawęził się nagle do tych trzech słów. Pisarz gwałtownie otworzył drzwi.

- Zapomniał pan czegoś, panie Fitzroy?

- Twoja gazeta. Pokaż mi ją.

Zaskoczony tonem, ale posłuszny rozkazowi Greg przesunął gazetę przed siebie, aż Henry wyrwał mu ją spod dłoni.

WAMPIR PRZEŚLADUJE MIASTO Powoli, bez żadnych gwałtownych ruchów, Greg odsunął krzesło do tyłu, oddalając się tak bardzo jak tylko mógł od mężczyzny po drugiej stronie biurka.

Nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale w ciągu sześćdziesięciu trzech lat życia i dwóch przeżytych wojen nigdy nie widział takiego wyrazu twarzy, jaki miał teraz Henry Fitzroy. I liczył, że nigdy nie zobaczy. Ten gniew był czymś więcej niż ludzki gniew, a strach, jaki budził, czymś więcej niż ludzki duch mógł znieść.

„Proszę, Boże, niech on się nie zwróci przeciwko mnie...”

Minuty ciągnęły się, a papier darł pod sztywniejącymi palcami.

- Ekhm... Panie Fitzroy...

Orzechowe oczy, przypominające zamrożony dym, oderwały się od lektury. Porażony intensywnością tego spojrzenia ochroniarz przełknął ślinę raz i drugi, zanim zdołał wreszcie dokończyć:

- Może pan, ekhm, zatrzymać gazetę.

Strach słyszalny w głosie Grega przebił się przez wściekłość. W strachu kryło się niebezpieczeństwo.

Henry z powrotem odnalazł w sobie misternie skonstruowaną maskę ucywilizowania, pod którą skrywał drapieżnika, i zmusił ją do powrotu na miejsce.

- Nie noszę takiej pogoni za sensacją. - Rzucił gazetę na biurko.

Greg podskoczył. Krzesło uderzyło o ścianę, nie było dokąd uciekać.

- Takie granie na lękach czytelników to nieodpowiedzialne dziennikarstwo. - Henry westchnął i ukrył gniew pod patyną zrezygnowanej irytacji. Czteryście pięćdziesiąt lat praktyki sprawiało, że jego maska wyglądała wiarygodnie, niezależnie od tego.

jak niewygodna stała się ostatnio. - To źle świadczy o nas wszystkich.

Greg westchnął i wytarł wilgotne dłonie o uda, chwytając się tego wyjaśnienia.

- Myślę, że pisarze są przewrażliwieni na tym punkcie - podsunął.
- Niektórzy z nas tak - zgodził się Henry. - Jesteś pewien co do gazety? Mogę ją zatrzymać?
- Żaden problem, panie Fitzroy. Zacząłem od sprawdzenia wyników hokeja. - Jego umysł już wymazywał to, co zobaczył, racjonalizując tak, żeby wszystko wydawało się możliwe i do zniesienia. Ale jednak Greg nie przysunął krzesła z powrotem do biurka, póki drzwi windy się nie zamknęły, a światło wskaźnika nie poszło w górę.

Wysilek, jaki musiał włożyć w stanie nieruchomo, niemal powiązał Henry'emu mięśnie w supły. Fitzroy skoncentrował się na oddychaniu, na kontrolowaniu wściekłości, powstrzymywaniu jej, by nie przejęła sterów. W tych czasach jego rodzaj mógł przetrwać dzięki niewyróżnianiu się, a on właśnie popełnił potencjalnie fatalną w skutkach pomyłkę, okazując swoją reakcję na nagłówek. Pozwolenie prawdziwej naturze na ujawnienie się w odosobnieniu pustej windy nie było szkodliwe, ale w obecności śmiertelnika... to co innego. Nie żeby spodziewał się, że Greg nagle wskaże go palcem i zacznie krzyczeć „wampir”...

Poczucie winy, że przestraszył ochroniarza, pozwalało uspokoić złość. Lubił Grega, w tym świecie pełnym równości i demokracji dobrze było spotkać kogoś gotowego służyć. Jego podejście przywodziło Henry'emu na myśl jednego z pracowników posiadłości, w której przebywał jako chłopiec, i to wspomnienie przeniosło go, przynajmniej na chwilę, w prostsze czasy.

Z barierami ustawionymi z powrotem na miejscu, wysiadł z windy na czernastym pięttrze, przytrzymując drzwi, żeby pani Hughes i jej mastiff mogli wsiąść. Wielki pies przeszedł obok niego na sztywnych łapach, ze zjeżoną na karku sierścią i złowrogim warczeniem dochodzącym z głębi gardła. Pani Hughes jak zwykle zaczęła przeproszać.

- Naprawdę tego nie rozumiem, panie Fitzroy. Owen zazwyczaj jest takim słodkim psiakiem. Nigdy... Owen!

Mastiff, trzęsący się z pragnienia ataku, wmanewrował swoje wielkie cielsko pomiędzy właścicielką i mężczyzną przy drzwiach, utrzymując jak największy dystans między nią i wyczuwanym zagrożeniem.

- Proszę się nie martwić, pani Hughes. - Henry puścił drzwi, które zaczęły się zasuwać. - Nie może pani oczekiwać, że Owen będzie wszystkich lubił. - Na chwilę przed tym, jak drzwi się całkiem zamknęły, uśmiechnął się do psa. Mastiff bezbłędnie rozpoznał wyszczerzenie zębów i skoczył naprzód. Henry zdobył się na o wiele bardziej szczery uśmiech, kiedy nerwowe szczekanie w szybie windy cichło coraz bardziej.

Dziesięć minut sam na sam z psem i rozwiązałiby problem. Prawa sfory były proste, rządził najsilniejszy. Ale Owen zawsze towarzyszył pani Hughes, a Henry wątpił, czyby zrozumiała. Ponieważ nie miał zamiaru izolować się od sąsiadki, jakoś znosił niechęć mastiffa. Szkoda. Lubił psy i naprawdę niewiele było trzeba, żeby pokazać Owenowi jego miejsce.

Kiedy już wszedł do apartamentu i zamknął za sobą drzwi, znowu spojrzął na gazetę i prychnął.

WAMPIR PRZEŚLADUJE MIASTO

Okazało się, że ciała Terri Neal i DeVerne'a Jonesa zostały opróżnione z krwi.

Nagłówek pasował.

A Henry wiedział, że to nie jego robota. Nagłym ruchem nadgarstka posłał gazetę na drugi koniec pokoju i z niewielką satysfakcją patrzył, jak

strony opadają na podłogę niczym zranione ptaki. - Kurwa. Kurwa. KURWA! Podszedł do okna, po drodze ściągając płaszcz i rzucając na kanapę. Odsunął zasłony, które odgradzały go od miasta.

Wampiry były rasą samotników, nie szukały się nawzajem i nie prowadziły rejestrów, gdzie kto w danej chwili przebywa. Chociaż Henry podejrzewał, że dzieli terytorium z innymi, mogły być ich dziesiątki - poruszających się, żyjących, żywiących się we wzorze światła i cienia, jaki tworzyła noc - był tak samo nieświadomy ich obecności jak ludzie, wśród których żyli.

I co gorsza, jeśli zabójca był wampirem, to zaledwie dzieckiem, jednym z nowo przemienionych, bo tylko oni potrzebowali krwi w takiej ilości, że zabijali równie brutalnie.

- Żadne z moich - poinformował noc, opierając czoło o chłodne szkło. To było i stwierdzenie, i prośba. Każdy z jego rodzaju obawiał się, że wypuści na wolność takiego potwora, przypadkowe dziecko, przypadkową przemianę. Ale on był ostrożny. Nigdy nie pił ponownie, póki krew nie miała czasu na zregenerowanie się, nigdy nie ryzykował, że jego krew może zostać przekazana. Pewnego dnia będzie miał dziecko, ale przemienione z własnego wyboru, tak jak on. I pozostanie przy nim, żeby je prowadzić, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Nie, żadne z jego. Ale nie mógł pozwolić na terroryzowanie miasta. Strach pozostawał niezmienny przez stulecia, tak jak reakcje ludzi. Sterroryzowane miasto szybko wyciągnęłoby pochodnie i zaostrome kołki... albo ich dwudziestowieczny, wyprodukowany w laboratorium ekwiwalent.

- A ja nie mam zamiaru ani przez resztę życia być przywiązany do stołu, ani pozwolić na to, żeby

mi odciął głowę i napchali usta czosnkiem - powiedział ciemności.
Będzie musiał znaleźć dziecko, zanim zrobi to policja, a ta opcja niosła ze sobą więcej problemów, niż rozwiązywała. Znaleźć dziecko i zniszczyć je, bo bez więzi krwi nie mógł go kontrolować.
- A potem - uniósł głowę i odsłonił zęby - znajdę rodzica.

- Dzień dobry, pani Kopolous.
- Kochana, wcześniej dziś wstałaś.
- Nie mogłam spać - odparła Vicki, przechodząc na tył sklepu, gdzie buczyły lodówki. - I skończyło mi się mleko.
- Weź torebki, są w promocji.
- Nie lubię torebek. - Kątem oka dostrzegła, jak pani Kopolous wyraża milczącą i niezbyt pochlebną opinię o jej niechęci do oszczędzenia czterdziestu dziewięciu centów. Wzięła butelkę i zaniósła ją do kasy. - Gazet jeszcze nie ma?
- Są, są. - Pochyliła się nad pakunkami, krępyim ciałem zasłaniając nagłówek. Kiedy się wyprostowała, położyła po jednym egzemplarzu każdej gazety porannej przy kasie.
SABERSI POKONUJĄ LEAFSÓW 10 DO 2
Vicki. dotąd nieświadoma, że wstrzymuje od-dech, wypuściła powietrze z płuc Skoro brukowiec nie wspominał o żadnym morderstwie poza masa-krą w rozgrywkach, wyglądało na to, że miasto bezpiecznie przeżyło noc.
- Wmieszałaś się w te straszne sprawy, prawda?
- Jakie straszne sprawy, pani Kopolous? - Zebrała wydaną resztę, ale zmieniła zdanie. Odłożyła pieniądze z powrotem na ladę i sięgnęła po jajko z niespodzianką. A co tam, miała powód do świętowania.
Pani Kopolous pokręciła głową, ale Vicki nie potrafiła odgadnąć, czy ten gest odnosił się do jajka, czy do życia ogólnie.
- Patrzysz na gazetę tak samo jak wtedy, gdy zabito te małe dziewczynki.
- To było dwa lata temu! - Dwa lata i całe życie temu.
- Pamiętam. Ale to już nie twoja sprawa, nie zajmuj się tymi krwiopijcami. - Szuflada kasy została zatrzaśnięta ze złądną gwałtownością. - Tym razem to nieczysta sprawa.
- To nigdy nie są czyste sprawy - zaprotestowała Vicki, wtykając gazety pod pachę.
- Wiesz dobrze, o czym mówię.
Ton, jakim to powiedziała, nie pozostawiał miejsca na dalszą kłótnię.
- Tak, wiem. - Vicki już miała wyjść, ale zatrzymała się i zawróciła z powrotem do lady. - Pani Kopolous, czy pani wierzy w wampiry?
Starsza kobieta zamachała ręką, jakby odganiając od siebie niewłaściwe pytanie.
- Ja NIE nie wierzę - powiedziała, marszcząc mocno brwi dla podkreślenia swoich słów. - Są na tym świecie rzeczy...
- Szekspir - uśmiechnęła się Vicki. Twarz pani Kopolous nie złagodniała.
- To, że był poetą, nie oznacza, że nie miał racji.

Gdy Vicki wróciła do trzypiętrowego bloku z brązowego piaskowca w samym sercu Chinatown, była 7:14 i sąsiedzi właśnie zaczęli się budzić. Rozważyła wybranie się na poranną przebieżkę, zanim podniesie się poziom tlenu węgla, ale odrzuciła ten pomysł, kiedy tylko na próbę wzięła głębszy oddech. Może i oficjalnie już była wiosna, ale czas na bieganie przyjdzie dopiero wtedy, gdy temperatura zrobi się prawdziwie wiosenna. Pokonując po dwa schodki naraz, Vicki dziękowała w myślach szczęśliwemu zestawowi genów, który pozwalał jej zachować sprawne ciało przy minimum starań. Chociaż biorąc pod uwagę, że miała już trzydzieści jeden lat, mogło to już długo nie potrwać...
Drobne ukłucie winy skłoniło ją do odbycia porannej gimnastyki przy akompaniamencie wiadomości o 7:30.

Do 8:28 przejrzała wszystkie gazety, wypila półtora dzbanka herbaty i przygotowała do wysłania rachunek za sprawę Fu Chana. Odchyliła głowę i zdjęła okulary, pozwalając, by jej pole widzenia zawęziło się do okręgu wyciętego ze stiukowego sufitu. Są na tym świecie rzeczy... Nie była pewna, czy wierzy w wampiry, ale z pewnością wierzyła własnym zmysłem, nawet jeśli na jednym z nich ostatnio coraz mniej mogła polegać. Coś dziwnego czaiło się w tym tunelu i nic ludzkiego nie

zadalioby takiego ciosu. Zdanie z artykułu we wtorkowej gazecie ciągle dźwięczało jej w głowie: „Biuro koronera oświadczyło, że ciała Terri Neal i DeVerne'a Jonesa zostały opróżnione z krwi”. Wiedziała, że to nie jej sprawa...

Brandon Singh zasiadał przy swoim biurku w biurze koronera każdego ranka o 8:30. Pił herbatę, zjadał bajglę i mniej więcej do 8:45 łatwo go było złapać.

Nie mogła już zadzwonić oficjalnie, jako policjantka. Ale koronerzy byli przecież urzędnikami państwowymi, a ona podatnikiem. Sięgnęła po notes z adresami. „Co tam, po Cellucim już gorzej być nie może”.

- Poproszę z doktorem Singhem. Tak, zaczekam. - „Czemu oni zawsze pytają?”, zastanawiała się, wolną ręką poprawiając okulary. „Przecież i tak nie ma się wyboru”.

- Doktor Singh przy telefonie.

- Brandon? Tu Vicki Nelson.

Jego nienaganny oksfordzki akcent, którego zawsze używał, rozmawiając przez telefon, zelżał.

- Victoria? Jak dobrze cię usłyszeć. Miałaś dużo na głowie, odkąd odeszłaś ze służby?

- Trochę - przyznała, zakładając nogi na biurko.

Od czasu śmierci jej babki ze strony matki w latach siedemdziesiątych doktor Brandon Singh był jedyną osobą, która nazywała ją Victoria. Nigdy nie mogła zdecydować, czy to ten jego staroświecki urok, czy czysta złośliwość, bo wiedział, jak bardzo nie lubi swojego pełnego imienia. - Założyłam własną firmę detektywistyczną.

- Tak, słyszałam jakieś plotki na ten temat. Ale plotki... - oczyma wyobraźni Vicki widziała, jak jego smukłe dłonie chirurga przecinają powietrze - plotki krążą też na temat tego, że jesteś kompletnie ślepa i sprzedajesz ołówki na rogu ulicy.

- Nie. Nie kompletnie. - Gniew wyprał jej głos z życia.

Ton Brandona natychmiast się ocieplił.

- Victorio, przepraszam. Wiesz, że nie jestem

zbyt taktowny, nigdy nie miałem szansy na nauczenie się manier... poza tymi przy stole - to był stary żarcik, który powtarzał, odkąd spotkali się po raz

pierwszy podczas sekcji zwłok znanego dilerę nar-otyków. - Zatem - urwał na chwilę, żeby z dala od słuchawki przełknąć łyk herbaty - co mogę dla ciebie zrobić?

Vicki nigdy nie uważała jego zwyczaju, by przechodzić od razu do sedna sprawy przy niezbędnym minimum poprzedzającej konwersacji, za denerwujący i doceniała to, że Brandon nigdy nie wymagał od innych taktu w sytuacjach, kiedy sam go nie stosował. „Nie trać mojego czasu, jestem zajęty” - takim tonem zaczynał każdą rozmowę.

- We wczorajszej gazecie napisali o braku krwi

u Neal i Jonesa, to prawda? Oficjalny ton powrócił.

- Nie wiedziałem, że masz coś wspólnego z tą sprawą.

- Tak właściwie nie mam. Ale to ja znalazłam pierwsze ciało.

- Opowiedz mi.

Tak zrobiła. Informacja była walutą w kontaktach między pracownikami budżetówki, nawet jeśli Vicki już się do tej grupy nie zaliczała.

- A co powiesz jako zawodowiec? - zapytał, kiedy skończyła, ostrożnie obojętnym tonem.

- Jako zawodowiec - Vicki powtórzyła nie tylko słowa, ale i ton - po trzech latach w wydziale zabójstw powiem, że nie mam pojęcia, co mogło spowodować powstanie takiej rany, jaką widziałam. Nie pojedynczy cios rozrywający skórę, mięśnie i chrząstki.

Po drugiej stronie Brandon westchnął.

- Tak, tak. Wiem, co się stało, i szczerze mówiąc, nie mam większego pojęcia niż ty. A zajmuję się tego typu sprawami o wiele dłużej niż trzy lata. A odpowiadając na zadane wcześniej pytanie: to, co napisali w gazecie, to prawda. Nie wiem, czy to był wampir, czy odkurzacz, ale Neal i Jonesa niemal całkowicie opróżniono z krwi.

- Opróżniono? - Więc to nie tylko ogromna utrata krwi, jakiej można by się spodziewać przy takich obrażeniach. - O Boże.

Usłyszała, jak Brandon pije kolejny łyk herbaty.

- W rzeczy samej - zgodził się sucho. - To, oczywiście, zostaje między nami.

- Oczywiście.

- Jeśli to wszystko, co chciałaś wiedzieć...

- Tak. Dziękuję, Brandonie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Victorio.

Zamarła ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, rozważając wnioski, póki w telefonie nie odezwał się sygnał, wyrывая ją z zamyślenia i bezczelnie przypominając, że się nie rozłączyła.

- Opróżnieni z krwi - powtórzyła. - Cholera. -Zastanawiała się, do jakich wniosków doszli prowadzący śledztwo. „Nie, bądź ze sobą szczerą. Zastanawiasz się, do jakich wniosków doszedł Mike Celluci”. Cóż, nie zamierzała dzwonić, żeby się dowiedzieć. Ale to dobry temat do dyskusji dla przyjaciół z których jeden wciąż był policjantem, a drugi był nim kiedyś. „Tyle że Mike na pewno powiedziałby coś nieprzyjemnego, zwłaszcza jeśli uważa, że korzystam z tej sprawy, by kręcić się wokół zębów policyjnej władzy”. Czy tak właśnie było? Rozmyślała nad tym, słuchając, jak trzyletnie dziecko z mieszkania piętro wyżej biega w tę i z powrotem, w tę i z powrotem po dużym pokoju. To był uspokajający dźwięk, z rodzaju tych upewniających słuchacza, że ze światem wszystko w porządku. Skupiła się więc na staccato małych kroków, zmuszając umysł do pracy, a nie do pogrążania się w żalu, na czym spędziła większość z ostatnich ośmiu miesięcy.

Nie, uznała w końcu, nie korzystała z tych śmierci, żeby uchwycić się czegoś, z czego musiała zrezygnować. Była po prostu ciekawa i już. Ciekawa tak, jak ktokolwiek inny w podobnych okolicznościach, z tą różnicą, że ona mogła swoją ciekawość zaspokoić.

- A jeśli Celluci tego nie zrozumie - mruknęła pod nosem, wybierając numer - może to sobie zwinąć w rulon i wsadzić w... Dzień dobry, poproszę z Mikiem Cellucim. Tak, zaczekam. - Wsunęła słuchawkę pod brodę i spróbowała zerwać papierek z bardzo starej paczki dropsów. „Któregoś dnia powiem: nie, nie zaczekam”, postanowiła. „I wprawię czyjąś sekretarkę w stan hysterii”. - Celluci, słucham.

- Cześć, tu Vicki.

- Aaa... Więc? - Nie wydawał się uszczęśliwiony tym telefonem. - Skomplikujesz mi życie kolejnym trupem czy dzwonisz towarzysko o... - podczas pauzy, którą zrobił, by spojrzeć na zegarek, Vicki zerknęła na swój - o dziewiątej dwie...

- Ósmej pięćdziesiąt osiem. Zignorował ją.

- ...w czwartek rano?

- Żadnych trupów, Celluci. Po prostu byłam ciekawa, jak tam śledztwo.

- To policyjne dane, Vicki, a na wypadek gdybyś zapomniała: już nie jesteś gliną.

Uwaga zabolęła, ale nie tak bardzo, jak Vicki oczekiwała. Cóż, do tanga trzeba dwojga.

- Zabrnęliście w ślepią uliczkę, co? Całkowita blokada? - Zaszeleściła gazetą na tyle głośno, żeby mógł to usłyszeć. - Prasa wydaje się mieć już wyjaśnienie.

Potrząsając głową, odsunęła słuchawkę od ucha, by nie ogłuchnąć od wyrażanych głośno opinii o pewnych dziennikarzach, ich przodkach i potomkach. Uśmiechnęła się szeroko. Sprawiało jej to frajdę, i to jaką.

- Niezłe zagranie, Mike, ale zadzwoniłam do biura koronera. Informacje zawarte w artykule są prawdziwe.

- Więc skoro już tyle wiesz, może po prostu przeczytam ci przez telefon mój raport? Albo przyślę kogoś z kopią akt i na pewno przy pomocy swojego

zestawu Miss Marple dla małych detektywów rozwiązesz sprawę przed lunchem?

- A czemu nie mielibyśmy porozmawiać o tym przy kolacji, jak na inteligentnych ludzi przystało? - „Przy kolacji? Boże, ja to powiedziałam?”

- Przy kolacji?

No cóż, powiedziało się A, trzeba powiedzieć B, jak mawiała babcia.

- Tak, przy kolacji Wiesz, to kiedy siadasz sobie wieczorem i wkładasz jedzenie do ust.

- A, przy kolacji. Czemu od razu tak nie mówiłaś? - W jego głosie słychać było uśmiech. W odpowiedzi kąciki ust Vicki powędrowały w górę. Mike Celluci był jedynym mężczyzną, jakiego spotkała, którego humory zmieniały się tak szybko jak jej własne. Może właśnie dlatego... -Ty stawiasz? - Był też, krótko mówiąc, koszmarnym sknerą.

- Dobra. Potraktuję to jako wydatek służbowy. Konsultacje z najlepszymi tego miasta.

Prychnął.

- Potrwało, zanim to wreszcie do ciebie dotarło. Będę około siódmej.

- Będę czekała.

Rozłączyła się, poprawiła okulary i zaczęła się zastanawiać, co właściwie zrobiła. Kiedy rozmawiali - „czy raczej kiedy oddawaliśmy się mentalnemu sparringowi, który w naszym wypadku zastępuje rozmowę” - wydawało się, że ostatnie osiem miesięcy i wcześniejsze klótnie nigdy nie miały miejsca. Albo może po prostu ich przyjaźń była na tyle silna, że dało się ją ciągnąć dalej bezpośrednio z miejsca, w którym została zerwana. Albo może - ale tylko może - wreszcie udało jej się zapanować nad własnym życiem.

- Mam nadzieję, że nie porywam się z motyką na słońce - powiedziała pustemu mieszkaniu.

ROZDZIAŁ 3

Chcąc uniknąć zmiążdżenia wypchanym plecakiem, Norman Birdwell uchylił się, zatoczył prosto na postawnego młodego mężczyznę w skórzanej kurtce Uniwersytetu York i odkrył, że wciąż stoi na korytarzu obok sali wykładowej. Chwycił mocniej aktówkę, wyprostował wąskie barki i spróbował ponownie. Zawsze był zdania, że studenci, którzy wychodzili, powinni poruszać się w równych rzędach przez lewe skrzydło podwójnych drzwi, aby ci wchodzący wcześniej na kolejne zajęcia mogli bez problemu iść prawą stroną.

Prześlizgując się obok dwóch dziewczyn, które nieświadome jego obecności kontynuowały omawianie kwestii seksistowskiej niesprawiedliwości kontroli urodzin oraz suszarek do włosów, Norman dostał się do sali i zaczął szukać sobie miejsca.

Lubił przychodzić wcześniej, wtedy mógł zająć krzesło pośrodku trzeciego rzędu - jego szczęśliwe miejsce od dnia, kiedy siedząc na nim, idealnie napisał test. Wybrał ten wieczorny kurs socjologii, bo podsłuchał, jak dwóch facetów w stołówce mówiło, że to świetny sposób na poznanie dziewczyn. Na razie nie miał szczęścia. Poprawiając nowy skórzany krawat, zastanowił się, czy nie lepiej było kupić kurtkę.

Kiedy wciskał się na miejsce, jego aktówka zaklinowała się między dwoma krzesłami w poprzednim rzędzie i wypadła mu z ręki. Schylił się, by ją podnieść, i wtedy z trzymanego w kieszeni futerału wysunął się automatyczny ołówek i potoczył w cień.

- Kurwa - syknął, padając na kolana. Ostatnio eksperymentował z wulgaryzmami w nadziei, że dzięki temu będzie brzmiał bardziej macho. Bez widocznych oznak powodzenia.

Krażyły legendy o tym, co się czai pod siedzeniami

sal wykładowych Uniwersytetu York, ale poza swoim ołówkiem - który miał dopiero od niedzielnego wieczoru i którego nie chciał zgubić - Norman znalazł tylko schludnie zwinięty egzemplarz środowego wydania brukowca. Wsadzając ołówek z powrotem na miejsce, rozłożył gazetę. Wiedział, że profesor się spóźni, może nawet kwadrans, miał więc dużo czasu na przeczytanie komiksów.

WAMPIR PRZEŚLADUJE MIASTO Trzęsącymi się rękoma rozłożył gazetę, żeby przeczytać artykuł.

- Spójrz na Birdwella. - Napakowany chłopak szturchnął kolegę. - Błady jak upiór!

Rozmasowując posiniaczone żebra, ofiara jego przyjacielskiej subtelności zerknęła w dół na samotną postać w trzecim rzędzie.

- Skąd wiesz? - burknął. - Upiór czy dziwak, w sumie wychodzi na to samo. - Nie wiedziałem -

Norman wyszeptał do czar-nych liter. - Przysięgam na Boga, nie wiedziałem, o nie moja wina. On...

nie: to powiedziało, że musi się pożywiać. Norman nie pytał gdzie ani jak. Może, przyznał teraz przed sobą, nie chciał wiedzieć. „Nie pozwól, by

któs cię zobaczył", to było jego jedyne zalecenie. Wytarł odbicie dźwięku z wilgotnych dłoni, uniósł je w górę, umazane i drżące, i przysięgnął: - Nigdy więcej, obiecuję, nigdy więcej.

Gong oznajmił, że kolejne zamówienie w „Pekińskiej Kaczcze" zostało zrealizowane. Kiedy dźwięk wibrował przez całą restaurację, tworząc łagodny podkład dla rozmów prowadzonych w co najmniej trzech różnych językach, Vicki uniosła do ust łyżkę pełną słodko-kwaśnej zupy i spojrzała badawczo na Mike'a Celluciego. Przez pierwsze pół godziny tego wieczoru był niemal czarujący, a ona już prawie nie mogła tego znieść.

Przełknęła i rzuciła mu swój najlepszy uśmiech pod tytułem „nie wciskaj mi kitu, koleś, bo zaraz się za ciebie zabiorę"

- Więc jak, dalej trzymasz się tej idiotycznej teorii z anielskim pyłem i szponami Freddy'ego Kruegera?

Celluci zerknął na zegarek.

- Trzydzieści dwie minuty i siedemnaście sekund. - Pokręcił smętnie głową, aż kosmyk brzo wych włosów spadł mu na czoło. - Założyłem się z Dave'em, że nie wytrzymasz nawet pół godziny.

Przez ciebie właśnie straciłem pięć dolców. Tak się nie robi.

- Przestań narzekać. - Upolowała leżący na skraju miski kawałek zielonej cebuli. - W końcu to ja płacę za obiad. A teraz odpowiedz mi na pytanie.

- Myślałem, że zależało ci na moim towarzystwie.

Nie znosiła, kiedy robił się sarkastyczny. Fakt, że nie miała okazji tego wysłuchiwać przez osiem miesięcy, nie zmniejszył jej niechęci.

- Zawlokę to twoje towarzystwo za uszy do kuchni, jak mi nie odpowiesz.

- Do diabła, Vicki. - Jego łyżka z brzękiem wpadła do spodka. - Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać podczas posiłku?

Jedzenie nie miało z tym nic wspólnego. Każdą sprawę, jaką prowadzili, czy to razem, czy osobno, omawiali przy posiłkach. Vicki odsunęła na bok pustą miskę i splotła palce. Całkiem możliwe, że teraz, kiedy już nie służyła w policji, Celluci nie będzie z nią rozmawiał o zabójstwach. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Jeśli spojrzysz mi prosto w oczy - powiedziała cicho - i powiesz, że nie chcesz o tym ze mną rozmawiać, odpuszczę.

W zasadzie zdawał sobie sprawę, że właśnie to powinien zrobić: spojrzeć jej prosto w oczy i powiedzieć, że nie chce z nią o tym rozmawiać. Biuro miało określone poglądy na temat śledczych, którzy nie umieli milczeć. Ale Vicki należała do najlepszych - trzy przyspieszone awanse i na dodatek dwie publiczne pochwały, a co ważniejsze - lista rozwiązanych przez nią spraw była niemal najdłuższa w wydziale. Uczciwość kazała Celluciemu przyznać, choć tylko w duchu, że statystycznie jej wyniki dorównywały jego, mimo że miał o trzy lata dłuższy staż. „Czy mogę odrzucić taką pomoc?” zastanawiał się w przedłużającej się ciszy. „Czy mogę nie skorzystać z takich zdolności i umiejętności tylko dlatego, że ich posiadaczka stała się cywilem?” Na czas podejmowania decyzji starał się wyłączać osobiste uczucia.

- Dobra, geniuszu, masz lepszą teorię niż anielski pył i szpony? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

- Trudno wymyślić gorszą - prychnęła, odchylając się, by kelnerka mogła zamienić puste miski na parujące, pełne talerze. Wdzięczna za tę okazję, by zebrać się w sobie, Vicki zaczęła się bawić palczkami, mając nadzieję, że Celluci nie zdaje sobie sprawy, ile to dla niej znaczy. Sama nie zdawała sobie z tego sprawy, póki jej serce nie podskoczyło, gdy odpowiedział, a ta część jej, która zdawała się umrzeć, kiedy opuściła służbę, zaczęła powoli wracać do życia. Wiedziała, że jej reakcja była niedostrzegalna dla postronnego obserwatora, ale Mike Celluci nim nie był.

„Boże, niech pomyśli, że tylko on na tym wszystkim korzysta. Nie pozwól, by się zorientował, jak bardzo ja tego potrzebuję”.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu wyglądało na to, że została wysłuchana.

- Jakiś lepszy pomysł? - zapytał bezpośrednio

Mike, kiedy byli już sami ze swoim posiłkiem.

Jeśli zauważył jej ulgę, nie dał nic po sobie poznać, a Vicki to wystarczyło.

- Trudno snuć hipotezy, nie mając wszystkich informacji - odparowała.

Uśmiechnął się, a do niej dotarło, nie po raz pierwszy zresztą, czemu świadkowie obu płci niemal zawsze chętnie się przed nim otwierali.

- Hipoteza. Trudne słowo. Znowu rozwiązywałaś krzyżówki?

- Tak, w chwilach wolnych od tropienia międzynarodowej szajki złodziei diamentów. Wyrzuc to wreszcie z siebie, Celluci.

Na drugim miejscu zbrodni znaleziono jeszcze mniej śladów niż na pierwszym. Żadnych odcisków palców poza należącymi do ofiary, żadnych tropów, nikt nie widział, jak zabójca wchodzi albo wychodzi z podziemnego garażu.

- A wszystko miało już kilka godzin, kiedy tam przyjechaliśmy...

- Mówiłeś, że smuga krwi w metrze prowadziła do wnęki?

Pokiwał głową, wybierając groszek na ofiarę swojego ponurego spojrzenia.

- W środku krew na całej ścianie. Ślad prowadził do wnęki, ale nic z niej nie wychodziło.

- A za ścianą?

- Myślisz o sekretnym przejściu? Lekko stropiona, skinęła głową.

- Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, chętnie bym zaakceptował to wyjaśnienie. - Pokręcił energicznie głową, a kosmyk znowu opadł mu na czoło. - Nic poza błotem i kurzem. Sprawdziliśmy. Chociaż DeVerne'a Jonesa znaleziono z kawałkiem urwanej skóry w zaciśniętej dłoni, kurz i błoto były w zasadzie wszystkim, co odkryli przy trzecim morderstwie. Wszędzie tylko brud i jakiś włóczęga mamroczący coś o apokalipsie.

- Chwila. - Vicki zmarszczyła brwi w namyśle, potem poprawiła opadające okulary. - Czy ten stary ruszek w metrze też nie mówił o apokalipsie?

- Nie. O Armagedonie. - Jedno i to samo.

Celluci westchnął przesadnie głęboko.

- Próbujesz mi powiedzieć, że poszukujemy nie jednego człowieka, tylko czterech, w dodatku na koniach? Dzięki. Bardzo nam pomogłaś.

- Podejrzewam, że szukałeś jakiegoś związku między ofiarami? Czegoś, na czym można by oprzeć motyw?

- Motyw! - Walnął się dłonią w czoło. - Czemuż ja o tym nie pomyślałem?

Wbijając widelec w grzybka, Vicki mruknęła:

- Dupek.

- Nie. Żadnych związków, żadnego widocznego motywu. Wciąż czegoś szukamy. - Wzruszył ramio-

nami, wyrażając w ten sposób opinię, co jego zdaniem te poszukiwania mogą przynieść.

- Kultury?

- Vicki, w ciągu kilku dni gadałem z większą liczbą dziwaków i świrów niż przez ostatnie parę lat - wyszczerzył się szeroko. - Nie licząc obecnego towarzystwa, rzecz jasna.

Już prawie dochodzili do jej mieszkania - Vicki z dłonią na ramieniu Mike'a, by mógł ją prowadzić przez ciemność - kiedy zapytała:

- Wzięłeś pod uwagę, że w tej teorii o wampirze może coś być?

Potknęła się o własne obcasy, kiedy wybuchł śmiechem.

- Celluci, ja mówię poważnie.

- Nie, to ja się śmieję poważnie. Ty zwariowałaś. - Podciągnął ją z powrotem na schodek, na którym stał. - Wampiry nie istnieją.

- Jesteś pewien? Są na tym świecie rzeczy...

- Tylko nie cytuj Szekspira - ostrzegł. - Tyle razy mi to ostatnio powtarzano, że brutalność policji zaczyna się wydawać cholernie dobrym pomysłem.

Skręcili na chodnik prowadzący do bloku Vicki.

- Ale przyznasz, że wampir pasowałby idealnie. - Nie wierzyła w wampiry ani odrobinę bardziej niż on, ale tak łatwo było grać mu na nerwach...

Prychnął.

- Jasne. Coś się szlaja w smokingu po mieście i powtarza: „Chcę pić tfoją khéf”.

- Masz lepszego podejrzanego?

- Jasne. Wielkiego faceta naćpanego anielskim pyłem i z doczepianymi szponami.

- Nie zamierzasz chyba trzymać się tej głupiej teorii.

- Głupiej?

- Tak, głupiej.

- Nie poznałabyś logicznego wyciągania wniosków, nawet gdyby cię ugryzło w tyłek!

- Przynajmniej nie jestem tak zaślepiona własną inteligencją, że nie dostrzegam innych możliwości!

- Innych możliwości? Ty nie masz pojęcia, co się dzieje!

- Ty też!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, dysząc ciężko, aż w końcu Vicki poprawiła okulary i sięgnęła po klucze.

- Zostajesz na noc?

Zabrzmiało to jak wyzwanie. - Zostaję. I zostałam.

Jakiś czas później, kiedy Vicki wygięła się, by dosięgnąć wyjątkowo wrażliwego miejsca, i uzyskała oczekiwany efekt, stwierdziła, że w niektórych okolicznościach nie trzeba widzieć, co się robi, a nocna ślepotą nie ma znaczenia.

Kapitan Raymond Roxborough spojrział na smukłego, drżącego ze strachu chłopca okrętowego. Fakt, że względu na wzburzone czarne loki i szafirowe oczy uznawał Smitha za wyjątkowo urodziwego, ale ani przez chwilę nie pomyślał, że chłopiec może wcale nie być chłopcem. Chociaż, jak musiał przyznać, poczuł ulgę, mając na uwadze problematyczne uczucia, które go ostatnio nękały.

- Sądzę, że zechcesz udzielić mi wyjaśnień - powiedział przeciągle, opierając się o drzwi kabiny i składając ogorzale od słońca ramiona na umięśnionej klatce piersiowej.

Młoda dziewczyna, niemogąca mieć więcej niż siedemnaście lat, przytrzymała kurczowo bawelnianą koszulę na białych krągłościach piersi, które ją zdradziły, a drugą ręką odsunęła z twarzy wilgotne loki - kolejną pozostałość po przerwanej kąpieli.

- Musiałam dostać się na Jamajkę - oznajmiła dumnie, choć w jej głosie slychać było delikatne drżenie a to jedyny sposób, jaki znalazłam.

- Mogłaś zapłacić za podróż - zasugerował chłodno kapitan, a jego pełne uznania spojrzenie wędrowało po delikatnej krzywiznie jej ramion.

- Nie miałam czym.

Wyprostował się i z uśmiechem zrobił krok naprzód.

- Chyba nie doceniasz własnych wdzięków.

- Dalej, Smith, kopnij go prosto w nabrzmiące pożądanie. - Henry Fitzroy odchylił się na krześle i potarł mocno skronie. Jak wielkiego drania chciał zrobić z kapitanem Roxborougha? Czy lepsza część jego osobowości powinna przewyciężyć rozszałałą żądzę? Czy on w ogóle miał lepszą część osobowości? I jaki byłby z niego bohater książki, gdyby jej nie miał?

- Szczerze mówiąc, moja droga - westchnął - nic mnie to nie obchodzi. - Zapisał efekty nocnej pracy i wyłączył komputer. Zwykle tworzenie pierwszych rozdziałów, poznawanie postaci, kształtowanie ich tak, żeby pasowały do fabuły, sprawiało mu przyjemność, ale tym razem...

Odsunął krzesło od biurka i spojrzał przez okno gabinetu na śpiące miasto. Gdzieś tam, ukryty w mroku, czał się łowca - zaślepiony, oszalały, targany żądzą krwi i głodem. Henry przysięgł, że go powstrzyma, ale nie miał pojęcia, od czego zacząć. Jak przewidzieć, gdzie dojdzie do przypadkowej rzezi?

Westchnął ponownie i wstał. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie doszło do zabójstwa, może problem sam się rozwiązał? Henry sięgnął po płaszcz i wyszedł z mieszkania.

„Poranne gazety powinny już wyjść, kupię jedną...” Czekając na windę, zerknął na zegarek. 6:10. O wiele później, niż sądził... „Mam nadzieję, że uda mi się wrócić bez stawania w ogniu”. Słońce wschodziło, o ile dobrze pamiętał, około 6:30. Nie zostało mu wiele czasu, ale musiał wiedzieć, czy doszło do kolejnego morderstwa, na wypadek gdyby kompletnie irracjonalne poczucie winy, jakim się obarczał, bo nie znalazł i nie powstrzymał dziecka, Zrobiło się jeszcze większe.

Dziennik krajowy można było kupić w budce tuż obok budynku, w którym mieszkał Henry. Nagłówek skupiał się na przemowie o stosunkach Północy z Południem, jaką premier wygłosił na Filipinach.

- Założę się, że przynajmniej do połowy maja będzie pracował na Południu - stwierdził Fitzroy, podciągając kołnierz płaszcza bliżej szyi, gdy zimny wiatr powiał zza budynku i wycisnął mu łzy z oczu. Najbliższa budka z brukowcami stała na drugim końcu przecznicy, po przeciwnej stronie ulicy. Nie było potrzeby szukać innej gazety z lokalnymi wiadomościami, ale Henry wierzył głęboko w nagłówki tabloidów. Zaczekał na światłach, aż przez Bloor Street przetoczy się stalowa awangarda porannego ruchu, i przeszedł na drugą stronę, owijając się szczelnie płaszczem, żeby utrzymać ciepło.

TRAGICZNA PORAZKA LEAFSÓW

Tragedia, jeśli chodzi o rozgrywki, ale nie tragedia, jakiej obawiał się Henry. Z poczuciem głębokiej ulgi podszytej odrobiną złości - w końcu Leafs byli w najgorszej dywizji NHL - wcisnął gazetę pod pachę, odwrócił się i uświadomił sobie, że słońce zaraz pojawi się na horyzoncie.

Czuł, jak wschód drży na granicy świata, i z całej siły starał się nie panikować.

Winda, czerwone światło, nagłówki - to wszystko zabrało mu więcej czasu, niż powinno. Nieważne, jak mógł do czegoś takiego dopuścić, mając czterysta pięćdziesiąt lat doświadczenia w unikaniu słońca. Liczył tylko powrót do bezpiecznego mieszkania. Podświadomie czuł już żar słońca, jeszcze nie fizyczny, choć to się wkrótce miało zmienić, ale świadomość zagrożenia, tego, jak blisko była śmierć.

Światło na przejściu znowu zrobiło się czerwone, małe drwiące słoneczko zamknięte w pudełku. Podczas gdy serce biciem odmierzało czas. Henry rzucił się przez ulicę. Pisnęły hamulce i gwałtownie uniesiony przez hamowanie przód vana otarł jego udo. Wampir zignorował gwałtowny ból i przekleństwa kierowcy, oparł się o maskę samochodu i przecisnął przez szczelinę niewiele szerszą od jego ciała.

Niebo stało się szare, potem różowe, a wreszcie złote.

Podeszwy skórzanych butów donośnie uderzały o chodnik, kiedy Henry pędził, kryjąc się w cieniu, który już pożerało słońce. Niemal deptało wampirovi po piętach. Panika walczyła w nim z otępieniem, jakie na jego rodzaj sprowadzało światło dnia, ale to panika wygrała. Dopadł prowadzących do budynku drzwi z matowego szkła sekundy przed słońcem.

Dotarł do wierzchu jego dłoni, zbyt wolno wciągniętej w bezpieczne miejsce.

Przyciskając ją do klatki piersiowej, Henry wykorzystał ból, by zmusić się do pójścia w stronę windy.

Chociaż rozproszone światło padające przez szybę już nie parzyło, wciąż nie był bezpieczny.

- Wszystko w porządku, panie Fitzroy? - zatroszczył się ochroniarz, otwierając przyciskiem wewnętrzne drzwi.

Niezdolny do skoncentrowania się, Henry zmusił własną głowę, by odwróciła się w stronę ochroniarza.

- Migrena - wyszeptał i chwiejnym krokiem wszedł do windy.

Sztuczne światło ocuciło go trochę, mógł więc iść korytarzem, tylko częściowo opierając się o ścianę.

- Vicki, proszę!

Drgnęła. Wizyta u okulisty nigdy nie wprawiała jej w dobry nastrój, a całe to skupianie raz lewego, raz prawego oka przyprawiało ją o porządny ból głowy.

- Co? - warknęła przez zaciśnięte zęby, których

Przez chwilę bał się, że nie będzie w stanie użyć klucza, ale jakoś otworzył ciężkie drzwi, zamknął je i zasunął zamki. Tu było bezpiecznie.

Bezpiecznie. To słowo zaniósło go do sypialni, gdzie grube rolety odmawiały wstępu słońcu. Zachwiał się, westchnął i wreszcie się rozluźnił, padając na łóżko i pozwalając dniowi zapanować nad sobą. go, raz prawego oka przyprawiało ją o porządny ból głowy.

- Co? - warknęła przez zaciśnięte zęby, których zgrzytanie tylko przez przypadek było spowodowane

podpórką pod brodę.

- Patrzysz wprost na obraz testowy. - No i?

Doktor Anderson westchnęła i z cierpliwością zdobytą dzięki wychowywaniu dwójki dzieci wyjaśniła, nie po raz pierwszy zresztą, tonem uspokajającym, lecz zdystansowanym:

- Patrzeć prosto na obraz testowy zaburza wyniki testu. Będziemy musiały zacząć wszystko od nowa.

I zaczną. I jeszcze raz, i jeszcze, ile będzie trzeba. Zaciskając usta, żeby nie wypuścić czającej się za nimi ostrej uwagi, Vicki postarała się współpracować.

- I co? - ponagliła, kiedy doktor Anderson wyłączyła światelko na perymetrze obwodu i dała jej znak, że może podnieść głowę.

- Nie pogorszyło się...

Vicki odchyliła się do tyłu, spoglądając prosto w twarz lekarki.

- A polepszyło? - zapytała wprost.

Tym razem doktor Anderson nie starała się ukryć westchnienia.

- Vicki, jak ci już wcześniej mówiłam, zwyrodnienie barwnikowe siatkówki się nie polepsza. Nigdy. Może się tylko pogorszyć. Albo - przesunęła perymetr z powrotem pod ścianę - jeśli będziesz miała dużo szczęścia, zmiany w pewnym momencie się zatrzymają i nie będą dalej postępować.

- Doszłam już do tego momentu?

- Czas pokaże. I tak masz dużo szczęścia - ciągnęła, podnosząc dłoń i ubiegając kolejną uwagę Vi-cki.

- W wielu przypadkach ta choroba współwystępuje z innymi zwyrodnieniami układu nerwowego.

- Głuchotą, lekkim obniżeniem poziomu rozwoju intelektualnego, przedwczesnym otępieniem starczym i otyłością - wyliczyła pogardliwie Vicki. - Rozmawialiśmy na ten temat na samym początku i nie ma to najmniejszego wpływu na fakt, że praktycznie nie widzę w nocy, moje obwodowe pole widzenia zmniejszyło się o dwadzieścia pięć stopni i niemal w jednej chwili stałam się krótkowidzem.

- I tak mogło do tego dojść. Vicki poprawiła opadające okulary.

- Pociuszające. Kiedy oślepnę?

Paznokcie prawej dłoni doktor Anderson wbijały się coraz mocniej w bloczek z receptami. „Nie pozwól sobie na zgorzknienie”.

- Możesz nigdy nie oślepnąć i mimo wszystko twój wzrok nadaje się do użytku.

- Owszem, nadaje się do użytku - warknęła Vi-cki, wstając i sięgając po płaszcz - jak to pani ujęła, ale musiałam zostawić pracę, którą kochałam i która sprawiała, że bagno, jakim staje się nasze miasto, zmieniało się na lepsze. Skoro pani nie widzi problemu, dziękuję, wolę zgorzknieć. - Nie do końca trzasnęła drzwiami, kiedy wychodziła.

- Co się stało, kochaneczko? Nie wyglądasz na zadowoloną.

- To nie był dobry dzień, pani Kopolous.

Starsza pani zaklaskała i pokręciła głową nad ogromną paczką chipsów serowych, którą Vicki położyła na ladzie.

- Widzę, widzę. Powinnaś jeść prawdziwą żywność, moja droga, jeśli chcesz poczuć się lepiej. To nie jest zdrowe. I barwi palce na pomarańczowo.

Vicki zebrała wydaną resztę i wrzuciła ją prosto do torebki. Jeszcze trochę i będzie musiała coś zrobić ze stale zwiększającą się brzęczącą fortuną, która się tam przewalała.

- Pani Kopalous, są chwile, kiedy pomoc może tylko śmieciowe żarcie.

Ledwo weszła do mieszkania, rozdzwonił się telefon. - Co jest?

- W twoim głosie brzmia dzwoneczki, które sprawiają, że cały ten paskudny dzień nagle odzyskuje sens.

- To weź ten sens i sobie wsadź, Celluci. - Vicki przytrzymała słuchawkę brodą i spróbowała wyplatać się z płaszcza. - Czego chcesz?

- O, wygląda na to, że ktoś założył dziś buty na odwrot.

Wbrew sobie Vicki się uśmiechnęła. Zawsze się uśmiechała, kiedy to mówił. I on o tym wiedział.

- Nie, nie założyłam, o czym doskonale wiesz przypomniawszy mi, przysuwając sobie krzesło do biurka. - Ale właśnie wróciłam od okulisty. - Aha. - Mogła sobie wyobrazić, jak odchyła się teraz na krzesło, z nogami opartymi na biurku. Każdy zwierznik, jakiego miał, usiłował go tego oduczyc, ale z marnymi skutkami. - Straszliwy lekarz od oczu. Polepszyło się?

Gdyby w jego głosie było współczucie, cisnęłaby słuchawką przez całą długość pokoju, ale Mike wydawał się tylko zainteresowany.

- To się nigdy nie polepszy, Celluci.

- No nie wiem. Czytałem gdzieś, że duże dawki witamin A i E mogą poszerzyć pole widzenia i zwiększyć zdolność adaptacji do ciemności - za-cytował.

Vicki nie mogła zdecydować, czy się wzruszyć, czy wściec, że sięgnął do źródeł. Ale biorąc pod uwagę jej nastrój...

- Skoro już marnujesz czas, przynajmniej czytaj uważniej. Tylko zwyrodnienie barwnikowe siatkówki z abetalipoproteinemią jest podatne na efekty biochemiczne - nie tylko on sięgnął do źródeł - a to nie ta odmiana, którą mam.

- Abetalipoproteinemia - poprawił. - I wybaczyć, że się zainteresowałem. Wyczytałem też, że całkiem spora grupa chorych na to, co ty, prowadzi normalne życie - przerwał i wziął łyk czegoś, co na pewno było zimną kawą. - Nie żebyś ty - ciągnął z lekką nutką sarkazmu w głosie - kiedykolwiek prowadziła coś, co można określić jako normalne życie.

Zignorowała ostatnią uwagę. Sięgnęła po czarny flamaster i zajęła się przerabianiem frustracji na mazaje na rachunku za kartę kredytową.

- Prowadzę absolutnie normalne życie - warknęła.

- Uciekając i chowając się? - Nie był sarkastyczny, ale niewiele mu brakowało. - Mogłaś zostać na służbie...

- Wiedziałam, że do tego dojdziemy - wydusiła przez zaciśnięte zęby, ale dalszą część tyrady uciał wściekły głos Mike'a Celluciego, a gorycz, jaka w nim rozbrzmiewała, kazała jej się zamknąć.

- ...ale nie, ty nie mogłaś znieść myśli, że już nie będziesz asem śledczym, jasnowłosą dziewczyną znającą wszystkie odpowiedzi, że nie będziesz już częścią tego zespołu. Odeszłaś, bo nie mogłaś znieść

myśli, że nie zostaniesz na szczycie, a skoro na nim nie zostałeś, skoro nie mogłaś zostać, zabrałaś zabawki z piaskownicy! Uciekłaś. Zabrałaś łopatkę, wiaderko i po prostu, kurwa, odeszłaś! Ode mnie, Nelson, nie tylko ze służby!

To właśnie chciał jej powiedzieć podczas wszystkich kłótni, tych po diagnozie i po tym, jak zrezygnowała z pracy w policji. O to chodziło w nieskończonych sprzeczkach, krzykach, trzaskaniu drzwiami. Vicki o tym wiedziała, wiedziała, że coś się pod tym wszystkim kryje, nie mogła tylko dostrzec co. A chodziło dokładnie o to ostatnie zdanie. To było to.

- Zrobiłbyś to samo, Celluci - powiedziała cicho i chociaż zaciskała dłoń na słuchawce tak mocno, że aż bolało, delikatnie ją odłożyła. A potem cisnęła trzymanym w drugiej ręce flamastrem przez całą długość pokoju.

Cały jej gniew odleciał razem z nim.

„Naprawdę mu na tobie zależy, Vicki. Więc w czym problem.”

„Bo kochanka łatwo znaleźć, a przyjaciela, z którym można konie kraść, o wiele trudniej”.

Przeczesała włosy dłońmi i westchnęła. Miał rację i ona mu ją przyznała. Kiedy tylko do niego dotrze, że ona też ma rację, mogą spróbować wszystko odbudować. Chyba że, dotarło do niej nagle, ostatnia noc miała być pożegnaniem, które pozwoliło mu ruszyć dalej.

„Jeśli tak”, poprawiła okulary, „przynajmniej ja miałam ostatnie słowo”. Ale jak zwykle w takich sytuacjach bywało, to było marne pocieszenie.

- No proszę, czy to nie nasz kumpel Norman? Co słyhać, Norman? Nie masz nic przeciwko temu, że się dosiadziemy? - Nie czekając na odpowiedź, młody mężczyzna odsunął krzesło i usiadł. Jego czteroosobowe towarzystwo zrobiło to samo.

Kiedy skończyło się szuranie krzesłami i przepychanie, Norman odkrył, że siedzi wciśnięty między szerokie bary dwóch facetów, których znał tylko jako Rogera i Billa, i wszyscy gapią się na trzy dziewczyny po drugiej stronie stołu. Rozpoznał blondynkę - zwykle widywał ją uwieszoną na ramieniu Rogera, a sądząc po tym, jak dziewczyna obok Billa odnosiła się do niego, oni również stanowili parę. Czyli jedna była nadprogramowa. Uśmiechnął się do niej przyjacielsko. Ćwiczył ten uśmiech przed lustrem w łazience.

Wyglądała na zaskoczoną. Prychnęła i odwróciła się.

- To naprawdę miło ze strony Normana, że zajął dla nas stolik, prawda, Bill?

- Jasne. - Bill przysunął się bliżej i Birdwell musiał walczyć o oddech, bo zrobiło się jeszcze ciasniej. - Gdyby nie on, musielibyśmy siedzieć na podłodze.

Norman rozejrzał się. W „Kogucie i Byku” było tłoczno, jak zwykle w piątkowe wieczory.

- Cóż... ja... - wzruszył ramionami - wiedziałem, że przyjdziecie.

- Jasne. - Bill uśmiechnął się szeroko. Trochę peszył go fakt, że, jak się okazało, ten kujon Birdwell był co najmniej jego wzrostu. - Właśnie mówiłem Rogerowi, tuż zanim weszliśmy, że to nie byłaby porządna piątkowa noc, gdybyśmy nie spędzili jej z Normanem.

Roger roześmiał się głośno, a wszystkie trzy dziewczyny uśmiechnęły. Norman nie załapał żartu, ale napawał się uwagą, jaką mu poświęcano.

Postawił pierwszą kolejkę,

- W końcu to mój stółik.
- Jedyny wolny w całym lokalu - mruknęła blondynka,
Za drugi kolejkę też zapłacił.
- Bo mam kupę forsy. - Plik dwudziestek, który wyciągnął z kieszeni wiatrówki, pięć tysięcy dolarów w niskich, nieoznaczonych nominałach, był jego trzecim życzeniem i spowodował jednoczesny opad szczęk u wszystkich zgromadzonych przy stoliku.
- Jezu, Norman, skąd tyś to wziął? Obrobiłeś bank?
- Nie musiałem - odparł beztrząsco Norman. - Tam, skąd je wziąłem, jest ich pełno.
Upał się, że postawi też trzecią i czwartą kolejkę i że przejdą na importowane piwo.
- Importowane piwo ma więcej klasy - zwierzył się rękawowi skórzanej kurtki Rogera, bo ucho pozostało poza zasięgiem jego głosu. - Lale na to leca.
- Lale? - w tym powtórzeniu brzmiała groźba.
- Zastanów się, kto to mówi, Helen. - Bill zręcznie zabrał dziewczynie uniesioną już do rzutu szklanke piwa i opróżnił ją. - To by było straszliwe marnotrawstwo.
Cała piątka wybuchła śmiechem i ponownie, nie mając pojęcia, z czego się śmieje, Norman im zawtórował. Nikt nie powie, że odstaje od towarzystwa.
Kiedy zaczęli się podnosić, też wstał. Sala zawirowała. Nigdy wcześniej nie wypił tak szybko czterech piw. Właściwie nigdy wcześniej nie wypił czterech piw.
- Dokąd idziemy?
- My idziemy na prywatne przyjęcie - poinformował Bill, popychając go wielką łapą z powrotem na krzesło.
- A ty tu zostań, Norman. - Roger poklepał go w ramię.
Norman spoglądał raz na jednego, raz na drugiego, oszołomiony. Wychodzili bez niego?
-Jezu, to jak kopnąć szczeniaka - mruknął pod nosem Bill.
Roger pokiwał głową.
- Słuchaj, Norman, tam trzeba mieć zaproszenie. Wzięlibyśmy cię ze sobą, gdybyśmy mogli...
Wychodzili bez niego.
- Ale ona miała być dla mnie - poskarżył się płacząco, wskazując palcem na dziewczynę po przeciwległej stronie stołu.
Zamiast pełnego winy współczucia na ich twarzach pojawił się niesmak i Norman szybko został sam przy stoliku. Spod drzwi doleciał go głos Helen, jakimś cudem słyszalny mimo panującego w pubie gwaru:
- Gdyby nie to, że nienawidzę rzygać, oddałabym mu jego piwo.
Po bezskutecznej próbie przywołania kelnerki Norman wbił ponury wzrok w okrągłe ślady po kufkach na stoliku. Ona miała być dla niego. Wiedział, że tak. Oszukali go. Czubkiem trzęsącego się palca narysował na mokrym blacie pięcioramienną gwiazdę, postanowienie na ten dzień, zanim o nim zapomni. Pokaże im.
Jego żołądek nagle skręcił się alarmująco i Norman z dłonią przy ustach rzucił się w stronę łazienki. „Pokażę im”, postanowił zwieszając głowę nad muszlą, „Ale może... Może nie dziś...”

Henry wręczył młodemu człowiekowi za drzwiami dwudziestkę.
- Dziś coś specjalnego? - Mimo głośnej muzyki nie musiał krzyczeć, żeby zostać usłyszanym, ale co tam, noc była młoda.
- To, co zwykle. - Trzy rolki biletów wyciągnięto z przepastnej lewej kieszeni za dużej marynarki, podczas gdy pieniądze wylądowały w prawej. Wiele nielegalnych nocnych klubów przestawiało się na bilety. Jeśli, a raczej kiedy będą miały nalot, stwierdzą, że nie sprzedawały alkoholu. Tylko bilety.
- W takim razie to, co zwykle.
- Jasne. Dwie modne mineralne. - Para biletów przeszła z ręk do rąk. - Wiesz, Henry, płacisz cholernie drogo za siki z bąbelkami.
Henry uśmiechnął się i zatoczył ręką koło.
- Płacę za atmosferę, Thomas.
- Do dupy z atmosferą - parsknął łagodnie Thomas. - Czekaj, właśnie sobie przypomniałem. Alex ma skrzynkę całkiem przyzwoitego burgunda...
Nie trzeba było tak sonej woli, jaką miał Henry Fitzroy, żeby odmówić
- Dzięki, Thomas, ale nie piję... wina. - Odwrócił się w stronę sali i tylko przez chwilę widział przed sobą zupełnie inne zgromadzenie.
Ubrania - pstrokate aksamity, satyny, koronki - zmieniały salę w błyszczący kalejdoskop kolo-rów. Nie znosił przychodzić do dworu i pojawiał się tam tylko na życzenie ojca. Fałszywa służalczość, ciągły wyścig o pozycję i władzę, pożerająca dusze

walka o utrzymanie równowagi, tak żeby wilk był syty i owca cała - to wszystko przyprawiało młodego księcia Richmond o ból zębów.

Kiedy przechodził przez salon, każda głowa odwracała się w jego stronę, a twarze chowały za identyczną maską pustej radości, pod którą skrywano mieszkankę znudzenia, podejrzliwości i strachu.

Heavymetalowe rytmy Anthraksu przywoływały go z przeszłości. Aksamit i klejnoty rozpląły się, zastąpione przez czarną skórę, pastele i plastik. Te-

raz pusta radość skrywała już tylko nudę. Zdaniem Henry'ego, była to zmiana na lepsze.

„Powiniennem być na ulicy”, pomyślał, zmierzając w stronę baru i łowiąc uchem rozmowy o niedawnych zabójstwach i istotach, którym je przypisano. „Tutaj nie znajdę dziecka...” Ale nie żerowało od wtorku, więc może już przetrwało gorączkę krwi i osiągnęło kolejny etap przemiany. „Ale rodzic...” Jego dłonie zacisnęły się w pięści, prawa - boleśnie naciągając bandaż i ukryte pod nim oparzenia. „Rodzica trzeba znaleźć”. A szukać mógł i tutaj. Dwa razy zdarzyło się, że w mieszkaniu Aleksa wyczuł innego drapieżnika. Wtedy odpuszczał. Zapach krwi tak wielu ludzi sprawiał, że tropienie byłoby stratą czasu. Jeśli kogoś tej nocy wyczuje, nie uzna tego czasu za zmarnowany. W pewnej chwili zauważył, że gdy przechodzi przez tłum, ludzie usuwają mu się z drogi, i natychmiast postarali się zmienić wyraz twarzy. Zebrani tu mężczyźni i kobiety, umalowani i obwieszani drogimi ozdobami, nadal byli na tyle bliscy prymitywizm istotom, by rozpoznać krążącego wśród nich łowcę.

„To już trzeci raz: strażnik, słońce, teraz to. Sam się wystawisz na kołki, jeśli nie będziesz ostrożniejszy, głupcze!” Co się z nim działo?

- Hej, Henry, kopę lat! - Alex, właściciel poddasza, objął Fitzroya długim, nagim ramieniem, wcisnął mu w dłoń otwartą butelkę wody i zręcznie wymanewrował go z okolic baru. - Facet, mam tu kogoś, kto musi się z tobą zobaczyć.

- Ktoś musi się ze mną zobaczyć? - Henry pozwolił, by nim sterowano. Większość ludzi tak się właśnie zachowywała w obecności Aleksa. Opór kosztował zbyt wiele wysiłku. - Kto?

Alex wyszczerzył zęby z wysokości swoich dwóch metrów i mrugnął.

- Pary z gęby nie puszcza. Co z twoją ręką?

Henry zerknął na bandaż. Nawet w przyciemnionym świetle odcinał się mocno od czarnej skóry mankietu.

- Oparzyłem się.

- Facet, oparzenia to paskudna sprawa. Gotowałeś coś?

- Można tak powiedzieć. - Wargi lekko mu drgnęły, choć powtarzał sobie stanowczo, że to wcale nie jest śmieszne.

- Co cię tak bawi?

- Długo by opowiadać. Ale może ty mi coś wyjaśniesz?

- Pytaj, facet, to ci odpowiem.

- Po co ci ten fałszywy jamajski akcent?

- Fałszywy? - głos Aleksa przebił się przez muzykę. Jakieś sześć osób musiało się uchylić, gdy zamachał wolną ręką. - Fałszywy? Facet, w tym nie ma nic fałszywego. Wracam do korzeni.

- Alex, pochodzisz z Halifaksu.

- Zakład, że mam dłuższe korzenie niż ty. - Popchnął go naprzód i rezygnując z akcentu, oznajmił: - Proszę bardzo, krewetka. Zgodnie z zamówieniem.

Kobieta siedząca na schodach do zamkniętej części mieszkania wstała. Była o wiele niższa niż mierzący metr siedemdziesiąt Henry. Wzrost, luźne dzinsy i za duża bluza zupełnie nie pasowały do krótko ściętych platynowych włosów i wyrazu jej twarzy.

Uwalniając się z uścisku Aleksa, Henry wykonał idealny szesnastowieczny ukłon dworski - choć nikt w pokoju nie zdołałby go rozpoznać.

- Isabelle - powiedział uroczyście.

Prychnęła, złapała go za kłapy płaszcza i przycisnęła jego usta do swoich.

Henry ochoczo oddał pocałunek, umiejętnie odsuwając jej język od ostrych końców swoich zębów.

Wcześniej nie był pewien, czy tej nocy będzie się pożywił. Teraz już tak.

- Jeśli wy dwoje macie zamiar zajmować się czymś tak gwałtownie heteroseksualnym w moim domu, to ja sobie idę. - Wyginając ostentacyjnie biodra, Alex zanurzył się w tłumie.

- Znowu zmieni osobowość, zanim dojdzie do drzwi - stwierdził Henry, siadając na schodku. Ich uda dotykały się. Czuł, jak jego głód rośnie.

- Aiex ma więcej masek niż ktokolwiek, kogo znam - zgodziła się Isabelle, sięgając po swoją butelkę z piwem i zerkając na plakietkę.

Henry przesunął palcem po łuku jej brwi. Niemal całkiem je wybielono, żeby pasowały do włosów.

- Wszyscy nosimy maski.

Brew Isabelle uniosła się pod jego palcem.

-Jakie to głębokie. I wszyscy zdejmujemy je o północy?
- Nie. - Nie mógł zapanować nad melancholią w swoim głosie, kiedy zrozumiał, co go ostatnio tak rozpraszało. Od tak dawna, bardzo dawna nie zaufał komuś na tyle, by zwierzyć się, kim jest i jakie są tego konsekwencje. Od tak dawna nie znalazł śmiertelnika, z którym mógłby się związać czymś innym niż krew czy seks. A świadomość, że dziecko powstało właśnie z takiej najgłębszej więzi, jaka może łączyć wampira i śmiertelnika, a potem zostało porzucone, sprawiała, że samotność ciążyła mu jeszcze bardziej.
Poczuł, jak dłoń Isabelle głaszcze go po policzku. Na twarzy kobiety malowało się pełne zaskoczenia współczucie.
Do Henry'ego dotarło, że po raz drugi tej nocy pozwolił swojej masce opaść, i przeklął w duchu. Jeśli szybko nie znajdzie kogoś, kto go zaakceptuje, straci możliwość wyboru, bo zdradzą go żądze, czy tego chce czy nie.
- Więc - z trudem wrócił do rzeczywistości - jak koncert?
- Marzec. Sudbury. - Wzruszyła ramionami. Skoro tak chciał rozmawiać, była gotowa się przystosować. - Więcej nie trzeba mówić.
Jeśli nie możesz dzielić rzeczywistości, są gorsze rzeczy niż dzielenie z kimś maski". Jego wzrok opadł na niemal niewidoczną błękitną linię znikającą pod swetrem Isabelle. Myśl o krwi płynącej tak blisko pod powierzchnią przyspieszyła mu oddech.
Czuł głód, nie pożądanie, ale podejrzewał, że w zasadzie chodzi o jedno i to samo.
- Długo będziesz w mieście?
- Tylko do jutra.
- Zatem nie tracimy czasu, który nam dano. Splotła palce z jego palcami, ostrożnie, ze względu na bandaż, i wstając, pociągnęła go za sobą.
-Już myślałam, że nigdy tego nie powiesz.

Sobotniej nocy, o 11:15, Norman uświadomił sobie, że skończył mu się węgiel do hibachi, japońskiego podgrzewacza, a jedyny sklep w okolicy, gdzie go sprzedawano, był już zamknięty. Rozważył możliwość użycia substytutu i doszedł do wniosku, że lepiej nie zmieniać czegoś, co się sprawdza. Sobotnia noc minęła spokojnie. A niedziela...

- Szlag. Szlag! Szlag!
Pani Kopolous zaklaskała i zmarszczyła brwi. Nie z powodu wulgarności Vicki, jak to się zdarzało, ale nagłówka brukowca, który ta położyła na ladzie:
WAMPIR ZABIJA STUDENTA. Młody chłopak opróżniony z krwi w York Mills

ROZDZIAŁ 4

Dobry Boże, spójrz na starego Normana. - Czemu? - Roger wysunął głowę z szafki i rozejrzał się. Poczuł, jak opada mu szczeka. Dosłownie. - Dobry Bóg nie wiedziałby, na co patrzeć. Żałuję, że Bill tego nie widzi. - A co z nim?
Roger wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od Normana Birdwella, który najwyraźniej dopiero co wyszedł spod krawieckiej igły.
- Nie mam pojęcia. Ale będzie wściekły, że go to ominęło.
Wiedząc, że wszyscy na niego patrzą, Norman zaczął iść z jeszcze większą dumą i godnością, a łańcuch zwisający z jego nowej skórzanej kurtki brzęczał delikatnie u dołu pleców. Zerknął w dół na srebrzyste czubki autentycznych kowbojskich butów i zastanowił się przelotnie, czy nie powinien był zdecydować się też na ostrogi. Nowiutkie czarne dżinsy, ciaśniejsze, niż kiedykolwiek nosił, wydawały całym przyjemny dźwięk, gdy szwy po wewnętrznej stronie nogawek ocierały się o siebie. Pokaże im. Myśleli, że nie jest cool. Myśleli, że jest kujonem, dziwadłem. Cóż, teraz zmienią zdanie. Podbródek Normana powędrował w górę. Chcieli, żeby wszystko było cool? On im pokaże, co to znaczy supercool. Tej nocy miał zamiar poprosić o czerwone porsche. Prowadzić nauczy się później.
- Co to niby ma być?
Roger uśmiechnął się szeroko.
- No i co, cieszysz się, że się bardziej nie spóźniłeś? - Po przyjacielsku szturchnął Billa w zębra. -

Dech zapiera, co?

- Taaa... zwracam się śniadaniem. - Bill oparł się o szafkę i potrząsnął w zdziwieniu głową. - Skąd on ma na to wszystko kasę?

- Zapytaj go.

- Czemu nie... - Bill wyprostował się i zrobił krok od szafki, kiedy Birdwell przechodził.

Norman go zauważył, pozwolił, by przez sekundę ich spojrzenia się spotkały, a potem ruszył dalej, chichocząc w duchu. „Ha! Zignorowałem cię! Zobaczmy, jak ci się to spodoba!”

Z niewypowiedzianym pytaniem o pieniądze cisnącym się na usta, Bill stał, gapiąc się, póki Roger nie klepnął go w ramię.

- Hej, co jest?

- Coś się w Birdwellu zmieniło. - Bill pokręcił głową.

- Taaa... nowe ciuchy i nastawienie. Ale pod spodem to ten sam stary kujon Norman.

- Pewnie masz rację - zgodził się Bill, choć wiedział, że było inaczej. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale czuł się, jakby sięgnął pod łóżko i znalazł tam coś zgnitego, przelewającego się przez palce.

Zwykła czynność, która nagle poszła okropnie nie tak.

Norman, świadomy wywartego wrażenia - ten sam Norman, który w ataku gniewu zdecydował, że nie obchodzi go, czy jakiś obcy musi umrzeć - kroczył przed siebie napuszony niczym paw.

- Victoria Nelson?

- Tak? - Vicki spojrzała na młodą kobietę - „właściwie dziewczynę, ledwo przestała być nastolatką” - stojącą przed jej drzwiami. - Jeśli coś sprzedajesz...

- Victoria Nelson, prywatny detektyw?

Vicki wahała się przez chwilę, ale odpowiedziała: - Tak.

- Mam dla pani zlecenie.

Słowa zostały wypowiedziane z żarliwością, na jaką może się zdobyć tylko ktoś młody, i Vicki zorientowała się, że skrywa uśmiech.

Dziewczyna odgarnęła z twarzy rude loki, tak wspaniale, że aż nienaturalne.

- Stać mnie, jeśli o to się pani martwi. Ponieważ problem pieniędzy nawet nie mignął

Vicki w głowie, odburknęła coś niezobowiązująco. Spojrzały sobie w oczy - „kolorowe soczewki, tak myślałam. Cóż, pasują do włosów”.

- Większość ludzi najpierw dzwoni - powiedziała tym samym niezobowiązującym tonem.

- Miałam zamiar - wzruszenie ramion było tak niewielkie, że prawie niewidoczne, a ton głosu w żadnym razie nie przepraszaający - ale doszłam do wniosku, że trudniej komuś odmówić twarzą w twarz.

Vicki uchyliła szerzej drzwi.

- Lepiej wejdź. - Z jej pracą nie było aż tak źle, by musiała brać zlecenia od dzieci, ale nie zaszkodziło wysłuchać, co dziewczyna ma do powiedzenia. - Jeszcze pół minuty i pan Chin wyjrzy zobaczyć, co się dzieje.

- Pan Chin?

- Staruszek z dołu. Lubi wiedzieć, co się dzieje, i udawać, że nie zna angielskiego.

Przechodząc obok Vicki, dziewczyna pociągnęła nosem z oczywistą dezaprobatą.

- Może naprawdę nie zna angielskiego - wytknęła.

Tym razem Vicki nie próbowała ukryć uśmiechu.

- Pan Chin mówił po angielsku, kiedy jeszcze żadnej z nas nie było na świecie. Jego rodzice przyjechali do Vancouver w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. On sam uczył w liceum. Wciąż prowadzi kursy angielskiego dla cudzoziemców w Centrum Chińskiej Wspólnoty.

Dziewczyna zadarła głowę i spojrzała na Vicki, a jej mocno zielone oczy zwężyły się.

- Nie lubię być traktowana protekcyjnie.

-Ja też nie - zgodziła się kobieta, zamykając drzwi.

W ciszy, która zapadła, Vicki niemal słyszała, jak dziewczyna odtwarza sobie ich rozmowę, sprawdza każde zdanie, każde słowo pod kątem niuansów.

- Och, przepraszam - powiedziała wreszcie. Gdy zaproponowała kompromis, jej twarz się rozjaśniła. - Nie będę tego więcej robić, jeśli pani też nie.

- Umowa stoi. - Vicki wskazała jej drogę przez malutki pokój dzienny do równie małego gabinetu.

Poprawiła odchyłone oparcie krzesła. Nigdy wcześniej nie przyjmowała tu klienta czy potencjalnego klienta, wystąpiły więc drobne niedogodności. -Hm... przyniosę z kuchni drugie krzesło.

- Nie trzeba. - Dziewczyna zdjęła płaszcz i położyła go na ławce do podnoszenia ciężarów. Sama siadła obok. - Jeśli chodzi o zlecenie...

- Za chwilę. - Vicki odsunęła krzesło od biurka i sama usiadła. - Najpierw coś o tobie. Nazywasz się?
- Coreen. Coreen Fergus. I chcę, żeby znalazła pani wampira, który terroryzuje miasto - wyrzuciła to z siebie na jednym oddechu, nie troszcząc się o wyjaśnienia.

- Jasne. - Ranek był jeszcze zbyt wczesny, a ostatnie morderstwo popełniono zbyt niedawno. - Mike Celluci cię na to namówił?

- Kto?

- Nieważne. - Vicki pokręciła głową i wstała. - Słuchaj, nie wiem, kto cię napuścił, ale wróć do niego czy do niej i...

- Ian Reddick był moim... - zmarszczyła brwi, szukając w skupieniu słowa, które oddałoby prawdziwą skalę ich związku - moim kochankiem.

- Ian Reddick - powtórzyła Vicki, siadając z powrotem, Ian Reddick, pierwsza ofiara. Zmasakrowane ciało, które znalazła na stacji metra w Eglinton West.

- Chcę, żeby pani znalazła to coś, co go zabiło.

- Coreen - w jej głosie zabrzmiał „ton uspokajający”, jaki wszyscy policjanci musieli opanować do perfekcji - rozumiem, że jesteś wstrząśnięta, ale czy nie sądzisz, że to zadanie dla władz?

- Nie - w tym słowie było coś nieuchwytnego. Vicki poprawiła okulary i kiedy Coreen mówiła dalej, ona starała się uchwycić i nazwać to wrażenie. - Uparcie szukają człowieka i nie dopuszczają do siebie myśli, że gazety mogą mieć rację. Nie chcą wziąć pod uwagę niczego, co nie pasuje do ich wąskiej wi-zji świata.

- Nie chcą wziąć pod uwagę, że zabójca rzeczy-wiście może być wampirem? - Właśnie.

- Wiesz, gazety tak naprawdę też w to nie wierzą. Coreen energicznie odsunęła włosy z twarzy.

- No i co z tego? Fakty mówią same za siebie. Brakuje krwi. Założę się, że Ian byłby kompletnie opróżniony, gdyby go tak szybko nie znaleźli.

„Ona nie wie, że to ja go znalazłam. Dzięki Bogu”. Znowu stanął jej przed oczami, z twarzą zastygłą w absolutnym przerażeniu i ogromną czerwoną raną w gardle. Ogromną czerwoną raną... nie, raczej z wyrwanym gardłem. Nie przerywanym - wyrwanym. Tego właśnie brakowało, to był ten brakujący element, który dręczył ją od tygodnia. Co się stało z wyrwaną częścią gardła Iana Reddicka?

- ...więc zrobi to pani?

Vicki powoli odsunęła od siebie wspomnienia.

- Wyjaśnijmy sobie coś. Chcesz, bym znalazła zabójcę Iana, kierując się teorią, że to naprawdę zrobił wampir? Z nietoperzami, trumnami i całą resztą?

- Tak.

- A kiedy go znajdę, mam mu wbić kółek w serce?

- Takich istot nie da się raczej postawić przed sądem - zauważyła rozsądnie Coreen z morderczym błyskiem w oku. - Ian musi zostać pomszczony.

Nie pogrążaj się w smutku, wyrównaj rachunki To był klasyczny sposób na radzenie sobie z rozpaczą i Vicki wcale go nie potępiała.

- Dlaczego ja?

Coreen wyprostowała się.

- Była pani jedyną kobietą detektywem w książce telefonicznej.

Przynajmniej to miało sens i wyjaśniało, czemu za sprawą dziwnego zbiegu okoliczności Coreen pojawiła się na progu mieszkania kobiety, która znalazła ciało Iana. „Ze wszystkich barów we wszystkich miasteczkach...” Nie mogła sobie przypomnieć, co było dalej, ale zaczynała rozumieć, jak musiał się wtedy czuć Bogart.

- To kosztuje. - „Po co ja ją ostrzegam? Nie będę polować na wampiry”.

- Mogę sobie na to pozwolić. Ojciec czuje się winny, więc przelewa mi niesamowitą ilość pieniędzy. Uciekł z kimś z firmy, kiedy byłam w podsta-

- Mój uciekł z sekretarką, kiedy byłam w szóstej klasie. Nie dostałam od niego nawet złamanego grosza. Czasy się zmieniają. - Vicki pokręciła głową. - Była młoda i ładna?

- Był - poprawiła Coreen. - Tak, był bardzo ładny. Otworzyli kancelarię prawną na Bahamach.

- Jak mówiłam, czasy się zmieniają. - Vicki poprawiła okulary i westchnęła. Polowanie na wampiry.

Tyle że to wcale nie będzie tak. Po prostu znajdzie tego, kto zabił Iana Reddicka. Dokładnie tak samo by zrobiła, gdyby wciąż służyła w policji. Bóg raczy

wiedzieć jacy oni byli zaważeni robotą i jak bardzo przydałaby im się jeszcze jedna para rąk.

Coreen, która przez cały czas wpatrywała się w twarz kobiety, uśmiechnęła się triumfalnie i sięgnęła po książeczkę czekową.

- Poproszę z Michaeliem Cellucim.

- Chwileczkę.

Czekając na połączenie, Vicki wybijała palcami rytm na telefonie. Brakowało gardła Iana Reddicka, a Celluci, arogancki dupek, nawet się na ten temat nie zająknął ani nie wspomniał, czy w pozostałych ciałach też czegoś brakowało. W tej chwili nie

obchodziło jej, czy nie chciał z nią więcej rozmawiać, bo to ona miała zamiar porozmawiać z nim.

- Wydział śledczy, detektyw sierżant Graham.

- Dave? Tu Vicki Nelson. Muszę pogadać z Cel-lucim.

- Nie ma go w tej chwili. Mogę jakoś pomóc? Podczas ich dość powierzchownej znajomości Vicki zdążyła się zorientować, że Dave był jeszcze gorszym kłamcą niż ona, o ile to w ogóle możliwe. A skoro nie umiał kłamać w ważnych sprawach, z całą pewnością nie potrafił tego zrobić, by chronić tyłek partnera. Lepiej więc uwierzyć, że Celluci wyszedł, i korzystać z okazji.

- Potrzebuję przysługi. - Wal.

Słowa były bardzo istotne. Musiało to zabrzmieć

tak, jakby Vicki wiedziała więcej niż w rzeczywistości, albo Dave się zamknie i wycofa na oficjalne stanowisko. Chociaż przy odrobinie szczęścia wyuczony zwyczaj odpowiadania na jej pytania utrzyma się w wydziale jeszcze przez lata.

- Ten kawałek gardła, którego brakowało przy pierwszych zwłokach. Znalazł go ktoś?

- Nie.

Na razie szło nieźle.

- A u pozostałych?

- Ani śladu.

- Przy tym z dzisiejszej nocy też nie? - Jak dotąd nie. A co?

- A, tak sobie siedzę i się zastanawiam. Dzięki. Dave. Przekaż swojemu partnerowi, że jest ściśniętą końską dupą. - Rozłączyła się i wbiła wzrok w ścianę. Może Celluci ukrył tę informację, żeby w przyszłości mieć nad nią przewagę. Może. Może całkiem uczciwie zapomniał jej o tym powiedzieć. Akurat! Może i gruszki rosły na wierzbie, ale ona w to wątpiła.

W tej chwili miała ważniejsze sprawy na głowie. Jaka istota zabrałaby kilkanaście centymetrów kwadratowych gardła i pięć litrów krwi?

Metro wytoczyło się z Eglinton West w stronę Lawrence, a na opustoszałej stacji Vicki Nelson pewnym krokiem szła do służbowego wejścia na południowy koniec północnego peronu. Teraz to była jej sprawa, a ona nie znośiła pracować na danych z drugiej ręki. Zamierzała osobiście obejrzeć wnękę, w której podobno znikł zabójca.

Zatrzymała się na szczycie betonowych schodków. Krew pulsowała jej tak mocno, że zagłuszała inne dźwięki. Vicki zawsze uważała się za odporną na przesady, ludowe przekazy i nocne lęki, ale kiedy stanęła u wylotu ciemnego i niekończącego się tunelu, przypominającego norę ogromnego robaka, nagle odkryła, że nie ma siły zejść z peronu. Przypomniała sobie, jak tej nocy, gdy zginął Ian Reddick, była pewna, że coś śmiertelnie niebezpiecznego ukrywa się w tunelu. Włosy zjeżyły jej się na karku. To koszmarnie uczucie nie wróciło, ale samo wspomnienie wystarczyło, żeby ją powstrzymać.

„To idiotyczne. Weź się w garść, Nelson. W tym tunelu nie kryje się nic, co mogłoby cię skrzywdzić”. Jej prawa stopa przesunęła się w stronę stopnia. „Najgorsze, co może cię spotkać, to ktoś z obsługi i grzywna za pchanie się na tory”. Lewa stopa wysunęła się przed prawą. „Zachowujesz się teraz jak głupia nastoletnia bohaterka jakiegoś horroru”. Stanęła na pierwszym stopniu. Na drugim. Na trzecim. I już była na wąskim betonowym pasku, który zapewniał bezpieczne przejście wzdłuż torów. „Widzisz? Nic prostszego”. Wytarła spocone dłonie o płaszcz i poszperała w torbie w poszukiwaniu latarki. Kiedy już poczuła w dłoni przyjemny ciężar, oświetliła tunel. Wolałaby w ogóle tego nie robić. Za sprawą jaskrawego światła wokół zapanował raczej nierealny półmrok niż ciemność, ale jej wzrok był już tak upośledzony, że nawet tego półmroku nie mogła nim spenetrować. Złość, jaką zawsze wywoływało u niej wspomnienie o stanie zdrowia, przegoniła resztki strachu.

Miała wręcz nadzieję, że napotka coś na swojej drodze. Na sam początek potraktowałyby to mocnym światłem latarki.

Vicki poprawiła spadające okulary. Skupiwszy wzrok na snopie światła, zaczęła się ostrożnie przesuwając wzdłuż torów. Jeśli pociągi chodziły zgodnie z rozkładem - a chociaż TTC nie działało jak w zegarku, pod tym względem można jednak było na nim polegać - następny miał się pojawić dopiero za, jak wskazywała podświetlona tarcza zegarka, osiem minut. Kupa czasu.

Dotarła do wnęki w ciągu dwóch. Skrzywiła się z dezaprobatą na widok śladów policyjnej roboty.

- Pewnie, chłopcy - mruknęła, oświetlając betonowe ściany. - Niech ktoś inny po was sprząta.

Dziura, którą wybił zespół Celluciego, znajdowała się mniej więcej na poziomie jej talii, pośrodku tylnej ściany, i miała jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy. Depcząc po betonowych odłamkach, Vicki pochylała się, by móc się lepiej przyjrzeć. Tak jak mówił Celluci, po drugiej stronie nie było nic prócz ziemi.

-Jeśli nie tu... - zmarszczyła brwi - to gdzie? -Zauważyła pęknięcie biegnące przez całą długość ściany, pod i nad wywierconą dziurą. Przyjrzała się bliżej, prawie wciskając nos w cement. Ulotny ślad znajomego zapachu skłonił ją do wyciągnięcia szczyraka i ostrożnego oskrobania krawędzi zakamarka.

W jaskrawym świetle latarki okruchy na stało-wym ostrzu były czerwonobrazowe. To mogła być rdza. Vicki musnęła jeden z nich czubkiem języka. To mogła być rdza, ale nie była. Vicki niemal miała pewność, czyją krew znalazła, ale strząsnęła pozostałe płatki z ostrza do plastikowej torebki. Potem przykucnęła i wpełchnęła szczyraka w pęknięcie nad górną krawędzią dziury.

Nie wiedziała, czemu to robi. Większość krwi Iana rozbryznięła się na ścianie stacji metra. Na ubraniu zabójcy nie mogło być jej tyle, by wsiąkła przez pęknięcie na głębokość piętnastu centymetrów, nawet jeśli chodził owinięty w papierowe ręczniki i spędził całą noc przyklejony do ściany.

Kiedy wyciągnęła szczyraka, na ostrzu oprócz brudu i odłamków cementu były znajome czerwonobrazowe płatki. Wsyłała je do drugiej torebki i szybko powtórzyła eksperyment na pęknięciu pod dziurą. Z tym samym efektem.

Ryk metra przyniósł ze sobą niemal przyjazny, normalny strach. Inny niż ten, który obudziło w Vicki jedyne wyjaśnienie, jakie zdołała wymyślić przy akompaniamencie setek ton stali przetaczających się torami: cokolwiek zabiło Iana Reddicka, jakimś cudem przeszło przez pęknięcie w betonowej ścianie. A to był oczywisty idiotyzm.

Prawda?

Jako największy producent i sprzedawca odzieży z poliestru przedsiębiorstwo Sigman Incorporated nie kładło specjalnego nacisku na ochronę. Ale od morderstwa Terri Neal na podziemnym parkingu postarało się ten nacisk zwiększyć.

Wbrew dopiero co wprowadzonemu, liczącemu cztery i pół strony regulaminowi wstępu strażnik w holu tylko spojrzał na przechodzącą Vicki i wetknął nos z powrotem w książkę. Ubrana w szare sztruksowe spodnie, traperki i granatową dwurzędową kurtkę mogła być jedną z setek kobiet, które codziennie tędy przechodziły. Nikt nie oczekiwał, że strażnik zatrzyma każdą z nich. Z całą pewnością nie była z prasy - nauczył się już wyluskiwać ich z tłumu i odsyłać do właściwej osoby. Nie wyglądała też jak glina, a poza tym gliniarze zawsze się meldowali. Sprawiała wrażenie kogoś, kto wie, dokąd idzie, więc strażnik postanowił jej nie przeszkadzać. Jego zdaniem, światu przydałoby się więcej ludzi, którzy wiedzą, dokąd zmierzają.

O 2:30 po południu podziemny parking świecił pustkami, właśnie dlatego Vicki wybrała tę porę. Wsiadła z windy i natychmiast zmrużyła oczy, chroniąc je przed mocnym światłem jarzeniówek. „Czemu, do diabła, nie mają tu monitoringu?“, zastanawiała się, gdy echo jej kroków odbijało się od betonowych ścian.

Nawet bez nierównych i wyblakłych śladów kredy byłaby w stanie powiedzieć, gdzie leżało ciało.

Stojące obok samochody przyciskały się do siebie nawzajem, zostawiając pustą, szeroką na co najmniej trzy miejsca parkingowe wolną przestrzeń. Jakby brutalnie zadana śmierć mogła być zaraźliwa.

Vicki znalazła to, czego szukała, pod niemal całkiem przerdzewiałym błękitnym sedanem. Przygryzając dolną wargę, wyciągnęła szczyraka i przyklekła przy pęknięciu. Piętnastocentymetrowe ostrze weszło na całą długość, ale i tak nie sięgnęło do końca. Czerwonobrazowe płatki, które wyciągnęła razem z nim, z całą pewnością nie spłynęły tam z wraku.

Przykucnęła na piętach i skrzywiła się.

- To mi się naprawdę, ale to naprawdę nie podoba.

Wyrzebała z torby szklaną kulkę, położyła ją na wciąż widocznych śladach kredy i lekko popchnęła. Ta potoczyła się w stronę ściany, oddalając od pęknięcia pod prawie czterdziestopięciostopniowym kątem. Kolejne próby przyniosły ten sam wynik. Ani krew, ani cokolwiek innego nie spłynęłoby od ciała do pęknięcia w żaden sposób, który można by nazwać naturalnym.

- Jeśli w ogóle jest w tym wszystkim cokolwiek naturalnego - mruknęła pod nosem, chowając do torby trzecią torebkę z zaschniętą krwią i sięgając po kulkę.

Nie wróciła do budynku, ale podeszła w górę podjazdem na St.Clair Avenue West. - Przepraszam? Parkingowy w budce podniósł głowę znad kolorowego magazynu.

- Nie wie pan przypadkiem, co jest pod najgłębszą warstwą betonu? - zapytała Vicki, machając dłonią za siebie, w stronę podziemnego garażu.

Spojrzał we wskazanym kierunku, a potem znowu na nią.

- Pod betonem? - powtórzył. - Tak.

- Ziemia i błoto, proszę pani. Uśmiechnęła się i precyzyjnie obok szlabanu.

- Dzięki. Bardzo mi pan pomógł. Sama znajdę wyjście.

Siatka ugięła się opornie pod ciężarem Vicki, kiedy ta zaglądała na teren budowy. W tej chwili był to

ogromny wykop z mniejszymi dołkami wypełnionymi zamuloną wodą. Wyglądało na to, że zabrano cały sprzęt, a prace zostały wstrzymane. Czy z powodu morderstwa, czy pogody, tego Vicki nie wiedziała.

- Cóż - wsunęła ręce do kieszeni płaszcza - z całą pewnością są tam ziemia i błoto. - Czy była tam też krew, nie dało się poznać.

- To żaden problem, Vicki. - Rajeet Mohadevan wepchnęła trzy foliowe torebki do kieszeni laboratoryjnego fartucha. - Sprawdź je, zanim wyjdę do domu, żeby nikt nie widział. Będziesz się kręcić w pobliżu?

- Nie. - Vicki dostrzegła na twarzy analityczki błysk współczucia, ale postanowiła go zignorować. W końcu Rajeet wyświadczała jej przysługę. - Jeśli nie będzie mnie w domu, nagraj się.

- Ten sam numer?

- Ten sam.

Rajeet uśmiechnęła się szeroko.

- To samo nagranie?

Vicki mimowolnie odpowiedziała uśmiechem. Ostatnim razem, kiedy policyjne laboratorium dzwoniło do niej do domu, ona i Celluci mieli właśnie okres najgorszych kłótni

- Inne nagranie. - Szkoda - westchnęła Rajeet z teatralnym rozczarowaniem, kiedy Vicki już wychodziła. - Zapomniałam o kilku z tych miejsc, w które miał sobie wepchnąć służbowy notes. - Zasalutowała, przywołując dawne czasy, gdy Vicki była pełną zapału młodą kobietą w mundurze, i zajęła się raportem, który wcześniej wypełniała.

Idąc znajomym korytarzem, po białych płytkach witających jej stopy niczym starzy przyjaciele, Vicki zastanawiała się, czy nie przejść do komendy i nie sprawdzić, czy Celluci był przy swoim biurku.

Mogła mu powiedzieć o pęknięciach, dowiedzieć się, czy ukrywał przed nią jeszcze jakieś informacje i... Nie. Biorąc pod uwagę, w jakim był nastroju, kiedy ostatni raz rozmawiali, i to, że w weekend nie zadzwonił, zwyczajnie przeszkadzałyby mu w pracy, gdyby teraz się pojawiła. Tego nigdy żadne z nich drugiemu nie robiło. Praca była zawsze na pierwszym miejscu, a poza tym pęknięcia podsunęły tylko więcej pytań i żadnej odpowiedzi.

Już prawie opuściła budynek, kiedy uświadomiła sobie, że myśl o zobaczeniu jakiegoś innego gliny siedzącego przy jej dawnym biurku nie miała nic wspólnego z tą decyzją. Z poczuciem, że w jakiś sposób właśnie zdradziła swoją przeszłość, skuliła się przed popołudniowym chłodem i ruszyła z powrotem do domu.

Przez lata Vicki obiecywała sobie, że kupi naprawdę dobrą, wielotomową encyklopedię. Przez lata ten zakup odkładała. Tę, którą miała, znalazła w sklepie spożywczym za pięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów za tom przy zakupach za co najmniej dziesięć dolarów. Nie było w niej dużo o wampirach.

- Legendarne stworzenia... hm... Europa Centralna... Vlad Palownik, Bram Stoker... - Vicki poprawiła okulary i spróbowała sobie przypomnieć szczególne cechy Draculi Brama Stokera. Dawno temu była na tym w teatrze i chyba czytała książkę w szkole średniej.

- Był silniejszy, szybszy, miał bardziej wyostrzone zmysły... - wyliczyła na palcach. - Spał cały dzień, działał w nocy i kolegował się z gościem, który zjadał muchy. I pająki. - Skrzywiła się z obrzydzeniem i wróciła do encyklopedii.

„Wierzono, iż wampiry”, czytała, „mogły zmieniać się w nietoperze, wilki, mgłę czy parę”. Vi-cki uświadomiła sobie, że umiejętność przemiany w mgłę lub parę wyjaśniałaby pęknięcia. Krew ofiary, cięższa od oparów, spłynęłaby i pokryła wąskie przejście. „A istota wstająca z grobu nie powinna mieć problemów z przedostaniem się przez ziemię”. Zaznaczyła właściwą stronę starym rachunkiem za telefon i podniosła się z rozłożonego krzesła, żeby włączyć telewizor. Nagle w pustym mieszkaniu zaczęło brakować jej dźwięków.

- To wariactwo - mruknęła, ponownie otwierając książkę. Zaczęła czytać i jednocześnie chodzić po mieszkaniu. Fantazja i rzeczywistość zbyt się do siebie zbliżyły, by Vicki mogła usiedzieć spokojnie. Artykuł wymieniał przeróżne sposoby na uporanie się ze stworami, od osikowych kołków przez nasiona gorczycy aż do krucyfiksów, rozwodząc się nad wbijaniem kołków, dekapitacją i spalaniem. Pozwoliła cienkiej książce się zamknąć i uniosła głowę, by wyjrzeć za okno. Choć uliczna latarnia świeciła niecałe trzy metry od jej mieszkania, Vicki była boleśnie świadoma, że ciemność ociera się o szyby w jej oknach. Podobno wampiry istniały tylko w podaniach, a jednak wyglądało na to, że ludzie wyjątkowo poważnie podchodzili do metod walki z nimi.

Po drugiej stronie policyjnej taśmy ktoś klęczał nad kawałkiem chodnika, na którym znaleziono czwarte ciało. Ale niczego nie znalazł, mimo że noc nie mogła nic przed nim ukryć, a w

przeciwieństwie do innych wiedział, czego należy szukać.

- Nic - mruknął pod nosem Henry, wstając. -Ale coś powinno tu być. - Dziecko z jego rodzaju mogło ukryć ślady przed ludzkimi śledczymi, ale nie przed kimś takim jak ono. Podniósł głowę i poruszając nozdrzami, powęszył. Kot - nie, dwa - na własnych łowach, deszcz, który spadnie jeszcze przed I świtem, i...

Zmarszczył mocno brwi, tak że u nasady nosa pojawiła się zmarszczka w kształcie litery V. I co jeszcze? Znał zapach śmierci we wszystkich jego odmianach, a nad pozostałościami porannego zabójstwa unosił się delikatny odór czegoś starszego, bardziej odrażającego, niemal znajomego.

Gdzieś w odmętach czterystu pięćdziesięciu lat, jakie obejmowały jego wspomnienia...

Radiowóz był już prawie przy nim, kiedy go dostrzegł, a małe słoneczka wewnątrz mocnego reflektora oświetliły go, zanim uciekł.

- Rany! Widziałaś?

- Co widziałam? - Funkcjonariusz służby pomocniczej Wojtowicz wychyliła się przez okno od swojej strony i zlustrowała wzrokiem szeroki strumień światła padającego reflektora, który był umieszczony na dachu wolno jadącego samochodu.

- Nie wiem. - Funkcjonariusz Harper oparł się ciężko na kierownicy i spojrzał na partnerkę. - Mógłbym przysiąc, że gdy włączyłem reflektor, za taśmą stał jakiś facet.

Wojtowicz prychnęła.

- Gdyby tak było, wciąż byśmy go widzieli. Nikt nie porusza się tak szybko. A poza tym - machnęła dłonią, wskazując teren za oknem - tu nie ma się gdzie ukryć. - „Tu” oznaczało chodnik, ogrodzenie i kawałek błotnistej trawnika. Dorosły człowiek nie dałby rady się schować w żadnym z ciemniejszych zakamarków.

- Myślisz, że powinniśmy wysiąść i się rozejrzeć?

- Ty tu rządzisz.

- Hm... - Na granicy światła i cienia nic się nie poruszało. Harper pokręcił głową. Ostatnio nocą był nerwowy i spięty. - Chyba masz rację. Niczego tam nie widzę.

- Oczywiście, że mam. - Radiowóz podjął powolną wędrowkę po ulicy, a ona wyłączyła reflektor. - Pozwalasz, żeby to, co gazety wypisują o wampirze, weszło ci do głowy.

- Nie wierzysz w wampiry?

- Jasne, że nie. - Wojtowicz rozsiała się wygodniej. - Nie mów mi, że ty wierzysz.

Teraz to Harper prychnął.

- Ja - oznajmił sucho - zostałem sprawdzony.

Za nimi, na trawniku, jeden z cieni leżał z twarzą wciśniętą w błoto i wspominał. Zapach był tu silniejszy, wymieszany w równych częściach z ziemią i krwią, na tyle silny, by podnieść zasłonę wieków.

To było w Londynie w 1593 roku. Elizabeth już od jakiegoś czasu zasiadała na tronie. On sam nie żył od pięćdziesięciu siedmiu lat. Właśnie wracał z teatru, z premierowego wystawienia Ryszarda Trzeciego. W sumie dobrze się bawił, chociaż miał wrażenie, że autor dla swoich potrzeb trochę podkoloryzował osobowość króla.

Z zasypanej odpadkami uliczki wytoczył się młody mężczyzna - chudy, nieogolony, ale mrocznie przystojny i bardzo pijany. A na nim, trzymając się

go jak osobista chmurka mgły, był ten sam zapach.

Nawet gdyby Henry nie pożywił się już na dziwce za teatrem, nie piłby z tego mężczyzny. Już sam zapach wystarczył za ostrzeżenie, a błysk szaleństwa w ciemnych oczach tylko upewnił go, że trzeba uważać.

-Z całego serca błagam o wybaczenie - odezwał się głosem wykształconego człowieka, lecz bardzo niewyraźnie - ale tej nocy odwiedziłem piekło i mam drobne trudności z powrotem - zachichotał nerwowo i złożył przed Henrym chwiejny ukłon. -Christopher Marlowe, do usług, milordzie. Ma pan może trochę zbędnego grosza na napitek?

- Christopher Marlowe - powtórzył Henry ponad czterysta lat po śmierci nieszczęśnika. Obrócił się na plecy i zapatrzył w chmury przesłaniające gwiazdy. Chociaż czytał sztukę tuż po jej opublikowaniu w 1604 roku, już po śmierci autora, tej nocy po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, ile poszukiwań i badań Marlowe przeprowadził, nim napisał Tragiczną historię doktora Fausta.

- Vicki, tu Rajet. Przepraszam, że dzwonię tak późno... Jest 11:15 w poniedziałek w nocy, pewnie już śpisz, ale pomyślałam, że chcesz znać wyniki. Są pozytywne - próbki należą do Iana Reddicka i Terri Neal. Nie wiem, gdzie je znalazłaś, ale mam nadzieję, że to pomoże.

ROZDZIAŁ 5

„...choć policja odmawia wydania oświadczenia, biuro koronera potwierdziło, że Mark Thompson, piąta ofiara, też został opróżniony z krwi. Pragnący zachować anonimowość mieszkańiec rejonu pomiędzy Don Mills Road a St. Dennis Drive przysięga, że widział nietoperza giganta przelatującego obok jego balkonu na chwilę przed tym, jak odkryto ciało”.

-Jezu Chryste! - Vicki zgmiotła gazetę i rzuciła ją w ścianę naprzeciwko. - Nietoperz gigant! Nic dziwnego, że chce zachować anonimowość. Cholera!

Nagłący dźwięk telefonu skłonił ją do podniesienia się z krzesła. Wciąż wkurzona, sięgnęła po słuchawkę, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że to może być rozmowa służbowa, i zmieniła planowaną odpowiedź. Wywarczone „czego?” nie robiło najlepszego wrażenia na potencjalnych klientach.

- Prywatne biuro detektywistyczne, Nelson przy telefonie.

- Widziałaś dzisiejszą gazetę?!

Głos był młody, damski, ale niemożliwy do na-

tychmiastowego rozpoznania. - Kto mówi? - To ja, Coreen Fergus. Widziałaś tę gazetę? - Tak, widziałam, ale...

- To jest ostateczny dowód.

- Dowód na co? - Vicki wepchnęła słuchawkę pod brodę i sięgnęła po kubek. Miała przecucie, że kawa bardzo jej się przyda.

- Na istnienie wampira. Jest świadek. Ktoś go widział! - w głosie Coreen słychać było triumf.

Vicki wzięła głęboki oddech.

- Coreen, ten nietoperz gigant to mogło być cokolwiek. Torba na śmieci porwana przez wiatr, cień samolotu, pranie spadające z innego balkonu.

- Ale mógł to też być nietoperz gigant. Porozmawiasz z tym świadkiem, prawda?

Tak naprawdę to nie było pytanie. Vicki celowo nie rozważała nawet próby odnalezienia anonimowego źródła w gąszczu bloków i domów w okolicy St. Dennis Drive, ale rozmowa z „tym świadkiem”, logicznie rzecz biorąc, w sposób oczywisty stanowiła kolejny krok w śledztwie. Uspokoila Coreen, obiecała zadzwonić, jak tylko się czegoś dowie, i rozłączyła się.

- Szukanie igły w stogu siana. - Ale musiała to zrobić. Świadek mógł zupełnie odmienić jej spojrzenie na tę sprawę.

Dopiła kawę i zerknęła na zegarek. Przed wyjściem chciała jeszcze sprawdzić jeden drobiazg. 8:43.

Przy odrobinie szczęścia Brandon siedział jeszcze przy biurku. Siedział.

Po niedbałej, przynajmniej po jednej ze stron, wymianie powitalnych uprzejmości Vicki przeszła do rzeczy:

- ...i ty, i ja dobrze wiemy, że odkryliście fakty, o których nie wspomnieliście prasie.

- Masz rację, Victorio - koroner nawet nie starał się udawać, że nie rozumie, o co jej chodzi. - Ale jak dobrze wiesz, tobie też nie mogę o nich wspomnieć. Przykro mi, ale nie jesteś już funkcjonariuszem.

- Ale zlecono mi tę sprawę. - Pokrótce zreferowała mu najważniejsze szczegóły wizyty Coreen, nie wspominając o jej opinii na temat tożsamości mordercy ani o ostatnim telefonie.

dercy ani o ostatnim telefonie.

- Wynajęto cię, ale jako cywila, Victorio, i nie masz większego prawa do informacji niż żaden inny cywilny obywatel.

Vicki powstrzymała westchnienie i zastanowiła się, od której strony najlepiej ugryźć temat. Kiedy Brandon Singh czegoś odmawiał, mówił to wprost i bez ogródek. A potem odkładał słuchawkę. Póki chciał z nią rozmawiać, poty był gotów dać się przekonać.

- Brandon, znasz moje wyniki. Wiesz, że mam co najmniej taką samą szansę na rozwiązanie sprawy jak ktokolwiek inny w tym mieście. I wiesz, że chcę ją rozwiązać. Zwiększę swoje szanse, jeśli będę znała wszystkie fakty.

- Z pewnością, ale jakoś mi to pachnie superbo-haterstwem.

- Superbohaterstwem? Brandon, uwierz mi, nie mam zamiaru ubrać się w jakiś śmieszny kostium i biegać po ulicach, by miasto stało się bezpiecznym miejscem dla przyzwoitych ludzi. - Narysowała w notatniku znak Batmana, po czym gwałtownie wyrwała stronę, zmięła i wyrzuciła. W tych okolicznościach nietoperze były wyjątkowo nietrafionym motywem. - Ja tylko prowadzę śledztwo. Obiecuję, że o wszystkim, czego się dowiem, poinformuję wydział zabójstw.

- Wierzę ci, Victorio - zrobił pauzę, a Vicki niecierpliwie się w nią wstrzeliła:

- Czy stać nas, żebym się tą sprawą nie zajmo-

wała, choćby jako pomocnik? Teraz, gdy morderca tego autoramentu jest na wolności?

- Masz o sobie wysokie mniemanie.

Po jego głosie poznała, że się uśmiecha, i wiedziała, że go przekonała. Według doktora Brandona Singha należało korzystać ze wszystkich dostępnych zasobów i choć osobiście preferował podejście mniej intuicyjne niż ona, musiał przyznać, że „Wiktoria Nelsona” była zasobem naprawdę cennym. Jeśli miała o sobie wysokie mniemanie, to nie bez powodu.

- Dobrze - powiedział wreszcie, bardziej dostojnie niż zwykle, jakby chciał jej zrekompensować swój wcześniejszy opór. - Ale gazety nie mają pojęcia o niewielu sprawach i nie wiem, czy na coś ci się to przyda. - Wziął głęboki oddech i nawet stały szum na linii telefonicznej zdawał się ucichnąć w oczekiwaniu na to, co Brandon powie. - We wszystkich ranach poza pierwszą znaleźliśmy substancję bardzo przypominającą ślinę...

- Bardzo przypominającą ślinę? - wtrąciła się Vi-cki. - Jak coś może bardzo przypominać ślinę?

- Nie może, ale to coś właśnie przypominało. Co więcej, jak na razie każdemu ciału, włącznie z tym młodego Reddicka, brakowało przedniej połowy gardła.

- To już odkryłam.

- Ach tak. - Przez chwilę Vicki obawiała się, że się obraził, bo mu przerwała, ale mówił dalej: - Jedyny szczegół, którego prasa nie zna, ma związek z trzecim ciałem, tego postawnego mężczyzny, DeVerne'a Jonesa. W ręce ścisnął wyrwany kawałek cienkiej błony.

- Błony? - Tak.

- Jak w skrzydle nietoperza?

- Bardzo podobna. Tak.

Teraz to Vicki wzięła głęboki oddech. Coś bardzo przypominającego Ślinę i skrzydło nietoperza.

- Rozumiem, czemu nie powiedzieliście o tym prasie.

Celluci odłożył słuchawkę i sięgnął po gazetę. Nie mógł się zdecydować, czy przeprosiny przyszły mu łatwiej, bo Vicki nie było w domu, czy trudniej, bo

musiał się nagrać na cholerną sekretarkę. Wszystko jedno. Następny ruch należał do niej.

Sekundę później Dave Graham w ostatniej chwili zabrał kubek z kawą z biurka, w które jego partner z całej siły walnął gazetą.

- Widziałeś to gównno? - warknął Celluci.

- Tego, jak mu tam, nietoperza giganta?

- Pieprzyć nietoperza! Te gnojki znalazły świadka i nic nam o tym nie powiedziały!

- Ale dziś rano mieliśmy jechać na St. Dennis...

- Taaa... - Celluci włożył marynarkę i spojrzeniem ponaglił Dave'a, żeby też wstał - ale najpierw

jedziemy do redakcji. Świadek może ruszyć tę sprawę, a ja nie mam zamiaru tracić czasu, skoro oni znają jego nazwisko.

- Nazwisko kogoś, kto widuje nietoperze giganty - mruknął pod nosem Dave, ale sięgnął po płaszcz i ruszył za partnerem do holu. - Myślisz, że to naprawdę może być wampir? - zapytał, kiedy go dogonił. Celluci nawet nie zwolnił kroku.

- Nie waż się zaczynać - burknął.

- Kto tam?

- Policja, panie Bowan. Chcielibyśmy z panem porozmawiać. - Celluci uniósł odznakę na wysokość wizjera i czekał. Po długiej chwili usłyszał brzęk zdejmowanego łańcucha i otwieranych dwóch - nie, trzech zamków. Cofnął się o krok w stronę partnera, kiedy drzwi zaczęły się otwierać.

Staruszek obejrzał ich uważnie kaprawymi oczami.

- Detektyw sierżant Michael Celluci?

- Tak, ale skąd... - Staruch nie mógł mieć aż tak dobrego wzroku, żeby odczytać nazwisko na odznace.

- Powiedziała, że pewnie dziś przyjdziecie. - Otworzył drzwi szerzej i usunął się z drogi. - Wejdźcie, wejdźcie.

Wchodząc do małego mieszkania, detektywi wymienili zaskoczone spojrzenia. Podczas gdy staruszek zasuwiał wszystkie zamki, Celluci rozejrzał się. Na ścianie umocowano koce tak, żeby zakryły okna i drzwi balkonowe. Wszystkie światła się paliły. Na stoliku leżała Biblia, a stojąca obok szklanka pachniała szkocką. Cokolwiek ten staruszek widział, skłoniło go to do zabarykadowania się i szukania ukojenia.

Dave ostrożnie usiadł na rozklekotanej kanapie.

- Panie Bowan, kto panu powiedział, że dziś przyjdziecie?

- Młoda dama. Właśnie wyszła. Dziwne, że nie minęliście się z nią na parkingu. Miła dziewczyna, bardzo przyjazna.

- Czy ta miła, bardzo przyjazna dziewczyna miała imię? - wycedził przez zaciśnięte zęby Celluci.

Staruszek zachichotał świszcząco.

- Powiedziała, że pan tak zareaguje. - Wziął z kuchennego stołu wizytówkę i położył ją na wyciągniętej dłoni policjanta.

Dave ledwo zdążył przeczytać, zerkając partnerowi przez ramię, nim ten zacisnął pięść.

- Co jeszcze powiedziała pani Nelson?

- Bardzo jej zależało na tym, żebym z panami współpracował. Żebym wam powiedział wszystko to, co jej. Oczywiście nie zamierzałem postąpić inaczej, chociaż nie wiem, co policja może tu poradzić. To raczej robota dla egzorcysty albo księczę... - potężne ziewnięcie sprawiło, że przerwał w pół słowa. - Wybaczenie, ale zeszłej nocy mało spałem. Może mają panowie ochotę na herbatę? Dzbaneł jest jeszcze gorący. - Kiedy obaj mężczyźni odmówili, usadowił się w przetartym fotelu i spoglądał wyczekująco raz na jednego, raz na drugiego. - Będziecie mi zadawać pytania czy chcecie, żebym zaczął od początku i opowiedział wam to moimi własnymi słowami?

„Proszę zacząć od początku i opowiedzieć nam to swoimi własnymi słowami” - Celluci tysiące razy słyszał, jak Vicki tak mówi, i nie miał wątpliwości, że staruszek powtarza za nią. Jego gniew wyparował, pozostawiając niechętnie uznanie dla jej umiejętności obchodzenia się ze świadkami. Nieważne, w jakim nastroju Vicki go zastała, ale nim wyszła, przygotowała pana Bowana na ich wizytę.

- Proszę opowiadać, zadamy pytania, kiedy to będzie konieczne.

- Dobrze. - Pan Bowan zatarł ręce, w oczywisty sposób rozkoszując się mimo nocnych lęków, że tego ranka już drugi raz znalazł się w centrum uwagi. - To było tuż po północy, wiem, bo jak zwykle o północy wyłączyłem telewizor. Zgasilem światła i już miałem się kłaść do łóżka, kiedy pomyślałem, że lepiej by było wyjrzeć na balkon i zerknąć na okolicę.

Czasem - wyznał, pochylając się - dzieciaki szlajają się po krzakach przed blokiem.

Podczas gdy Dave ze zrozumieniem kiwał głową, Celluci ukrył uśmiech. Pan Bowan niewątpliwie spędzał dużo czasu na balkonie, zerkając na okolicę... i sąsiadów. Stojący na podłodze przy fotelu futerał na lornetkę był tego niezbitym dowodem.

Zeszłej nocy nie zdążył nawet wyjść na balkon, a już wiedział, że coś jest nie tak.

- To był smród. Jak zgniłe jajka, tylko gorszy. A potem pojawiło się coś, ogromne i paskudne, i było tak blisko, że mogłem wyciągnąć rękę i go dotknąć. Czego nie zrobiłem, oczywiście, nie jestem głupi, chociaż moja synowa uważa inaczej. Skrzydła miało rozłożone na jakieś dwa, może dwa i pół metra - zrobił efektowną pauzę. - Nietoperz gigant. Nosferatu. Wampir. Znajdźcie jego kryptę, panowie, a znajdziecie mordercę.

- Może pan opisać to stworzenie?

- Dokładnie? Nie. Prawdę mówiąc, przeleciał obok mnie tak straszliwie szybko, że widziałem tylko kształt. Ale powiem wam - w jego głosie pojawiła się powaga i strach - ta istota miała oczy, jakich nigdy nie widziałem u żadnego żywego stworzenia. Modłę się, żeby nie zobaczyć ich nigdy więcej. Były żółte i zimne. Gdyby na mnie spojrzęły, nie przeżyłbym tego. To było zło, panowie, prawdziwe zło, nie jego rozcieńczona forma, której ulega ludzkość, lecz zimne, bezlitosne zło pochodzące od samego szatana. Jestem już stary i od dawna przestałem się bać śmierci. Niczego się nie boję, ale to, to przeraziło mnie bardziej niż cokolwiek na świecie. - Przelknął z trudem ślinę i spojrzęł uważnie na ich twarze. - Możecie mi wierzyć lub nie. Ten dziennikarz, którego spotkałem, gdy zszedłem zobaczyć, skąd te syreny, nie uwierył. Ale wiem, co widziałem i co czułem.

Celluci bardzo chciał przyznać rację dziennikarzowi, który określił pana Bowana mianem starego błazna, lecz odkrył, że nie potrafi tak po prostu zignorować tego, co staruszek widział. I tego, co czuł. Coś w jego głosie czy wyrazie twarzy sprawiło, że policjantowi zjeżyły się włosy na karku i chociaż rozum protestował, instynkt był gotów uwieryć.

Celluci bardzo chciał porozmawiać o tym z Vicki, ale nie zamierzał dać jej tej satysfakcji.

- Boże, nienawidzę tych urządzeń - potężne, przesadzone westchnienie nagrało się na sekretarkę z całą zawartą w nim irytacją. - OK, zrobiłbym to samo. Pewnie byłbym takim samym upierdliwym wrzodem na dupie jak ty. Więc ja mam rację, ty masz rację, zacznijmy od nowa. - Taśma przesuwająca się powoli, odtwarzając odgłosy tła: dwa klójące się męskie głosy, staccato maszyny do pisania, niustannie dzwoniące telefony. Potem wrócił głos Celluciego, ostrzejszy na tyle, by podkreślić, że naprawdę myśli to, co mówi. - I przestań molestować mojego partnera o tajne informacje. To miły facet, nie żebyś potrafiła się na tym poznać, a ty go przyprowadzasz o palpacje serca. - Rozłączył się bez pożegnania.

Vicki uśmiechnęła się do automatycznej sekretarki. Mike Celluci był tak samo beznadziejny w przeproszaniu jak ona. Tym razem wspiął się wręcz na szczyt uprzejmości. I na pewno nagrał to, zanim poszedł do pana Bowana i odkrył, że go uprzedziła. Gdyby nagrał się później, cała wiadomość byłaby utrzymana w zupełnie innym tonie.

Znalezienie anonimowego źródła, na które powoływał się brukowiec, okazało się zaskakująco łatwe.

Pierwszy zaczepiony mężczyzna prychnął z niechęcią.

- Szuka pani starego Bowana. Jeśli ktokolwiek coś tu zobaczył, to on. Zawsze wtyka ten swój cholerny nos w nie swoje sprawy. - Ruchem głowy tak energicznym, że o mało sam by ją sobie urwał, wskazał na stojący przy St. Dennis blok z numerem 25.

Natomiast co do tego, co stary Bowan zobaczył... Vicki niechętnie się przyznawała, ale zaczynała dochodzić do wniosku, że może Coreen nie myliła się tak bardzo, jak to się z początku wydawało.

Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Celluciego. Mogliby porozmawiać o panu Bowanie i jego bliskim spotkaniu.

- Nieee. - Pokręciła głową. Lepiej dać mu czas na ochłonięcie. Zadzwoni do niego później. Na razie rozłożyła na stole dokładną mapę Toronto. Robota czekała.

Łatwo zapomnieć, jak wielkie w rzeczywistości było miasto. Rozrastając się, wchłonęło mniejsze miejscowości i najwyraźniej jeszcze się nie nasyciło. Centrum, to, co wszystkim najbardziej kojarzyło się z miastem, stanowiło zaledwie małą część całości.

Vicki zakreśliła czerwonym mazakiem stację metra w Eglinton West, potem miejsce, gdzie mniej więcej znajdował się biurowiec Sigmana w St. Clair West, i budowę na Symington Avenue, gdzie zginął DeVerne Jones. Potem w skupieniu poprowadziła linię przez kółka. Biegła z południowego zachodu na północny wschód miasta, przez wszystkie punkty, nawet jeśli przyjąc pewien margines błędu w wyznaczeniu drugiego i trzeciego.

Na pierwszy rzut oka nowe morderstwa nie łączyły się w żaden sposób z poprzednimi, ale wydawały się zaczynać własną linię.

I to nie wszystko.

- Nikt nie może być tak głupi - wymruczała pod nosem Vicki, przetrząsając biurko w poszukiwaniu. Na oko dwa pierwsze miejsca zabójstwa leżały w tej samej odległości od siebie co czwarte i piąte. Pomiar był co prawda daleki od matematycznej dokładności, jednak nie na tyle, by uznać to za przypadek.

- Nikt nie może być tak głupi - powtórzyła, przykładając linijkę do mapy. Druga linia biegła z północnego zachodu na południowy wschód. Trzecie kółko wypadłoby w okolicach Woodbine i Mortimer. Vicki dałaby sobie rękę uciąć, że między północą a świtem pojawi się tam szóste ciało.

Obie linie przecinały się odrobinę na zachód od Uniwersytetu York.

- Krzyżyk wyznacza miejsce ukrycia skarbu. - Vicki poprawiła okulary, zmarszczyła brwi i znowu podsunęła szkła w górę nosa. To było zbyt proste. Gdzieś musiał się kryć jakiś haczyk. - No dobra... - Położyła linijkę na mapie i zaczęła wyliczać: - Możliwość pierwsza: zabójca chce zostać znaleziony. Możliwość druga: zabójca, tak jak ja, umie kreślić linie na mapie, więc narysował sobie wzór, ot tak, a teraz siedzi w Scarborough i zwija się ze śmiechu na myśl o głupich policjantach, którzy dali się podpuścić. - Na użytek tego ćwiczenia logicznego za policjanta uznała także siebie. - Możliwość trzecia - spojrzała na palce, na których odliczała, jakby w nich kryła się odpowiedź - polujemy na wampira, nawet jeśli w zasadzie to on poluje na nas. Nie da się przewidywać, jak wampir myśli.

Celluci potrafił sam narysować linie na mapie, ale i tak sięgnęła po telefon. Czasami to, co oczywiste, mu umykało. Ku swojemu zdziwieniu zastała go. Nie była zaskoczona reakcją.

- Vicki, nie ucz ojca dzieci robić.

- Więc mogę założyć, że najlepsi policjanci Toronto zbiorą się dziś w nocy w okolicy Mortimer i Woodbine?

- Możesz sobie zakładać, co tylko chcesz. Nigdy nie byłem w stanie cię powstrzymać, ale jeśli sądzisz, że pozwolę, byś kręciła się w pobliżu z tym swoim zestawem małego detektywa...

- A co niby zrobisz? - Jak on śmiał jej rozkazywać! - Aresztujesz mnie?

- Jeśli będę musiał. - Po jego głosie poznała, że naprawdę to zrobi. - Nie słyszysz już w policji, w nocy jesteś praktycznie ślepa i prędzej skończysz jako trup niż jako bohaterka.

- Nie potrzebuję, żebyś mnie niańczył, Celluci!

- Więc zacznij zachowywać się jak dorosła i zostań w domu!

Niemal jednocześnie rzucili słuchawkami. On wiedział, że ona tam będzie, a ona wiedziała, że on wie. Co więcej, nie wątpiła, że jeśli na siebie wpadną, Mike zamknie ją na podstawie jakichś zmyślnych zarzutów, dla jej własnego bezpieczeństwa. Ba, wiedząc już, że Vicki się tam wybiera, najchętniej od razu by ją zamknął, gdyby mógł.

Miał rację. W nocy była praktycznie ślepa.

Ale policja ściagała człowieka, a Vicki już nie wierzyła, że człowiek miał coś wspólnego z tymi zabójstwami. Ślepa czy nie, będąc tam, mogła wyrównać szanse.

A co robić do zmroku? Może nadszedł czas na trochę detektywistycznej roboty, żeby przekonać się, jak na ulicy stoją sprawy.

- Przynajmniej nie zrobił awantury o pana Bo-wana - mruknęła, wciągając płaszcz.

- Hejka, Wiktorio, dawno cię nie widziałem.
- Taaa, trochę czasu minęło. Jak leci, Tony? Tony wzruszył chudymi, okrytymi dzinsową kurtką ramionami.
- W porzo.
- Jesteś czysty? Spojrzał na nią z ukosa.
- Słyszałem, że już nie jesteś gliną. Nie muszę odpowiadać.
- Nie musisz. - Vicki wzruszyła ramionami. Tony przez chwilę szedł w milczeniu, torując obojgu drogę w tłumie przechodniów na Yonge Street. Kiedy zatrzymali się na światłach na Wellesley, westchnął,
- Dobra, jestem czysty. Zadowolona? Odczepisz się teraz i dasz mi spokój?
- Czy kiedykolwiek odpuściłam tak łatwo? - Uśmiechnęła się.
- Nie, ty nigdy. Słuchaj, skoro zamierzasz zajmować mój czas, możesz też postawić mi lunch. - Wskazał na restaurację na rogu, mniej wykwintną od większości konkurencji.
Postawiła mu lunch, ale nie piwo, które chciał, i zapytała, jakie są nastroje na ulicy.
- Jakie nastroje? - zapytał, wpychając do ust widelec z ogromną porcją tłuczonych kartofli. - Seks? Prochy? Rock'n'roll?
- Odnośnie tych nocnych wypadków.
Uniósł rękę w górę, rozczapierzając palce zgodnie z wzorami z klasycznych filmów grozy.
- Aaa, wampir!
Vicki upiła łyk letniej kawy, zastanawiając się przelotnie, jak przez tyle lat służby przeżyła na czymś takim, i czekała. Tony był jej najlepszym zestawem oczu i uszu na ulicy. Nie informatorem, raczej barometrem, wrażliwym na nastroje i atmosferę, i chociaż nigdy nie podawał konkretnych wiadomości, zawsze wskazywał właściwy kierunek. Miał dziewiętnaście lat. Kiedy go pierwszy raz zgarnęła - piętnaście.
- Nastrój na ulicy... - Metodycznie rozsmarował na ostatniej bułeczce półcentymetrową warstwę masy. - Z nastrojów na ulicy wynika, że gazety tym razem piszą prawdę.
- Wampir?
- Zabójca to nie człowiek, tak mówi ulica. - Spojrzał na nią spod gęstych rzęs. - Wysysa krew, prawda? Wampir to całkiem trafne określenie. Gliny go nie złapią, bo szukają człowieka. - Uśmiechnął się szeroko. - Gliny w tym mieście są do dupy. Nie to, co kiedyś.
- Dziękuję bardzo. - Odczekała, aż chłopak wyśkrobie do końca swój talerz, i zapytała:
- Tony, a ty wierzysz w wampiry?
- Wierzę w pozostawanie przy życiu. - Wyciągnął spod koszulki mały krzyżyk.
Kiedy wyszli z restauracji, osłaniając się przed wiatrem podniesionymi kołnierzami, zapytała, czy potrzebuje pieniędzy. Nie udało jej się sięgnąć go z ulicy, nie przyjął pomocy, więc dawała mu to, co był skłonny wziąć. Celluci nazywał to pieniędzmi--z-wyrzutów-sumienia-białej-klasy-średniej. Vicki go ignorowała, choć przyznawała, że pewnie miał rację.
- Spoko. - Tony odgarnął z twarzy kosmyk jasnobrązowych włosów. - Radzę sobie.
-Puszczasz się?
-A co? Aresztować mnie już nie możesz, chcesz mnie wynająć?
- Chcę ci przyłożyć. O chorobach nie słyszałeś? Usunął się z zasięgu jej pięści.
- Hej, jestem ostrożny. Jak mówiłem, wierzę w pozostawanie przy życiu. - Przez chwilę wyglądał na dużo, dużo starszego, niż był.

- Vicki, nie obchodzi mnie, co mówi twój krawężnikowy guru i jakie są nastroje na ulicy. Nie ma czegoś takiego jak wampiry, a tobie odbija.
Vicki zdążyła odsunąć słuchawkę od ucha, zanim Celluci rzucił swoją. Rozłączyła się delikatniej. No dobra, powiedziała mu. Wbrew sobie i temu, że doskonale wiedziała, jak zareaguje Celluci. Niezależnie od tego, co zajdzie tej nocy, ona miała czyste sumienie.
- Nie żebym wierzyła w wampiry - poinformowała puste mieszkanie, poprawiając słuchawkę. - Ja wierzę w konieczność posiadania otwartego umysłu - „i”, dodała ponuro w duchu, przypominając sobie Tony'ego i jego krzyżyk, „też wierzę w pozostawanie przy życiu”. Obok krzesła stała jej torba wypchana zrobionymi po południu zakupami.
O 11:48 Vicki wysiadła na Mortimer z jadącego na północ autobusu linii Woodbine. Zatrzymała się na chwilę i oparła o okno wystawowe małego sklepu ogrodniczego na rogu, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności. W tym miejscu, pod latarnią, jej wzrok nie zawodził. Ale kilka

metrów dalej, gdzie nakładały się na siebie światła dwóch lamp, tworząc obszar podwójnych cieni, nie mogła mu już ufać. Poza główną ulicą będzie jeszcze gorzej. Sięgnęła do torby po latarkę, by na wszelki wypadek mieć ją w pogotowiu.

Kawałek dalej pomimo ciemności udało jej się dostrzec działającą sygnalizację i tam postanowiła przejść przez jezdnię. Bez żadnego powodu - potwór mógł się pojawić równie dobrze po wschodniej stronie Woodbine, ale pójście na zachód wydawało się właściwe. Przede wszystkim dlatego, że lepiej się poruszać, niż stać w miejscu i czekać.

Sklep „U Terry'ego” na południowym kawałku Mortimer był otwarty - jedyny jaskrawo oświetlony budynek w najbliższej okolicy - więc skierowała się w jego stronę.

„Mogę popytać. Kupić paczkę chipsów. Dowiedzieć się... cholera!” W sklepie dwóch facetów z wydziału zabójstw rozmawiało ze zirytowaną nastolatką, która raczej nie była właścicielem. Z oczami załzawionymi od blasku neonów, Vicki wycofała się po sześciu schodkach szybciej, niż po nich weszła. Zauważyła nieoznakowany radiowóz po drugiej stronie Mortimer, na parkingu przy Brewers Retail - „w kwestii oświetlenia asfaltowych placów w środku nocy rządowi można zaufać” - i skierowała się w przeciwną stronę. Mogła się założyć o dowolną sumę, że Celluci, wydając polecenia swoim ludziom, uwzględnił jej osobę.

Jeśli dobrze pamiętała, na ulicy dominowały małe, piętrowe, niemal identyczne domki jednorodzinne. „W takim miejscu nikt się nie spodziewa wampira”. Ona też się go tu nie spodziewała - nie na Woodbine. Ulica była zbyt mocno oświetlona, zbyt uczęszczana, ze zbyt wieloma potencjalnymi świadkami. Nie, Vicki obstawiała jedną ze spokojnych uliczek osiedlowych z tyłu.

Na Holborne bez żadnego konkretnego powodu skręciła na zachód. Tu latarnie stały w większej odległości od siebie. Vicki przemykała od jednej wyspy światła do drugiej, mając nadzieję, że administracja i konserwatorzy zatroszczyli się o gładkość chodnika pod jej stopami. W jednym miejscu poślizgnęła się na błocie. Torba zsunęła jej się z ramienia i obita boleśnie kolana. Promień latarki sięgnął do pobliskiej budowy. Na terenie przypominającym odrobinę szerszy chodnik powstawał wąski dom. Stwór już raz zabił w podobnym miejscu, ale Vicki była dziwnie pewna, że drugi raz tego nie zrobi. Ruszyła dalej.

Nagły ryk syren sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Rozejrzała się gorączkowo, wznosząc latarkę do góry jak broń. Z remizy na rogu wyjechał wóz strażacki i z piskiem opon skręcił na północ.

- Nerwy ci puszczają, co, Vicki? - powiedziała do siebie, biorąc głęboki, uspokajający oddech. Ciągłe słyszała głośnie bicie własnego serca, a pot przylepił jej rękawiczki do rąk. Wciąż odrobinę roztrzęsiona, doszła do kolejnych świateł i oparła się o słup.

Blask najbliższej latarni prawie sięgał domu, ale nie na tyle, by Vicki mogła go dostrzec. Kawałek trawnika, który widziała, choć zabłocony, wyglądał na zadbane, a przy płocie przycięte dla ochrony przed zimnem róże czekały na wiosnę. Vicki wiedziała, że to dzielnica robotnicza. Mogła się założyć, że większość mieszkańców stanowią Włosi albo Portugalczycy, bo oba te narody troszczyły się o ziemię. Jeśli rzeczywiście tak było, w wielu z tutejszych domów wisiały obrazy świętych, Matki Boskiej albo samego Chrystusa.

Zastanowiła się, jaką ochronę zapewnią mieszkańcom, gdy zjawi się zabójca.

Na końcu ulicy dwa okręgi światła wyróżniały jadący wolno samochód. Vicki widziała tylko reflektory. Przypominały jej oczy jakiejś wielkiej, ukrytej w ciemności bestii. Nie potrzebowała więcej, żeby rozpoznać nieoznakowany radiowóz. Tylko policjanci prowadzący obserwację jeździli z tak dokładnie niezmienną prędkością. Sama tak robiła.

Opanowała chęć usunięcia się z pola widzenia, odwróciła się i pewnym krokiem skierowała do domu, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu nieistniejącego kompletu kluczy.

Samochód przejechał za nią.

Vicki wróciła na chodnik. Wątpiła, czy następnym razem też jej się tak poszczęści. Celluci z całą pewnością obsadził cały teren swoimi ludźmi. Wcześniej czy później musiała wpaść na kogoś, kogo zna - najprawdopodobniej od razu na samego Celluciego - i nie uśmiechało jej się, że będzie musiała tłumaczyć, co robi w samym środku policyjnej obławy.

Ruszyła Holborne na zachód, ćwicząc w myślach tłumaczenia. „Myślałam, że może wam się przydać dodatkowa para oczu”. Ale z drugiej strony jej też by się przydała. „Nie sądziłam, że będziecie przygotowani na starcie z wampirem”. Prawdziwe, ale nie do obronienia. „Nie macie prawa zakazywać mi wstępu”. Tyle że mieli, a raczej on miał. Pełne prawo. To samo, które zabrania popełniania samobójstw.

„Więc co ja tu właściwie robię? Zachowuję się tak samo głupio jak wtedy, na stacji metra, kiedy rzuciłam się bez broni sprawdzać, co się dzieje”. Ciemność przysunęła się bliżej, czekając na odpowiedź.

„Co ja chcę udowodnić?”

„Że mimo wszystko wciąż mogę być idealnie funkcjonującym członkiem społeczeństwa”. Prychnęła. „Prawdę mówiąc, istnieje całkiem spora grupa idealnie funkcjonujących członków społeczeństwa, na

których raczej się tej nocy nie natknę".

Znowu wróciła do punktu „i co ja chcę udowodnić” i postanowiła, że na tym poprzestanie. Życie było ciężkie i bez głębokiego drażenia problemów.

Zatrzymała się na rogu Woodmount. Gdziekolwiek spojrzeła - na boki czy prosto przed siebie -linie latarni w oddali rozplywały się w ciemności. Vicki widziała tylko zawieszony w powietrzu złociste kule. Niczym tropiący pies, wciągnęła w płuca chłodne nocne powietrze. Czuła tylko stęchły i wilgotny zapach ziemi, świeżo odkrytej pod koniec zimy. Zwykle go lubiła, ale dziś przywodził na myśl groby. Owinęła się szczelniej płaszczem, jakby nagle przeszło ją zimno. Z oddali dochodziły odgłosy ruchu ulicznego i szczekanie psa.

Nie miała zbyt dużego wyboru w kwestii kierunków, więc skręciła w lewo i stąpając ostrożnie, ruszyła z powrotem na południe.

Trzasnęły drzwi samochodu.

W odpowiedzi serce Vicki z całej siły uderzyło o żebra, wydając podobny dźwięk. To było to. Nigdy w życiu niczego nie była tak pewna.

Zacząła biec. Najpierw wolno, świadoma, że jeden nieostrożny krok mógł ją kosztować upadek albo coś jeszcze gorszego. Nie włączała latarki, potrzebowała latarni, żeby wiedzieć, gdzie biec, a dodatkowe źródło światła osłabiałoby jej wzrok. Chwiejąc się, stanęła na Baker Street.

Dokąd teraz? Jej pozostałe zmysły wyteżały się do granic możliwości, by zastąpić niemal ślepe oczy.

Metal otarł się o drewno. Gwoździe zmuszone do zwolnienia swojego chwytu.

Wschód. Skręciła i rzuciła się biegiem w tamtą stronę, potknęła, upadła, podniosła się i biegła dalej, ufając, że jej stopy znajdują właściwą drogę bez pomocy oczu. Jakies pięćdziesiąt kroków od rogu ulicy rzucony cień znaczył coś przecinającego jej drogę. Wślizgnęło się w wąską uliczkę między dwoma budynkami, a kiedy Vicki ruszyła za nim, słuchając instynktu kążącego jej gonić, dojrzała czerwone, tylne światła samochodu w odległości mniej więcej stu metrów.

W ulicze czuć było śmiercią. Jak wtedy, gdy w trzecim tygodniu sierpnia znaleziono staruszkę zamordowaną w jej małym, dusznym pokoju na samym początku lipca.

Vicki usłyszała warkot silnika samochodu, jakiś ruch po żwirze i odgłos, którego nie chciała nawet próbować rozpoznać.

Zło czające się w tunelu metra było ledwie marnym cieniem zła, jakie czekało na nią tutaj.

Trudny do zidentyfikowania cień przemknął między Vicki a światłami samochodu.

Lewą ręką prowadząc się wzdłuż ceglanej ściany, a w prawej, wyciągniętej, ściskając latarkę niczym lancę, Vicki zaczęła przesuwać się w głąb alejki. Nie zwracała uwagi na mały, przenikliwy głosik rozsądku, który koniecznie chciał wiedzieć, co ona, do cholery, robi.

Coś wrzasnęło przeraźliwie i ten dźwięk sprawił, że cofnęła się o kilka kroków.

Wszystkie psy w okolicy zaczęły wyć.

Ignorując zimny pot spływający po ciele i strach duszący tak, że musiała walczyć o każdy oddech, Vicki zmusiła się do ruszenia ponownie naprzód. Udało jej się zrobić sześć kroków i wrócić na poprzednie miejsce, i jeszcze sześć...

Na w pół leżąc na bagażniku samochodu, włączyła latarkę.

Straszliwy dźwięk dochodził z miejsca na skraju rzucanego przez nią światła, gdzie drewniane drzwi garażu zwisały się niebezpiecznie z jednego, wykręconego zawiasu. Mrok zdawał się poruszać w mroku. Na ten widok umysł Vicki szybko wypełniła bezrozumna panika, mogła być więc pewna, że nic tam się nie czaiło.

W promieniu światła kulił się młody mężczyzna, z jednym ramieniem uniesionym, by chronić oczy przed blaskiem latarki. U jego stóp leżało ciało: brodaty mężczyzna przed albo po czterdziestce. Krew wciąż wyciekała ze zmasakrowanego gardła, gęstniejąc i krzepnąc na żwirze. Musiał być martwy, zanim upadł, bo tylko martwi upadają z taką kompletną obojętnością nadającą im wygląd porzuconych marionetek.

Vicki wystarczyło jedno spojrzenie, by to wszystko ogarnąć. A potem kucający wstał, a jego rozpięty płaszcz rozłożył się niczym ogromne czarne skrzydła. Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. Twarz miał skrzywioną, oczy niemal całkiem zmrużone, a na dłoniach i palcach szkarłatne plamy krwi.

Sięgając do torby po solidny srebrny krzyż, który kupiła po południu - i naprawdę, Boże dopomóż, nie spodziewała się go użyć - Vicki nabrała powietrza, żeby krzykiem wezwać pomoc. A może po prostu żeby krzyżeć. Nie zdążyła się tego dowiedzieć, bo mężczyzna zrobił jeszcze krok w jej stronę i więcej już nic nie zobaczyła.

Henry złapał upadającą kobietę i delikatnie opuścił ją na żwir. Nie chciał się do tego posuwać, ale nie mógł pozwolić, by zaczęła krzyżeć. Zbyt wielu rzeczy nie zdołałby wyjaśnić policji.

„Widziała, jak pochylałam się nad ciałem”. Wyłączył latarkę i wsunął do jej torebki. Jego nadwrażliwe

oczy z ulgą powitały powrót nocy. Bolały, jakby ktoś je przypalał gorącym żelazkiem. „Zdażyła dobrze mi się przyjrzeć. Cholera”. Rósadek kazał mu ją zabić, zanim zdaży go wydać. Miał dość sił, żeby upodobnić to do pozostałych zabójstw. I znów byłby bezpieczny.

Henry odwrócił się i spojrział ponad ciałem - teraz już tylko kawałkiem mięsa, niczym więcej - na rozerwane klepisko garażu, przez które uciekł zabójca. Ta noc dowiodła, że Henry nie był w żaden sposób odpowiedzialny za morderstwa.

- Cholera - tym razem powiedział to na głos, bo zbliżające się syreny i trzask drzwi samochodu na końcu alejki przypomniały mu, że musi działać szybko i zdecydowanie. Przyklęknął na jedno kolano i uniósł nieprzytomną kobietę, przerzucając ją sobie przez ramię. Wolną ręką sięgnął po jej torebkę. Ciężar nie stanowił problemu - jak wszyscy z jego rodzaju był nieproporcjonalnie silny, ale jej wzrost i to, jak bardzo zwisała mu z ramienia, niebezpiecznie go krępowały.

- Za wysocy są w tym przeklętym stuleciu - mruknął. Przeskoczył przez siatkę odgradzającą tył podwórka i wraz ze swoim bagażem zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ 6

Henry wysypał zawartość przepastnej czarnej torebki na stolik do kawy i przyklęknął obok. Zaczął przeglądać cały ten bałagan w poszukiwaniu czegoś, w czym można trzymać dokumenty: portfela, wizytownika, czegokolwiek. Nic.

Nic? Niemożliwe. W tych czasach nikt nie podróżował bez dokumentu, nawet w nocy. Wreszcie Henry znalazł i portfel, i wizytownik w bocznej kieszeni, łatwo dostępne bez przedzierania się przez zapełnioną przegrodę główną.

- Victoria Nelson, prywatny detektyw. - Zorientował się, że wstrzymuje oddech, dopiero gdy go wypuścił. „Prywatny detektyw, dzięki Ci, Boże”. Bał się, że wpał na jakiegoś policjanta w cywilu, uczestnika obejmującej całe miasto obławy. Przez wieki nauczył się, że policja, nawet jeśli nie zawsze skuteczna, troszczy się o swoich. Ale prywatny detektyw to cywil. Pewnie jeszcze nikt nie zauważył jej zniknięcia.

Henry wstał i spojrział na nieprzytomną kobietę leżącą na kanapie. Chociaż zniesmaczyłoby go to, zabiłby, żeby się chronić. Oby tym razem nie musiał. Zdjął płaszcz i zaczął układać sobie w myślach, co powie, kiedy ona się obudzi...

...jeśli się obudzi. Bicie jej serca, prawie dwa razy szybsze niż Henry'ego, wypełniło mieszkanie. Wzywało go, by się posilił, ale trzymał głód na uwazi.

Spojrział na zegarek. 2:13. Wschód słońca za cztery godziny. Jeśli doznała wstrząsu mózgu...

Nie chciał jej uderzyć. Pozbawienie kogoś przytomności jednym ciosem nie było wcale łatwe, nieważne, co na ten temat miały do powiedzenia kino i telewizja. Sporadycznie zdobywana przez lata praktyka nauczyła go, gdzie i jak uderzać. Ale nawet największa wprawa nie mogła zmienić faktu, że cios w głowę obijał mózg w tę i z powrotem o czaszkę, tłukąc miękką tkanką o kość.

„Całkiem atrakcyjną czaszkę”, stwierdził, przyglądając się z bliska. „Choć szczęka nosi zdecydowany rys upartości”. Jeszcze raz zajrzał do jej dowodu osobistego. Trzydzieści jeden. Krótkie ciemnoblond... a może jasnobrązowe włosy - zmarszczył brwi, nie mogąc się zdecydować - nie nosiły ani śladu siwizny, ale wokół oczu zaczęły się formować drobne zmarszczki. W czasach, kiedy jeszcze „żył”, trzydzieści jeden lat to był już wiek średni. Teraz wydawał się ledwie pierwszym krokiem w dorosłość. Nie była umalowana, co mu się podobało, a delikatny odcień bladego złota na policzkach sprawiał, że jej skóra przypominała aksamit.

W dotyku też... Cofnął gwałtownie dłoń i zdusił w sobie głód. To było pragnienie, nie potrzeba, nie pozwoli mu się kontrolować.

Drobne mięśnie jej twarzy poruszyły się, kiedy otworzyła oczy. Podobnie jak włosy, nie miały jednego określonego koloru - ani niebieskie, ani szare, ani zielone. Czubkiem języka zwilżyła suche usta i bez lęku spojrziała mu prosto w oczy.

- Ty sukinsynu - powiedziała wyraźnie i skrzywiła się.

Vicki wynurzyła się z ciemności, desperacko szukając jakichś informacji, ale szum w uszach uniemożliwiał jasne myślenie. Walczyła z nim. Ból -Boże, jak to bolało - oznaczał zagrożenie. Musiała się dowiedzieć, gdzie jest i jak się tam znalazła...

Zaledwie kilka centymetrów przed nią pojawiła się twarz mężczyzny. Twarz, którą rozpoznała.

- Ty sukinsynu - powiedziała i skrzywiła się. Słowa, ruch szczęki wywołały ukłucia bólu biegnące w górę głowy. Z całych sił próbowała je ignorować. Kiedy poprzednim razem widziała tę twarz i ciało,

które z pewnością było do niej umocowane, podrywały się właśnie znad zmasakrowanych zwłok, żeby ją zaatakować. Chociaż Vicki tego nie pamiętała, nie wątpiła, że mężczyzna ją ogłuszył i przyniósł tutaj. Cokolwiek to „tutaj” oznaczało.

Spróbowała się rozejrzeć, zobaczyć coś oprócz twarzy mężczyzny, zorientować się, gdzie jest, ale w pokoju - o ile to był pokój - panowała ciemność. Czy Vicki wiedziała coś, co mogła wykorzystać?

130

Jestem ubrana, leżę na kanapie, mając za towarzystwo szalonego zabójcę, i chociaż reszta ciała wy daje się całkiem sprawna, głowa łupie jak po przepitej nocy”. W takim razie mogła zrobić tylko jedno, Zerwała się z kanapy.

Niestety, grawitacja miała inny pomysł.

Kiedy Vicki uderzyła o podłogę, pod powiekami rozbłysnął jej pokaz zielonych, złotych i czerwonych fajerwerków, a potem znowu zapadła ciemność.

Za drugim razem odzyskała przytomność szybciej i była bardziej świadoma tego, co się dzieje. Ale nie otworzyła oczu.

- To był głupi pomysł - zauważył męski głos gdzieś nad jej prawym ramieniem. Nie miała za-miaru się z nim kłócić. - Całkiem możliwe, że w to nie uwierzysz - ciągnął - ale nie chcę cię skrzywdzić. Ku swemu zdziwieniu uwierzyła. Może sprawił to ton głosu, może jego barwa albo woreczek z lodem, który mężczyzna trzymał przy jej szczęce. A może miała wstrząs mózgu, co wydawało się całkiem prawdopodobne.

- W ogóle nie chciałem cię skrzywdzić. Przepraszam za to - poczuła, że zimny okład unosi się lekko - ale jakoś nie było czasu na wyjaśnienia.

Vicki z trudem otworzyła najpierw jedno oko, a potem drugie.

- Jakie wyjaśnienia? - Jego błada owalna twarz zdawała się unosić w przymglonym świetle. Vicki żałowała, że nie może jej się lepiej przyjrzeć.

- Nie zabiłem tego mężczyzny. Dobiegłem do ciała tuż przed tobą.

- Tak? - Nagle uświadomiła sobie, co jest nie - Gdzie moje okulary? - Twoje... A! - Ował odpłynął i za chwilę wrócił. Czekwała z zamkniętymi oczami, podczas gdy mężczyzna wsunął jej końce oprawek za uszy, mniej więcej tam, gdzie powinny być, a mostek delikatnie oparł na nosie. Kiedy znowu otworzyła oczy, sprawy miały się niewiele lepiej. - Mógłbyś włączyć światło? Kiedy wstawał, Vicki zauważyła jego zdziwienie. Więc nie zachowywała się tak, jak się spodziewał. Jeśli oczekiwał przerażenia, będzie musiała spróbować tego później. Nie teraz - za bardzo bolała ją głowa. A poza tym, nawet jeśli by się okazało, że to jednak on jest zabójcą, i tak nic nie mogła w tej chwili zrobić.

Światło, choć nie na tyle mocne, by wygnać z kątów cienie, pomogło. Z miejsca, w którym leżała, Vicki mogła dostrzec drogi zestaw stereo i biblioteczkę z przeszklonymi drzwiami. Powoli, bardzo ostrożnie usiadła.

- Jesteś pewna, że to rozsądne?

Nie była. Ale nie miała zamiaru się przyznać.

- Nic mi nie jest - odburknęła, zwalczając falę napływających mdłości. Zdejmując rękawiczki, przyglądała się swojemu porywaczowi spod ściągniętych brwi.

Nie wyglądał na szalonego zabójcę. „Dobra, Vicki, skoro jesteś taka mądra, opisz typowego szalonego zabójcę w maksymalnie dwudziestu pięciu słowach”. Nie potrafiła określić koloru jego oczu, chociaż stawałaby na jasny brąz, ale brwi i rzęsy były bardziej rude niż włosy barwy określanej eufemistycznie jako „truskawkowy blond” - na pewno od słońca robiły mu się piegi. Twarz miał szeroką, ale nie tłustą - tego typu fizjonomię nazywano uczciwą - i górną wargę w kształcie serca. „Z całą pewnością atrakcyjny”. Zmierzyła wzrokiem jego wzrost, biorąc za obiekt porównania stereo, i dodała w myślach: „Ale niski”.

- No więc - zaczęła tonem konwersacyjnym, opierając się ostrożnie o leżące na kanapie poduszki. „Rozmawiaj z nimi”, tak stało w podręczniku. „Zdobądź ich zaufanie”. - Dlaczego miałabym uwierzyć, że nie masz nic wspólnego z wyrwaniem gardła temu człowiekowi?

Henry podał jej woreczek z lodem.

- Byłaś tuż za mną - powiedział cicho. - Musiałś widzieć...

Widzieć co? Widziała ciało i jego, gdy się nad nim pochylał, światła samochodu, rozwalone drzwi garażu i ciemność za nimi. „Mrok poruszał się w mroku i znikł”. Nie. Potrząsnęła głową, ale ból, jaki powodował ruch, skłonił ją do spokojnego i nieruchomego rozważenia tego jeszcze raz. „Mrok poruszał się w mroku i znikł”. Nagle nie była w stanie złapać oddechu. Walczyła z silnymi dłońmi, które ją trzymały.

- Nie... - Tak.

Wreszcie pod wpływem siły jego spojrzenia i do tyku uspokoiła się.

- Co... - Zwilżyła suche wargi i zaczęła jeszcze raz. - Co to było?

- Demon.

- Demony nie... - „Mrok poruszał się w mroku i znikł”. - Och...

Prostując się, Henry niemal się uśmiechnął. Niemał widział, jak Vicki tasuje w myślach fakty, akceptuje dowody i zmienia własny pogląd na świat. Nie podobało jej się to, ale się nie cofnęła. Był pod wrażeniem.

Wzięła głęboki oddech. „Dobra, demon”. To z całą pewnością wyjaśniało wszystkie wątpliwości i miało swój koszmarny sens.

- A co ty tam robiłeś? - Ucieszyła się, że jej głos brzmi już niemal zwyczajnie.

Co powinien odpowiedzieć? Chociaż nie była zbyt przyjaźnie nastawiona - nie żeby ją za to winił - nie okazywała też otwartej wrogości. Prawda albo przynajmniej jej część wydawała się bezpiecznym wyborem.

- Tropiłem demona. Spóźniłem się. Powstrzymałem go przed posileniem się, lecz nie przed morderstwem. - Skrzywił się lekko. - A co pani tam robiła, panno Nelson?

„Znalazł mój dowód”. Po raz pierwszy Vicki uświadomiła sobie, że zawartość jej torby leży rozsypana na szklanym blacie stolika. Czosnek, opakowanie ziaren gorczycy, Biblia, krzyż - wszystko to wyglądało trochę głupio tak na widoku. Prychnęła lekko.

- Tropiłam wampira.

Ku jej zaskoczeniu najpierw spojrzął z niedowierzaniem na zawartość torby, jakby widział ją po raz pierwszy, a potem ów porywacz i samozwańczy łowca demonów odchylił głowę i zaczął dosłownie pokładać się ze śmiechu.

Henry, książę Richmond, przez cały czas posiłku czuł na sobie badawcze spojrzenia. Kiedy tylko zerkał na nią, ona przyglądała się jemu. Ale za każdym razem, gdy próbował napotkać jej wzrok, opuszczała go skromnie na talerz, kryjąc pod gęstą firanką rzęs -tak czarnych, że musiały być farbowane - opadających na alabastrowe policzki. Raz wydawało mu się, że się uśmiechnęła, ale to mogło być tylko złudzenie.

Podczas gdy sir Thomas, siedzący po jego lewej stronie, perorował na temat owiec, Henry, turlając między palcami pojedyncze winogrono, zastanawiał się, kim mogła być ta dama. Musiała pochodzić z lokalnej szlachty zaproszonej tego dnia do Sherifffhton. Gdyby podróżowała z Londynu na północ wraz z domownikami, z pewnością zauważyłby ją wcześniej. Ta część jej sukni, którą widział, była czarna. Czy zatem dama to wdowa, czy po prostu nosiła czerń świadoma, jak wspaniale w niej wygląda, a w pobliżu czaił się jej małżonek?

Pierwszy raz od tygodni Henry cieszył się, że Surrey postanowił nie jechać z nim do Sherifffhton.

„Kobiety nigdy nie patrzą na mnie, kiedy on jest w pobliżu”.

„O, uśmiechnęła się. Na pewno”. Wylał ubrudzoną zmiażdżonym winogronem dłoń o pludry i sięgnął po wino, opróżniając kielich z delikatnego weneckiego szkła jednym nerwowym haustem.

Dłużej już nie mógł wytrzymać.

- Sir Thomasie.

- ...oczywiście, najlepszym baranem do... Tak, milordzie?

Henry pochylił się w stronę starszawego rycerza. Nie chciał, by reszta go słyszała, i tak miał już dość tego, jak się z nim drażnili. Ledwie zdzierzył rymowaną przez ojcowskiego błazna, Willa Sommersa: „Chociaż nosisz króla twarz, dworskie kroki ledwie znasz”.

- Sir Thomasie, kim jest ta kobieta obok sir Gilesa i jego damy?

- Kobieta, milordzie?

- Tak, kobieta. - Wymagało to znacznego wysiłku, ale młody książę nie uniósł głosu i zachował spokój. Sir Thomas był cenionym rentierem, wiernym szambelanem w Sherifffhton przez te wszystkie lata, kiedy Henry przebywał we Francji. Należał mu się szacunek choćby z racji wieku. - Ta w czerni. Obok sir Gilesa i jego damy.

- Ach, obok sir Gilesa... - Sir Thomas pochylił się do przodu i zazezował we właściwym kierunku.

Dama, o której była mowa, siedziała ze skromnie spuszczonego wzrokiem. - A, to żona starego Beswicka.

- Beswicka? - Tę cudowną istotę poślubiono Beswickowi? Baron był co najmniej w wieku sir Thomasa. Henry nie mógł w to uwierzyć. - Ale on jest stary!

- Jest martwy, milordzie. - Sir Thomas uśmiechnął się pod nosem. - Ale śmiem twierdzić, że stanął przed Stwórcą jako szczęśliwy człowiek. A ona jest słodkim stworzeniem i ponoć ciężko przeżyła jego śmierć. Mąż rzadko widywał ją za życia, a teraz jeszcze mniej.

- Długo byli małżeństwem? - Miesiąc... nie, dwa.

- A ona mieszka w zamku Beswick?

- Jeśli tę omszałą ruinę można nazwać zamkiem -prychnął sir Thomas - to tak, milordzie.

- Jeśli tę kupę kamieni - Henry wskazał dłonią na wielką salę pozostającą w praktycznie niezmiennym stanie od dwunastego stulecia - nazywasz zamkiem, wszystko możesz nim nazwać.

- To jest królewska rezydencja - zaprotestował z urazą sir Thomas.

„Uśmiechnęła się. Dobrze widziałem. Uśmiechnęła się. Do mnie”.

- „A tam, gdzie ona przebywa, niebo zstąpi na ziemię” - wymruczał rozmarzony Henry, zapomniawszy na chwilę, gdzie się znajduje, tonąc w tym uśmiechu.

Sir Thomas ryknął donośnym śmiechem i zadławił się łykiem ale. Musiano go kilka razy mocno uderzyć w plecy, co przyciągnęło uwagę reszty zgromadzonych, czego Henry tak starał się unikać.

- Powinieneś bardziej panować nad ekscytacją, mój dobry panie - pouczył sir Thomasa arcybiskup Yorku, kiedy ci, którzy rzucili się na ratunek, powrócili na swoje miejsca.

- Nie ja, Wasza Łaskawość - sir Thomas z szacunkiem zwrócił się do prałata. - To naszemu księciu zrobiło się ciasno w kroku.

Czując, jak twarz robi mu się czerwona, Henry przeklął w duchu barwy Tudorów. Podkreślały każdy jego rumieniec, jakby był panną, a nie liczącym już szesnaście wiosen mężczyzną.

Później, gdy na starej galerii zaczęli grać muzycy, Henry przechadzał się wśród gości, próbując -jak sądził - z sukcesem ukryć swój ostateczny cel. Teraz wszyscy go obserwowali, a jeden czy dwóch, wiedział o tym, doniesie o wszystkim jego ojcu.

Kiedy wreszcie ruszył ku niej, zebrała w dłoń swoje czarne i srebrne spódnice i skierowała się w stronę otwartych drzwi prowadzących na zamkowy dziedziniec. Henry podążył za nią.

Czekała, tak jak się spodziewał, na drugim z szerokich stopni, wystarczająco daleko od drzwi, by stać już w ciemności, wystarczająco blisko, by mógł ją odnaleźć.

- W sali jest... ekhm... duszno, prawda? Odwróciła się ku niemu. Jej blada twarz i dekolt zdawały się lśnić w mroku. - Mamy sierpnień.

- Ekhm... tak. - Nie byli jedyną parą szukającą wytchnienia poza duszną, zadymioną salą, ale pozostali dyskretnie się oddalili, gdy zobaczyli księcia. -Nie boisz się, pani... hm... nocnych chłódów?

- Nie. Kocham noc.

Jej głos przywołał na myśl morze i Henry podejrzewał, że równie łatwo mógłby go porwać. W środku, w świetle pochodni, wydawała mu się niewiele starsza od niego, ale tu, pod gwiazdami, nie miała wieku. Obliznął wargi, które nagle zrobiły się suche, i pomyślał, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Nie było cię, pani, dziś na polowaniu. - Nie.

- Nie polujesz zatem?

Mimo panującego mroku jej oczy schwyciły i przytrzymały jego spojrzenie.

- Wręcz przeciwnie.

Henry przelknął ciężko ślinę i przestąpił z nogi na nogę - teraz naprawdę zrobiło mu się ciasno w kroku. Jedyne, czego z pewnością nauczyły go trzy lata spędzone na francuskim dworze, to rozpoznać zaproszenie pięknej kobiety. Modląc się, żeby jego dłoń nie była spocona, wyciągnął rękę.

- Masz jakieś imię, pani? - zapytał, kiedy położyła swoje chłodne palce na jego.

- Christina.

- Wampir? - Henry z zaskoczeniem spojrzął na Christinę. - Ja tylko żartowałem.

- Czyżby? - Odwróciła się od okna. Ręce miała skrzyżowane pod piersiami. - Tak nazywa mnie Norfolk.

- Norfolk jest zazdrosnym głupcem. - Henry podejrzewał, że ojciec wysłał księcia Norfolk, by ten miał na niego oko i sprawdził, co go skłoniło do pozostania aż do września w Sheriffluton, rezydencji, za którą nigdy nie przepadał. Jak sądził, nie nakazano mu powrócić na dwór, ponieważ król w sekrecie popierał związek syna ze starszą i bardzo piękną wdową. Henry nie był aż takim głupcem, by sądzić, że ojciec o tym nie wie.

- Tak? Być może. - Hebanowe brwi zbiegły się w jedną linię. - Henry, nigdy się nie zastanawiałeś, czemu widzisz mnie tylko nocą?

- Póki cię widuję...

- Nie zastanowiło cię, że nigdy nie widzisz, jak piję czy jem?

- Bywasz na bankietach - zaprotestował zmieszany Henry. On tylko żartował...

- Ale nie widziałeś, że bym jadła lub piła - upierała się Christina. - A tej nocy sam zauważyłeś, że jestem bardzo silna.

- Czemu mi to mówisz? - Życie Henry'ego obracało się wokół tych chwil, które spędzali w jego ogromnym łożu z baldachimem. Była idealna. Inaczej by się z nią nie widywał.

- Norfolk uznał mnie za wampira. - Pochwyciła wzrokiem jego spojrzenie i nie puszczała, chociaż próbował się uwolnić. - Potem ci to udowodni. Powie, że skoro nie jestem tym, za co mnie uważa, z pewnością przyjdę do ciebie w dzień - zrobiła przerwę, a jej głos stał się lodowaty. - A ty z ciekawości rozkażesz mi to. A wtedy albo ucieknę i już nigdy cię nie zobaczę, albo umrę.

- Nigdy... nigdy bym ci nie rozkazał...
- Rozkazałbyś, gdybyś nie wierzył, że jestem wampirem. Dlatego ci to mówię.
Usta Henry'ego otworzyły się i zamknęły w straszliwej ciszy, a kiedy wreszcie przemówił, jego głos był drżącą karykaturą normalnego brzmienia.
- Ale widziałem, jak przyjmujesz sakrament.
- Jestem tak samo dobrą katoliczką jak ty, Henry. Nawet może lepszą, bo ty masz więcej do stracenia, jeśli zmniejszy się upodobanie króla do mszy. - Uśmiechnęła się z lekkim smutkiem. - Nie jestem diabelską istotą. Urodziłam się z dwojga śmiertelnych rodziców.
Nigdy nie widział jej w dzień. Nigdy nie widział, jak je czy pije. Była o wiele silniejsza, niż powinna z uwagi na płeć i wagę. Ale przyjmowała sakramenty, a jego noce wypełniała niemalże boską chwałą.
- Urodziłaś się - głos Henry'ego brzmiał już prawie normalnie. - Kiedy?
- W 1337 roku, kiedy Edward Trzeci zasiadł na tronie. Dziadek twojego dziadka, nie został jeszcze wtedy poczęty.
Łatwo było myśleć o niej jak o piękności bez wieku, nieziennej przez stulecia. A kiedy już się tak pomyślało, równie łatwo było uwierzyć w resztę.
Wampir.
Wyczytała zgodę z jego twarzy i rozłożyła szeroko ramiona. Luźna szata opadła na podłogę. Teraz, kiedy już wiedziała, że Henry nie odwróci spojrzenia, uwolniła je.
- Wygnasz mnie? - zapytała miękko, obejmując go. - Wydasz mnie na stos? Czy też będziesz miał siłę mnie kochać i być przeze mnie kochanym?

Płonący w kominku ogień rzucał na ścianę jej meń. Anioł czy diabeł, Henry'emu było wszystko jedno. Należał do niej i jeśli miał tym sposobem skazać duszę na potępienie, trudno, niech tak się stanie. W odpowiedzi otworzył przed nią ramiona.
Kiedy wtulała się w niego, przycisnęła usta do jej pachnących hebanowych włosów i wyszeptał:
- Czemu nigdy ze mnie nie piłaś?
- Robiłam to.
- Nigdy nie zostawiłaś śladu na moim gardle... - Zmarszczył brwi.
- Gardła są zbyt publiczne. - Poczuł, jak się uśmiecha w jego klatkę piersiową. - A gardło to nie jedyna część twojego ciała, na której spoczęły moje usta.
Podczas gdy się rumienił, ona zsunęła się w dół, by poprzeć słowa czynem. W jakiś sposób świadomość, że zaspokajając jego, zaspokajała też swój głód, doprowadziła Henry'ego do niemal nieznośnej ekstazy. To było warte nawet piekła.

- To twój pomysł, prawda?
Książę Norfolk skinął głową. Jego oczy krył cień, a wokół ust pojawiły się głębokie bruzdy, których jeszcze miesiąc temu nie było.
- Tak - przyznał. - Ale dla twojego dobra.
- Dla mojego dobra? - Henry roześmiał się gorzko. - Chyba raczej dla twojego. To cię przybliży do tronu. - Z satysfakcją dostrzegł, że Norfolk się wzdygnął. Tak naprawdę wcale nie wierzył, że starszy mężczyzna wykorzystuje go, by zwiększyć własne wpływy. Książę już nieraz dowiódł swojej przyjaźni. Ale Henry właśnie odbył wyjątkowo przykrą rozmowę z ojcem i musiał się na kimś wyżyć. „Poślubisz Mary, córkę Norfolka, jeszcze w tym miesiącu. Spędzicie Boże Narodzenie na dworze, a potem osiadacie w twojej posiadłości w Richmond i nigdy już nie pojedziesz do Sheriffhuton”. Norfolk westchnął i położył dłoń na ramieniu Henry'ego. Jego rozmowa z ojcem młodego księcia też nie należała do przyjemnych.
- Król podejrzewa to, czego nie wie. Podsunąłem mu sposób na zakończenie tego wszystkiego. Henry strząsnął z siebie jego dłoń. Już nigdy nie jechać do Sheriffhuton. Już nigdy jej nie zobaczyć. Nie słyszeć jej śmiechu, nie czuć jej dotyku. I nigdy nie dotknąć jej w zamian. Miał ochotę wyć, ale za cisnął zęby i powstrzymał się.
- Nic nie rozumiesz - burknął i odszedł, zanim łzy, które już zbierały się w oczach, okryły go wstydem.
- Christina... - Podbiegł do niej, rzucił się do kolan i ukrył twarz w jej łonie. Na tę chwilę dotyk i głos kobiety stały się całym jego światem. Wreszcie zebrał siły, by się od niej oderwać i spojrzeć jej w twarz. - Co ty tu robisz? Ojciec i Norfolk, a może nie tylko oni, coś podejrzewają. Jeśli cię znajdą... Przesunęła chłodnymi palcami po linii jego brwi. - Nie znajdą. Za dnia mam bezpieczne schronienie, a nie zostało już tyle wspólnych nocy, by zdążyli nas znaleźć - przerwała i ujęła jego twarz w dłonie. - Wyjeżdżam, ale nie mogłam tego zrobić bez pożegnania.
- Wyjeżdżasz? - powtórzył z głupią miną. Skinęła głową, a jej rozpuszczone włosy opadły

na twarz.

- W Anglii zrobiło się dla mnie zbyt niebezpiecznie.

- Ale gdzie...

- Myślę, że do Francji. Na razie.

- Zabierz mnie ze sobą. Nie mogę żyć bez ciebie. - Chwycił ją za dłonie.

Sarkastyczny uśmiezek wykrzywił jej usta.

- Ze mną też nie możesz żyć - przypomniała mu.

- Żyć, umrzeć, nieżywy, nieumarły. - Poderwał

się na nogi i rozłożył ramiona. - Nie obchodzi mnie to, póki jestem z tobą. - Jesteś bardzo młody.

W jej głosie nie słyszał przekonania, a na twarzy dało się dostrzec wahanie. Chciała go! O błogosławiony Jezu i wszyscy święci, chciała go!

- Ile miałaś lat, gdy umarłaś? - zapytał.

- Siedemnaście. - Przygryzła wargę.

- Za dwa miesiące skończę siedemnaście lat. - Znowu padł przed nią na kolana. - Czy nie możesz zaczekać?

- Dwa miesiące...

- Tylko dwa - nie potrafił ukryć triumfalnych tonów pobrzmiwających w jego głosie. - A potem będziesz miała mnie na całą wieczność.

Roześmiała się i przyciągnęła go do piersi.

- Masz o sobie wysokie mniemanie, milordzie.

- Mam - zgodził się odrobinę zduszonym głosem. - Jeśli twoja żona tu wejdzie...

- Mary? Ma swoje komnaty i z radością w nich pozostaje. - Nie wstając z kolan, pociągnął ją na łóżko.

Dwa miesiące później zaczęła z niego pić co noc, tyle, ile tylko zdołał znieść.

Norfolk postawił strażników przy jego sypialni. Henry, po raz pierwszy zachowując się jak syn swojego ojca, odesłał ich.

Minęły kolejne dwa miesiące. Podczas gdy szanowani medycy drapali się po głowach, próbując odkryć przyczynę jego osłabienia, a Norfolk przetrząsał okolicę w bezowocnych poszukiwaniach, Christina

kolejny raz przyciągnęła Henry'ego do piersi, a on wypił krew wiecznego życia.

- Chwila... jesteś nieślubnym synem Henryka VIII?

- Właśnie. - Henry Fitzroy, niegdyś książę Richmond i Somerset, hrabia Nottingham i kawaler Orderu Podwiązki, oparł czoło o zimną szybę i spojrzał na światła Toronto. Od dawna nie opowiadał tej historii. Już zapomniiał, jak go to wyczerpuje.

Vicki zerknęła na książkę o Tudorach, którą trzymała rozłożoną na kolanach, i popukała palcem w akapit.

- Tu jest napisane, że zmarłeś w wieku siedemnastu lat.

- Cóż, polepszyło mi się. - Henry otrząsnął się

z letargu i odwrócił do niej. - Nie wyglądasz na siedemnaście lat. - Zmierzyła go krytycznym wzrokiem. - Około dwudziestu pięciu, powiedziałabym. Nie mniej.

- Starzejemy się, ale powoli. - Wzruszył ramionami.

- Tu nic na ten temat nie napisano, ale czy z twoim pogrzebem nie wiązała się jakaś tajemnica? - Widząc jego zaskoczenie, uśmiechnęła się lekko, na tyle, na ile pozwalał jej stan szczęki. - Mam licencjat z historii.

- To chyba dość niezwykle wykształcenie jak na kogoś w tym fachu?

Uświadomiła sobie, że miał na myśli pracę prywatnego detektywa, ale jak na policjanta to też było niezwykle. Gdyby dostawała centa za każdego, zwykle zwierchnika, kto wygłaszał przy niej stare powiedzenie: „Ci, którzy nie uczą się na przeszłych błędach, będą je popełniać”, miałyby teraz spory majątek.

- W niczym mi to nie przeszkadza - odparła nieco sarkastycznie. - Co z tym pogrzebem?

- Nie takiego się spodziewałem, to pewne. - Złożył razem dłonie, chcąc opanować ich drżenie. Choć z tym walczył, wspomnienia wróciły...

Przebudzenie - zaskoczenie i dezorientacja. Powoli stał się świadom bicia własnego serca i to pozwoliło mu dojść w pełni do zmysłów. Jeszcze nigdy nie był w ciemnościach tak kompletnych i choć pamiętał uspokajające słowa Christiny, wpadł w panikę. Ta wzmogła się, kiedy spróbował rzucić wieko z krypty i odkrył, że nie może się ruszyć. Nad nim nie było kamienia, ale zwykłe drewno, tak blisko, że oddychając, ocierał się klatką piersiową o deski. A wokół pachniało ziemią. Nie krypta szlachcica, tylko zwykły grób.

Wrzeszczał, póki nie zdarł zupełnie gardła, wił się i rzucał, korzystając z tej odrobiny swobody ruchów, jaką miał, ale chociaż deski trzeszczały, spoczywającego na nich ciężaru nie dało się ruszyć. Znieruchomiał, zrozumiał, że jeśli zniszczy trumnę, zasypie go ziemia, a to będzie jeszcze gorsze. I wtedy zaczął się głód. Henry nie miał pojęcia, jak długo tak leżał, sparaliżowany strachem, z szaleńczym pragnieniem skręcającym wnętrzności. Niewiele brakowało, by oszalał, gdy wreszcie usłyszał nad sobą, jak łopata wbija się w ziemię.

- Wiesz - przesunął dłonią po twarzy. W jego głosie wciąż slychać było echo tamtego strachu - istnieje całkiem rozsądny powód, dla którego większość wampirów wywodzi się ze szlachty: z krypty o wiele łatwiej wyjść. Pochowano mnie na odludziu, do tego głęboko, i Christine zajęło trzy dni, nim mnie znalazła i odkopała. - Czasem, mimo że minę

ły cztery stulecia, budził się wieczorem i znowu tam był. Sam. W ciemności. Wobec wieczności.

- Więc twój ojciec - Vicki zacięła się lekko. Miała problem z wypowiedzeniem reszty zdania - Henryk VIII, naprawdę miał podejrzenia?

Henry roześmiał się, ale nie był to śmiech wesoły.

- Och, nie tylko podejrzewał. Odkryłem później, że kazał przebić mi serce kołkiem, wypchać usta czosnkiem, potem zaszyć, a wreszcie odciąć głowę i pochować osobno. Dzięki Bogu, Norfolk do końca pozostał prawdziwym przyjacielem.

- Widziałeś się z nim jeszcze kiedyś?

- Kilka razy. Rozumiał to wszystko lepiej, niż się spodziewałem.

-A co stało się z Christineą?

- Przeprowadziła mnie przez to szaleństwo, które następuje po przemianie. Pilnowała, kiedy spałem przez rok, a moje ciało dostosowywało się do nowych warunków. Nauczyła, jak pić, nie zabijając. A potem odeszła.

- Odeszła? - Brwi Vicki podjechały w górę z niedowierzaniem. - Po tym wszystkim odeszła?

Henry znowu się odwrócił, żeby spojrzeć na światła miasta. Mogła gdzieś tam być, tego się nigdy nie dowie. I, musiał przyznać z lekkim smutkiem, niezbyt się tym przejmował.

- Kiedy więz rodzica z dzieckiem się kończy, wolimy polować samotnie. Najsilniejsze związki tworzymy, gdy pijemy, a nie możemy pić z siebie nawza-

jem. - Oparł dłoń o szkło. - Emocjonalna więź czy miłość, jeśli tak chcesz ją nazywać, która sprawia, że ofiarujemy krew śmiertelnikowi, znika podczas przemiany.

- Ale wciąż mogliście...

- Tak, ale to nie to samo. - Strząsnął z siebie melancholię i spojrzał na Vicki. - To też jest zbyt mocno powiązane z pićciem.

- Och... Więc te historie o wampiryzm... eee...

- Mistrzostwie? - podsunął z uśmiechem Henry. - Są prawdziwe. Ale my mamy dużo czasu na praktykę.

Zrobiło jej się gorąco i musiała opuścić wzrok. Czteryście pięćdziesiąt lat praktyki... Mimowolnie zacisnęła zęby, a nagły ból szczęki okazał się bardzo pożądanym sposobem na odwrócenie uwagi. „Nie dziś, głowa mi pęka”. Zamknęła książkę i ostrożnie odłożyła na bok, zerkając przy tym na zegarek.

4:43. „Słyszałam w życiu różne ciekawe wyznania, ale to...” Oczywiście mogła w to wszystko nie uwierzyć. Uciec z tego mieszkania i od tego szaleńca, a potem zadzwonić po ludzi w białych fartuchach, żeby zamknęli pana Fitzroya, nieślubnego syna Henryka VIII itd., itp., tam, gdzie jego miejsce. Tyle że Vicki uwierzyła i próba przekonania samej siebie, że jest inaczej, oznaczałaby przyjęcie kłamstwa.

- Czemu mi to wszystko opowiedziałeś? - zapytała wreszcie.

Henry wzruszył ramionami.

- Uznałem, że mam dwa wyjścia: zaufać albo .zabić Gdybym ci najpierw zaufał - rozłożył ręce a później odkrył, że to zły pomysł, zawsze zdążyłbym cię zabić, zanim narobisz szkód.

- Chwileczkę - oburzyła się Vicki. - Mnie nie tak łatwo zabić!

Stał przy oknie, jakieś dwa, dwa i pół metra od niej. Nie minęło nawet jedno uderzenie serca, a już siedział tuż obok, obie ręce trzymając przy jej szyi. Nie zdążyłaby go zatrzymać. Nawet nie zauważyła, gdy się poruszył.

-Och.

Opuścił ręce i kontynuował jak gdyby nigdy nic.

- Ale gdybym najpierw cię zabił, nic by się z tym już nie dało zrobić. Poza tym sądzę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

- Jak? - Z bliska wydawał jej się przytłaczający i musiała się przemóc, by się nie odsunąć. Albo nie przysunąć. „Czteryście pięćdziesiąt lat to dość czasu, żeby wyrobić sobie silną osobowość”, zauważyła,

spuszczając wzrok na białą aksamitną tapicerkę.

- Demon poluje w nocy. Tak jak ja. Ale ten, kto go wzywa, jest śmiertelnikiem i prowadzi dzienny tryb życia.

- Sugerujesz współpracę?

- Tak. Póki nie schwyta my demona.

Przesunęła dłonią po aksamicie w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, a potem spojrzała mu w oczy. „Jasnobrązowe. Miałam rację”.

- Czemu się tym przejmujesz?

- Złapaniem demona? - Henry wstał i podszedł znów do okna. - Nie przejmuję się, nie tym konkretnie, ale gazety obwiniają za te morderstwa wampiry i narażają nas na niebezpieczeństwo. - W dole, na ulicy, światła pojedynczego samochodu przyspieszyły w stronę Jarvis Street. - Do niedawna myślałem nawet, że to jeden z nas. Dziecko, porzucone, nie-nauczone.

- To znaczy celowo zostawione samo sobie?

- Być może. A może rodzic nawet nie wiedział, że stworzył dziecko.

- Mówiłeś, że musi istnieć emocjonalna więź, by do tego doszło.

- Nie, mówiłem, że ta więź nie wytrzymuje przemiany, a nie że musi istnieć. Mój gatunek może tworzyć dzieci tak samo przypadkowo jak twój. W zasadzie jedyne, czego potrzeba, to by wampir zbyt wiele wypił ze śmiertelnika, a śmiertelnik napił się z wampira.

- Śmiertelnik napił się z wampira? Jakim cudem mogłoby do tego dojść?

Odwrocił się, by spojrzeć jej w twarz.

- Wnioskuje - powiedział sucho - że nie jesteś jedną z tych kobiet, które gryzą w trakcie.

Vicki poczuła, że płoną jej policzki, i pospiesznie zmieniła temat.

- Szukałeś dziecka?

- Dziś w nocy? - Henry pokręcił głową. - Nie, dziś wiedziałem, że szukam demona. - Podszedł do kanapy i pochylił się nad nią w stronę Vicki, opierając się rękami o polerowane drewno podłokietnika. - Kiedy zabójstwa się skończą, skończą się też artykuły, a wampiry staną się na powrót mitem i wspomnieniem gatunkowym. Wolimy, by tak właśnie było. Co

więcej, ciężko pracujemy nad utrzymaniem takiego stanu rzeczy. Jeśli gazety przekonają czytelników, że istniejemy, oni mogą nas znaleźć. Nasze zwyczaje są zbyt dobrze znane. - Podchwycił jej spojrzenie, przytrzymał je i w przerażający sposób odsłonił zęby. - Ja na przykład nie mam zamiaru skończyć z kołkiem w piersi za coś, czego nie zrobiłem.

Kiedy ją uwolnił - Vicki nie zamierzała się oszukiwać: gdyby na to nie pozwolił, nie byłaby w stanie odwrócić spojrzenia - zgarnęła cały bajzel ze stolika z powrotem do torby i wstała. Chociaż mogła patrzeć mu prosto w twarz, skupiła wzrok na punkcie tuż nad jego prawym ramieniem.

- Muszę to przemyśleć - starała się, żeby w jej

głosie nie było żadnych emocji. - To, co mi powiedziałeś... Cóż, muszę to przemyśleć. - Marnie, ale na nic lepszego nie mogła się zdobyć.

- Rozumiem. - Henry skinął głową.

- Więc mogę iść?

- Możesz.

Skinęła mu na pożegnanie i sięgając do kieszeni po rękawiczki, skierowała się w stronę drzwi.

- Victorio.

Vicki nigdy nie wierzyła, że w imionach może tkwić jakaś moc ani że ich wypowiedzenie przekażywało tę moc komuś innemu, ale teraz po prostu musiała się odwrócić w stronę Henry'ego.

- Dziękuję, że nie zaproponowałaś, bym to wszystko opowiedział policji.

- Policji? - prychnęła. - Czy ja wyglądam na głupią?

- Nie. - Uśmiechnął się.

„Miał dużo czasu na wyćwiczenie tego uśmiechu do perfekcji”, przypomniała sobie, próbując uspokoić serce, nagle pobudzone do szybszego bicia. Sięgnęła za siebie w poszukiwaniu klamki, otworzyła drzwi i uciekła. Mimo że była już sama, potrzebowała chwili na złapanie oddechu. „Wampiry. Demony. O tym cholerstwie nie uczą w akademii policyjnej...”

ROZDZIAŁ 7

Wiele brakowało, by ulice w centrum utonąły w mroku. Na Woodbine, gdzie paliło się o wiele mniej świateł, Vicki poradziła sobie całkiem nieźle, postanowiła zatem wracać do domu na piechotę. Podniosła kołnierz, chcąc ochronić się przed wiatrem, wcisnęła dłonie w rękawiczkach w kieszenie, bardziej z przyzwyczajenia, niż żeby je ogrzać,

i ruszyła Bloor Street na zachód. Nie miała daleko, a potrzebowała przemyśleć parę spraw. Chłodne powietrze dobrze robiło jej obolałej szczęce, pomagało też na szum w głowie. Chociaż musiała uważać, by nie stukać zbyt mocno obcasami po chodniku, zdecydowanie wolała spacer od wytrząsania, jakie by jej zafundowano na siedzeniu taksówki. No i potrzebowała pomyśleć. Wampiry i demony albo jeden wampir i jeden demon - co najmniej. Przez osiem lat służby Vi-cki widziała wiele dziwnych rzeczy i musiała uwierzyć również w takie, których istnienie nawet najbardziej rozsądni ludzie - z wyjątkiem policjantów i pracowników społecznych - woleli ignorować. Po tych wszystkich okrucieństwach, jakie silni potrafili zastosować wobec słabych, wampiry i demony nie wydawały się aż tak niewiarygodne. A ten wampir wyglądał na jednego z „tych dobrych”. W myślach znowu zobaczyła jego uśmiech i powstrzymała się zdecydowanie, by na niego nie odpowiedzieć.

Na Yonge Street skręciła na południe, czekając na przejściu dla pieszych na zielone bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Chociaż skrzyżowanie nie tonęło w świetle, z całą pewnością nie panowała tam ciemność, a poranny ruch jeszcze się nie zaczął. Nie tylko Vicki szła ulicą. Na Yonge Street

nigdy nie było całkiem pusto, ale ci, których praca czy styl życia sprawiały, że pozostawali na nogach między północą a świtem, ostrożnie i niemal niezauważalnie schodzili kobiecie z drogi.

- To dlatego, że chodzisz jak glina - wytłumaczył jej kiedyś Tony. - Po jakimś czasie każdy z was upodabnia się do pozostałych. W mundurze czy bez, to już nie ma znaczenia.

Vicki nie miała powodów, by mu nie wierzyć, sama widziała efekty. Tak samo nie miała powodów, by nie wierzyć Henry'emu Fitzroyowi, bo sama też widziała demona.

„Mrok poruszał się w mroku i znikł”. Dostrzegła tylko kształt wsiąkający w ziemię i bardzo ją to cieszyło. Niewyraźny obrys, który zapamiętała, był tak przerażający, że jej umysł uciekał od tego wspomnienia. Ale zapach padliny pamiętała już doskonale.

Ale ani widok, ani zapach nie przekonały jej, że Henry mówił prawdę. Oba można było sfingować, chociaż nie rozumiała, jak i dlaczego ktoś miałby to zrobić. Przekonała ją jej własna reakcja. Jej własny strach. To, że umysł nie chciał przywołać wspomnienia tego, co widziała. Zło, lekkie i zimne, emanujące z ciemności.

Vicki szczerzej owinęła się płaszczem, chociaż I zimno, które przeniknęło ją aż do kości, nie miało nic wspólnego z temperaturą.

Demon. Teraz przynajmniej wiedzieli, czego szukają. Wiedzieli? Nie, ona wiedziała. Skrzywiła się w parodii uśmiechu, kiedy wyobraziła sobie, jak wyjaśnia wszystko Mike'owi Celluciemu. Nie było go tam, pomyślałaby, że zwariowała. „Do diabła, gdyby

mnie tam nie było, sama bym pomyślała, że zwariowałam”. Poza tym nie mogła nic powiedzieć Celluciemu, nie zdradzając Henry'ego...

Henry. Wampir. Jeśli nie był tym, za kogo się podawał, dlaczego wymyślił tak skomplikowaną historię?

„Nieważne” zganiła się. „Głupie pytanie”. Znała patologicznych kłamców: paru aresztowała, z jednym pracowała, i „dlaczego” nie stanowiło dla nich problemu.

Historia Henry'ego była tak skomplikowana, że musiała być prawdziwa. Prawda?

Zatrzymała się na rogu College Street. Przecznicę dalej, na zachodzie, widniały światła komendy głównej. Mogłaby tam pójść, napić się kawy, pogadać z kimś, kto by zrozumiał. „Demony i wampiry, jasne”. Nagle budynek komendy wydał się bardzo daleko.

Mogła go minąć, iść na zachód, do Huron Street i do domu. Ale mimo tego, co zaszło, nie była zmęczona i nie chciała się zamykać w czterech ścianach, póki nie wygoni mroku, który czaił się w cieniach. Zaczekała, aż przejedzie tramwaj - kapsuła ciepła i światła, pusta, nie licząc kierowcy - i ruszyła na południe, do Dundas.

Zbliżała się już do Eaton'a Center, ogromnego budynku z cementu i szkła, kiedy usłyszała wybijające godzinę dzwony katedry Świętego Michała. Za dnia zagłuszały je odgłosy miasta, ale w ciszy przed świtem dźwięk wibrował i odbijał się echem w całym centrum. Odezwały się kolejne, mniejsze dzwony, ale te ze Świętego Michała było słycać naj-głośniejsze.

Nie do końca wiedząc, dlaczego to robi, Vicki podążyła do źródła dźwięku. Kiedyś, jeszcze jako mundurowa, goniła dilerów po schodach katedry. Dopadł drzwi i zaczął domagać się azylu w świętym miejscu. Ale drzwi były zamknięte. Najwidoczniej nawet Bóg nie ufał nocy w sercu wielkiego miasta. Diler szarpał się przez całą drogę do radiowozu i nie wydawał się rozbawiony tym, że Vicki i jej partner nazywali go Quasimodo.

Spodziewała się, że masywne drewniane drzwi znów będą zamknięte, ale ku jej zaskoczeniu, pochnięte, otworzyły się cicho. Starając się również nie hałasować, wślizgnęła się do środka i zamknęła

je za sobą.

„Prosimy o ciszę”, informował tekturowy znak na lśniącym cynowym stojaku. „Obchody Wielkiego Tygodnia. Czuwanie”.

Gumowe podeszwy butów skrzypiały lekko na posadzce, kiedy Vicki podchodziła do ołtarza. Paliła się tylko połowa świateł, przez co kościół tonął w nierzeczywistym, niemal mitycznym półmroku. Vicki widziała, ale ledwo ledwo i tylko dlatego, że nie skupiała wzroku na niczym poza centrum. Ksiądz klęczał przy ołtarzu, a najbliższe rzędy ławek zapełniały ubrane na czarno krępe kobiety, jakby odlane z jednej formy. Cichy dźwięk szeptanych modlitw, jak zauważyła Vicki, i delikatny stukot przesuwanych w dłoniach różańców nie zakłócały ciężkiej ciszy panującej w budynku. Czekanie. To sprawiało wrażenie czekania. Na co, Vicki nie miała pojęcia.

Zauważyła migotanie żywego płomienia i przeszła w stronę bocznego ołtarza, aż zajrzała do wnęki w południowej ścianie. Trzy z czterech rzędów świeczek w czerwonych słoiczkach ze szkła sięgały aż do fresku lśniącego w świetle pojedynczego reflektora. Madonna, ubrana w błękit i biel, rozkładała ramiona, jakby chciała nimi objąć znękany świat. Uśmiech obiecywał ukojenie, a w oczach artysta zawarł smutek.

Jak wielu z jej pokolenia, Vicki nie miała za dużo do czynienia z chrześcijańskim wychowaniem. Potrafiła rozpoznać symbole Kościoła, znała historię, ale to wszystko. Nie po raz pierwszy dotarło do niej, że może straciła coś bardzo ważnego. Ściągnęła rękawiczki i usiadła w ławce.

„Nawet nie wiem, czy wierzę w Boga”, przyznała się przepraszająco freskowi. „Ale do dzisiejszej nocy nie wierzyłam w wampiry”.

W katedrze było ciepło, a popołudniowa drzemka wydawała się Vicki bardzo odległa. Powoli zsuwała się coraz niżej po polerowanym drewnie, a twarz Madonny zaczęła się rozmazywać...

W pobliżu coś się rozbiło, a donośny dźwięk pozwolił doświadczonemu uchu rozpoznać, że zostało brutalnie rzucone na podłogę. Vicki wyprostowała się, otworzyła oczy, ale nie miała dość sił, by się ruszyć. Siedziała na wpół zsunięta z ławki, niczym w transie, podczas gdy odgłosy zniszczeń były coraz bliżej. Słyszała krzyczących ludzi, bardziej zadowolonych z rozróżnienia słów.

W reflektorze we wnęce chyba przepaliła się żarówka. Otoczona cieniem, oświetlona tylko rzędami migoczących świeczek, Madonna wciąż uśmiechała się smutno, otwierając ramiona przed światem. Świeczki były niewielkie i białe, a wosk spływał w dół nierównymi strumyczkami i zastygał na metalowych stojakach i kamiennej podłodze.

„Ale świece były w świecznikach... a na podłodze, na podłodze był dywan...”

Trzask, bliższy i głośniejszy niż pozostałe, sprawił, że Vicki się wzdrgnęła, ale nie wyrwała ze stuporu unieruchamiającego ją w ławce.

Najpierw zobaczyła ostrze siekiery, potem trzonek i wreszcie tego, kto ją trzymał. Szedł w stronę bocznego ołtarza od ołtarza głównego. Jego ciemne ubranie obsypane było gipsowym pyłem, a Vicki wydawało się, że za rozpiętą skórzaną kamizelką dojrzała coś złotego i migoczącego. Światło świec odbijało się w odłamkach kolorowego szkła uczeponych wierzchu wiązanych butów. Pot przyciemnił jego krótkie włosy, na głowie miał ranę po tępym ciosie, a uniesione wargi odsłaniały żółte zęby. Zatrzymał się przy wejściu do wnęki, złapał oddech i unosił siekiere do ciosu.

Ostrze zatrzymało się niemal przy samym uśmiechu Madonny, zaś trzonek we wzniesionej ręce młodego mężczyzny, który stanął napastnikowi na drodze. Człowiek z siekierą zaklął i próbował wyrwać broń. Siekiera została dokładnie tam, gdzie była.

Vicki widziała, jak młody mężczyzna delikatnie obrócił nadgarstek, a potem opuścił ramię, ale musiał zrobić coś więcej, bo napastnik znowu zaklął, rozluźnił chwyt i prawie się przewrócił. Cofnął się, a Vicki mogła się wreszcie przyjrzeć młodemu mężczyźnie, który teraz trzymał siekiere.

Henry. Rzędy migoczących świeczek za plecami oświetlały jego rudozłote włosy i sprawiały, że wyglądał, jakby miał aureolę. Ubrany był w barwy Madonny - biała lamówka na kołnierzu i mankietach, biała koszula wyglądająca spod podciągniętych rękawów jasnoniebieskiej kurtki. Jego oczy, ukryte w cieniu, zwięzły się, a ręce uniosły w górę.

Siekiera uderzyła. Dźwięk, z jakim pękła, odbił się echem we wnęce, tak jak i odgłosy toczących się po podłodze kawałków. Vicki nie zauważyła, kiedy

Henry się poruszył, ale przez chwilę napastnik wisiał uniesiony w powietrze za przód kamizelki, machając nogami nad marmurową podłogą.

- Błogosławiona Dziewica jest pod moją ochroną - powiedział Henry, a ciche słowa zawierały w sobie większą groźbę niż jakakolwiek broń.

Napastnik otworzył i zamknął usta, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wisiał bezradny i przerażony. Kiedy został uwolniony, opadł na kolana, najwidoczniej nie będąc w stanie oderwać wzroku od twarzy Henry'ego.

Wampir przypominał Vicki anioła zemsty, gotowego w każdej chwili wyciągnąć płonący miecz i

porazić nim wrogów Pana, Napastnik też chyba doświadczył podobnej wizji, bo jęknął i uniósł błagalnie ręce.

Henry odsunął się i pozwolił jeńcowi odwrócić wzrok.

- Idź - rozkazał.

Wciąż na kolanach, napastnik posłuchał. Czołgał się w tył, póki nie znikł z pola widzenia Vicki.

Henry patrzył za nim jeszcze chwilę, potem odwrócił się, przeżegnał i ukląkł. Nad jego pochyloną głową Vicki spojrzała w oczy namalowanej Madonny. Jej powieki zrobiły się ciężkie i jakby z własnej woli opadły w dół.

Kiedy uniosła je ponownie chwilę później, reflektor znów działał, świece stały w czerwonych słoiczkach, a rudozłota głowa wciąż pochylała się przed freskiem.

Nieemożność poruszenia się chyba jej przeszła. Vicki, wstała więc i wyszła z ławki, zmierzając w stronę wnęki.

- Henry...

Na dźwięk swojego imienia przeżegnał się, wstał i odwrócił do niej, poprawiając czarny skórzany płaszcz.

- Co...

Pokręcił głową, położył palec na ustach i ujmując ją delikatnie pod rękę, wyprowadził ze świętego miejsca.

- Dobrze ci się spało? - zapytał, wypuszczając jej ramię, gdy potężne drewniane drzwi zamknęły się za nimi.

- Spało? - powtórzyła Vicki, przeczesując dłonią przed

włosy. - Tak, chyba dobrze.

Henry spojrział na nią z niepokojem wypisanym na twarzy.

- Wszystko w porządku? Twoja głowa dopiero co dość mocno ucierpiała.

- Nic mi nie jest. - To musiał być sen. - Nie masz akcentu. - W jej śnie miał.

- Straciłem go lata temu, kiedy przyjechałem do Kanady tuż po drugiej wojnie światowej. Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. - Zaczęła schodzić po stopniach prowadzących z katedry.

Henry westchnął i ruszył za nią. Czytał, że po wstrząsie mózgu sen niekoniecznie musi służyć, ale wszedł do środka zaraz po niej, długo nie spała.

„To tylko sen”, powiedziała sobie stanowczo Vicki, kiedy skręcili na północ. „Z wampirami i demonami jakoś dam sobie radę, ale o objawieniach nie ma mowy”. Ale nie pojmowała, czemu śniła o Henrym Fitzroyu broniącym malowidła Świętej Dziewicy przed kimś, kto wyglądał jak jeden z jajogłowych Cromwella. „Może to znak”. A może skutek uderzenia w głowę. Tak czy inaczej, jej kilka wcześniejszych wątpliwości co do Jego Eks Wysokości Królewskiego Bękarta zniknęło i choć była skłonna zważyć sprawę raczej na podświadomość niż boską interwencję, postanowiła mieć otwarty umysł. Na wszelki wypadek. „Chwileczkę...”

- Śledziłeś mnie!

Henry uśmiechnął się z rezerwą.

- Właśnie zdradziłem ci tajemnicę, która może mnie kosztować życie. Musiałem sprawdzić, jak sobie z nią radzisz.

Mimo irytacji Vicki musiała przyznać, że to ma sens. - I co?

- Ty mi powiedz. - Wzruszył ramionami. Poprawiła zsuwający się z ramienia pasek torby.

- Myślę - powiedziała powoli - że masz rację. Więcej osiągniemy, pracując razem. Więc póki co masz partnera. - Potknęła się o ciemną dziurę w chodniku, ale odzyskała równowagę, zanim Henry zdążył jej pomóc. - Ale powinieneś wiedzieć, że na ogół pracuję tylko w dzień - dodała sucho. To nie był odpowiedni moment na wyjaśnianie dlaczego. Jeszcze nie.

Henry skinął głową.

- Dni są w porządku. Ja ze względu na drobną nadwrażliwość na światło słoneczne wolę pracować w nocy. Razem mamy obstawione pełne dwadzieścia cztery godziny. - Rzucił szybkie spojrzenie na wschód, skąd, jak czuł, nadchodził już świt. - Muszę iść. Możemy wszystko omówić jutro wieczorem?

- O której?

- Jakies dwie godziny po zachodzie słońca? Będę miał czas, by coś przekąsić.

Znikł, zanim zdążyła zareagować. Albo się zgodzić.

- Zobaczmy, kto komu będzie jutro podrzucał kwestie - prychnęła i skręciła na zachód, w stronę domu.

Słońce było już na horyzoncie, kiedy dotarła do domu i ziewając tak mocno, że o mało zwichnęłyby sobie szczękę, zważyła się na łóżko.

Tylko po to, by jakieś czterdzieści pięć minut później zostać brutalnie obudzona...

- Gdzie! Ty! Byłaś! - Celluci podkreślał każde słowo mocnym potrząśnięciem. Vicki nigdy zaraz po przebudzeniu nie reagowała zbyt szybko. Dopiero kiedy skończył pierwsze zdanie, odepchnęła rękę, które zaciskał jej na ramionach.

- O czym ty, do cholery, mówisz, Celluci? - zapytała, jedną dłonią osłaniając oczy przed wszechobecnym światłem, a drugą sięgając po leżące na nocnym stoliku okulary.

- Jeden z mundurowych widział, jak tuż po północy nie więcej niż pięć przecznic od miejsca ostatniego zabójstwa przypominającą cię kobietę wrzucono do najnowszego modelu BMW. Chcesz mi wmówić, że nie byłeś w nocy w okolicy Woodbine? Vicki oparła się o poduszkę i poprawiła okulary.

- Od kiedy to, co robisz, jest twoją sprawą? - Nie było sensu z nim dyskutować, póki się nie uspokoił.

- Powiem ci od kiedy. - Zszedł z łóżka i zaczął chodzić w tę i z powrotem po sypialni: trzy kroki i obrót, trzy kroki i obrót. - Znalazłaś się w środku policyjnej akcji, a to jest moja sprawa. Znalazłaś się... - Nagle przystanął. Zmrużył oczy, wcelowując oskarżycielsko palec w jej szczękę. - Co cię uderzyło?

- Nic.

- „Nic” nie zostawiłoby sonej opuchlizny wielkości grejpfruta na twojej szczęce - warknął. - To był on, tak? Facet, który wsadził cię do samochodu. - Usiadł na łóżku i sięgnął, by obrócić twarz Vi-cki w stronę światła.

- Odbiło ci. - Odepchnęła jego rękę. - Skoro najwidoczniej nie masz zamiaru pozwolić mi się wyspać, póki nie zaspokoję twojej kompletnie nieracjonalnej ciekawości, to proszę: byłam tam. I, jak wciąż powtarzasz, nie widzę dobrze w ciemności... - Uśmiechnęła się słodko niczym żmija. - Tym razem miałeś rację. Lepiej ci?

Odpowiedział jej identycznym uśmiechem.

- Mów dalej - warknął.

- Poszłam z przyjacielem. Zabrał mnie do siebie, kiedy weszłam na słupek. Chciał się upewnić, że nic mi nie jest. Zadowolony? - Machnęła ręką w stronę drzwi i rzuciła się z powrotem na poduszki. - A teraz wynocha!

- Gówno, a nie zadowolony! - Walnął pięścią w materac. - Pomijając mojego partnera, jesteś najgorszym kłamcą na świecie i wciskasz mi absolutny kit! Co to za przyjaciel?

- Nie twoja sprawa.

- Gdzie cię zabrał?

- Też nie twoja sprawa. - Usiadła ponownie i przysunęła twarz bliżej jego. - Zazdrosny?

- Zazdrosny? Cholera, Vicki! - Uniósł dłoń, jakby znowu zamierzał nią potrząsnąć, ale opuścił je, gdy zmrużyła oczy i też podniosła rękę. - Mam sześć trupów. Nie chcę, żebyś była siódmym!

- Ale sam możesz stać na pierwszej linii ognia? - jej głos był niebezpiecznie niski.

- A co to ma do rzeczy? Ja miałem ze sobą połowę cholernej komendy. Ty byłaś sama.

- Och! - Złapała go za kłapy kurtki i pociągnęła w przód, aż ich nosy się zetknęły. - Więc się o mnie martwiłeś? - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Szczęka ją zabolęła, ale przynajmniej powstrzymało ją to przed rozszarpaniem Mike'a na strzępy.

- Oczywiście, że się martwiłem.

- Więc czemu tego po prostu nie powiedziałaś, zamiast mnie obrażać i oskarżać? - Popchnęła go tak mocno, że zleciał z łóżka i z trudem utrzymał się na nogach.

- Więc? - drażyła, kiedy już odzyskał równowagę. Odgarnął włosy z czoła i wzruszył ramionami. Wyglądał na zakłopotanego.

- Bo... To... Nie wiem.

Składając ręce na piersi, Vicki ostrożnie oparła się o poduszki. Biorąc pod uwagę, że w podobnych okolicznościach zrobiłaby dokładnie to samo, chyba musiała mu odpuścić. Poza tym bolała ją szczęka, bolała ją głowa, a w krwi miała tyle adrenaliny, że przez tydzień obyłyby się bez snu.

- Byłeś już w domu? - zapytała.

- Nie, jeszcze nie. - Przetarł dłonią zmęczone oczy.

Odłożyła okulary na nocny stolik i poklepała prześcieradło obok siebie.

Jakiś czas później coś sobie uświadomiła.

- Chwileczkę... uważaj na moją szczękę... oddałeś klucze do mojego mieszkania parę miesięcy temu... - Właściwie rzucił w nią nimi.

- Przedtem dorobiłem.

- Powiedziałaś, że nie masz kopii!

- Vicki, ty jesteś beznadziejnym kłamcą. A ja bardzo dobrym. Auuu! Bolało.

- Miało boleć.

- Nie, mamo, nie jestem chora. Wczoraj do późna pracowałam. - Vicki przytrzymała słuchawkę przy

uchu ramieniem i naląła sobie kawy.

Z drugiego końca linii dobiegło ją głębokie westchnienie.

- Wiesz, Vicki, miałam nadzieję, że kiedy odejdziesz ze służby, nie będę już musiała się o ciebie martwić. A tymczasem jest trzecia po południu, a ty jeszcze nie wstałaś!

Vicki nie potrafiła odgadnąć, co jedno miało wspólnego z drugim.

- Mamo, wstałam. Piję kawę. - Przełknęła głośno. - Rozmawiam z tobą. Czego jeszcze chcesz?

- Chcę, żebyś znalazła normalną pracę.

Vicki zignorowała tę uwagę, bo dobrze wiedziała, jak dumna była matka z jej policyjnych pochwał. Za jakiś czas, o ile już tak nie robiła, zdanie „moja córka, prywatny detektyw” będzie wtrącała w rozmowie równie często, jak kiedyś „moja córka, detektyw z wydziału zabójstw”.

- A poza tym twój głos brzmi dziwnie.

- Zderzyłam się ze słupem i mam spuchniętą szczękę. Trochę boli, gdy mówię.

- To stało się zeszłej nocy?

- Tak, mamo.

- Wiesz, że nie widzisz w ciemności... Teraz to Vicki westchnęła.

- Mamo, zaczynasz mówić jak Celluci. - Jak na zawołanie, Mike wyszedł z sypialni, wsuwając koszulę w spodnie. Vicki wskazała na dzbanek z kawą, ale pokręcił głową i zaczął wkładać płaszcz. - Mamo, zaczekaj chwilę. - Zakryła słuchawkę dłonią i obrzuciła mężczyznę krytycznym spojrzeniem. - Jeśli masz zamiar częściej tu nocować, lepiej przynieś z powrotem maszynkę. Wyglądasz jak terrorysta. Podrapał się po brodzie i wzruszył ramionami.

- Mam golarkę w pracy.

- A ubranie na zmianę?

- Jakoś wytrzymają ze mną te parę godzin. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie, by nie urazić ziele-

- To stało się zeszłej nocy?

- Tak, mamo.

- Wiesz, że nie widzisz w ciemności... Teraz to Vicki westchnęła.

- Mamo, zaczynasz mówić jak Celluci. - Jak na zawołanie, Mike wyszedł z sypialni, wsuwając koszulę w spodnie. Vicki wskazała na dzbanek z kawą, ale pokręcił głową i zaczął wkładać płaszcz. - Mamo, zaczekaj chwilę. - Zakryła słuchawkę dłonią i obrzuciła mężczyznę krytycznym spojrzeniem. - Jeśli masz zamiar częściej tu nocować, lepiej przynieś z powrotem maszynkę. Wyglądasz jak terrorysta. Podrapał się po brodzie i wzruszył ramionami.

- Mam golarkę w pracy.

- A ubranie na zmianę?

- Jakoś wytrzymają ze mną te parę godzin. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie, by nie urazić zielono-fioletowego sińca. - Podejrzewam, że nie posłuchasz, jeśli poproszę, byś była ostrożna?

Oddała mu pocałunek tak entuzjastycznie jak tylko mogła.

- Podejrzewam, że nie posłuchasz, jeśli poproszę, byś przestał być nadopiekuńczym sukinsynem?

Spojrzał na nią spode łba.

- Bo proszę, żebyś była ostrożna?

- Bo zakładasz, że nie będę. I że zrobię coś głupiego.

- Dobra. - Rozłożył ręce w geście poddania. - To co powiesz na to: nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił?

Rozważyła kwestię „dziś wieczorem składam wizytę wampirowi, co ty na to?”, ale ostatecznie po-
przestała na:

- Myślałam, że nie chcesz, bym zrobiła coś głupiego?

Uśmiechnęła się.

- Zadzwoń - obiecał, wychodząc.

- Mamo, jesteś tam jeszcze?

- Kochanie, nie wypuszczają mnie do domu przed piątą, więc gdzie indziej miałabym być? O co chodziło?

- Mike Celluci wychodził. - Przytrzymała telefon ramieniem i poszła zrobić tosty ciągnąc za sobą długi kabel.

- Znowu się z nim widzisz?

Ostatni kawałek chleba spleśniał na brzegach. Wyrzuciła go do śmieci i zadowolona się paczką bezimiennych ciasteczek z wiórkami czekoladowymi.

- Na to wygląda.

- Wiesz, co mówią o wiośnie i zakochiwaniu się... W jej głosie słychać było wątpliwości, więc Vicki zmieniła temat. Podczas tych kilku razy, kiedy się spotkali, matka polubiła Celluciego, ale uważała, że ze względu na ich temperamenty każdemu z nich lepiej byłoby z kimś spokojniejszym.

- Mamy wiosnę? - Za oknem wiatr miotał czymś, co mogło być deszczem, ale bardziej wyglądało na

deszcz ze śniegiem.

- Jest kwiecień, kochanie. To już wiosna. - Jasne, a jaka u ciebie pogoda? Matka roześmiała się.

- Pada śnieg.

Vicki otrzepała bluzę z okruszków i nalała sobie jeszcze kawy.

- Słuchaj, ta rozmowa będzie kosztowała wydział fortunę. - Jej matka od osiemnastu lat pracowała jako sekretarka dyrektora wydziału nauk przyrodniczych na Uniwersytecie Królewskim w Kingston i wykorzystywała swoje przywileje jak tylko mogła. - Wiesz, że lubię z tobą rozmawiać, ale po co właściwie dzwonisz?

- Cóż, zastanawiałam się, czy przyjedziesz na Wielkanoc.

- Wielkanoc?

- W ten weekend. Nie pracuję ani jutro, ani w poniedziałek, więc mogłybyśmy spędzić ze sobą całe cztery dni...

Ciemność, demony, wampiry i sześć ciał brutalnie odartych z życia.

- Raczej nie. W sprawie, nad którą pracuję, może w każdej chwili nastąpić przełom...

Wysłuchawszy jeszcze kilku komunałów i obiecawszy, że będzie dzwonić, Vicki rozłączyła się i poszła na ławkę do ćwiczeń odpokutować zjedzone ciastka i poczucie winy.

„Henry, tu Caroline. Mam bilety na Upiora na czwartego maja. Mówiłeś, że chcesz to zobaczyć, więc masz szansę. Daj znać w przeciągu kilku dni, czy idziesz”.

To była jedyna wiadomość na sekretarce. Henry pokręcił głową nad niejasnym poczuciem rozczarowania. Dlaczego Vicki Nelson miałaby dzwonić?

Dlaczego miałby chcieć, żeby zadzwoniła?

- No dobra - spojrzał na swoje odbicie w zabytkowym lustrze wiszącym nad stolikiem pod telefon - to teraz ty mi powiedz, czemu jej zaufałem. Okoliczności? - Potrząsnął głową. - Nie. W takich okolicznościach powinienem był się jej pozbyć. O wiele schludniejsze rozwiązanie i mniejsze ryzyko. Spróbujmy jeszcze raz. Przypominała ci kogoś? Jeśli żyjesz wystarczająco długo, a ty żyjesz, każdy ci kogoś przypomina.

Odwróciwszy się od lustra, westchnął i przeczesał dłonią włosy. Mógł zaprzeczać, ile tylko chciał, ale rzeczywiście mu kogoś przypominała, nie z wyglądu, ale z zachowania.

Ginevra Treschi była pierwszą śmiertelniczką,

ale w jej ramionach pozostawał sobą, nie musząc być nikim więcej. Ani mniej.

Kiedy odkrył, że elżbietańska Anglia to nie miejsce dla niego - jednocześnie zbyt podobna i niepodobna do tej Anglii, jaką znał - przeniósł się na południe, do Włoch i wreszcie do Wenecji. Wenecja miała wiele do zaoferowania komuś z jego rodzaju, bo miasto ożywało nocą i mógł pożywiać się, kiedy chciał.

Przypomniał sobie: to było w czasie karnawału, Ginevra stała na placu Świętego Marka, z boku, obserwując tłum przesuający się w przód i w tył niczym żywy kalejdoskop. Na tle tej gry pozorów sprawiała wrażenie tak bardzo prawdziwej, że Henry się zbliżył, a kiedy odeszła, ruszył za nią aż do domu jej ojca. Resztę nocy spędził, badając, kim ona jest.

Ginevra Treschi. - Nawet trzysta lat i wiele śmiertelniczek później to imię w jego ustach wciąż brzmiało jak modlitwa.

Następnej nocy, kiedy służba już spała, a dom pogrążył się w ciszy i ciemności, Henry wkradł się do jej pokoju. Bicie serca przyciągnęło go do łóżka. Delikatnie odsunął przykrycie. Mająca trzydzieści trzy lata wdowa nie była piękna, ale pełna życia, nawet we śnie. Co rusz przyłapywał się na tym, że się w nią wpatruje - tylko po to, by w chwilę później odkryć, że ona wpatruje się w niego.

- Nie chciałabym cię poganiać - powiedziała sucho. - Ale zaczynam marznąć i chciałabym wiedzieć, czy powinienam krzyknąć.

Miał zamiar przekonać ją, że to tylko sen, ale odkrył, że nie potrafi.

Dany im był prawie rok wspólnych nocy.

- Zakon? - Henry uniósł się na łokciu i odplątał długie pasmo hebanowych włosów owiniętych wokół jego szyi. - Wybacz mi bezpośredniość, bella, ale nie sądzę, żebyś się dobrze bawiła w zakonie.

- Enrico, ja nie żartuję. Jutro po porannej mszy przyłączę się do benedyktynek.

Przez chwilę Henry nie mógł wydusić ani słowa. Myśl o Ginevrze zamkniętej przed światem była jak cios w samo serce.

- Dlaczego? - wykrztusił wreszcie. Usiadła, obejmując ramionami kolana.

- Nie miałam wyboru: siostry albo Giuseppe Lemmo. - Skrzywiła usta, jakby właśnie skosztowała czegoś kwaśnego. - Zakon to mniejsze zło.

- Ale dlaczego w ogóle musisz wybierać? Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Podczas tych lat spędzonych poza światem zapomniałeś o kilku sprawach, kochany. Mój ojciec chce mnie wydać za signore Lemmo, ale łaskawie pozwoli mi poświęcić się służbie Bogu, jeśli w ten sposób pozbędzie się przeuczonej córki z domu -w jej głosie słychać było powagę. Przesunęła palcem po nagiej piersi Henry'ego. - Enrico, on się boi Inkwizycji. Że sprowadzę na rodzinę Papieskie Ogary - wykrzywiła usta. - Albo że sam będzie musiał im mnie zadenuncjować.

- Inkwizycja? - Henry spojrzał na nią w osłupieniu. - Ale ty nic nie zrobiłaś...

Uniosła brwi.

- Leżę tu z tobą, a niektórym, choć nawet nie wiedzą, czym jesteś, to wystarczy. Gdyby wiedzieli, że dobrowolnie oddaję się aniołowi ciemności - obróciła nadgarstek, ukazując małe nakłucie - stos byłby dla mnie zbyt wielką łaską. - Palec położony na ustach powstrzymał go przed wtrąceniem się. - Tak, tak, nikt nie wie, że jestem też kobietą, która ośmiela się używać swojego rozumu, a w tych czasach już samo to wystarczy. Gdyby mój mąż umarł i zostawił mi majątek albo gdybym miała syna, dziedzica jego nazwiska... - Wzruszyła ramionami. - Niestety...

Chwycił ją za rękę.

- Masz jeszcze inny wybór.

- Nie - westchnęła. Ze świstem wypuściła powietrze. - Myślałam o tym długo, Enrico, ale nie mogę podążać twoją ścieżką. To pragnienie, by żyć tak, jak chcę, sprowadziło na mnie niebezpieczeństwo. Nie potrafiłabym żyć za maskami, jakie ty musisz przybierać, żeby przetrwać.

Mówiła prawdę, wiedział o tym, ale wcale nie było mu łatwiej.

- Kiedy mnie przemieniano...

-Kiedy cię przemieniano - przerwała mu -z tego, co mówiłeś, namiętność była tak wielka, że nie zostawiała miejsca na myślenie, na zastanowienie się, co będzie potem. A ja, choć cenię namiętność - wsunęła dłoń między jego nogi - nie zatracam się w niej.

Popchnął ją z powrotem na poduszki, więząc pod swoim ciałem.

- To nie musi się skończyć.

Roześmiała się.

- Enrico, znam cię. - Przymknęła oczy i otarła się o niego biodrami. - Byłbyś w stanie robić to z zakonnicy?

Chwilę zajęło mu otrząśnięcie się z szoku, ale zaraz się roześmiał, składając swoje usta na jej.

- Jeśli jesteś pewna - wymruczał.

- Jestem. Jeśli muszę zrezygnować z wolności, wolę zrobić to dla Boga niż dla mężczyzny.

Mógł tylko uszanować jej decyzję.

Utrata Ginevry bolała, ale przez miesiące, które nadeszły, ból zelżał i wystarczyła mu już świadomość, że u siostr będzie bezpieczna. Chociaż rozważał wyjazd, pozostał w Wenecji, nie chcąc przerwać tej ostatniej więzi.

Przypadkiem dowiedział się, że wstąpienie do zakonu nie ochroniło jej na długo. Podsluchane w ciemnej kawiarni głosy szeptały, że Ogary przyszły po Ginevre Treschi, zabrały ją z zakonu, oskarżyły o konszachty z diabłem i miały zamiar ukarać przykładnie. Była u nich trzy tygodnie.

Trzy tygodnie ognia, żelaza i bólu.

Chciał wdrzeć się do ich cytadeli niczym Chrystus szturmujący bramy piekła, ale zmusił się do opanowania szału. Nie pomoże jej, jeśli sam rzuci się prosto w ramiona inkwizytorów.

Jeśli w ogóle zostało z niej jeszcze coś, czemu można pomóc.

Zabrali ją do skrzydła pałacu doży, bardziej niż chętnego do współpracy z Rzymem. Zapach śmierci unosił się w korytarzach niczym mgła, a zapach krwi tworzył trop tak wyraźny, że nawet śmiertelnik mógłby za nim podążać.

Znalazł ją wiszącą pod sufitem, tak jak ją już zostawili. Nadgarstki miała ciasno związane za plecami, a przez więzy przewleczono szorstką linę, użytą następnie, by podciągnąć kobietę w górę. Solidne żelazne ciężary zwisały z poparzonych kostek u nóg. Zaczęli z pewnością od chłosty, a potem korzystali z kolejnych, coraz bardziej bolesnych metod perswazji. Ginevra była martwa zaledwie od kilku go-dzin.

- ...przyznała się do utrzymywania stosunków z diabłem, otrzymała rozgrzeszenie i oddała duszę Bogu. - Poglądził palcami brodę. - Bardzo satysfakcjonujące. Ciało zostanie oddane siostrom czy rodzinie?

Starszy dominikanin wzruszył ramionami. - To nie ma znaczenia, ona... A kim ty jesteś? Henry uśmiechnął się.

- Zemstą - powiedział, zamykając drzwi i ryglując je.

- Zemstą - Henry westchnął i wytarł spocone dłonie o dżinsy. Papieskie Ogary umarły przerażone, błagając o łaskę, ale Ginevrze życia to nie zwróciło. Nic nie zdołało tego zrobić, póki Vicki nie przywołała wspomnień. W tym świecie była równie prawdziwa, co Ginevra w swoim. Henry wiedział, że jeśli

nie będzie ostrożny, Vicki może się stać tak samo realna w jego rzeczywistości.

Tego przecież chciał. Kogoś, komu można zaufać. Kogoś, kto zdejmie wszystkie maski.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Inni, mężczyźni i kobiety, w których życie włączał się przez te lata od śmierci Ginevry, tak na niego nie działali.

- Trzymaj ją na dystans - ostrzegł sam siebie. - Przynajmniej póki demon nie zostanie pokonany. - Jego odbicie wyglądało na nieprzekona-ne. Westchnął. - Mam tylko nadzieję, że potrafię to zrobić. Dziewczyna, ciskając gromy z szafirowych oczu, uciekła za solidny stół.

- *Sir, miałam pana za dżentelmena!*

- *Masz absolutną rację, Smith. - Kapitan skłonił się z kocim wdziękiem, nie spuszczać wzroku ze swojej ofiary. - Czy raczej panno Smith? Nieważne. Jak sprytnie zauważyłaś, miałas mnie za dżentelmena, bo nim byłem. Zrezygnowałem jednak z tego tytułu jakiś czas temu. - Rzucił się w jej kierunku, ale zrećźnie usunęła mu się z drogi.*

- *Jeśli zrobi pan jeszcze jeden krok w moją stronę, będę krzyczeć.*

- *Krzycz sobie do woli. - Roxborough oparł się szczupłym biodrem o stół. - Nie zamierzam cię powstrzymywać. Chociaż wolałbym nie dzielić się z załogą taką śliczną zdobyczą.*

- Fitzroy, co to za badziewie?

- Henry, proszę, nie Fitzroy. - Zapisał plik i wyłączył komputer. - A to badziewie - wyjaśnił, prostując się - to moja nowa książka.

- Twoje co? - zapytała Vicki, poprawiając okulary. Poszła za nim od drzwi wejściowych aż do małego gabinetu, chociaż prosił, żeby zaczekała chwilę w dużym pokoju. Jeśli miał zamknąć trumnę, chciała to zobaczyć. - Naprawdę to czytujesz?

Henry westchnął, sięgnął na półkę nad biurkiem po wydanie w miękkiej oprawie i podał jej.

- Nie. Ja to naprawdę pisuję.

- Och... - Na okładce niekompletnie ubrana młoda kobieta tonęła w namiętnym, choć dyskretnym uścisku kompletnie nieubranego młodego mężczyzny. Notka na okładce oznajmiała, że akcja rozgrywa się pod koniec dziewiętnastego wieku, ale obie postacie miały niepasujące do epoki fryzury i makijaż. Wypukłe lawendowe litery ogłaszały kursywą tytuł i nazwisko autora: Elizabeth Fitzroy, Władca Przeznaczenia.

- Elizabeth Fitzroy? - zapytała. Vicki, oddając książkę.

Henry odłożył ją z powrotem na półkę, odsunął krzesło od biurka i wstał z cynicznym uśmiechem.

- A czemu nie Elizabeth Fitzroy? Ma takie samo prawo do tego nazwiska jak ja.

Prefiksu „Fitz” używano, nadając nazwiska uznanym nieślubnym dzieciom. „Roy” identyfikował króla jako ojca.

- Nie akceptowałeś rozwodu?

Uśmiechnął się szerzej.

- Zawsze byłem lojalnym poddanym króla, mojego ojca - przerwał i zmarszczył brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Gdy zaczął mówić dalej, jego głos nie brzmiał już tak obraźliwie. - Lubilem królową Katarzynę. Była bardzo życzliwa dla zagubionego małego chłopca, który znalazł się w niezrozumiałej dla siebie sytuacji i mało się tym przejmował. Księżniczka Mary zaakceptowała mnie jako brata, choć mogła zignorować albo zrobić coś gorszego. - W jego głosie pojawiły się ostrzejsze tony. - Nie lubiłem matki Elizabeth i z całą pewnością ona nie lubiła mnie. A biorąc pod uwagę, że wszyscy zainteresowani już dawno stanęli przed Sądem Ostatecznym: nie, nie akceptowałem rozwodu.

Vicki rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na książkę, podczas gdy Henry uprzejmie, ale stanowczo wyprowadzał ją z gabinetu.

- Masz pewnie dużo wspomnień nadających się na fabuły - mruknęła powątpiewająco.

- Mam - zgodził się Henry, zastanawiając się w duchu, czemu niektórzy łatwiej akceptowali istnienie wampirów niż piszących romanse mężczyzn.

- I pewnie możesz teraz w ten sposób wyrównać każdy rachunek z przeszłości. - Ze wszystkich dziwnych scenariuszy przebiegu tego spotkania, jakie Vicki stworzyła w swojej głowie, żaden nie zakładał, że ten liczący ponad czterysta lat zwampiryzowany bękart Henryka VIII okaże się autorem - „jak to się nazywa?” - harlequinów.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jeśli masz na myśli moich krewnych, z większością już wyrównałem rachunki. Wciąż żyję. Ale nie dlatego piszę. Jestem w tym dobry, dobrze na tym zarabiam i zazwyczaj dobrze się przy tym bawię. - Wskazał Vicki miejsce na kanapie, a sam usiadł na drugim jej końcu. - Mógłbym egzystować od

posiłku do posiłku - i tak robiłem - ale zdecydowanie wolę żyć wygodnie, a nie dzielić ze szczurami jakąś kryptę.

- Ale skoro żyjesz już tak długo - zastanowiła się Vicki, sadowiac w tym samym rogu kanapy, który opuściła wczesnym rankiem - czemu nie jesteś bogaty?

- Bogaty?

Vicki uznała jego gardłowy śmiech za bardzo atrakcyjny i zaczęła się zastanawiać... Mentalny policzek, jaki sobie wymierzyła, sprowadził jej myśli z powrotem na zawodowe tory.

- Pewnie - ciągnął. - Mógłbym kupić IBM za grosze w dziewięć... czy kiedy tam zaczynało, ale kto mógł przewidzieć? Jestem wampirem, nie jasnovidzem. A teraz - zdjął ze spodni zabłąkaną nitkę - czyja mogę zadać pytanie tobie?

- Proszę bardzo.

- Dlaczego mi uwierzyłaś?

- Bo widziałam demona, a ty nie miałeś logicznych powodów, żeby kłamać. - Nie było potrzeby wspominać o śnie czy wizji, jakiej doznała w kościele. I tak nie wywarło to wpływu na jej decyzję.

- I już?

- Nie jestem skomplikowaną osobą. A teraz - skopiowała ton jego głosu - wystarczy rozmowy o nas. Jak złapiemy demona?

„Bardzo dobrze”, Henry zgodził się milcząco. „Skoro tak chcesz, wystarczy rozmowy o nas”.

- My nie. Ja. - Ruchem głowy wskazał na koniec kanapy, na którym siedziała. - Ty złapiesz mężczyznę albo kobietę, która go wzywa.

- Niech będzie. - Vicki uznała namierzenie źródła za logiczne działanie, a poza tym im dalej mogła się trzymać od tego straszliwego mroku, tym lepiej. Oparła prawą stopę na lewym kolanie i objęła dłońmi kostkę. - Skąd pewność, że to pojedyncza osoba, a nie kult?

- Do tego, żeby przywołać demona, niezbędne jest skoncentrowane pragnienie, a większość grup nie potrafi osiągnąć niezbędnej jednomyslności. - Wzruszył ramionami. - Biorąc pod uwagę, ile razy już się udało, to najpewniej jedna osoba.

Powtórzyła jego gest.

- Więc pójdziemy za prawdopodobieństwem. Jakies szczególne cechy, których powinnam szukać?

Henry zabębnił palcami o drewniany podłokietnik.

- Jeśli pytasz, czy jest jakiś szczególny typ osób, które przywołują demony, to nie. Ale z drugiej strony - zmarszczył brwi, jakby jeszcze raz to rozważał - w pewnym stopniu tak. Bez wyjątku są to ludzie szukający łatwych rozwiązań, sposobu na zdobycie tego, czego chcą, bez wysiłku.

- Opisałeś sposób postępowania milionów ludzi - oznajmiła sucho Vicki. - Możesz być odrobinę bardziej szczegółowy?

- Demona poproszono o dobra materialne. Nie zabijałby, gdyby pozostał uwięziony w pentagramie i tylko odpowiadał na pytania. Szukaj kogoś, kto nagle zdobył bogactwo, pieniądze, samochody. A demony nie umieją tworzyć, więc to wszystko skądś musi pochodzić.

- Możemy go przyłapać na posiadaniu skradzionych dóbr? - Oznakowanie wszystkich pozostających w obiegu banknotów było fizycznie niemożliwie, ale samochody, biżuterię, akcje dawało się namierzyć. Puls Vicki przyspieszył, kiedy zaczęła rozważać wszystkie możliwe kierunki śledztwa.

Jak!" Jej dłonie zacisnęły się w pięści i triumfalnie uderzyły w powietrze. Mieli go. Albo ją.

- Jeszcze jedno - ostrzegł Henry, próbując się nie śmiać. Jak oni to nazywali? Zapasy z cieniem? - Im więcej ta osoba ma kontaktu z demonami, tym bardziej będzie niestabilna psychicznie.

- Tak? No to mamy następną poszlakę do sprawdzenia, choć trzeba być cholernie niestabilnym, żeby przeżyć w dzisiejszych czasach. A co z demonem?

- Nie jest zbyt potężny. Vicki prychnęła.

- Może ty potrafisz wyrwać komuś gardło jednym ciosem... - urwała, a Henry skinął, odpowiadając na niezadane pytanie - ale nie znam nikogo innego, kto zdołałby to zrobić. Ten demon jest wystarczająco potężny.

Henry pokręcił głową.

- Nie w porównaniu z innymi. Musi się pożywiać za każdym razem, gdy zostaje wezwany, żeby móc cokolwiek działać w tym świecie.

- Więc te zabójstwa to pożywanie się? Kompletnie przypadkowe?

- Ci ludzie nie znaczyli nic dla osoby przyzywającej demona, jeśli o to pytasz. Gdyby demon zabijał czyichś zawodowych albo prywatnych wrogów, policja już by jego czy ją namierzyła. Nie, to demon wybiera miejsce i ofiarę.

Vicki zmarszczyła brwi.

- Ale był wyraźny wzór.

- Stawiałbym na to, że wzywany demon jest pod kontrolą innego, silniejszego demona i próbuje wyrysować jego imię na mieście. - Och.

Czekał cierpliwie, póki Vicki nie przyswoiła sobie nowych wiadomości.

- Czemu? - Właściwie nie była pewna, czy chce wiedzieć. Ani czy powinna pytać.

- Dostęp. Niekontrolowany dostęp dla tego silniejszego demona i wszystkich z jego rodzaju, których będzie chciał przeprowadzić.

- A ile jeszcze śmierci potrzeba, żeby dokończyć imię?

- Nie wiem.

- Jedna? Dwie? Musisz coś wiedzieć! - warknęła. Jedną ręką dawał jej nadzieję, a drugą odbierał. Sukinsyn. - Ile śmierci jest w imieniu demona?

- Zależy od demona.

Zmuszony ponurym spojrzeniem Vicki wstał, podszedł do biblioteczki i odsunął szklane drzwi.

Książka, którą wyciągnął, była rozmiaru słownika, oprawiona w skórę, niegdyś czerwoną, lecz lata użytkowania zmieniły kolor w wytartą, śliską czerń. Henry usiadł z powrotem, tym razem bliżej, odmknął pociemniałe od patyny zapięcie i otworzył książkę na obustronnej rozkładówce.

- Jest ręcznie pisana. - Vicki z podziwem dotknęła rogu strony. Szybko cofnęła palec. Papier był ciepły, jakby właśnie dotknęła czegoś obscenicznie żywego.

- Jest bardzo stara - Henry zignorował jej reakcję. Też tak zrobił, gdy pierwszy raz dotknął księgi. - To imiona demonów. Jest ich tu dwadzieścia siedem, nie wiadomo, czy autor odkrył wszystkie.

Imiona, wypisane na czarno nieprzyjemnie kan-ciałym charakterem pisma, liczyły głównie siedem lub osiem liter.

- Demonowi jeszcze daleko do końca - powiedziała z ulgą Vicki. Wciąż miała czas na odszukanie drania, który stał za tym wszystkim.

Henry pokręcił głową, niechętnie studząc jej entuzjazm.

- Nie wyrysuje imienia, tylko jego symbol. - Parę stron dalej ponownie wypisano listę imion, a obok każdego z nich znajdował się odpowiadający mu symbol geometryczny. Niekiedy bardzo prosty. - Piśmiennictwo to dość niedawny wynalazek - mruk-nął - Tak naprawdę wystarczyłyby znaki.

Vicki przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w ustach. Niektóre symbole były bardzo, bardzo proste.

Henry w milczeniu zamknął książkę i odstawił ją na półkę. Odwracając się do Vicki, rozłożył bezradnie ręce.

- Niestety - powiedział - nie mogę powstrzymać demona, póki ten znowu nie zabije.

- Czemu nie?

- Bo muszę się przygotować i już na niego czekać. A ostatniej nocy dokończył drugą część wzoru.

- Więc mógł skończyć...

- Nie, zauważylibyśmy, gdyby tak było.

- Ale następna śmierć, zaczynająca kolejną część, może...

- Nie, jeszcze nie. Nawet najmniej skomplikowanych imion nie da się tak szybko dokończyć.

- Poprzedniej nocy już na niego czekałeś. - Był tam, tak jak i ona. - Dlaczego wtedy go nie powstrzymałeś? - Ale tak w zasadzie czemu sama tego nie zrobiła?

- Dlaczego? - W jego śmiechu nie było ani śladu radości. - Poruszał się tak szybko, że ledwie go widziałem! Teraz, po następnym zabójstwie, kiedy już wiem, czemu mam stawić czoło, będę na niego czekał. Schwytam go i zniszczę.

To brzmiało budująco, o ile oczywiście coś po następnym zabójstwie zostanie.

- Robiłeś to już kiedyś?

Potrzebowała tego zapewnienia, ale Henry, choć mógł sprawić, by uwierzyła we wszystko, co jej powie, odkrył, że nie może skłamać.

- Cóż, nie. - Ginevry też nigdy nie był w stanie oszukać. Kolejne podobieństwo między nimi dwiema, którego wcześniej nie odkrył.

Vicki wzięła głęboki oddech i zaczęła skubać mankiet bluzy.

- Henry, będzie bardzo źle, jeśli ten wzywany demon wydobędzie się na wolność?

- Bardzo? - westchnął i oparł się o biblioteczkę. - Możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że będziemy mieli piekło na ziemi.

ROZDZIAŁ 8

Norman rozejrzał się po „Kogucie i Byku” i skrzywił. W czwartkowe, piątkowe i sobotnie wieczory, które wyznaczył sobie na poważne podrywanie lasek, zjawiał się wcześniej, żeby zająć stolik. Do tej godziny, czyli do 9:30-10:00, ktoś musiałby już go z nim dzielić. Ale w czwartek przed Wielkanocą studencki pub był pusty i zanosilo się, że Norman spędzi ten wieczór samotnie.

"Jechanie do domu na święta nie jest cool", pomyślał smętnie, zbierając palcem krople spływające po kuflu z dietetycznym piwem imbirowym. Jego rodzice nie kryli rozczarowania, ale on się uparł.

Naprawdę fajni goście spędzali na uniwerku cały tydzień, a Norman Birdwell był teraz naprawdę fajny.

Westchnął. Cóż, najwidoczniej tym razem „Kogut i Byk” to nie miejsce dla fajnych gości. Dałby sobie spokój i już dawno poszedł do domu, gdyby nie rudowłosa, która królowała przy stole w rogu. Była skończenie piękna, była wszystkim, o czym kiedykolwiek marzył Norman. Już od dawna wielbił ją skrycie podczas zajęć z religioznawstwa. Nie była wysoka, ale jej płomienne włosy przyciągały uwagę, a dodatkowe centymetry w innych rejonach ciała rekompensowały niedostatek wzrostu. Norman mógł sobie wyobrazić, jak zrywa z niej bluzkę i wpatruje się w skryte pod nią miękkie krągłości.

Uśmiechnęła się do niego z pełnym zachwytem podziwem, a on delikatnie wyciągnąłby rękę w jej stronę. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by było dalej, więc tylko odtwarzał od nowa tę scenę, gapiąc się na drugi koniec sali.

Jedną czy dwie kolejki później rozmowa przy stoliku w rogu robiła się coraz głośniejsza.

- Mówię wam, są dowody - wykrzyknęła rudowłosa - że zabójca to mroczna istota!

- Coreen, dorośnij!

"Na imię miała Coreen!" Serce Normana zaczęło bić mocno, nieregularnie. Pochylił się, nastuchując tak czujnie, jak tylko się dało.

- Co z brakującą krwią? - zapytała napastliwie Coreen. - Każdą ofiarę wyszano do cna!

- Psycholka - prychnął ktoś z jej towarzystwa.

- Ogromna pijawka - zasugerował ktoś inny. - Ogromna pijawka, która pełznie ulicami miasta, póki nie znajdzie ofiary, a wtedy... siorb! - pociągnął piwa, ilustrując swoją teorię. Grupa przy stole jęknęła z obrzydzeniem i obrzuciła go serwetkami. Przez gwar przebił się głos Coreen:

- Mówię wam, że w tych zabójstwach nie ma nic normalnego!

- Ogromne pijawki też nie są normalne - mruknęła pod nosem wysoka blondynka w jaskrawo-żółtej flanelowej koszuli.

Coreen odwróciła się do niej. - Janet, wiesz, o co mi chodzi. I nie tylko ja tak myślę!

- Mówisz o tym, co wypisują w gazetach? Wampir prześladowuje miasto i cała reszta? - Janet westchnęła głęboko i pokręciła głową. - Coreen, oni w te głupoty nie wierzą, chcą tylko sprzedać jak najwięcej gazet.

- To nie głupoty! - upierała się dziewczyna, energicznie odstawiając pusty kubek na stół. - Iana zabił wampir. - Jej usta zacisnęły się w pełną uporu linię, a inni siedzący przy stoliku wymienili znaczące spojrzenia. Jedno po drugim usprawiedliwiali się i odchodzili.

Coreen nawet nie podniosła głowy, gdy Norman zajął miejsce zwolnione przez Janet. Była zbyt zajęta wyobrażaniem sobie, jak głupie miny zrobią jej tak zwani przyjaciele, kiedy prywatny detektyw znajdzie wampira i go zniszczy. To nie oni będą się śmiać ostatni.

Po kilku chwilach spędzonych na zastanawianiu się, co powiedzieć, Norman zaczął od niepewnego „cześć”. Lodowate spojrzenie, jakim odpowiedziała, odebrało mu trochę odwagi, ale przełknął ślinę i brnął dalej. Kolejna taka szansa może mu się nie trafić.

- Ja tylko chciałem powiedzieć, że... no... wie-rzę ci.

- W co wierzysz? - pytanie było tylko odrobinę mniej zimne od spojrzenia. - Wierzę ci. No, w wampiry - Norman zniżył głos do szeptu. - I całą resztę.

Sposób, w jaki powiedział „i całą resztę” sprawił, że Coreen przeszedł zimny dreszcz. Przyjrzała mu się dokładniej. Chyba go pamiętała z zajęć, chociaż nie mogła sobie przypomnieć z których. Nie miała pewności, czy to dlatego, że nie było co kojarzyć, czy też dlatego, że właśnie opróżniła dzban piwa.

- Wiem - ciągnął, rozglądając się na boki, by się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje - że na tym świecie dzieje się więcej, niż ludzie zauważają. I wiem, jak to jest, gdy się z ciebie śmieją. - W tych ostatnich słowach kryło się tyle emocji, że musiała w nie uwierzyć. A skoro w nie, to i w całą resztę.

- Nie ma znaczenia, co wiemy. - Dźgnęła go w tors paznokciem w odcieniu czerwieni niemal tak intensywnym, jak kolor jej włosów. - Niczego nie możemy udowodnić.

- Ja mogę. Mam w mieszkaniu niepodważalny dowód. - Uśmiechnął się na widok jej zaskoczenia i pokiwał głową dla podkreślenia swoich słów. „A co najlepsze”, dodał w myślach, niemal zacierając ręce z ukontentowaniem, „ja wcale nie blefuję. Mam dowód, a kiedy go jej pokażę, ona rzuci się w moje ramiona i...” Po raz kolejny Normana zawiodła wyobraźnia, ale nie martwił się tym. Wkrótce będzie się cieszył rzeczywistością.

- Pomożesz mi dowieść, że wampir zamordował Iana? - Oszałamiająco zielone oczy zaśniły, a Norman, oczarowany nimi, odkrył, że zaczyna się jąkać.

- Wa-wampir? - Zajęty myśleniem o dowodzie, jaki mógł dostarczyć dziewczynie, zapomniał, że jej chodziło o wampiry.

Coreen potraktowała powtórzenie jako potwierdzenie.

- Świetnie. - Niemal siłą wyciągnęła go z miejsca, a potem z „Koguta i Byka”. Była drobna, ale jak przekonał się Norman, dość silna. - Weźmiemy mój wóz. Stoi na parkingu.

Zaczęła zwalniać kroku, kiedy dotarli do drzwi, by zatrzymać się wreszcie przy rzędzie automatów telefonicznych. Zmarszczyła brwi i nagle podjęła decyzję.

- Masz ćwiartkę?

Norman wygrzebał monetę z kieszeni i podał dziewczynie. Chciał jej dać cały świat, a nie tylko dwadzieścia pięć centów. Podczas gdy Coreen wybierała numer, zbliżył się do niej i kiedy zaczęła mówić, był już tak blisko, że wszystko dobrze słyszał.

- Cześć, tu Coreen Fergus. Och, przepraszam, obudziłam cię? - Zerknęła na zegarek. - No tak. Ale musisz to usłyszeć. Oczywiście, że chodzi o wampira. Inaczej po co bym dzwoniła? Słuchaj, spotkałam faceta, który mówi, że ma niepodważalny dowód... w swoim mieszkaniu... Daj spokój. Jesteś wynajętym detektywem, a nie moją matką. - Słuchawka zostałaby ciśnięta na widełki, ale ominęła je o milimetr. - I Niektórzy są niemożliwi, jeśli się ich obudzi - mruknęła Coreen. - Chodź. - Popchnęła go w kierunku

parkingu. - Śmierć Iana zostanie pomszczona, nawet jeśli będę to musiała zrobić osobiście.

Do Normana nagle dotarło, że to on, a nie wampir, na którego punkcie miała obsesję, jest w jakimś nikłym stopniu odpowiedzialny za śmierć Iana, i zaczął się zastanawiać, co teraz powinien zrobić.

„Nic”, zdecydował, pospiesznie zapinając pas, gdy Coreen ruszyła z piskiem opon. „Idzie do mojego mieszkania i o to chodzi. Wystarczy, że tam będzie, z resztą sobie poradzę”. Wprężył pierś na samą myśl o tym, czego dokonał. „Kiedy jej pokażę, będzie pod takim wrażeniem, że zapomni i o wampirze, i o Ianie”.

Mieszkanie znajdowało się w skupisku identycznych wieżowców osadzonych na równinie na zachód od Uniwersytetu York i straszliwie odstających od otoczenia. Norman wskazał parking dla gości, a Co-

reen, jednym okiem obserwując samochód straży uniwersyteckiej, który jechał za nimi przez ostatnie ćwierć mili, zaparkowała na najbliższym wolnym miejscu i wyłączyła silnik. Radiowóz nie zatrzymał się, a dziewczyna, w pełni świadoma, że po opróżnieniu wraz z przyjaciółmi trzech dzbanów piwa nie powinna prowadzić, odetchnęła z ulgą.

Podczas gdy Birdwell szamotał się z kluczami, zerknęła przez szklane drzwi na beżowo-brązowy hol i zastanawiała się, po czym on w ogóle poznał, że to właściwy budynek.

W windzie stuknęła palcami o czystą metalową ścianę. Gdyby w pubie nie użalała się nad sobą tak, że aż mózg jej się zaciął, nigdy by nigdzie z Norma-

nem nie poszła. Uświadomiła sobie, kim on jest, gdy na parkingu padło na niego jasne światło latarni. Jeśli Uniwersytet York miał etatowego dziwaka, to był nim właśnie Birdwell.

Tyle że... zmarszczyła brwi, przypomniałszy sobie. Tyle że on naprawdę wydawał się coś wiedzieć, a ona ze względu na Iana musiała sprawdzić każdy trop. Może rzeczywiście kryło się w tym coś więcej. Zerknęła na Normana. Uśmiechał się w sposób, który bardzo jej się nie podobał. I nagle dotarło do niej, jaki to element układanki stanowił. Był Renfieldem wampira! Ludzkim sługą, który nie tylko wyjaśniał swemu panu zawiłości nowoczesnego świata, ale też niekiedy sprowadzał...

Jej dłoń powędrowała do szyi i do małego złotego krzyżyka, który dostała od dziadka na pierwszą komunię. Jeśli Norman „Dziwak” Birdwell sprowadził ją tu jako nocną przekąskę dla swego nieumarłego pana, czekała go przykra niespodzianka. Poglądziła torebkę i wyrzucenie, którego przyczyną był pistolet na wodę święconą. Nie zawahałaby się go użyć - obejrzała wystarczająco wiele filmów o wampirach, by przewidzieć, jaki efekt osiągnie. Woda święcona nie zaszkodziłaby oczywiście Birdwellowi, ale on nie stanowił zagrożenia.

- Na początku chciałem się przenieść na czternaste piętro. - Norman, choć trzęsły mu się dłonie, zdołał wsunąć klucz do zamka. „Naprawdę wróciłem do mieszkania z dziewczyną!” - Bo czternaste piętro to tak naprawdę trzynaste, ale nie zostało nic wolnego, więc wciąż jestem na dziewiątym.

- Dziewiątka ma wielkie znaczenie parapsychiczne - mruknęła Coreen, przeciskając się obok niego i wchodząc do mieszkania. Korytarz przy drzwiach, z szafą na ubrania i plastikową wykładziną, przecho-dził w duży pokój, w którym nie było widać trumny. Stara kanapa z ręcznie robioną narzutą stała pod jedną ścianą, a niebieski metalowy kufer służył za stolik do kawy. W rogu, przy drzwiach prowadzących na balkon, znajdował się plastikowy elektryczny wiatraczek i małe biurko zawalone sprzętem komputerowym. Na drugim końcu pokoju kuchenka, lodówka i zlew okrążały chromowany winylowy stół i dwa pasujące krzesła.

Nos Coreen lekko drgnął. Całość wyglądała schludnie, ale czuć było wyraźnie jakiś dziwny zapach. Dopiero teraz zauważyła, że na każdej płaskiej powierzchni stał przynajmniej jeden odświeżacz: małe plastikowe grzybki, muszelki, fałszywe kryształy. Powstały efekt był przytłaczający.

- Mogę wziąć twój płaszcz? - Norman musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć muzykę dochodzącą z mieszkania piętro wyżej.

- Nie. - Kichnęła i sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. - Masz łazienkę? - Całe piwo nagle posta-

nowiło pospiesznie przelecieć przez jej organizm,

- Tak, tak. - Otworzył drzwi prowadzące do garderoby i dalej, do łazienki. - Tutaj.

„Odświeża się!”, pomyślał, niemal w tanecznych płaszcach odwieszając swój płaszcz. „W mojej łazience jest dziewczyna i się odświeża!” Sprzątał mieszkanie w każdy czwartek, na wypadek gdyby doszło do takiej sytuacji. I wreszcie! Wycierając wilgotne dłonie o nogawki, rozważył, czy powinien wyciągnąć chipsy i dip. „Nie”, zdecydował, starając się rozsiaść nonszalancko na kanapie, „to będzie na później. Na PO”.

Wychodząc z łazienki, Coreen rozejrzała się po garderobie. Wciąż ani śladu trumny. Wyglądało na to, że dziewczyna była bezpieczna. Ubrania Normana wisiały schludnie według rodzaju: koszule razem, spodnie razem, szary garnitur z poliestru samotny w swym splendorze. Buty - para brązowych półbutów i para czystych trampek - stały równo palcami do ściany. Chociaż Coreen nie odważyła się zajrzeć do szuflady z bielizną, uznała, że Norman należy do tych, co ją równo składają. Ustawione w rogu na plastikowej skrzynce po mleku hibachi wydawało się tu kompletnie nie na miejscu. Chętnie by sprawdziła,

co w nim było, ale zapach tłumiony wonią plastiko-wych róż wydawał się pochodzić właśnie stamtąd i w połączeniu z wypitym wcześniej piwem przyprawiał dziewczynę o mdłości.

„Pewnie jakiś projekt laboratoryjny, nad którym pracuje w domu”. Umysł podsunął jej wizję Birdwella w białym kitlu przyczepiającego elektrody do szyi swego najnowszego dzieła. Wracając do pokoju, musiała powstrzymać chichot.

Nie podobał jej się wyraz twarzy Normana. Usiadła na drugim końcu kanapy i zaczęła nabierać przekonania, że przychodząc tu, popełniła błąd.

- No i? - zapytała. - Powiedziałeś, że coś mi pokażesz, coś, co udowodni reszcie świata, że wampiry istnieją. - Jeśli nie robił za Renfielda, nie miała pojęcia, jaki był jego plan.

Norman skrzywił się. Powiedział tak? Wydawało mu się, że nie.

- Ja... hm... mam coś, co chcę ci pokazać, ale to nie wampiry.

Coreen prychnęła i wstała, kierując się do drzwi.

- Taaa, jasne. - Coś chciał jej pokazać. Gdyby rzeczywiście tak zrobił, odciełaby mu to coś.

- Nie, naprawdę. - Norman też wstał, chwiejąc się lekko na obcasach kowbojskich butów. - Pokażę ci coś, co dowiedzie, że w mieście działają nadnaturalne siły. To już blisko do wampirów, prawda?

- Nie. - Mimo błagalnego tonu wyglądało na to, że wie, o czym mówi. - Nie sądzę.

- Więc nie usiądziesz?

Zrobił krok w jej stronę, a ona trzy w tył.

- Nie, dzięki. Postoję. - Czowała, jak nerwy jej puszczają. - Co masz mi do pokazania?

Norman wyprostował się dumnie i po lekkiej szamotaninie zdołał wsunąć kciuki za szlufki od spodni. To robi na niej wrażenie.

- Przyzywam demony.

- Demony?

Pokiwał głową. Teraz ona będzie jego i zapomni o swoim martwym chłopaku i głupiej teorii o wampirach.

Coreen dodała do wcześniejszej wizji Normana

i jego potwora spiczasty kapelusz w gwiazdki i magiczną różdżkę i nie zdołała powstrzymać śmiechu. Nerwy oraz to, że wbrew jego reputacji prawie mu uwierzyła i dała się przekonać, zrobiły swoje.

Ale tego Norman nie mógł wiedzieć.

„Śmieje się ze mnie. Ma czelność się ze mnie śmiać, choć jako jedyny z niej nie kąpiem! Jak ona śmie!” Opanowany przez ból i furję, Norman rzucił się naprzód i chwycił Coreen za ramiona, przyciskając usta do jej ust z taką siłą, że rozciął sobie górną wargę o zęby dziewczyny. Nie poczuł niewielkiego bólu, zbyt pochłonięty przyciskaniem ciała, od ust do bioder, w jej drobną miękkość. Już on ją nauczy, że nie wolno się z niego śmiać!

Kolejna fala bólu odebrała mu dech i sprawiła, że zaczął się wycofywać, utykając i pojękując cicho. Potknął się o krawędź skrzyni i usiadł, ściskając za krocze i patrząc, jak świat staje się czerwony, pomarańczowy i wreszcie czarny.

Coreen wcisnęła przycisk oznaczający parter. W myślach skłęła się za głupotę.

- Przyzywa demony, akurat! - warknęła, kopiąc ze złością w ścianę windy. - A ja mu prawie uwierzyłam! To był kolejny tekst na podryw. - Kiedy Norman ją złapał, jego twarz zmieniła się i wtedy, tylko przez chwilę, naprawdę się go bała. Wyglądał niemal nieludzko. A potem ten atak stał się czymś, z czym już od dawna umiała sobie radzić, i ta chwila minęła. - Mężczyźni to świnię - poinformowała starsza-wego i cokolwiek zaskoczonego dżentelmena z Indii Zachodnich, który czekał na parterze na windę.

Przy drzwiach odkryła, że jedna z jej nowych czerwonych skórzanych rękawiczek wypadła z kieszeni

podczas szarpaniny i została w mieszkaniu

- Świetnie, po prostu świetnie. - Teraz, kiedy była pewna, że da sobie z nim radę, rozważyła, czy się po nią nie wrócić, ale odrzuciła ten pomysł. Jeśli tylko dostałaby szansę, by złapać za tę wychudzoną szyję, pewnie by go udusiła.

Skulona dla ochrony przed wiatrem, wsiadła do samochodu i dała upust targającym nią uczuciom, paląc gumę na całej długości parkingu.

Im mniejszy był ból, tym silniejszy gniew. „Śmiała się ze mnie. Podzieliłem się tajemnicą stulecia z głupią dziewczyną, która wierzy w wampiry, a ona się ze mnie śmiała”. Ostrożnie, nie mając pewności, czy nogi go utrzymają, Norman wstał. „Wszyscy zawsze się ze mnie śmiali. Ostatni wybierany do drużyny. Zawsze inaczej ubrany. Śmiali się, nawet gdy dostawałem najwyższe oceny ze sprawdzianów” W końcu przestał im o tym mówić: o wypracowaniach ocenionych na A plus, o tym, że nauczyciele wykorzystywali jego projekty jako pomoce na zajęciach, o wygranych w konkursie naukowym przez trzy lata pod rząd, o tym, że przeczytał Wojnę i pokój w weekend. Nie interesowały ich jego osiągnięcia. Zawsze się śmiali. „Tak jak ona”.

Gniew wypalił resztki bólu.

Poruszając się ostrożnie na szeroko rozstawionych nogach, Norman przesunął kufer pod ścianę, potem ściągnął kapę z kanapy i rozwiesił ją na sześciu haczykach przymocowanych nad drzwiami wyjściowymi. Gruba wełna zatrzymywała większość smrodu, zanim ten wydostał się na korytarz. Żeby dać ujście reszcie, Norman uchylił drzwi balkonowe na kilka centymetrów i przyblokował jednym z od-świeżaczy, żeby się nie zamknęły.

Wreszcie poszedł do garderoby po hibachi i plastikową skrzynkę na mleko.

Ustawił mały grill tak blisko wiatraczka, jak tylko się dało. Z trzech brykietów węgla zbudował piramidę, polał ją rozpałką w płynie i na to rzucił zapałkę. Wiatraczek i wiatry wiejące na zewnątrz budynku rozproszyły prawie cały dym. Norman już wcześniej odłączył wykrywacz w mieszkaniu i cztery na korytarzu i nie musiał się martwić o niewielką ilość dymu, jaka pozostała. Wyciągnął kolorowe kredy i narysował pentagram, podczas gdy ogień dogasał.

Nawoskowaną wykładzinę trudno było pomazać kredą, więc Norman tak naprawdę używał kredowych pasteli. To wydawało się nie mieć znaczenia. Na każdym z pięciu rogów pentagramu ustawił dwie świece: czarną wysokości dwudziestu dwóch centymetrów i czerwoną wysokości piętnastu centymetrów. Musiał je obie przyciąć z trzydziesto- i dwudziestocentymetrowych i przy okazji odkrył, że kilka czarnych jest tak naprawdę purpurowych. Ale to też wydawało się nie mieć znaczenia.

Kiedy świece już płonęły, Norman ukląkł przed żarzącymi się węglami i zaczął przyzywać demona. Kupił dwunastocentymetrowy łańcuszek z oś-miokaratowego złota w sklepie w Chinatown. Nożyczkami do paznokci odciął trzy czy cztery ogniwka i wrzucił je na rozżarzone do czerwoności brykiety. Wiedział, że hibachi nie może podnieść temperatury tak, by stopić nawet te drobinki, ale zawsze kiedy wymiatał pozostały popiół, po metalu nie było ani śladu.

Kadzidło pochodziło z modnego sklepu z żywnością na Bloor Street West. Norman nie miał pojęcia, do czego inni ludzie używali jaskrawopomarań-czowych płatków - nie wyobrażał sobie, jak można to jeść, ale podejrzewał, że służą za przyprawę. Pół garści rzucone na żar płonęło powoli, powodując powstanie gęstego, ostrego dymu, z którym wiatraczek ledwie sobie radził.

Kaszłąc i przecierając wierzchem dłoni zażawione oczy, Norman sięgnął po ostatni składnik. Mirrę kupił w sklepie specjalizującym się w olejkach zapachowych i komponowaniu osobistych perfum pod własną marką. Uncja była droższa niż złoto. Ostrożnie, używając plastikowych miarek, które dostał od matki, gdy się wyprowadzał, Norman rozsypał jedną ósmą łyżeczki nad węglami.

Duszący zapach kadzidła stał się silniejszy, a powietrze w mieszkaniu zyskało gorzki zapach, drażniący gardło i nos. Kiedy po raz pierwszy przywoływał demona, po mirrze był bliski rezygnacji. Nie mógł sobie poradzić z historią, jaka się z nią wiązała.

Przez wieki mirrą okadzano umarłych i te stulecia śmierci wydostawały się na wolność, zawsze gdy olejek wylewał się na węgle. Za drugim razem Norman już tylko wzruszył ramionami na zmarłych, wiedząc, że nadejdzie coś gorszego. Ale teraz, przy siódmym przyzywaniu, już nic go nie rozpraszało. Sterylne igły, takie same, jakich Czerwony Krzyż używał do pobierania krwi od dawców, kupił w sklepie z zaopatrzeniem chirurgicznym. Zwykle nienawidził tej części, ale tego wieczoru gniew sprawił, że przeszedł do niej bez wahania. Małe ukłucie bólu rozeszło się z czubka palca na całe ciało, póki nie sięgnęło pulsującego krocza. Nagły przyływ napięcia seksualnego prawie wytrącił go ze skupienia.

Oddychał nieregularnie, ale jakoś udało mu się odzyskać kontrolę.

Trzy krople krwi na węgle, a z każdą kroplą słowa przywołania.

Słowa, które znalazł w jednym z tekstów używanych na zajęciach z religioznawstwa. Rytuał stworzył sam, sklecił go, na wpół posługując się wygrzebanymi danymi, na wpół rozsądkiem. „Każdy mógł to zrobić”, pomyślał z zadowoleniem. „Ale tylko ja zrobiłem”.

Powietrze nad środkiem pentagramu zdrząło i zaczęło się wybrzuszać, jakby coś próbowało się przez nie przepchnąć z zewnątrz. Norman stał i czekał z ponurą miną, podczas gdy zapach palonych przypraw został zastąpiony przez odór zgnilizny,

a stereo sąsiada z góry zagłuszył dudniący dźwięk wdzierający się siłą do mózgu i wnętrza kości.

Demon, który wreszcie się pojawił, był wielkości człowieka i mniej więcej takiego kształtu, ale zbyt ohydny, by choć trochę przypominać istotę ludzką.

Norman, oddychając płytko przez usta, podszedł do krawędzi pentagramu.

- Wezwałem cię - zadeklarował. - Jestem twoim panem.

Demon pochylił głowę. Ruch zburzył na moment jego formę, jakby pod wilgotną skórą nie było czaszki.

- Ty jesteś panem - przyznał, chociaż mięsisty otwór gębowy nie dopasował swojego nieustającego ruchu do wypowiedzianych słów.

- Musisz być mi posłuszny.

Ogromne, pozbawione powiek oczy przyjrzały się granicom więzienia.

- Tak - zgodził się wreszcie.

- Ktoś się ze mnie dziś śmiał. Chcę, żeby już nigdy tego nie zrobił.

Demon czekał w milczeniu na dalsze instrukcje. Jego barwa zmieniała się - z błotnistej czerni na zielonkawą brąz i z powrotem.

- Zabij ją! - Norman wreszcie to powiedział. Zaciśnął dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie. Czuł się, jakby miał ze trzy metry wzrostu i był niezniszczalny. Wziął sprawy w swoje ręce i przyjął potęgę, która mu się należała. Dudnienie stało się silniejsze, wypełniając całe jego ciało.

- Zabić kogo? - zapytał demon.

Leciutki cień rozbawienia w jego głosie ściągnął Normana z powrotem na ziemię i wprawił w furję.

- Nie śmieję się ze mnie! - Zrobił krok naprzód, w ostatniej chwili opamiętał się i obrócił stopę pod dziwnym kątem, by nie przekroczyć pentagramu.

Demon w odpowiedzi pochylił się gwałtownie do przodu, tak że stali niemal nos w nos.

- Ha! - wykrzyknął Norman, cofając się. - Jesteś taki sam jak oni! Myślisz, że jesteś taki wspaniały, a ja to kawał gówna! Może przypomnij sobie, że ty jesteś tam, a ja tu! Ja cię wezwałem! Ja cię kontroluję! Ja jestem panem!

Nieporuszony tym nagłym zalewem goryczy, demon wrócił na środek pentagramu.

- Ty jesteś panem - powiedział grzecznie. - Zabić kogo?

W głosie potwora wciąż było słychać rozbawienie. Fale gniewu zalewały Normana, niemal uniemożliwiając mu myślenie. Ale przez czerwoną zasłonę złości przebiła się świadomość, że krzyczenie do demona: „Zabij Coreeni” nic nie da. Podszedł do najdalszej ściany, a kiedy zawrócił, poślizgnął się na obcasie prawego buta i prawie upadł. Kiedy po dłuższej chwili odzyskał równowagę, pochylił się i podniósł kawałek szkarłatnej skóry, który niemal go powalił,

- Trzymaj!

Demon pochwycił rękawiczkę w powietrzu pięć-nastocem ty metrowym szponem. Luźne fałdy skóry zwisały pomiędzy jego ramieniem a ciałem i napinały się przy ruchu.

Norman uśmiechnął się.

- Znajdź pasującą rękawiczkę i zabij osobę, która ją ma. Nie pozwól, by ktoś cię zobaczył. Kiedy skończysz, wróć do pentagramu.

Odór zgnilizny unosił się w powietrzu jeszcze po zniknięciu demona, obrzydliwy skutek uboczny, z którym poradzić sobie mógł tylko czas. Ssąc nakłuty palec, Norman podszedł do okna i wyjrzał w mrok.

- Nigdy więcej nikt nie będzie się ze mnie śmiał - przysięgł. Żadnych zabawek, ubrań, komputerów.

Sięgnął dziś po swoją moc i kiedy demon powróci nakarmiony krwią Coreen, wyśle go po symbol swojej potęgi. Coś, co świat będzie musiał uszanować.

Dudnienie stało się silniejsze i Norman otarł się o parapet, kręcąc biodrami do taktu.

Wciąż gotując się ze złości, Coreen zatrzymała się na parkingu przy McDonaldzie. Norman Birdwell. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle się do niego odezwała, ba, że poszła z nim do jego mieszkania. W pubie był taki cholernie przekonujący. Pokręciła głową nad własną naiwnością. Jasne, w pubie jeszcze nie wiedziała, kim on jest, ale mimo to...

- Ian, mam nadzieję, że to docenisz - rzuciła, trzaskając drzwiami i zamykając je. - Kiedy przysięgałam znaleźć twojego zabójcę, nie przyszło mi do głowy, że będę się musiała zadawać z napalony-

mi dziwakami - Zrobiło się zimniej i już sięgała do kieszeni po rękawiczki, kiedy przypomniała sobie, że teraz miała już tylko jedną. Zgrzytnęła zębami i ruszyła do restauracji. Na pewne humory pomóc mogła tylko ogromna porcja frytek.

W drodze do lady dojrzała znajomą twarz i skrzyła w jej stronę.

- Hej, Janet. Myślałam, że wszyscy poszliście do Alison?

Janet podniosła wzrok i pokręciła głową.

- Długa historia - wymamrotała z ustami pełnymi burgera.

Coreen prychnęła i cisnęła swoją jedyną rękawiczkę na szczyt sterty odzieży wierzchniej na sąsiednim krześle. W tym świetle skóra była niemal obscenicznie jaskrawa.

- Taaa? Moja jest dłuższa. Posłuchaj.

Jakiś czas później Janet wlepiła w Coleen oszołomiony wzrok, trzymając zapomnianą szarlotkę w połowie drogi do otwartych ust.

- ...więc kopnęłam go w jaja i zwałam. - Wzięła duży łyk dietetycznej coli - I założę się, że rękawiczki już nie odzyskam - dodała ze smutkiem.

Janet zamknęła usta z głośnym cmoknięciem.

- Norman Birdwell? - wybełkotała.

- Tak, wiem - westchnęła Coreen. Nie powinna opowiadać tej historii Janet. Dzięki Bogu zara był długi weekend, więc opowieść może nie roznie-się tak szybko. - Totalnie zgłupiałam. Pewnie przez piwo.

- Na świecie... Nie, we wszechświecie nie ma dość piwa, żeby skłonić mnie do pójścia gdziekolwiek z tym dziwadłem - zarzekła się Janet, wywracając oczami.

Coreen zgmiotła zdjętą z burgera cebulę w miękką papkę.

- Powiedział, że wie coś o stworze, który zabił Iana - wymamrotała ze wstydem. Naprawdę nie powinna była mówić nic Janet. Co jej odbiło?

-Jasne - prychnęła Janet. - Kolejny nieustraszony łowca wampirów, a ty się na to nabierasz.

- Nie nabijaj się ze mnie. - Oczy Coreen zwały się.

- Nabijać? Prędzej się przekonasz, że to demon Normana zabił Iana, niż udowodnisz, że to jakiś głupi wampir. - Zorientowała się, że nie należało tego mówić, gdy tylko słowa opuściły jej usta, ale było już za późno.

- Istnienie wampirów jest udokumentowane hi-storycznie, a wszystkie fakty wskazują na...

Dwadzieścia trzy minuty później - Janet odliczała czas wykładu, nie kryjąc, że zerka na zegarek - Coreen nagle przerwała i wstała.

- Muszę do toalety - powiedziała. - Zaczekaj, zaraz wracam.

- Nie wydaje mi się - mruknęła Janet, gdy tylko dziewczyna zniknęła na schodach do piwnicy. Wyciągnęła swoje rzeczy ze stosu na krześle i w drodze do drzwi założyła kurtkę. Lubiła Coreen, ale jeszcze jedno słowo o wampirach i sama zacznie gryźć. Każdy wampir, na którego natknie się ta dziewczyna, będzie miał prawo powoływać się na samoobronę.

Już w drzwiach odkryta, że zabrała jej czerwoną rękawiczkę. „Szlag! Jeśli ją odniosę, czeka mnie godzina z hrabią Draculą” Zatrzymała się na chwilę, uderzając rękawiczką o dłoń, rozdarta pomiędzy chęcią zrobienia tego, co należy, a koniecznością ratowania zdrowia psychicznego.

Zdrowie wygrało.

Kiedy w jaskrawym świetle na schodach pojawiła się płomiennoruda głowa Coreen, Janet wepchnęła rękawiczkę do kieszeni, obróciła się na obcasach i uciekła w noc. „Jeśli będę biec”, pomyślała, właśnie to robiąc, „wyjdę z zasięgu światła na parking, zanim Coreen wyjrzy przez okno”. W mroku za światłami będzie bezpieczna.

Wyszedł przez ziemię. Wolął podróżować w ten sposób, bo wtedy nie marnował energii i pozostawał niewidoczny. A póki się nie posilił, miał zbyt mało sił, by je tracić. Wyczuwał nad sobą ofiarę, ale podążał za nią i czekał, aż pozostałe życia będą niewyczuwalne.

Wtedy przyjął kształt.

Pragnienie zabijania było silne, niemal nie do pokonania. Tak powiedział jego „pan”, a natura kazała mu się posilić. Tylko lęk przed konsekwencjami porażki zdołał spowolnić śmiertelny cios, który demonowi kazał wyprowadzić instynkt. Uderzenie trafiło w kość, a nie w miękką tkankę.

Ofiara zawyla i upadła, cicha, ale wciąż żywa.

Przyciągała go ciepła krew wypełniająca noc obietnicą pożywienia. Wiedział jednak, że jeśli zacznie się posilać, już nie przestanie, a to nie było miejsce, które miało zostać naznaczone śmiercią. Podniósł ofiarę, odwrócił się w stronę wiatru i zaczął biec, używając wszystkich trzech wolnych kończyn. Nie mógł zabrać ofiary w ziemię, była też za ciężka, by unieść się z nią w niebo. Musiał ufać, że dzięki prędkości pozostanie niewidoczny.

Ofiara umrze. Tak jak chciał jego „pan”, ale z rozkazu jego starszego pana - umrze zgodnie z wzo-rem.

Niezauważona, zmięta czerwona rękawiczka została na skraju oświetlonego parkingu. Obok niej za-marzała plama ciemniejszej czerwieni.

Wracamy tematowi dnia. Tajemnicza seria morderstw w okolicach Toronto trwa. Siódme ciało zostało znalezione przez policję dziś rano na Foxrun Avenue, na południe od oaklandzkiego klubu golfowego. Śledczy z wydziału zabójstw obecni na miejscu zbrodni ujawnili tylko, że śmierć nastąpiła wskutek brutalnego ciosu w gardło. Nie po-twierdzili, czy to ciało również opróżniono z krwi. Nazwisko ofiary zostanie udowodnione dopiero po zidentyfikowaniu zwłok przez członka rodziny.

- Prognoza pogody dla południowego Ontario: będzie zimniej niż zwykle o tej porze roku i...

Vicki sięgnęła i wyłączyła radio. Przez chwilę leżała jeszcze na ławce do ćwiczeń, zasłuchana w od-głosy miasta, i przekonywała samą siebie, że huk przejeżdżającej w oddali ciężarówki nie był odgło-sem zbliżania się tysięcy pazurzastych stóp, a głośny, przenikliwy płacz na zachodzie to tylko syrena.

- Na razie hord demonów brak. - Opuściła rękę i stuknęła palcem w parkiet. - Odpukać w niemało-wane drewno. - Najwyraźniej wciąż miała czas, by odnaleźć drania winnego tych morderstw i połamać mu wszystkie kości w...

Nie kończąc tej myśli, wstała i przeszła do salonu, gdzie na ścianie przykleiła mapę miasta. Zemsta była w porządku, ale skupianie się na niej przesłaniało pilniejszy problem: odnalezienie tego bydlaka. Do pierwszych sześciu zabójstw doszło w niedzielne, poniedziałkowe i wtorkowe noce w odstepie tygodnia. Czwartkowe zabójstwo wszystko zepsuło. Wbijając spojrzenie w mapę, Vicki zaznaczyła Foxrun Avenue. Nie miała pojęcia, jak to pasowało do geograficznego wzoru, o ile w ogóle pasowało, a nie łamało go.

Poprawiła okulary i zmusiła swoją szczękę, żeby przestała się zaciskać.

Włączenie kropek może się bawić Henry, wieczorem, gdy już się obudzi. Ją czekało inne zadanie.

Jeśli Henry miał rację i osoba wzywająca demona otrzymywała za każde życia skradzione dobra, ich zaginięcie musiało zostać zgłoszone. Znajdź skradzione przedmioty, znajdziesz wzywającego demona. Znajdź wzywającego demona, zatrzymasz zabijanie. To bardzo proste: Vicki musiała tylko przejrzeć wszystkie raporty z ostatnich trzech tygodni i wyłowić niezwykle i niewyjaśnione kradzieże.

- Co zajmie mi - westchnęła - tylko jakieś dwa lata. - A dwa lata poszukiwań to i tak lepiej niż jedna sekunda spędzona na beczynnym i bezradnym

siedzeniu. Tyle że policja miała osiemnaście komend dzielnicowych. Od której zacząć?

Stuknęła ołówkiem w mapę. Poranne raporty z 31. komendy będą zawierały szczegóły zbrodni, o których nie mówiono w radiu. Mogą się przydać Henry'emu przy określaniu miejsca kolejnego za-bójstwa. Poza tym dwie linie utworzone przez poprzednie sześć śmierci przecinały się w rejonie tej komendy. Teraz to mogło nie mieć znaczenia, ale i tak stanowiło dobry punkt wyjścia.

Ściskając w jednej ręce torbę z czterema pączkami - dwoma z galaretką truskawkową i dwoma w czekoladzie - a w drugiej torbę z kawami, Vicki ze spuszczoną głową skręciła w Nor-Finch Drive. Szpital York-Finch został w tyle i przed podstępny północno-zachodnim wiatrem nie chroniło jej już nic, jeśli nie liczyć komendy i kilku mil kwadratowych przemysłowych nieużytków. Ale choć zwarty i solidny, budynek 31. komendy stanowił marną osłonę.

Kiedy Vicki była już blisko, z policyjnego parkingu wyjechał radiowóz. Zatrzymała się, żeby po patrzeć, jak skręca na wschód, w Finch Avenue O 9:20 w Wielki Piątek panował niewielki ruch i ła-two było odnieść mylne wrażenie, że miasto wykorzystało tę okazję - kościelne święto uznawane przez może jedną trzecią populacji - by zaspać. Ale miasto, jak Vicki dobrze wiedziała, nigdy nie robi ło czegoś tak spokojnego. Jeśli spadała liczba skarg drogowych, wzrastała liczba interwencji domowych bo kochające się rodziny spędzały razem cały dzień. A na Jane-Finch, gdzie zmierzał radiowóz, żyło zbyt

mało pracujących, którzy mogli wziąć sobie wolne. W przeddzień święta ścierały się temperamenty... Jeszcze jako mundurowa Vicki przez prawie rok pracowała w rejonie 31. Idąc w stronę komendy, przypominała sobie niektóre wydarzenia i odkryła, że wcale nie tęskni za policyjną robotą.

- Czyż to nie „Wiktoria Nelsona”, która odeszła, lecz nie została zapomniana? Co cię sprowadza na to zadupie?

- Musiałam zobaczyć twój uśmiech, Jimmy. - Vicki postawiła na kontuarze obie torby i zmarzniętymi palcami poprawiła okulary. - Jest wiosna, a ja, tak jak jaskółki, wracam do Capistrano. Jest tu gdzieś sierżant?

- Tak, jest w...

- Nie jej cholerny interes, gdzie jestem! - okrzyk

wstrząsnąłby mniej solidnym budynkiem. W ślad za donośnym głosem do pomieszczenia służbowego

wtoczył się jego właściciel, sierżant sztabowy Stanley Iljohn. Minął Jimmy'ego i podszedł do kontuaru. - Powiedziałaś, że będziesz na dziewiątą - wytknął. - Spóźniłaś się.

Vicki w milczeniu podniosła do góry torbę z pączkami.

- Łapówki - prychnął sierżant, a końcówki jego wspaniale podkręconych wąsów zdrzały pod wpływem siły wydechu. - Nie stój jak kołek, rusz dupę i siadaj. A ty - spojrzal na Jimmy'ego - z powrotem do pracy.

Jimmy, który przecież pracował, uśmiechnął się i zignorował go. Vicki zrobiła, jak jej kazano. Podczas gdy sierżant sadził się za biurkiem dyżurnego sierżanta, przysunęła sobie krzesło i usiadła na przeciw niego.

Kilka chwil później sierżant skrupulatnie otrzepał wykrochmalony przód koszuli z cukru pudru.

- Chwila. I ty, i ja wiemy, że pozwolenie ci na przejrzenie raportów ze zdarzeń jest wbrew regulaminowi wydziału.

- Tak, sierżancie. - Gdyby służbę miał ktokolwiek inny, pewnie nie udało by jej się nic osiągnąć bez wykorzystywania znajomości na wyższych szczeblach.

-I oboje wiemy, że bezczelnie wykorzystujesz swoją reputację cudownie skutecznego pracownika, by ten regulamin obejść.

- Tak, sierżancie. - Iljohn jako pierwszy rekomendował Vicki do przyspieszonego awansu i uważał jej rejestr aresztowań za potwierdzenie, że miał słuszność. Kiedy opuściła służbę, zadzwonił, wypytał o przyszłe plany i niemal rozkazał, by zrobiła coś ze swoim życiem. Trudno było go nazwać wspierającym, ale znalazła oparcie w jego szorstkiej życzliwości, kiedy Mike Celluci zarzucił jej, że ucieka.

- A jeśli przez tę sprawę wdepnę w gówno, powiem im, że użyłaś umiejętności walki wręcz, w których wy, prywatni detektywi, jesteście ponoć tacy cholernie dobrzy, obezwładniłaś mnie i czytałaś raporty, depcząc po moim krwawiącym ciele.

- Mam ci parę razy przyłożyć? - Chociaż wzrostem ledwie przekraczał policyjne minimum, wieść gminna głosiła, że Stanley Iljohn nigdy nie przegrał walki. Z niczym.

- Nie wymądrzaj się.

- Przepraszam, sierżancie.

Zabębnił kanciastym palcem o notatnik leżący na biurku. Jego twarz spoważniała.

- Naprawdę sądzisz, że możesz tu coś poradzić? -zapytał.

Vicki skinęła głową.

- W tej chwili - powiedziała równie poważnie -mam większe szanse niż ktokolwiek inny w mieście.

Iljohn wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

- Też umiem rysować linie na mapie - stwierdził wreszcie. - A kiedy połączysz liniami pierwsze sześć śmierci, X wyznacza miejsce niedaleko na północ stąd. Każdy glina na komendzie wygląda czegoś niespotykanego, czegoś, co wyróżni zabójcę, i mo-

żesz dać sobie rękę uciąć, że przez te papiery - krótkim i szybkim machnięciem ręki wskazała na raporty

o zdarzeniach z ostatnich kilku tygodni wiszące na ścianie przy biurku - przebrnęło już wielu naprawdę dobrych policjantów. I wszyscy pozostali chłopcy i dziewczynki z twojego dawnego placu zabaw.

- Ale nie ja.

Przytaknął skinieniem głowy.

- Nie ty. - Otwartą dłoń uderzył w leżące na biurku papiery. - Ostatnie zabójstwo było na moim terenie. To dla mnie sprawa osobista. Jeśli wiesz coś, o czym nie mówisz, wyrzuć to z siebie.

„Demon pisze imię krwią na mieście. Jeśli go nie powstrzymamy, będzie jeszcze gorzej „Skąd wiesz?“ „Wampir mi powiedział“.

Spojrziała mu prosto w oczy i skłamała:

- Wszystko, co wiem, powiedziałam Mike'owi Celluciemu. On prowadzi śledztwo. Pomyślałam, że zdołam pomóc, jeśli sama przyjrę się sprawie.

Oczy Iljohna zwięziły się. Wiedziała, że jej nie uwierzył. Nie całkiem.

Powoli, po chwili, która rozciągnęła się tak, że zmieścił się w niej cały czas ich wspólnej pracy, popchnął notatnik w jej stronę.

- Chcę, żeby to była ostatnia śmierć - mruknął. „Nie tak bardzo jak ja“, pomyślała Vicki.

Ile śmierci mieściło się w imieniu demona? Pochyliła głowę i zaczęła czytać.

- Ofiara pierwsza i siódma były studentami Uni-

wersytetu York. Zbyt luźne powiązanie, żeby na nim opierać śledztwo. Celluci westchnął.

- Vicki, w tej chwili opieram śledztwo na powiązaniach jeszcze luźniejszych niż to. Zadzwoniłaś, żeby mnie pognać, czy masz coś konkretnego do powiedzenia?

Vicki okręciła kabel telefonu wokół palców. Późnym popołudniem w 52. komendzie jej poszukiwania

przyniosły jakiś skutek. Pewien mundurowy, czekający na zmiennika, usłyszał jej rozmowę z sierżantem dyżurnym o niezwykłych sprawach i opowiedział o jednej, do której dostał wezwanie. Tyle że nie wiedziała, jak przekazać tę informację Cel-luciemu.

- Więc skoncentrujcie poszukiwania na Yorku? -zapytała zamiast tego.

Znowu westchnął.

- Tak. Na razie. A co?

Wzięła głęboki oddech. Nie było prostego sposobu.

- Nie pytaj, skąd to wiem, bo mi nie uwierzysz, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że osoba, której szukacie, nosi czarną skórzaną kurtkę. Taką wartą dziewięćset dolarów.

- Jezu Chryste, Vicki! To uniwersytet. Połowa cholernych studentów nosi czarne skórzane kurtki.

- Nie takie jak ta. Mam dla ciebie dokładny opis.

- A skąd go niby wzięłaś? Z ciasteczka z wróżbą? Vicki otworzyła usta i zamknęła je. To było zwyczajnie zbyt skomplikowane.

- Nie mogę ci powiedzieć - stwierdziła wreszcie. - Ujawniłabym swoje źródła.

- Vicki, jeśli coś przede mną ukrywasz, ujawnię ci źródła, o których nawet nie wiesz!

- Słuchaj, ty dupku, możesz mi wierzyć lub nie, ale nie waż się mi grozić! - Wyrzuciła z siebie opis kurtki i cisnęła słuchawką. No dobrze. Spełniła obywatelski obowiązek i powiedziała policji, co wie.

Świetnie. Teraz mogą działać albo nie. A Mike Cel-luci mógł iść do diabła.

Tyle że właśnie temu desperacko starała się zapobiec.

Zgrzytając zębami ze złości, posłała kopniakiem kuchenne krzesło do salonu. Oddychając ciężko, stanęła nad przewróconym meblem.

Kiedyś życie było o wiele prostsze - poinformowała go.

Westchnęła i wróciła do telefonu. Uniwersytet York był jedynym wspólnym ogniwem, a Coreen Fergus właśnie tam studiowała. Pewnie i tak wiele nie pomoże - Celluci, ten wkurzający debil, miał rację: znalezienie jednej skórzanej kurtki na kampusie to jak poszukiwanie jednego uczciwego polityka - ale nie zaszkodziło sprawdzić.

- Zastałam Coreen Fergus?

- Przykro mi, nie ma jej. Coś przekazać?

- Kiedy mogę ją zastać?

- Niestety, nie wiem. Dziś rano wyjechała na kilka dni do znajomych.

- Coś się stało? - Jeśli ta mała ucierpiała, bo poszła do mieszkania jakiegoś obcego faceta...

- Jest w szoku. Przyjaźniła się z dziewczyną, której ciało znaleziono w nocy.

Niedobrze, zwłaszcza tak szybko po śmierci Iana, ale dzięki Bogu, że tylko to.

- Kiedy wróci, proszę jej przekazać, że dzwoniła Vicki Nelson.

- Oczywiście. To wszystko?

- To wszystko.

I to rzeczywiście było wszystko, chyba że Henry coś odkrył.

- Ten, ten albo ten. - Henry przynosił wzrok z mapy na stronę z symbolami.

- Możesz określić kolejny punkt? - Vicki pochylała się nad stołem, odsuwając najdalej jak tylko mogła: od mrocznej księgi. Powstrzymała się przed stwierdzeniem, że starożytny tom roztacza wokół siebie aureę zła - to brzmiało jak motyw z kiepskiego horroru - ale zauważyła, że Henry dotykał go tak rzadko, jak tylko się dało.

Pochłonięty pracą z kątomierzem i linijką, wampir roześmiał się ponuro.

- Kolejne trzy punkty w trzech możliwych wzorach - wskazał.

- Świetnie. - Vicki wyprostowała się i poprawiła okulary. - Więcej komplikacji. Od którego zaczynamy?

- Od którego? - Ja zaczynam - poprawił Henry nieobecny głosem. Też się wyprostował, masując skronie. Jaskrawe światło, które najwidoczniej było potrzebne Vicki do funkcjonowania, przyparowało go o ból głowy. - Najlepiej tutaj. - Wskazał na mapie miejsce na wschód od rzeki Humber, między Lawrence i Eglinton Avenue. - Ten wzór jest najmniej skomplikowany ze wszystkich trzech.

Teoretycznie zostałyby zakończone jako pierwszy.

- Teoretycznie?

Henry wzruszył ramionami.

- To sprawy demonów. Tu nie ma żadnych gotowych i pewnych odpowiedzi. Eksperci w tej dziedzinie mają zwyczaj umierać młodo.

Vicki wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze. Tu nigdy nie było żadnych gotowych i pewnych odpowiedzi. Powinna to już dawno zrozumieć.

- Więc nigdy nie robiłeś czegoś takiego?

- Istotnie, nie robiłem. Podobne sprawy zdarzają się dość rzadko.

- Pozwól, że zapytam - wskazała palcem na tom, wciąż trzymając się od niego daleko - po co ci jedna z nich?

Henry spojrział na księgę, chociaż wyraz jego twarzy wskazywał, że to nie ją teraz widzi.

- Zabrałem ją szaleńcowi - powiedział ostro. -I nie życzę sobie teraz o tym rozmawiać.

- W porządku. - Vicki przemogła chęć ucieczki przed nieopanowanym gniewem, który pobrzmiwał w głosie Henry'ego. - Nie musisz. Nic nie szkodzi.

Z wysiłkiem odepchnął od siebie wspomnienia i zdobył się na coś, co, jak miał nadzieję, było uspokajającym uśmiechem.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

Zesztywniała.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś. Tym razem uśmiechnął się szczerze.

- To dobrze.

W pełni świadoma, że to z niej się teraz śmieje, Vicki odchrząknęła i zmieniła temat:

- Poprzedniej nocy powiedziałeś, że nie możemy poznać wszystkich imion demonów.

- To prawda. - Starał się o tym nie myśleć.

- Więc te śmierci mogą służyć wykreśleniu imienia, którego nie znajdziemy w księdze.

- Znowu masz rację.

- Cholera. - Z założonymi rękami Vicki podeszła do okna i oparła czoło o chłodne szkło. Punkciki światła w dole, jedyny element miasta, który dostrzegała, wyglądały, jakby się z nią drażniły. Tysiące demonich oczu w ciemnościach. - Co z tym zrobimy?

- Dokładnie to, co teraz. - To mogło być pytanie retoryczne, ale czasem Henry czuł, że nawet takie pytania wymagają odpowiedzi. Chciał ją uspokoić jak tylko umiał. - Będziemy mieć nadzieję, modlić się i nie poddawać.

Vicki podniosła głowę i odwróciła się do niego. - Ja się nigdy nie poddam - oznajmiła ostro.

- Nigdy nie sądziłem, że jest inaczej. - Uśmiechnął się.

„Naprawdę ma niesamowity uśmiech”, pomyślała Vicki, podziwiając sposób, w jaki marszczyły się kąćki jego oczu. Poczowała, że jej usta wyginają się w odpowiedzi na ten uśmiech, i w myślach potrząsnęła sobą, zmuszając twarz do ukrycia nagłej tali po-żądania. „Czterysta pięćdziesiąt lat doświadczenia, ciało dwudziestolatka, nadprzyrodzone moce...”

Henry usłyszał, jak jej serce przyspiesza, a wyczulonym nosem wychwyił nowy zapach. Nie posilał się od czterdziestu ośmiu godzin, niebawem będzie musiał to zrobić. „Jeśli mnie pragnie, okazałbym się głupcem, odmawiając jej...” Już dawno wyrósł z potrzeby udowodniania sobie czegokolwiek przez przyspieszanie biegu spraw - wiedział, że mógł sięgnąć, po co tylko zechce - pozwoliby jej więc zrobić pierwszy krok. „A co z obietnicą niean-gażowania się, póki demon nie zostanie pokonany?” Cóż, pewne obietnice składano tylko po to, żeby je później złamać.

Serce Vicki zwolniło, a Henry, choć podziwiał jej opanowanie, nie starał się ukryć rozczarowania.

- Więc. - słowo uwięzło Vicki w gardle i musiała odchrząknąć. „To idiotyzm. Mam trzydzieści jeden lat. Nie siedemnaście”. - Dowiedziałam się w 31. komendzie paru rzeczy, które mogą mieć znaczenie dla sprawy.

- Hm? - Henry uniósł rudozłotą brew i oparł się o brzeg stołu.

Vicki skrzywiła się na ten widok. Dałaby sobie rękę uciąć, byle tylko móc podnosić pojedynczą brew, nie angażując przy okazji całego czoła. Była skłonna uznać, że wampir nie zdawał sobie sprawy, jak światło żyrandola rozświetla jego włosy, jak pozycja, którą przyjął, powoduje, że brązowe sztruksowe spodnie opinają umięśnione uda. Z wysiłkiem zepchnęła swój umysł z powrotem na właściwe tory.

Nie było teraz czasu na „te sprawy”. Cokolwiek by ten termin oznaczał, musiało to poczekać.

- Kilka osób, przede wszystkim pracownicy tamtejszego McDonalda, skarżyło się na smród na parkingu przy markecie na Jane-Finch. Siarka i gnijące mięso. Gazownia kogoś tam wysłała, ale nie znaleźli przecieków.

- Demon? - Henry pochylił się nad mapą, próbując zignorować rosnący głód. Nie było łatwo, mając Vicki tak blisko, chętną, przynajmniej w sensie fizycznym. - Ale ciało znalezione...

- Jest jeszcze coś. Ktoś zgłosił, że przez przecznice Jane Street biegnie niedźwiedź. Policja nie zajęła się tym, bo według zgłaszającego zwierzak tylko

I

mignął, gdy mijał jego samochód z prędkością stu kilometrów na godzinę.

- Demon - tym razem to nie było pytanie. Vicki przytaknęła.

- Wszystko na to wskazuje. - Podeszła z powrotem do stołu i do mapy. - Obstawiałabym, że zabrał ofiarę stąd i zaniósł tu, by ją zabić. Dlaczego? Na pewno bliżej kręcili się jacyś ludzie.

- Być może tym razem powiedziano mu, kogo zabić.

- Bałam się, że to powiesz.

- To jedyna logiczna odpowiedź - odparł Henry, wstając. - Ale spójrz na to z jaśniejszej strony.

- Nie ma jaśniejszych stron - prychnęła Vicki. Na zakończenie dnia przeczytała raport koronera.
- Zapewne zabrzmię jak Pollyanna ~ powiedział sucho Henry - ale zawsze jest jakaś jaśniejsza strona. Albo przynajmniej taka mniej ciemna. Jeśli demon dostał polecenie, żeby zabić tę młodą kobietę, być może policja znajdzie jakieś powiązanie między nią a panem bestii.

- A jeśli to tylko przejaw demoniej perwersji?

- I tak nie zostajemy w tyle bardziej niż teraz. Wybacz więc, skoro rozkład został zaburzony, lepiej, żebym poszedł nad Humber, na wypadek gdyby demon został wezwany tej nocy.

Już w drzwiach Vicki nagle się zatrzymała. Straszliwa myśl sprawiła, że pobladła gwałtownie.

- Co powstrzyma to coś przed pojawieniem się u kogoś w domu? Tam, gdzie go nie zobaczysz? Nie będziesz mógł powstrzymać?

- Demony - powiedział Henry, z uspokajającym uśmiechem zapinając pasek płaszcza - nie są w stanie wejść do domu śmiertelnika bez wyraźnego zaproszenia.

- Myślałam, że to dotyczy wampirów?

Henry położył rękę na jej plecach i wyprowadził kobietę na korytarz.

- Pan Stoker - oznajmił, zamykając drzwi do mieszkania - dał się ponieść optymizmowi.

Henry oparł się o ogrodzenie cmentarza i spojrzał na niewielkie skupisko cichych nagrobków. Większość stanowiły stare kamienne tablice podobnego rozmiaru i wieku. Kilka marmurowych pomników wyglądało pretensjonalnie i nie na miejscu.

Zachodni bok cmentarza sięgał aż do parku nad rzeką Humber, a szum wzburzonej wody wypełniał noc. Na północy znajdowały się osiedla, na wschodzie i południu - puste tereny. Wampir zastanawiał się, czy cmentarz miał jakiś wpływ na brak ich rozwoju. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nawet teraz, w wieku nauki, zmarłych uważano za niepożądanych sąsiadów. W końcu nigdy nie włączali na cały regulator płyty Twisted Sister o trzeciej nad ranem.

Odczuwał obecność - jeszcze nie wzór, ale oczekiwanie na niego. Obecność zła wypatrującego swojej szansy, ostatej śmierci, która pozwoli mu wydostać się na ten świat. Uczucie sprawiające, że Henry'ego przeszywał dreszcz, a wargi same się unosiły, odsłaniając zęby, było wystarczająco silne, by zyskał pewność, że dobrze wybrał. To imię zostanie zakończone jako pierwsze. Ten Władca Demonów jako pierwszy wyrwie się z ciemności na wolność i rozpocznie rzeź.

Demona niższego stopnia trzeba powstrzymać w ciągu tych kilku sekund między pojawieniem się a zadaniem morderczego ciosu, bo jeśli krew dotknie ziemi, Henry będzie musiał stawić czoła jego panu.

Niestety, do uzupełniania wzoru mogło dojść na większym terenie, niż wampir był w stanie objąć wzrokiem. Zrobił więc jedyną rzecz, którą mógł - wyznaczył krokami pentagram dobrze poza obszarem, jaki miał obejmować wzór, zostawiając piętna-stocentymetrową lukę. Zamknie go, kiedy demon się pojawi, atakując kogoś albo niosąc ofiarę. Takie prowizoryczne więzienie nie wytrzyma dłużej niż kilka sekund, ale to powinno wystarczyć, żeby dopaść bestię i...

- ...i powstrzymać ją - Henry westchnął i podniósł kołnierz płaszcza - na jakiś czas. - Sęk w tym, że demony niższej rangi łatwo było zastąpić. Jeśli powstrzyma tego, jego „pan” przyzwie następnego. Na szczęście, jak większość twardzieli, demony nie lubiły bólu. Może Henry zdoła nakłonić jednego z nich do mówienia. - Jeśli w ogóle umie mówić. - Wepchnął ręce w kieszenie i oparł się o płot. Ponoć nie wszystkie potrafiły.

Był jeszcze jeden problem, o którym nie wspomniał Vicki, bo wiedział, że by go zlekceważyła. Tej nocy miliony ludzi na całym świecie opłakiwały śmierć Chrystusa. To stulecie nie doceniało potęgi wiary, ale Henry tak. Większość religii miała w swoich kalendarzach zaznaczony najmroczniejszy dzień. Z uwagi na powszechność chrześcijaństwa krył się w tym ogromny potencjał. Jeśli demon przybędzie, nim Chrystus zmartwychwstanie, będzie silniejszy, niebezpieczniejszy, trudniejszy do powstrzymania.

Zerknął na zegarek. 11:40. Jak nakazywała wielowiekowa tradycja, demon zostanie wezwany - jeśli w ogóle - o północy. Według Vicki do wszystkich poprzednich zabójstw dochodziło między północą i pierwszą w nocy. Zastanawiało go, jakim cudem policja przegapiła tak istotną wskazówkę.

Wiatr opłatywał mu kolana połami płaszcza i rozwiewał jasne włosy. Jak wszystkie duże dra-pieżniki, Henry mógł trwać nieruchomo tak długo, jak wymagało tego polowanie, napiętymi zmysłami szukając ofiary, jej zapachu. Minęła północ.

Henry poczuł, jak mija go serce ciemności, a obecność zła staje się silniejsza. Napiął wszystkie mięśnie. Między tym a kolejnym uderzeniem serca będzie musiał działać.

Obecność zaczęła zanikać.

Kiedy stała się już ledwie drobną możliwością, Henry znowu spojrzał na zegarek. 1:20. Tej nocy z niezbadanych powodów niebezpieczeństwo się oddaliło.

Ulga sprawiła, że usiadł pod płotem, szczerząc się jak głupi. Nie tęsknił za walką, cieszył się z jej opóźnienia. Teraz wróci do centrum, może zajrzy do

Caroline, zje coś, doczeka świtu, nie martwiąc się, że piekielne hordy rozerwą go na strzępy.

- Spokojnie tu, prawda?

Siwowłosa mężczyzna nie miał pojęcia, jak blisko śmierci się znalazł. Tylko obecność wzoru wyczekującego kolejnego morderstwa powstrzymała Henry'ego przed uderzeniem. Zmusił swoje wargi, by zakryły ponownie zęby, i wsunął drżące dłonie do kieszeni.

- Przestraszyłem pana?

- Nie. - Twarz łowcy, na którą z wysiłkiem przyoblekł cywilizowaną maskę, skrył mrok. - Tylko mnie pan zaskoczył. - Wiatr znad rzeki sprawił, że Henry nie wyczuł krwi, a odgłosy płynącej wody zapuszyły kroki. To, że dał się zaskoczyć, było uspra-wiedliwione. Ale też zawstydzające.

- Mieszka pan w okolicy?

- Nie. - Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, Henry zweryfikował wcześniejszą opinię o jego wieku. Nie więcej niż pięćdziesiąt, i to wysportowane, atletyczne pięćdziesiąt, a do tego ogorzała twarz kogoś, kto pracował na świeżym powietrzu.

- Tak myślałem, pamiętałbym pana. - Jego oczy były bladoniebieskie, a tuż przy kołnierzu szarej kurtki pod opaloną skórą pulsowała żyła. - Często spaceruję nocą, kiedy nie mogę spać.

Z rękami opuszczonymi wzdłuż spranych dżinsów czekał na odpowiedź Henry'ego. Żyłaste kłykcie świadczyły o stoczonych niegdyś bitkach. Wampir podejrzewał, że większość z nich zakończyła się zwycięstwem.

- Czekałem na kogoś. - Adrenalina wciąż sprawiała, że był niecierpliwy, chociaż rozbawienie brało górę. - Nie przyszedł. - Odpowiedział na uśmiech powoli wpełzający na twarz starszego mężczyzny, pochwycił spojrzenie niebieskich oczu i przytrzymał je. Prowadząc go w cień cmentarza, pozwalając, by głód rósł, Henry myślał o takim zwieńczeniu ostatnich kilku godzin i musiał zdusić histeryczny chichot. To, w co zawsze wierzył, okazało się prawdą. „Świat jest nie tylko dziwniejszy, niż sobie wyobrazasz; jest dziwniejszy, niż mógłbyś sobie wyobrazić - oto wampir czekający na demona skacze na szybki numer z nieznanym na cmentarzu. Cza-sem kocham to stulecie”.

- Pani detektyw? Znaczy pani Nelson? - Młody funkcjonariusz zaczerwienił się i odchrząknął. -

Sierżant mówi, że może chciałaby pani usłyszeć o wezwaniu, które miałem rano.

Vicki podniosła głowę znad stosu raportów i poprawiła okulary. Zastanowiła się, od kiedy do służby przyjmują dzieci. Albo raczej od kiedy dwudziestolatki wyglądają tak cholernie młodo.

Funkcjonariusz wyprostował się i zaczął czytać z notesu:

- Dziś, w sobotę, dwudziestego trzeciego marca, o 8:02, pan John Rose, zamieszkały na Birchmont Avenue 42, poinformował o zaginięciu jednego z egzemplarzy z jego kolekcji broni. Wspomniana kolek-

cja, w tym zaginiony egzemplarz, przechowywana była w zamkniętym sejfie za fałszywą ścianą w piwnicy pana Rose. Ani ściana, ani zamek nie nosiły śladów manipulacji. Pan Rose przysięga, że tylko on i jego żona znają szyfr. W domu nie stwierdzono śladów włamania. Wszystkie dokumenty i pozwolenia wydają się w porządku i...

- Funkcjonariuszu?

- Tak, proszę pani?

- Jaki egzemplarz zginął panu Rose? - Jaki?

Vicki westchnęła. Miała za sobą nieprzespaną noc i długi dzień. - Jaki typ broni?

- A! - Funkcjonariusz znowu się zaczerwienił i zerknął na notatki. - Zaginiony egzemplarz to rosyjski karabinek automatyczny AK-47. Z amunicją. Proszę pani.

- Cholera!

- Tak, proszę pani.

- Nie wierzę! - Norman kopnął budkę z gazetami. Czubek jego buta do biegania zetknął się z metalem, dając głuche i wyjątkowo satysfakcjonujące „bum”. Chłopak przystanął, by przeczytać artykuł z pierwszej strony o siódmej ofierze, i odkrył, że ten głupi demon zabił nie tę dziewczynę. Co gorsza, zabił nie tę dziewczynę w czwartek w nocy, a Norman dowiedział się o tym dopiero w sobotę! Przez dwa dodatkowe dni Coreen chodziła po świecie żywa!

Dudnienie, które tym razem nie zniknęło wraz z demonem, stawało się coraz głośniejsze.

Wyciągnął z kieszeni portfel, mrużąc pod nosem:

- W porządnym kraju byłyby porządne służby informacyjne. - Gdyby wiedział o tym wczoraj, wezwałby demona, zamiast surfować po sieci w poszukiwaniu kogoś, kto powiedziałby mu, jak korzystać z nowej zabawki. „Szkoda, że nie mogłem go wziąć na zajęcia. Wtedy wszyscy by mnie zauważyli”.

Najbardziej rozwścieczyło go, że demon wrócił w czwartek, potem znowu wyruszył i przyniósł mu broń, a nawet się nie zająknął, że spieprzył sprawę. Sobotnie wydanie kosztowało dolara dwadzieścia pięć. Widząc to, Norman prawie się rozmyślił, ale wrzucił monety do otworu. W końcu artykuł był w pewnym stopniu o nim. Poza tym musiał się dowiedzieć, co zrobił demon, by obmyślić, jak go tej nocy ukarze. Póki tkwił w pentagramie, Norman na pewno mógł mu wyrządzić jakąś krzywdę. Z gazetą pod pachą - kupiłby dwie, ale pojedyncze wydanie weekendowe było już i tak grube - skierował się w stronę małego sklepiku na rogu po paczkę brykietów. Został mu już tylko jeden, a do rytuału potrzebował trzech. Niestety, zabrakło mu siedemdziesięciu sześciu centów. - Co? - Węgiel kosztuje trzy dolary pięćdziesiąt dziewięć centów plus dwadzieścia pięć centów podatku, czyli trzy dolary osiemdziesiąt cztery centy. Pan ma tylko trzy dolary i osiem centów. - Będę pani dłużny. Stara kobieta pokręciła głową. - Przykro mi, nie sprzedajemy na kredyt. Norman zmrużył oczy. - Urodziłem się w tym kraju. Mam prawa. - Sięgnął po torbę, ale staruszka schowała ją za ladą. - Nie na kredyt - powtórzyła bardziej stanowczo. Był w połowie drogi wokół lady, kiedy staruszka sięgnęła po miotłę i ruszyła na niego. Porwał swoje pieniądze i uciekł pospiesznie. „Pewnie zna kung-fu albo coś w tym stylu”. We-pchnął gazetę pod pachę i skierował się z powrotem do mieszkania. Przechodząc obok pudła z gazetami, kopnął je jeszcze raz. Najbliższy bankomat zamykano o szóstej. Na pewno nie zdąży. Będzie musiał pójść jutro do centrum handlowego, żeby znaleźć jakiś czynny. To wszystko wina tej staruchy. Jak już obmyśli odpowiednią karę dla demona i dopilnuje, żeby Co-reen dostała za swoje, może postara się rozwiązać problem imigrantów. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze.

- Spójrz na to!
- Widziałam. Ja je przyniosłam, pamiętasz? - Vicki, pocierając twarz dłońmi, odpowiedziała bez podnoszenia głowy.
- Całemu miastu odbiło?
- Henry, całe miasto jest przerażone. - Włożyła z powrotem okulary i westchnęła. Chociaż nie zamierzała o tym wspominać, ostatniej nocy spała przy zapalonym świetle i wciąż się budziła z sercem podchodzącym do gardła, oczekająca potem, przekonana, że coś wejdzie po schodach pożarowych i przez okno. - Ty od 1536 roku zdążyłeś się oswoić z brutalnymi zgonami. Reszta świata nie miała tego szczęścia. Jakby rekompensując brak wiadomości w Wielki Piątek, wszystkie trzy sobotnie gazety opisywały na pierwszych stronach siódme zabójstwo, podkreślając, że to ciało też zostało opróżnione z krwi. Wszystkie trzy, w tym państwowy dziennik, który postanowił przyłączyć się do towarzystwa, zawierały artykuły o wampirach, komentarze o wampirach, historyczne i naukowe rozprawy o wampirach - jednocześnie twierdząc, że coś takiego nie istnieje.
- Wiesz, jak to się skończy? - Henry cisnął trzymaną w dłoniach gazetą na kanapę tak, że część kartek oddzieliła się i ześlizgnęła na podłogę. Vicki musiała się obrócić, bo wyszedł z jej ograniczonego pola widzenia.
- Zwiększoną cyrkulacją? - zapytała, kryjąc ziewnięcie. Po dniu spędzonym nad raportami bolały ją oczy, a wiadomość, że wzywający demony sięgnął po bardziej konwencjonalną broń, była ostatnim, co chciała usłyszeć. Henry nie mógł ustać spokojnie. Przemierzył pokój czterema emanującymi złością krokami, odwrócił się i ruszył z powrotem. Oparł ręce na oparciu kanapy i pochylił się w stronę Vicki.
- Masz rację, ludzie się boją. Gazety, nieważne z jakich powodów, nadały temu strachowi imię: wampir. - Wyprostował się i przecesał dłonią włosy. - Ludzie piszący te artykuły nie wierzą w wampiry, większość czytelników też nie, ale mówimy o kulturze, w której więcej osób zna swój znak zodiaku niż grupę krwi. Gdzieś tam ktoś bierze to wszystko na poważnie i w wolnym czasie ostrzy kołki. Vicki zmarszczyła brwi. To miało sens, a ona nie zamierzała stawać w obronie rozsądku współczesnych ludzi.
- Jedna z lokalnych stacji pokazuje dziś Draculę.
- Po prostu świetnie. - Henry uniósł dłonie i znowu zaczął krążyć po pokoju. - Więcej drew do ognia. Vicki, oboje wiemy, że w Toronto żyje przynajmniej jeden wampir. Osobiście wołałbym, żeby jakiś chłop w amoku podsycanym przez media nie zrobił czegoś, czego będę żałował, bo nie widuje mnie w

ciągu dnia. - Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. - A co najgorsze, nic nie mogę na to poradzić. Vicki wstała i podeszła do niego. Rozumiała, jak się czuł.

- Wątpię, czy to coś da, ale mam koleżankę, która pisze w dziale społecznym brukowca. Wróć do domu, zadzwonię do niej i zobaczę, czy może coś na ten szum poradzić.

- Co jej powiesz?

- To, co ty powiedziałaś mnie. - Uśmiechnęła się. - Poza tym kawałkiem o wampirze mieszkającym w Toronto.

W odpowiedzi Henry zdobył się na krzywy uśmiech.

- Dziękuję. Pewnie pomyśli, że straciłaś piątą klepkę.

Vicki wzruszyła ramionami.

- Byłam gliną. Jej zdaniem, straciłam piątą klepkę już dawno temu.

Patrząc na ich odbicia w szkłe, Vicki po raz pierwszy uświadomiła sobie, że urodzony w szesnastym wieku Henry Fitzroy był od niej o dziesięć centymetrów niższy. Co najmniej. Zawsze była sno-bem, jeśli chodzi o wzrost, więc ze zdziwieniem odkryła, że tym razem to nie miało znaczenia. Jej uszy zrobiły się tak samo czerwone, jak rano u młodego funkcjonariusza. Odchrząknęła i zapytała:

- Wrócisz dziś w nocy nad Humber?

Odbicie Henry'ego ponuro skinęło głową.

- I będę wracał każdej nocy, póki coś się nie stanie.

Anicka Hendle właśnie wróciła z męczącej zmiany na ostrym dyżurze. Parkując samochód w uliczce za domem i idąc chodnikiem, myślała tylko o tym, żeby się położyć. Nie zauważyła ich, póki nie dotarła do ganku.

Roger, starszy z braci, siedział na najwyższym stopniu. Młodszy, Bill, stał w zmarzniętym ogrodzie, opierając się o ścianę domu przy czymś, co wyglądało jak kij do hokeja, chociaż w marnym świetle ciężko było dokładnie stwierdzić. Ci dwaj i towarzyszący im „przyjaciele” wynajmowali dom obok i choć Anicka kilka razy skarżyła się ich gospodarzowi - na hałas, brud - nie mogła się ich pozbyć. Najwyraźniej spędzili noc na piciu. Czuła od nich piwo.

- Dzień dobry, panno Hendle.

Tylko tego jej brakowało, rozmowy z Tirli Bimem i Tirli Bomem.

- Co mogę dla was zrobić, panowie? - Zwykle byli zbyt ociężały albo zbyt pijani, żeby sarkazm na nich zadziałał, ale nie poddawała się.

- Cóż... - Uśmiech Rogera tworzył jaśniejszą plamę na szarym owalu twarzy. - Możesz nam powiedzieć, czemu nie widzimy cię w dzień.

Anicka westchnęła. Była zbyt zmęczona, żeby szarpać się z ich kolejnym idiotycznym pomysłem.

- Jestem pielęgniarką z nocnej zmiany - powiedziała, powoli i wyraźnie wymawiając głoski. - Dlatego pracuję w nocy.

- To nie wystarczy. - Roger łknął solidnie z trzymanej w lewej dłoni butelki. Prawą bawił się czymś trzymanym na kolanach. - Nikt nie pracuje w nocy przez cały czas.

-Ja tak. - To śmieszne. Ruszyła naprzód. - Wracajcie skąd przyszliście albo zadzwonię... - Złapali ją za ramiona. Tego się nie spodziewała.

- Zadzwonię gdzie? - zapytał Bill, przyciągając kobietę do siebie.

Zdjęta nagłym przerażeniem, szarpała się w panice, próbując się uwolnić.

- Zaczekamy sobie we trójkę - głos Rogera zdawał się dochodzić z daleka - aż wszędzie słońce. A wtedy zobaczymy.

Oszaleli. Obaj oszaleli. Panika dodała jej potrzebnych sił i pozwoliła wyrwać się z uścisku Billa.

Wpadła na schody ganku. To się nie mogło dziać. Musiała dotrzeć do domu. W domu będzie bezpieczna.

Zobaczyła, jak Roger wstaje. Mogła go minąć.

Odepchnąć z drogi.

Wtedy dostrzegła kij bejsbolowy w jego ręce.

Siła uderzenia rzuciła ją z powrotem na trawnik.

Nie mogła wciągnąć przez zmiążdżony nos i usta dość powietrza, żeby krzyknąć.

Z twarzą zalaną krwią uniosła się na łokcie i kolana i próbowała doczołgać się do domu. „Jeśli dotrę do domu, będę bezpieczna”.

- Słońce wstaje. A ona chce się dostać do środka.

- To mi wystarczy.

Kij hokejowy został zaostrzony na jednym końcu, a połączone siły obu mężczyzn dały radę przebić go przez kurtkę, fartuch, ciało i kości aż w głąb ziemi.

Kiedy pierwszy promień słońca wyrzał z garażu, Anicka Hendle zadrżała jeszcze raz i znieu-

chomią.

- Teraz zobaczymy - orzekł Roger, sięgając po piwo.

Światło słońca prześlizgnęło się po podwórku, dotknęło białego buta i delikatnie objęło ciało. Krew na zamrożonej ziemi zapłonęła szkarłatem.

- Nic się nie dzieje. - Bill, z szeroko otwartymi oczami w pobladłej twarzy, odwrócił się do brata. - Roger, ona miała się zmienić w pył!

Roger cofnął się o dwa kroki i zaczął rzygać jak

ROZDZIAŁ 10

Wstańcie, by wysłuchać słów Pana. Dzisiejsze czytanie z Ewangelii według świętego Mateusza, rozdział dwudziesty ósmy, wersy od pierwszego do siódmego*.

- Błogosławione niech będzie imię Pańskie.

- „Po upływie szabatu, o świcie pierwszego dnia tygodnia przyszła Maria Magdalena i druga Maria obejrzeć grób. A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli. Anioł zaś przemówił do niewiast: »Wy się nie bójcie! Gdyż wiem, że szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał, jak powiedział. Chodźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał. A idźcie szybko i powiedzcie Jego uczniom: Powstał z martwych i oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie. Oto, co wam powiedziałem«. Tak kończy się lekcja".

Gromko odśpiewana Gloria niemal zerwała dach kościoła i przez chwilę wiara w życie wieczne obiecanie przez chrześcijańskiego Boga była tak silna, że mogła wzniesć mur między światem a siłami ciemności.

Szkoda, że tylko przez chwilę.

- Proszę się odsunąć. Zrobić przejście.

Dwaj bracia z rękami skutymi na plecach zostali przeprowadzeni przez policyjny kordon na ulicę. Ciekawscy sąsiedzi przesunęli się bliżej, a potem do tyłu, jak żywe morze odbijające się od ściany niebieskich mundurów. Zatrzymani nie zwracali uwagi

na gapiów. Roger, śmierzdzący wymiocinami, wciąż próbował rzygać, tyle że nie miał już czym, a Bill płakał w milczeniu, z niemal zamkniętymi oczami. Obaj zostali wsadzeni, niezbyt delikatnie, do jednego z radiowozów, co zarejestrowało pół tuzina kamer telewizyjnych.

Ignorując wykrzykiwane przez reporterów pytania, dwóch funkcjonariuszy wsiadło do samochodu i przy dźwięku krztuszącej się syreny przedarło się przez zatłoczoną ulicę. Pozostali dwaj dołączyli do żywego muru zasłaniającego widok na podwórko. „Nikt nie rozmawia z mediami", powiedział im główny śledczy tonem, który nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

Następnie wyniesiono ciało. Kołyszący się wózek sprawiał, że zawartość worka na zwłoki zdawała się nadal żyć. Kilkaosobowa grupa wypuściła powietrze, kamery poszły w ruch, a dziennikarz wiadomości nadawał reportaż z miejsca zdarzenia. Delikatny zapach środków odkażających, charakterystyczny dla sprzętu używanego przez koronera, pozostawił niemal widoczny ślad w wilgotnym porannym powietrzu.

- Widziałam ją, zanim gliniarze wsadzili ją do worka - wyznała nadstawiającej ucha publiczności sąsiadka. Zrobiła przerwę, napawając się poczuciem władzy, i owinęła się szczelniej płaszczem, by zakryć kraciastą flanelową koszulę nocną. - Jej twarz była zmasakrowana, a nogi rozsunięte. -

Kiwając domyślnie głową, dodała: - Wiecie, co to oznacza.

Słuchacze skinęli ze zrozumieniem.

Kiedy samochód koronera odjeżdżał, policyjna barykada rozpadła się na pojedynczych mężczyzn i kobiety, którzy pospiesznie zeszli z drogi nadchodzącemu od strony podwórka Mike'owi Cełłuciemu i jego partnerowi.

- Zbierzcie zeznania od każdego, kto coś widział albo myśli, że widział - polecił Celluci. W innych okolicznościach rozbawiłaby go reakcja, jaką wywołał w tłumie: połowa wyprężyła się z dumą, a połowa wymknęła cicho. Ale ten ranek nie był ani trochę zabawny. Bezsensowność zabójstwa wprawiała Mike'a w furję tak lodowatą, że wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje ciepło.

Dziennikarze, dla których materiał był ważniejszy od tego, co się naprawdę stało, ruszyli na-przód, domagając się jakiegoś komentarza od policji. Dwaj detektywi z wydziału zabójstw przepchnęli się w milczeniu do samochodu. Pierwotny instynkt przetrwania powstrzymał dziennikarzy przed błó-

lewni^{em} im drogi. Kiedy Cellucei otwierał drzwi, Dave pochylił się w jego kierunku.

- Mike, musimy im coś powiedzieć, bo powymyślają sobie Bóg wie co - szepnął. Cellucci spojrzeli na niego spod łba, ale Dave nie odpuszczał. - Jeśli nie ty, ja to zrobię.

- Nie. - Zerknął z niechęcią na stado szakali. - Anicka Hendle nie żyje przez te wasze idiotyczne historyjki o wampirach. Jesteście tak samo odpowiedzialni za jej śmierć, jak ci dwaj głupcy, których zabraliśmy. Dajcie sobie spokój z tą historią. Mam nadzieję, że jesteście z siebie dumni.

Siadając za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki tak mocno, że dźwięk odbił się echem od okolicznych domów. Wysunąwszy mikrofon, jeden z dziennikarzy wychylił się z oszołomionej masy, ale Dave Graham pokręcił głową.

- Nie radzę - zasugerował cicho.

Z mikrofonem wciąż w górze, dziennikarz zatrzymał się i razem z całym stadem patrzył, jak dwaj śledczy odjeżdżają - Nienaturalna cisza utrzymywała się, póki samochód nie dotarł do końca ulicy. Wtedy głos z tyłu poderwał stado do działania.

- Widziałam ją, zanim gliniarze wsadzili ją do worka.

- Dalej masz tę przyjaciółkę w brukowcu?

- Cellucci? - Vicki usiadła z powrotem na leżance, podnosząc telefon i kładąc go sobie na kolanach. -- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Ta Fellows, która pisze do brukowca, dalej się z nią spotykasz?

- Cóż, ja niezupełnie się z nią spotykam... -Zmarszczyła brwi.

- Na litość boską, Vicki, to nie czas na gierki słowne. Nie pytam, czy z nią sypiasz! Rozmawiasz z nią czy nie?

- Tak. - Zamierzała zadzwonić do niej jeszcze tego popołudnia i sprawdzić, czy da się coś poradzić na hordy chłopów z kołkami i czosnkiem, których obawiał się Henry. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że tego samego dnia o Anne Fellows pomyślał Cellucci. Spotkali się tylko raz i nie przypadli sobie do gustu. Przez całe przyjęcie krążyli wokół siebie jak wściekłe psy, czekając, kto pierwszy odsłoni gardło. - A co?

- Weź coś do pisania. Chcę, żebyś jej o paru sprawach opowiedziała.

Ton jego głosu sprawił, że Vicki pospieszenie sięgnęła pod leżankę i zanim zaczął mówić, trzymała już pióro kulkowe i poplamiony kawą notes. Kiedy skończył, zaklęła miękko.

- Jezu Chryste, Mike, słusznie zakładam, że góra nie wie o tym, że przekazujesz informacje? - Usłyszała, jak ciężko wdycha, i zanim zdążył odpowiedzieć, zrobiła to sama. - Nieważne. Głupie pytanie.

- Vicki, nie chcę, żeby coś takiego się powtórzyło. Gazety to zaczęły i gazety mogą to zakończyć.

Vicki spojrziała na informacje o życiu i śmierci Anieki Hendle wypisane na trzech kartkach papieru czytelnym pismem i zrozumiała gniew i frustrację Celluciego. Sama czuła niemal to samo, zimny dreszcz na kręgosłupie.

- Zrobię, co się da.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Poznała po tonie, że kończy rozmowę i odkłada słuchawkę, więc wykrzyknęła jego imię. Sekundy, które minęły, zanim przekonała się, że ją usłyszał, były najdłuższymi, z jakimi ostatnio miała do czynienia.

- Co? - warknął.

- Będę dziś wieczór w domu.

Słyszała jego oddech, więc wiedziała, że wciąż jest na linii.

- Dzięki - powiedział wreszcie, a trzask odkładanej słuchawki zabrzmiał niemal pieszczotliwie.

Ze swojego miejsca pod ścianą w „Druxy” Vicki widziała drzwi, a przez ogromne okna - większy kawałek Bloor i Yonge. Traktowała tę sprawę bardzo poważnie, dlatego nie ryzykowała możliwości niezrozumienia się przez telefon i namówiła Anne na wspólny lunch. Twarzą w twarz prędzej przekona felietonistkę, że prasa miała moralny obowiązek zadbać o to, by nie było kolejnej Anieki Hendle.

Podniosła papierowy kubek z kawą i zawięła jego brzeg. Ze względu na własne bezpieczeństwo Henry chciał, żeby prasa przestała zajmować się „sprawą wampirów”, a Vicki była gotowa mu pomóc jak umiała. Powinna wpaść na to, że nie tylko Henry znalazł się w niebezpieczeństwie. Tektura rozewała się, a Vicki zaklęła, kiedy gorąca kawa dosięgła jej dłoni.

- Też mi detektyw. Mogłabym już ze dwa razy dać ci w łeb, a ty nawet nie zauważyłabyś, kto cię tak załatwił.

- Jak?...

- Weszłam tymi małymi drzwiami w zachodnim rogu, o wszechśledząca. - Anne Fellows usiadła na krześle naprzeciw Vicki i wysypała do swojej kawy cztery saszetki cukru. - No więc co jest tak ważne, że wyciągasz mnie na miasto w taki deszcz?

Zamierzając się patyczkiem do mieszania na pi-kła, Vicki zastanawiała się, od czego zacząć.

- Dziś rano zamordowano kobietę...

- Przykro mi pozbawiać cię złudzeń, kochana, ale każdego ranka jakieś kobiety zostają zamordowane.

Co jest takiego w tej jednej, że postanowiłaś mi o tym opowiedzieć?

- Z tą było inaczej. Rozmawiałaś dziś ze swoją gazetą? Albo słuchałaś wiadomości?

Anne przewróciła oczami nad kanapką z peklowaną wołowiną.

Rozdział 10

- Daj spokój, Vicki. Jest Wielka Sobota i mam wolne. Wystarczy, że w ciągu tygodnia muszę się babrać w tym głównie.

- Więc pozwól, że opowiem ci o Anice Hendle. - Vicki zerknęła do notatek, bardziej żeby zebrać myśli, niż szukać informacji. - Zaczęło się od gazet i ich historii o wampirach...

- Ty też? Nie uwierzyłybyś, jacy wariaci wydzwaniali przez ostatnie tygodnie do prasy. - Anne łyknęła kawy, skrzywiła się i dosypała jeszcze cukru. - Niech zgadnę: dzieci się boją, a ty chcesz, bym napisała, że nie ma czegoś takiego jak wampir.

Vicki pomyślała o Henrym ukrywającym się przed światłem słonecznym ledwie dwie przecznice dalej, a potem o młodej kobiecie przebitej zaost-
rzoną kijem hokejowym z taką siłą, że nie tylko została zabita, ale wręcz przybita do ziemi, jak motyl na szpilce.

- Dokładnie tego od ciebie chcę - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Zaczęła opowiadać ponurą historię Anicki głosem wypranym z emocji, zupełnie jakby była świadkiem w sądzie. Tylko tak mogła przez to przebrnąć, nie krzycząc ani nie rzucając przedmiotami.

Już na samym początku Anne odłożyła kanapkę i już po nią nie sięgnęła.

- Prasa to zaczęła - zakończyła Vicki. - Więc niech teraz z tym skończy.

- Dlaczego ja? Na miejscu byli dziennikarze.

- Bo kiedyś mi powiedziałaś, że różnica między reporterem a felietonistą polega na tym, że felietonista ma luksus nie tylko zadawania pytań, ale też udzielania na nie odpowiedzi. Anne uniosła brwi.

- Zapamiętałaś?

- Rzadko o czymś zapominam.

Obie kobiety spojrzały na jej notatki i Anne lekko prychnęła.

- Szczęściara. - Zabrała kartki i gdy Vicki skinęła przyzwalająco, włożyła je do plecaka. - Zrobię, co mogę, ale niczego nie obiecuję. W mieście jest pełno wariatów, nie wszyscy czytają moje teksty. Po-
dejrzywam, że nie zdradzisz, skąd masz te informacje? - Większość z nich stanowiły szczegóły zwykle nieujawniane prasie. - Nieważne. - Wstała. - Uporam się z tym, nie wymieniając nazwiska Celluciego. Oczywiście masz świadomość, że zrujnowałaś mi niedzielę?

Vicki kiwnęła głową i zgmiotła swój pusty kubek.

- Wesółych świąt.

- W tej chwili Henry Fitzroy nie może podejść do telefonu. Po sygnale podaj nazwisko, numer i po-
wód, dla którego dzwonisz, a z pewnością skontaktuje się z tobą przy najbliższej okazji. Dziękuję. Je-
śli to ty, Brendo, zdążyłaś przed terminem. Przestań się martwić.

Kiedy brzmiał sygnał, Vicki zastanawiała się, kim jest Brenda i z czym zdążyła. Potem przypomniała
sobie Kapitana Macho i młodą damę z ogromnym biustem. Obraz wampira z automatyczną sekretarką
rozbawił ją, choć dostrzegła jego praktyczną stronę - istoty nocy, witajcie w dwudziestym wieku.

- Henry, tu Vicki. Słuchaj, nie ma sensu, żebym dziś przychodziła. Nie trafiłam na nic nowego, a w
czatowaniu ci nie pomogę. Jeśli coś się stanie, zadzwoń. Jeśli nie, ja zadzwonię jutro. - Odkładając
słuchawkę, skrzywiła się. Coś w mówieniu do maszyny sprawiało, że jej głos brzmiał jak Jack Webb
w roli narratora starych odcinków serialu Dagnet. - Jadłem serowy pasztecik - mruknęła, poprawiając
okulary. - Friday jadł pączka.

Sięgnęła po kurtkę i torbę i ruszyła do drzwi. Po wyjściu z posterunku Celluci szedł do domu swojej
babci, gdzie miał spędzić Wielką Niedzielę z niezliczonymi wujami, ciotkami, kuzynami i ich
dziećmi.

Tak było w każde święta i jeśli nie pracował, w żaden sposób nie mógł się wymigać. Jeśli nawet nie
dostanie od nich tego, czego potrzebował - w co Vicki wątpiła, pamiętając, co spotkało Anickę Hen-
dle: nieważne, jak wspierająca i kochająca była jego rodzina, nie potrafili zrozumieć tej złości i
frustracji - zjawi się u niej nie wcześniej niż o ósmej. Miała czas, żeby tego popołudnia przejrzeć
raporty na co najmniej jednej komendzie.

Gdy zamykała drzwi, zadzwonił telefon. Zatrzymała się, spoglądając przez niedomknięte drzwi w głąb mieszkania. To nie mógł być Henry. To nie był Celluci. Coreen jeszcze nie wróciła do miasta. Najpewniej dzwoniła matka. Vicki zamknęła drzwi. Nie była gotowa na poczucie winy.

- ...a także kable, rozgałęźnik do nich i listwę przeciwprzepięciową. Krótko mówiąc, cały system. - Vicki wskazała na koniec raportu ołówkiem. Jej cała wiedza o komputerach zmieściłaby się na główce szpilki i jeszcze zostałoby tam dość miejsca, by parę aniołów mogło zatańczyć tango. Ale jeśli dobrze wszystko zrozumiała, z zamkniętego i strzeżonego sklepu komputerowego wyparował sprzęt, przy którym jej własny przypominał abakus.

- No, no. Czyż to nie „Skrzydłata Wiktorina”?

Vicki wyszczerzyła zęby jak do warczenia. Zmusiła końcówki ust, żeby uniosły się o kilka centymetrów, prawie tworząc uśmiech.

- Sierżant sztabowy Gowan, co za miła niespodzianka.

Nie próbując nawet ukryć grymasu, Gowan porwał z biurka raporty i odwrócił cielsko tak, by spojrzeć w twarz dyżurnego sierżanta.

- Co tu, kurwa, robi ten cywil? - Potrząsnął garścią papierów. - I skąd ma pozwolenie na czytanie tego?

- Więc ja... - zaczął dyżurny.

- Kim ty, kurwa, niby jesteś? - przerwał mu Gowan. - To mój posterunek i to ja decyduję o tym, kto ma tu wstęp, a kto nie. - Skierował swoją złość na Vicki, która pospiesznie wstała, nim przesunął biurko tak, że zostałaby za nim uwięziona. - Ten cywil nie ma, kurwa, nic do roboty w pobliżu tego budynku, nieważne, jakim cholernie supersledczym była.

- Proszę sobie nie fundować zawału, sierżancie. - Vicki włożyła kurtkę i przewiesiła torbę przez ramię. - Już wychodzę.

- Kurwa, żebyś wiedziała, że wychodzisz i nie wracasz. Nelson, zapamiętaj to sobie. - Żyły na jego szyi napięły się, a blade oczy błyszczały nienawiścią. - Nie obchodzi mnie, komu dałaś się przelecieć, żeby dostać swój stopień, ale już go nie masz. To też sobie zapamiętaj!

Vicki poczuła, że od wysiłku, jaki wkładała w utrzymanie kontroli, drga jej mięsień na szczęcie.

Ołówek, który trzymała w prawej ręce, pękł, a trzask łamanego drewna rozniósł się po cichym posterunku niczym wystrzał. Dyżurna operatorka podskoczyła, ale ani ona, ani sierżant dyżurny nie wydali z siebie dźwięku. Chyba nawet nie oddychali. Zesztywniała Vicki wyrzuciła dwa kawałki ołówka do kosza na śmieci i zrobiła krok naprzód. Jej świat

ograniczył się do dwóch wodnistych kół, które spoglądały na nią spod szarosrebrnych brwi. Zrobiła kolejny krok, zaciskając zęby tak mocno, że aż czuła ten ścisk w uszach.

- No dalej - parsknął. - Przyłóż mi. Założę ci kajdanki tak szybko, że twój tyłek będzie w areszcie, zanim głowa zorientuje się, co się stało.

Zębami i pazurami Vicki poskromiła temperament. Uleganie mu nic by nie dało i chociaż niechętnie się do tego przyznawała, Gowan miał rację. Stopień już nie chronił jej ani przed nim, ani przed systemem. Choć krew ją zalewała, zdołała jakoś wyjść z komendy.

Na schodach zaczęła się trząść i musiała oprzeć się o mur, póki nie przestała. Za plecami słyszała podniesiony głos Gowana. Wyładowywał złość na

sierżancie dyżurnym. Poczucie własnej bezradności doprowadzało Vicki do szału. Gdyby wiedziała, że sierżant sztabowy zajrzy na posterunek w dniu wolnym od pracy, nawet piekielne hordy by jej tam nie zagoniły.

Desperacko pragnący zostać detektywem Gowan nigdy nie zdołał wyjść poza mundurowego. Ignorując fakt, że pod wieloma względami właśnie sierżanci sztabowi kierowali służbą, myślał tylko o tym, jak bardzo chciał być inspektorem. Ale dwa razy pominięto go przy awansie i wiedział, że już nie ma szans. Nienawidził Vicki bardziej niż innych nie tylko z powyższych powodów. Nienawidził jej, bo była kobietą, która pokonała facetów w ich własnej grze, a już najbardziej za to, że zganiła go, gdy zobaczyła, jak

wyżywa się na zamkniętym w celi dzieciaku.

Vicki nie pozostawała mu dłużna. „Władza zawsze pociąga tych, którzy będą jej nadużywać”. Nigdy nie zapomniała tego zdania z wykładu wstępnego na akademii policyjnej. Bywały dni, kiedy to najłatwiej było pamiętać.

Zbyt zmęczona, by zdawać się na transport publiczny, zamyślona pomachała na taksówkę. Walić te dwadzieścia dolców, które pewnie zapłaci.

Popołudnie nie było jednak całkiem zmarnowane. Vicki postanowiła zadzwonić do znajomego, który znał się na komputerach, i podać mu dane skradzionego sprzętu. Może dowie się, do czego to się nadaje. Podejrzewała, że do wszystkiego - ale nie szkodziło zapytać. Może to kolejny ślad pozostawiony przez wzywającego demony?

Usiadła na śmierdzącym moczem tylnym siedzeniu, a deszcz rozbijał się o okna taksówki. „W końcu

ilu hakerów w czarnych skórzanych kurtkach, mających karabinek automatyczny i osobistego demona na wezwanie może być w Toronto?"

Celluci przyszedł tuż po dziewiątej.

Vicki wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz.

- Cackali się z tobą jak ze zgniłym jajkiem.

- Chodzili wokół mnie na palcach - przyznał, krzywiąc się.

- Chcieli dobrze.

- Nie mów mi, co chcieli - Rzucił płaszcz na

krzesło. - Wiem, co chcieli!

Kłótnia, jaka się potem rozpetęła, wyczerpała ich. Kiedy się skończyła, kiedy już było po jej nieuniknionym następstwie, Vicki odgarnęła wilgotne włosy z czoła Celluciego i pocałowała go delikatnie. Westchnął, nie otwierając oczu, ale zacieśnił uścisk ramion. Przyciągając koldrę czubkiem palca, Vicki przykryła ich oboje, a potem sięgnęła i wyłączyła światło.

Nie bez powodu wielu gliniarzy popadało w takie czy inne uzależnienia. Przez cztery lata trwania ich związku, póki nie opuściła służby, Vicki była dla Celluciego wentylem bezpieczeństwa, a on dla niej. to nie musiało się zmieniać tylko dlatego, że zmieniała się ich sytuacja. Vicki nie wiedziała, jak Mike radził sobie przez te osiem miesięcy, kiedy ze sobą nie rozmawiali. Nie chciała wiedzieć.

Zsunęła z siebie część jego ciężaru i zamknęła oczy. Poza tym, biorąc wszystko pod uwagę, wolała na razie nie sypiać sama. Byłoby miło mieć kogoś ciepłego do wtulania się, kiedy nadejdą koszmary.

Drzewa otaczające cmentarz zginały się niemal wpeł pod naciskiem wiatru, potargane i wzburzone.

Henry zadrżał. Trzy noce czuwania sprawiły, że z utęsknieniem wyczekiwał jakiegokolwiek konfrontacji. „Nawet porażka będzie lepsza od tego”. Demonologia pozostawiała szerokie pole dla wyobraźni, a wyobraźnia Henry'ego chętnie z tego korzystała.

Ścieżka władzy, wciąż czekająca na tego, kto nią przejdzie, zaczęła nagle pulsować w Wielką Niedzielę pod wpływem symbolicznego powstania Chrystusa.

A potem nagle zmieniła się.

Puls przyspieszył, ciemność stała się czymś więcej niż tylko nocą.

Henry wiedział, że ktoś gdzieś narysował pentagram, rozpalil ogień i rozpoczął przywołanie. Wampir zeszytywniał ze zmysłami napiętymi do granic możliwości, gotowy zamknąć swój pentagram na pierwszą oznakę pojawienia się demona. To było to. Przybędzie niższy demon, a jeśli on nie zdoła go powstrzymać, nadejdzie potężniejszy, a z nim koniec świata. Prawa ręka Henry'ego uniosła się i uczyniła znak krzyża.

- Panie, daj mi siłę - modlił się.

Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, klęczał na wilgotnej ziemi, wrażliwe na światło oczy łzawiły mu obficie, a pod powiekami tańczyły w chwale rozmazane cienie.

Trzecia kropla krwi spadła na węgiel, a powietrze nad pentagramem zadrżało i zmieniło się. Norman kucnął i czekał. Tego popołudnia dowiedział się, gdzie mieszka Coreen - dane studentów na Yorku wręcz oburzająco łatwo dało się zhakować. Tej nocy nie będzie już więcej pomyłek. Coreen zapłaci za to, co zrobiła.

Dudnienie w jego głowie stawało się coraz głośniejsze, zdawało mu się, że w tym samym rytmie pulsuje cały świat.

Zmarszczył brwi, kiedy drgające powietrze zaczęło nabierać kształtów i pojawił się rozmazany kontur demona. Wyglądało to prawie tak, jakby kreatura z czymś walczyła, krzyczała na niewidzialnego przeciwnika. Usta demona otworzyły się w niemym krzyku i nagle pentagram był pusty.

W tej samej chwili węgiel w hibachi zapłonął z taką siłą, że Norman musiał odskoczyć w tył - inaczej pochłonąłby go ogień. Dudnienie zmieniło się w przenikliwe jęki. Birdwell zatkał uszy, ale wciąż i wciąż to słyszał.

Po trzech czy czterech sekundach w dwumetrowych płomieniach wykonane z hartowanej stali elementy hibachi stopiły się w lśniącą plamę, ogień zniknął, a powiew wiatru ze środka pentagramu nie tylko zdmuchnął świece, ale rzucił nimi o ścianę tak, że się połamały.

- To nie-nieemożliwe - wydukał Norman w ciszy, która nagle zapadła. W uszach wciąż huczało mu

echo tych wszystkich dźwięków, ale nawet dudnienie umilkło, pozostawiając bolesną pustkę. Część jego umysłu sparaliżował strach, a część nie wierzyła w to, co widział na własne oczy. Żar wystarczający do stopienia hibachi powinien spalić cały akademik.

lu, wszystkiego, co zostało z małego grilla. Czubki jego palców zaskwierzały, a sekundę później poczuł ból.

Zbyt wielki, by krzyknąć.

Kiedy Henry wreszcie odzyskał wzrok, wstał. Od wieków nic go tak mocno nie uderzyło. Nie miał pojęcia, czemu nie uznał, że to Władca Demonów wdziera się na świat, ale nie przyszło mu to do głowy, nawet kiedy wpadł w panikę z powodu nagłej ślepoty.

- Więc co to było? - zapytał, opierając się o betonowego anioła i strząsając błoto z kolan. Ledwie czuł moc niedokończonego imienia. Zmalała tak

bardzo, jak to tylko było możliwe bez wracania do piekła. - Jakież pomysły, panie, pani... - Odwrócił się, żeby przeczytać nazwisko na nagrobku. U stóp anioła znalazł wyrytą w kamieniu odpowiedź:

CHRISTUS RESURREXIT! - Chrystus zmartwychwstał!

Henry Fitzroy, wampir, dobry katolik z wychowania, padł z powrotem na kolana i zmówił Zdrowaś Mario - tak na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 11

Na chwilę przed rozpoczęciem zajęć Coreen prześlizgnęła się przez podwójne drzwi i przeszła przez salę wykładową w stronę grupki przyjaciół. Miała podkrążone i zaczerwienione oczy, jak ktoś, kto mało sypia, ale dużo płacze. Nawet jaskrawo-ruda płatanina jej włosów zdawała się przygaszona.

Kółko przyjaciół otworzyło się i zamknęło ją

Kółko przyjaciół otworzyło się i zamknęło ją bezpiecznie w środku, zapewniając o swoim szoku i współczuciu. Chociaż Janet przyjaźniła się z nimi wszystkimi, Coreen widziała się z nią ostatnia, to zaś nadawało jej rozpaczę wyższą rangę.

Nikt z nich, a zwłaszcza Coreen, nie zdawał sobie sprawy z nienawiści, jaką było widać na twarzy Normana Birdwella za każdym razem, gdy spoglądał w ich stronę.

"Jak ona śmie jeszcze żyć, kiedy powiedziałem, że ma umrzeć".

Dudnienie powróciło w nocy. Każde uderzenie utwierdzało Normana w przekonaniu, że moc wciąż należy do niego, że Coreen powinna zapłacić.

Dziewczyna stała się symbolem wszystkich, którzy kiedykolwiek się z niego śmiali. Każdej dziwki, która rozkładała nogi przed drużyną futbolistów, ale nie przed nim. Każdego faceta, który odepchnął go na bok, jakby go wcale nie było. Cóż, był i zamierzał tego dowieść. Napuści na nich demona - ale najpierw Coreen musi umrzeć.

Ostrożnie przesunął obandażowaną dłoń z kolan na oparcie krzesła. Po praktycznie bezsennej nocy zajął rano przed zajęciami do przychodni studenckiej. Jeśli na to szły pieniądze, jakie płacił za naukę, nie było czym się zachwycać. Najpierw kazali mu czekać, aż wejdą dwie osoby, które przyszły przed nim - chociaż on cierpiał bardziej - a potem ta głupia krowa sprawiła mu ból, kiedy bandażowała oparzenie. Nie chcieli nawet wysłuchać zmyślonej historii o tym, jak doszło do zranienia.

Z leżącej krzywo na kolanach teczki wyciągnął mały czarny notes, kupiony jeszcze w liceum, na numery telefonów do dziewczyn. Cztery czy pięć początkowych kartek zostało brutalnie wyrwanych, a na pierwszej z pozostałych pod zapiskiem „Core-en” widniało „Przychodnia studencka”.

Od tej pory Norman Birdwell miał zamiar wyrównywać rachunki.

Nie rozumiał, co poprzedniej nocy poszło nie tak. Przeprowadził rytuał płynnie. Coś się wtrąciło i zatrzymało demona, jego demona. Norman skrzywił się. To jasne, że były istoty silniejsze od tej, którą wezwał, by spełniała jego rozkazy. Nie podobało mu się to. Wcale, ale to wcale. Jak coś śmiało mu przeszkadzać!

Widział tylko jedno wyjście z sytuacji. Musiał wezwać silniejszego demona.

Po wykładzie przeszedł na przód sali i stanął pomiędzy profesorem a drzwiami wyjściowymi. Przez lata nauczył się, że najłatwiej uzyskać odpowiedzi, odcinając pytanemu drogę ucieczki.

- Profesorze Leigh? Chciałbym z panem porozmawiać.

Profesor z rezygnacją postawił ciężką teczkę z po-wrotem przy mównicy. Starał się być dostępny dla studentów, kiedy tylko go potrzebowali. Rozumiał, że kilka chwil poświęconych odpowiadaniu na ich pytania mogło czasem rozjaśnić zajęcia z całego semestru, ale Birdwell potrafił osaczać go tylko po to, żeby pokazać, jaki jest mądry.

- O co chodzi, Norman?

„O co chodzi?” Dudnienie stało się tak głośne ciężko było przy nim myśleć. Norman zdołał z wysiłkiem wybełkotać:

- Chodzi o moją pracę semestralną. Powiedział pan wcześniej, że istnieją nie tylko legiony niższych demonów, ale też ich Władcy. Czy słusznie zakładam, że ci Władcy są potężniejsi?

- Tak, słusznie. - Profesor zastanowił się przelotnie, co młodzieniec zrobił sobie w palce. „Pewnie wtykał je między metaforyczne drzwi...”

- A jak odróżnić, co się wezwało? To znaczy jeśli wzywa się demona, skąd pewność, że wzywa się Władcę Demonów?

Brwi profesora Leigh powędrowały w górę. Zanosilo się na cholernie długi wykład. Więc zaczął:

- Norman, rytuały przyzwania jakiegokolwiek demona są bardzo skomplikowane...

Birdwell powstrzymał pogardliwe prychnięcie. Rytuały były nietypowe, ale z całą pewnością nie skomplikowane. Oczywiście nigdy nie przekona o tym profesora, który sądził, że zjadł wszystkie rozumy.

- Czym się różnią w przypadku Władcy Demonów?

- Cóż, na sam początek - trzeba znać imię.

- Gdzie mogę je znaleźć?

- Norman, nie będę za ciebie przeprowadzał badań. - Profesor podniósł teczkę i ruszył w stronę drzwi, licząc, że chłopak ustąpi mu z drogi. Ale on został dokładnie tam, gdzie był. Mając do wyboru przedzieranie się siłą albo poddanie, profesor z westchnieniem wybrał to drugie. - Myślę, że powinienś porozmawiać z doktor Sagara w Dziale Rzadkich Książek Uniwersytetu Toronto. Ona może mieć coś, co mogłoby ci się przydać.

Norman przez chwilę oceniał wartość informacji, a potem skinął głową, robiąc krok w stronę tablicy. To mniej, niż oczekiwał, ale zawsze coś. Wciąż miał dziesięć godzin do północy.

- Świetnie. Zadzwoń do doktor Sagary i powiem jej, że przyjdiesz. - Wreszcie bezpieczny na korytarzu, profesor uśmiechnął się szeroko. Niemal żałował, że nie będzie na miejscu, by zobaczyć, jak niepowstrzymana siła natyka się na absolutnie nieruchomy obiekt. Niemal.

Kilka mokrych płatków śniegu wylądowało na twarzy Normana, kiedy czekał na autobus. Przeszepował z nogi na nogę, zadowolony, że ma na sobie sportowe buty - kowbojki, jak się przekonał, nie chroniły przed zimnem. Czarna skórzana kurtka była całkiem ciepła, chociaż frędzle, notorycznie podwiewane do góry, łaskotały go po karku.

Kiedy zobaczył zbliżający się autobus, podszedł do barierki, ale zaraz został odepchnięty przez czekającą grupę studentów i wylądował niemal na końcu kolejki. Jego starania, by odzyskać poprzednie miejsce, nic nie dały i wreszcie zrezygnował, posuwając się naprzód za resztą i burcząc pod nosem.

„Czekajcie...” Norman zacisnął dłoń na teczce, nie zwracając uwagi na to, że uderza nią w łydki osoby stojącej za nim. "Kiedy wezwę własnego Władcę Demonów, nie będzie żadnych kolejek, żadnych autobusów, żadnych ostrych łokci". Wbił wzrok w plecy kościstego młodego mężczyzny przychepionego do rzeczonoego łokcia. Jak tylko trafi się okazja, Norman dopisze go do listy.

Vicki pozwoliła, by fala studentów uniosła ją do tylnych drzwi autobusu. Intensywne podsłuchiwanie podczas podróży doprowadziło do dwóch wniosków: niewiele się zmieniło, odkąd sama była studentką, a czasownik „mówić” kompletnie wyszedł z powszechnego użycia.

- ...a stary na to, że jeśli biorę samochód, to on musi wiedzieć, gdzie niby jadę i...

„Najbardziej przygnębiające jest to, że to pewnie magistrantka z angielskiego”. Kiedy wreszcie Vicki wyszła z powrotem na chodnik, zapięła kurtkę i obejrzała się. Drzwi właśnie się zamknęły za ostatnimi studentami odjeżdżającymi z kampusu i zatłoczony pojazd ruszył w swoją stronę. No, i to by było na tyle. Żadnego rozmyślenia się przez najbliższe czterdzieści minut.

Czuła się trochę głupio, ale na lepszy pomysł nie wpadła. Przy odrobinie szczęścia dziekan wydziału informatyki zdoła - i zechce - powiedzieć jej, kto mógłby posiadać skradziony system i go używać. Pewnie Coreen miała jakieś informacje, które pozwoliłyby odnaleźć tę żywą igłę w stogu siana, w końcu tu studiowała, ale kiedy Vicki zadzwoniła do jej mieszkania około 8:30 rano, nikt nie odbierał. Poprawiła okulary i rozejrzała się po parkingu, wypatrując czarnych skórzanych kurtek. Jak mówił Celluci, było ich wiele, i na mężczyznach, i na kobietach. Vicki dobrze wiedziała, że wygląd fizyczny nie ma nic wspólnego ze zdolnością do popełnienia zbrodni, ale i tak patrzyła. Wzywający demony musiał w jakiś sposób emanować złem.

Norman opadł na pierwsze wolne siedzenie. Ze względu na zranioną rękę miał do tego prawo, odkąd wsiadł do autobusu, ale żaden z samolubnych, egocentrycznych studentów nie wstał, chociaż patrzył na nich wymownie. Wciąż użalając się nad sobą, sięgnął do kieszeni po kalkulator i zaczął wyliczać, ile czasu musi spędzić w centrum. W tej chwili właśnie opuszczał zajęcia z geometrii analitycznej. To były pierwsze zajęcia, jakie kiedykolwiek opuścił. Rodzice wpadliby w szal. Nie obchodziło go to. Chociaż cenił każde A i A plus - miał wykaz wszystkich ocen, jakie otrzymywał - w ciągu kilku ostatnich dni zrozumiał, że są ważniejsze rzeczy.

Takie jak wyrównywanie rachunków.

Kiedy autobus zatrzymał się wreszcie na stacji metra, Norman był głęboko pogrążony w przyjemnej wizji przedstawienia świata tak, żeby ci wszyscy „fajni goście” wylądowali tam, gdzie ich miejsce, a on dostał wreszcie uznanie i kobiety, na które zasługiwał. Z wysuniętym do przodu podbródkiem skierował się do pociągu, nieświadomy odprowadzających go uniesionych brwi i parsknięć śmiechu dzony przez Normana Birdwella działałby tak, żeby wartość Normana Birdwella została doceniona.

- Doktor Sagara?

- Czego?

Niechęć w głosie starszej pani lekko go zaskoczyła, przecież jeszcze o nic nie poprosił.

- Profesor Leigh powiedział, że powinienem z panią porozmawiać.

- O czym? - Zmierzyła go spojrzeniem znad okularów.

- Pracuję nad projektem o demonach...

- Tych z rady dyrektorów? - zachichotała, a potem pokręciła głową nad jego całkowitym brakiem reakcji. - To był żart.

- Ach. - Norman spojrział na nią zirytowany niedostatkiem światła. Wystarczyło już, że w samym Dziale Rzadkich Książek panował mrok - można by zacząć od kilku jarzeniówek, póki nie uprzątnie się tego śmierdzącego bałaganu - i naprawdę nie było potrzeby przyciągać go także do biur. Lampa rzucała na biurko krąg złotego światła, ale twarz doktor Sagary pozostawała w cieniu. Norman rozejrzał się za włącznikiem, jednak nic nie zobaczył.

- No więc? - Doktor Sagara zabębniła palcami po podkładce na biurku. - Co, zdaniem profesora Leigh, mam wspólnego z tym projektem? Przez telefon był mało konkretny.

- Muszę dowiedzieć się czegoś o Władcach Demonów - zaczął mówić w rytm dudnienia.

- Więc potrzebujesz grimuaru. - Czego?

- Powiedziałam - powtórzyła powoli i wyraźnie, jakby zwracała się do idioty - że potrzebujesz grimuaru. Starożytnej, niemal legendarnej księgi o demonologii.

Norman pochylił się, krzywiąc lekko, gdy dosięgło go światło lampki na biurku.

- Ma go pani?

- Profesor Leigh tak najwidoczniej sądzi. Norman zgrzytnął zębami i pożałował, że Uniwersytet Toronto nie przykłada większej wagi do przepisów o emeryturach. Stara zdecydowanie się na nią kwalifikowała.

- A ma pani?

- Nie. - Złożyła dłonie i odchyliła się do tyłu na krześle. - Ale jeśli naprawdę ci na tym zależy, sugerowałabym, żebyś skontaktował się z młodym człowiekiem imieniem Henry Fitzroy. Przyszedł mnie odwiedzić, kiedy sprowadził się do Toronto. Podobny do swojego ojca jak kropla wody. On też kochał antyki, a zwłaszcza książki. Część naszej kolekcji pochodzi z jego donacji. Bóg jeden wie co odziedziczył po nim młody Henry.

- Ten Henry Fitzroy ma grimuar?

- Czy ja wyglądam na Boga? Nie wiem, ale jeśli ktokolwiek w tym mieście go ma, to najpewniej właśnie on.

Norman wyciągnął z teczki elektroniczny notes na adresy.

- Ma pani jego numer telefonu?

- Tak. Ale ci go nie dam. Znasz nazwisko, poszukaj. Jeśli nie znajdziesz w książce telefonicznej, to znaczy, że Henry nie chce, by go nachodzono.

Norman gapił się na nią w osłupieniu. Nie mogła mu właśnie odmówić, niemożliwe. Dudnienie zmieniło się w ogromny bęben dokładnie pomiędzy jego uszami.

Tak, właśnie to zrobiła.

- Do widzenia, młody człowieku. Norman dalej się gapił. Doktor Sagara westchnęła.

- Do widzenia - powtórzyła z naciskiem.

- Musi mi pani powiedzieć...

- Nic nie muszę ci mówić. - Błagania i jęki były tym, czego nie znosiła. - Wynoś się.

- Nie może pani tak do mnie mówić! - zaprotestował Norman.

- Mogę do ciebie mówić, jak tylko chcę, mam etat. A teraz wyjdiesz czy mam dzwonić po ochronę biblioteki?

Oddychając ciężko przez nos, odwrócił się i z tupotem ruszył w stronę drzwi.

Doktor Sagara patrzyła, jak chłopak odchodzi, a jej brwi przypominały dwie proste kreski przecinające czoło. Profesor Leigh zostanie za to solidnie obsztorcowany. Najwidoczniej dalej miał do niej żal o to C minus.

„Pożaluje tego”. Norman przeszedł przez cichy Dział Rzadkich Książek, aż natknął się na bramkę blokującą wejście. „Wszyscy pożalują!” Wyjście było po drugiej stronie biurka strażnika. „Każdy, kto będzie się ze mnie śmiał, umrze”.

Staranował bramkę, przy okazji klinując między nią a biurkiem swoją teczkę. Chropowaty odgłos wywołał alarmujący okrzyk strażnika.

- Nie, nie potrzebuję pomocy - prychnął Norman, machając obandażowaną ręką. Szarpał teczkę i przepchnął ją odrobinę. - To wszystko wasza wina - warknął, kiedy strażnik wyszedł zza biurka, żeby zobaczyć, co może zrobić. - Gdybyście porządnie budowali, byłoby więcej miejsca!

- Gdyby przechodził pan ostrożnie... - mruknął strażnik, sprawdzając mechanizm i mając nadzieję, że obejdzie się bez wzywania konserwatora.

- Nie możesz tak do mnie mówić. To nie moja wina. - Mimo dziwnej pozycji, jaką musiał przyjąć, Norman wyprężył się i spojrzał strażnikowi prosto w oczy. - Kto jest twoim przełożonym?

- Co?... - Strażnika, który nigdy nie uważał się za specjalnie obdarzonego wyobraźnią, naszło dziwne uczucie, że zza wściekłego spojrzenia tego młodego człowieka obserwuje go coś kompletnie nieludzkiego. Poczul, jak miękną mu kolana, i desperacko zapragnął odwrócić wzrok.

- Twój przełożony, kto nim jest? Złóżę skargę i stracisz pracę!

- Stracę co?

- Słyszałeś. - Kolejnym szarpnięciem udało mu się wreszcie uwolnić teczkę, mocno porysowaną po jednej stronie. - Poczekaj tylko! - Norman wycofał się w stronę drzwi, prawie taranując dwójkę wchodzących studentów. Rzucił zmieszanemu strażnikowi niechętnie spojrzenie. - Zobaczysz!

Kiedy doszedł do Bloor Street, czuł się o wiele lepiej. Krocząc ulicą, wyobrażał sobie, jak zrzuca jedną po drugiej te tak zwane rzadkie książki z półek, ciska je na chodnik pod nogi, a potem kopie na I zatłoczoną ulicę. Wciąż oddychając odrobinę zbyt ciężko, wszedł do budki telefonicznej na stacji z gazem i zaczął szukać w książce telefonicznej nazwiska, które podała mu ta szalona starucha.

Henry'ego Fitzroya nie było na liście.

nu

Upuszczając książkę, Norman prawie wybuchnął śmiechem. Jeśli sądzili, że taki drobiazg go po-
W drodze powrotnej do mieszkania dodał doktor Sagara i chamskiego urzędnika przedsiębiorstwa transportowego do listy w czarnej książeczce. Nie znał niektórych nazwisk, ale zbytnio się tym nie martwił. Władca Demonów na pewno będzie wystarczająco potężny, by poradzić sobie bez nich.

Już w domu Norman dopisał sąsiada z góry. Dla zasady, bo heavy metal przebijający się przez sufit wydawał się podkreślać dudnienie w jego głowie.

Włamanie do systemu telefonicznego zajęło mu mniej czasu, niż się spodziewał, mimo że naciskał klawisze tylko zdrową ręką.

Jedyny Henry Fitzroy na liście mieszkalna West Bloor Street 278, mieszkanie 1407. Ze względu na bliskość Yonge i Bloor Norman podejrzewał, że w budynku mieszczą się luksusowe apartamenty.

Rozejrzał się po swoim małym mieszkanku. Jak tylko wezwie Władcę Demonów, sam będzie miał taki adres i zamieszka w warunkach, na jakie zasługuje.

Ale najpierw musiał zdobyć grimaar, który posiadał Henry Fitzroy - ta wredna starucha z pewnością tylko się z nim drażniła.

Oczywiście Henry Fitzroy nie pożyczylby mu go, nie było nawet sensu pytać. Ludzie, którzy mieszkali w takich budynkach, pysznili się tym, co posiadali. Tylko dlatego, że mieli masę pieniędzy, świat nie był wart ich uwagi, a całkiem rozsądna i uzasadniona prośba o pożyczenie książki zostałaby odrzucona.

- Pewnie nawet nie wie, co ma. Myśli, że to jakaś stara książka warta masę kasy. Ja wiem, jak z niej korzystać. To daje mi do niej prawo. - Zabrania księgi, która mu się należała, nie można nazwać kradzieżą.

Norman odwrócił się i spojrzał na kałużę metalu, która została z hibachi. Był tylko jeden sposób, żeby wy dostać jego własność z pilnie strzeżonego budynku.

- Coś się dziś działo? - zapytał Greg, zajmując dopiero co zwolnione krzesło. Powinien jeszcze chwilę poczekać. Wciąż było ciepło. Nie znoził siedzieć na krześle rozgrzanym przez czyjś tyłek.

- Pan Post spod 1602 znowu zablokował podjazd swoim autem - Tim zachichotał i podrapała się w brodę. - Za każdym razem, kiedy próbował podejść staczał się w tył i znowu stawał. Wreszcie po-zwolił żeby auto zjechało aż pod same drzwi, i stamtąd zaczął. Myślałem, że się posikam ze śmiechu.

- Niektórzy ludzie - stwierdził Greg - nie są stworzeni do siedzenia za kółkiem. - Pochylił się i podniósł paczkę leżącą na podłodze przy biurku. -Co to? Strażnik z dziennej zmiany zamarł na wpół ubrany w hokejową kurtkę, podczas gdy służbowa już zawisała na haczyku.

- Przyszło dziś rano, przesyłka kurierska z Nowego Jorku. Dla tego pisarza z czternastego. Zadzwoniłem do niego i zostawiłem wiadomość na sekretarce.

Greg odłożył paczkę z powrotem na podłogę.

- Pewnie pan Fitzroy później po to zejdzie.

- Pewnie tak. - Tim zatrzymał się po drugiej stronie biurka. - Greg, tak sobie myślałem... Starszy strażnik prychnął.

- Niebezpieczne zajęcie.

- Nie, tak poważnie. Myślałem o panu Fitzroy u. Pracuję tu od czterech miesięcy i nigdy go nie widziałem. Nigdy nie zszedł po pocztę. Nie wyprowadził samochodu. - Machnął ręką mniej więcej w stronę paczki. - Nigdy nie rozmawiałem z nim przez telefon, zawsze się nagrywam.

- Ja go widuję prawie każdej nocy - zauważył Greg, odchylając się razem z krzesłem.

- No właśnie. Widujesz go nocami. Założę się, że nigdy przed zachodem słońca. Greg zmarszczył brwi.

- Do czego zmierzasz?

- Te morderstwa z wysysaniem krwi... Myślę, że pan Fitzroy to zrobił. Myślę, że jest wampirem.

- Myślę, że zwariowałaś - powiedział chłodno Greg, pozwalając, by przednie nogi krzesła opadły na podłogę z głośnym tąpnięciem. - Henry Fitzroy to pisarz. Nie możesz oczekiwać, że będzie się zachowywał jak ktoś normalny. A jeśli chodzi o te wampiry... - Sięgnął do skórzanej teczki i wyciągnął z niej egzemplarz brukowca. - Lepiej to przeczytaj.

W związku z tym, że po wszystkich siedmiu meczach Leafsów rzeczywiście wygrali rozgrywki w dywizji, pierwszą stronę poświęcono hokejowi. Anicka Hendle musiała zadowolić się stroną drugą. Tim czytał artykuł, marszcząc brwi, gdy natrafiał na trudniejsze słowa. Kiedy skończył, Greg podniósł rękę, powstrzymując jego reakcję, i obrócił stronę. Felieton Anne Fellows nie próbował odwoływać się do rozsądku czytelników, ale rozpisywał śmierć Ani-cki Hendle na każdą emocję, jaką w sobie zawierała. Autorka zrzuciła całą winę na barki mediów, przyznając, że też miała w tym swój udział, i domagała się, by porzucono taktykę wzbudzania strachu. „Czy nie wystarczy nam prawdziwych strachów na naszych ulicach, musimy tworzyć nowe?”

- Zmyślili to wszystko o wampirach?

- Na to wygląda.

- Tylko po to, żeby sprzedawać gazety. - Tira z niesmakiem pokręcił głową. Odłożył gazetę na biurko i wskazał na zdjęcie na pierwszej stronie. -Myślisz, że Leafsom się w tym roku poszczęści?

Greg prychnął.

- Myślę, że prędzej im się poszczęści, niż Henry Fitzroy okaże się wampirem. - Machnięciem ręki wygonił młodszego strażnika z budynku, a potem wstał zza biurka, żeby przytrzymać drzwi przed panią Hughes i jej mastiffem.

- Spokój, Owen. Pan nie chce twoich całusów!

Wycierając twarz, Greg obserwował, jak ogromny pies wchodzi do windy, ciągnąc za sobą panią Hughes. Po przejściu Owena hol zawsze wydawał się odrobinę mniejszy. Strażnik sprawdził, czy zamek w wewnętrznych drzwiach zatrzasnął się - były z nim kłopoty, trzeba o tym porozmawiać z konserwatorem - a potem wrócił do biurka i sięgnął po gazetę.

Zamarł, kiedy zapach druku i dotyk świeżej gazety przywołały wspomnienie nocy, kiedy w prasie po raz pierwszy pojawiły się historie o wampirach. Greg przypomniał sobie, jak Henry Fitzroy zareagował na nagłówek, i jednocześnie zrozumiał, że Tim miał rację. Nie widywał pisarza przed zachodem słońca.

Pokręcił głową.

- Człowiek ma prawo pracować, kiedy mu się podoba, i spać, kiedy mu się podoba. - Ale nie mógł się pozbyć wspomnienia nieludzkiej furii, którą przez sekundę widział w oczach młodego mężczyzny.

Ani uczucia strasznego niepokoju, jaki przeszył go wtedy zimnym dreszczem.

Kiedy światło dnia wypuściło miasto ze swoich objęć, Henry drgnął. Dotarło do niego, że leży nagi

pod pościelą, a każde załamanie materiału odbija na nim linię. Że podmuch z wentylatora muska jego policzek niczym oddech małego dziecka. Dotarła do niego obecność w mieście trzech milionów ludzi. Kakofonia ich żyć niemal go ogłuszyła, póki nie zdołał się przebić z powrotem do ciszy. I wreszcie dotarło do niego, kim jest. Otworzył gwałtownie oczy i spojrzał w ciemność.

Nienawidził sposobu, w jaki się budził, nienawidził przedłużającej się bezbronności. Kiedy wreszcie po niego przyjdą, to właśnie wtedy: nie kiedy spał, nieświadomy niczego, ale podczas tych cienistych chwil między światłem a mrokiem, kiedy był już w stanie poczuć kołek, kiedy wiedziałby, że umiera, i kiedy nie mógłby nic zrobić.

W miarę jak się starzał, budził się coraz wcześniej - za każdym razem o kilka sekund bliżej odchodzącego dnia - ale nigdy szybciej. Budził się tak jak wtedy, gdy był śmiertelnikiem - powoli.

Wiek temu zapytał Christinę, jak ona to odczuwa.

-Jakbym budziła się z głębokiego snu. W jednej chwili nie istnieję, w następnej już tak. - Śniesz?

Przekreśliła się na bok.

- Nie. My nie śnimy. Nikt z nas. - Myślę, że tego będzie mi najbardziej brakować.

Uśmiechając się, przesunęła czubkiem paznokcia po wewnętrznej stronie jego uda.

- Uczymy się śnić na jawie. Pokazać ci jak? Czasami chwilę po przebudzeniu wydawało mu się, że słyszy głosy z przeszłości, przyjaciół, kochanek, wrogów, raz nawet ojca - poganiającego syna, by się pospieszył, bo inaczej się spóźni. Przez ponad czterysta lat to było doświadczenie najbliższe temu, co śmiertelnicy nazywają snem.

Usiadł, przeciągnął się i zamarł w pół ruchu, nagle zaniepokojony. Zachowując całkowitą ciszę, wstał z łóżka i przeszedł po dywanie do drzwi sypialni.

Gdyby w mieszkaniu przebywało jakieś życie, wyczułby je.

Mieszkanie było puste - ale niepokój pozostał.

Wziął prysznic, ubrał się. Przez cały ten czas narastało w nim wrażenie, że coś jest nie tak. Zmartwiony, próbował zrozumieć, skąd się to bierze, ale bezskutecznie. Kiedy zszedł na dół po przesyłkę, niepokój wzrósł. Cywilizowana maska zdołała wymienić uprzejmości z Gregiem i poflirtować chwilę ze starą panią McKensie, podczas gdy reszta jego osoby analizowała drobiazgowo wszelkie bodźce, wypatrując niebezpieczeństwa.

Kiedy wracał do windy, poczuł na plecach spojrzenie strażnika. Odwrócił głowę i uśmiechnął się lekko, a kiedy drzwi stanęły otworem, wszedł do

środką. Zasuwane się skrzydła z gładkiej stali ukryły przed nim wyraz twarzy Grega. Cokolwiek martwiło ochroniarza, Henry nie miał czasu się tym teraz zajmować.

- Nelson, prywatny detektyw. - Ponieważ nie miała jak sprawdzić, czy dzwoniący nie jest przypadkiem potencjalnym klientem, postanowiła założyć, że jest nim każdy. Matka zgłaszała obiekcje, ale zgłaszała je odnośnie wielu rzeczy, których Vicki nie zamierzała zmieniać.

- Vicki, tu Henry. Słuchaj, myślę, że powinnaś dziś przyjść.

- Dlaczego? Odkryłeś coś nowego, o czym powinniśmy porozmawiać, zanim wyjdiesz?

- Nigdzie nie wychodzę.

- Co? - Gwałtownie zdjęła nogi z biurka i wbiła spojrzenie w telefon. - Lepiej, żebyś miał dobry powód, by zostać w domu.

Usłyszała, jak wzdycha.

- Nie, to niezupełnie tak. Mam przecucie.

- Wampirza intuicja? - Jeśli tak chcesz to nazwać.

- Więc zamierzasz zostać w domu tylko dlatego, że masz przecucie?

- W rzeczy samej.

- I pozwolisz demonom biegać po mieście, bo ty się będziesz tym przecuciem kierował?

- Nie sądzę, żeby tej nocy po mieście biegały jakieś demony.

- Co? Czemu nie?

- Ze względu na to, co się stało zeszłej nocy. Kiedy boska potęga objawiła się i powiedziała „nie”.

- Powiedziała co?

- Sam nie do końca siebie rozumiem...

- Fitzroy, co się stało zeszłej nocy? - wycodziła przez zaciśnięte zęby. Zdarzało jej się przesłuchiwać niechętnych świadków, którzy więcej mówili

- Słuchaj, powiem ci, jak przyjedziesz. - Nie chciał opowiadać przez telefon o doświadczeniu religijnym kobiecie wychowanej w dwudziestym wieku. Będzie miał dość problemów z przekonaniem jej, co zaszło, twarzą w twarz.

-Czy to PRZECUCIE ma coś wspólnego z tym, co stało się zeszłej nocy? - Nie.

- Więc czemu,..

- Słuchaj, Vicki, przez lata nauczyłem się ufać przeczuciom. Tobie nigdy się nie zdarzało ich słuchać? Vicki poprawiła okulary. Nie miała wielkiego wyboru - musiała uwierzyć, że on wie, co robi. Łatwiej było uwierzyć w istnienie wampirów.

- Dobra, mam jeszcze parę spraw do zrobienia, ale jak tylko skończę, przyjadę.

- W porządku.

Jego głos brzmiał inaczej niż zwykle. Zmarszczyła brwi.

- Henry, czy coś jest nie tak?

- Tak... Nie... - Henry znowu westchnął. - Po prostu przyjeźdź, jak będziesz mogła.

- Słuchaj, mam... cholera! - Vicki wbiła spojrzenie w słuchawkę, z której dochodził przeciągły ton świadczący, że Henry'ego Fitzroya nie obchodziło, co ona ma. A mimo to oczekiwał, że Vicki rzuci wszystko i pobiegnie do niego tylko dlatego, że coś przeczuwał. - Tego mi właśnie brakowało - mruknęła, grzebiąc w torebce. - Wampira z depresją.

Lista od profesora informatyki zawierała dwadzieścia trzy nazwiska studentów potrafiących, jego zdaniem, wykorzystać potencjał skradzionego systemu komputerowego. Choć, jak zauważył, najbardziej wyrafinowanych komputerów domowych często używano najwyżej do gier. „A nawet pani dałaby sobie radę ze sprzętem z takimi parametrami” dodał. Nie miał pojęcia, którzy z tych dwudziestu trzech studentów noszą czarne skórzane kurtki. To nie było coś, na co zwróciłby uwagę.

- Czy któryś z nich zachowywał się ostatnio dziwnie?

- Pani Nelson - odpowiedział jej ze zmęczonym uśmiechem - ten rodzaj studentów zachowuje się tylko i wyłącznie dziwnie.

Vicki zerknęła na zegarek. 9:27. Kiedy zrobiło się tak cholernie późno? Mimo marnych szans, że Celluci pojawi się o tej porze przy swoim biurku - nie było go tam, odkąd próbowała go złapać, czyli od czwartej - zadzwoniła do komendy głównej. Dalej go nie było. W domu też.

Zostawiła kolejną wiadomość i rozłączyła się.

- Cóż, przynajmniej nie powie, że nie próbowałam mu przekazać istotnych informacji - Przyczepiła listę do małej tablicy korkowej nad biurkiem. Tak naprawdę nie wiedziała, jak ważne są te dwadzieścia trzy nazwiska, Szansa, że coś znaczą, była naprawdę niewielka, ale innej nie mieli. Stanowiły dobry początek.

9:46. Lepiej iść do Henry'ego i dowiedzieć się, co właściwie zaszło minionej nocy.

- Boża interwencja. Jasne.

Nie licząc demonów i Armagedonu, nie potrafiła sobie wyobrazić, co jeszcze mogło wyrzucić takie wrażenie na czterystupięćdziesięcioletnim wampirze.

- Nie licząc demonów i Armagedonu... - Sięgnęła po telefon, żeby wezwać taksówkę. - W temacie końca świata robisz się strasznie beztrocka.

Już trzymała dłoń na słuchawce, kiedy telefon zadzwonił. W odpowiedzi na ten przenikliwy dźwięk serce podskoczyło jej do gardła.

- No dobra. - Wzięła głęboki oddech. - Może nie aż tak beztrocka. - Przy trzecim dzwonku doszła do wniosku, że opanowała się na tyle, by odebrać.

- Witaj, kochanie, dzwonię w nieodpowiedniej chwili?

- Właśnie wychodziłam, mam. - Jeszcze pięć minut i już by jej nie było. Matka wyczuwała takie sytuacje szóstym zmysłem.

- O tej porze?

- Nie ma jeszcze dziesiątej.

- Wiem, kochanie, ale jest ciemno, a z twoimi oczami...

- Mam, z moimi oczami wszystko w porządku. Będę się trzymała oświetlonych ulic i obiecuję, że będę ostrożna. A teraz naprawdę muszę iść.

- Wychodzisz sama? - Jestem z kimś umówiona.

- Nie z Michaeliem Cellucim?

- Nie, mam.

- Och. - Vicki niemal słyszała, jak matka zaczyna intensywnie nadstawiać uszu. - Jak on się nazywa?

- Henry Fitzroy. - Czemu nie? Mogła się co najwyżej rozłączyć, inaczej nie było szans na zakończenie rozmowy z matką, póki ta nie zaspokoi swojej ciekawości.

- Czym się zajmuje?

- Jest pisarzem. - Jak długo tylko odpowiadała na jej pytania, prawda była bezpieczna. Matka raczej nie zapytałaby: „Czy on jest jednym z tych pijących krew nieumarłych?”

- A co na to Michael?

- A co jemu do tego? Dobrze wiesz, że Mike i ja to nie tego typu związek.

- Skoro tak mówisz, kochanie. Czy ten Henry Fitzroy jest przystojny?

Zastanowiła się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Tak, jest. I ma w sobie coś takiego... - zawiesiła głos. Jej matka roześmiała się.

- Brzmi poważnie.

To przypomniała Vicki o bardziej nagłych sprawach.

- Mamo, to jest bardzo poważne i dlatego muszę już iść.

- Dobrze. Miałam tylko nadzieję, że skoro nie przyjechałaś do domu na Wielkanoc, znajdziesz dla mnie chwilę teraz. Święta były takie spokojne. Pooglądałam telewizję, zjadłam sama kolację, poszłam wcześniej do łóżka...

Świadomość, że w tej chwili pada ofiarą manipulacji, nie pomogła Vicki. Nigdy nie pomagała.

- Dobrze, mamo, mam chwilę.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać, kochanie.

- Mamo...

Niemal godzinę później Vicki odłożyła słuchawkę, spojrzała na zegarek i zgrzytnęła zębami. Nigdy nie spotkała nikogo, kto tak jak jej matka umiałby wypełniać czas niczym.

- Przynajmniej świat nie skończył się podczas tej przerwy - mruknęła, znajdując na tablicy i wykręcając numer Henry'ego.

- W tej chwili Henry Fitzroy nie może podejść do telefonu...

- Niech to szlag! - Rozłączyła się w środku nagranej wiadomości. - Najpierw każe do siebie przyjść, a potem to olewa. - Raczej mało prawdopodobne, żeby spotkał go straszliwy koniec, podczas gdy matka przetrzymywała ją na telefonie. Wątpiła, by nawet wampiry były zdolne uruchomić automat, jeśli wcześniej zostały rozczłonkowane.

Wrzuciła na grzbiet kurtkę, złapała torbę i wyszła, włączając wcześniej własną sekretarkę. Ostrożnie przeszła przez ciemniejszy kawałek chodnika i skierowała się w stronę jaśniejszych świateł na College Street, półtorej przecznicy dalej. Zamierzała wezwać taksówkę, ale skoro Henry'ego nie było nawet w domu, postanowiła się przejść.

To, że matka próbowała zwrócić uwagę na jej chorobę, nie miało z tą decyzją nic wspólnego. Nic.

Henry złapał za telefon, a potem zgrzytnął zębami, kiedy dzwoniący rozłączył się, jeszcze zanim nagranie dobiegło końca. Niewiele rzeczy go bardziej wkurzało, a to był już trzeci raz tego wieczoru. Z przyzwyczajenia włączył sekretarkę, kiedy zabrał się za pisanie, ale chciał odebrać, gdyby Vicki zadzwoniła. Oczywiście nie mógł stwierdzić, kto dzwoni, jeśli ten ktoś się nie odezwał. Spojrzał na zegarek. 10:10. Czy coś się stało? Wybrał jej numer i odsłuchał całego nagrania, zanim się rozłączył. Nic mu to nie wyjaśniło. Gdzie ona była?

Rozważył, czy nie pójść do jej mieszkania i nie poszukać jakichś tropów, ale niemal natychmiast odrzucił ten pomysł. Przeczucie, że powinien zostać w domu, było silniejsze niż kiedykolwiek, utrzymując go w samonapędzającym się stanie nerwowe-go wyczekiwania.

Skoro i tak musiał siedzieć w miejscu, lepiej, żeby spróbował przelać to uczucie na papier.

Smith cofnęła się, a jej szafirowe oczy rozszerzyły się. Pochwyciła brzytwę kapitana z małej szafki z przyborami do golenia.

- Zrób jeszcze krok - ostrzegła z intrygującą determinacją w głosie - to cię potnie!

Nie szło dobrze. Henry westchnął, zapisał plik i wyłączył komputer. Co zajmowało Vicki tyle czasu? Nie mogąc wysiedzieć nieruchomo, przeszedł do salonu i spojrzął na miasto. Po raz pierwszy, odkąd kupił ten apartament, światła go nie pociągały. My-

ślał tylko o tym, jak gasną, a ciemność rozprzestrzenia się, aż w końcu zgubi w sobie cały świat.

Podszedł do stereo, włączył je, wyciągnął CD, schował je z powrotem i wyłączył wieżę. Potem zaczął chodzić po pokoju. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, w tę...

Nawet przez szklane drzwi biblioteczki czuł obecność grimuaru. W przeciwieństwie do Vicki nie wahał się nazwać go złym. Niewiele ponad sto lat temu to był jeden z trzech ostatnich prawdziwych grimuarów na świecie, a przynajmniej tak Henry'emu powiedziano. Nie miał powodów, by nie wierzyć człowiekowi, od którego się tego dowiedział.

Ani wtedy, ani teraz.

- Więc to pan jest Henry Fitzroy. - Doktor O'Mara ujął dłoń Henry'ego. Jego ogromne, blade oczy lśniły. - Tyle o panu słyszałem od Alfreda, że mam wrażenie, jakbym już pana znał.

- I nawzajem - odparł Henry, zdejmując wieczorowe rękawiczki i ostrożnie odwzajemniając uścisk.

Włosy na karku mu się zjeżyły i miał wrażenie, że okazanie się silniejszym od tego mężczyzny byłoby równie niebezpieczne, co okazanie się słabszym. - Alfred bardzo pana podziwia.

Puściwszy dłoń Henry'ego, O'Mara poklepał Alfreda po ramieniu.

- Ach tak?

Za tymi słowami kryło się niewypowiedziane pytanie, a czcigodny Alfred Waverly pospiesznie wypełnił ciszę, jaka po nich nastąpiła. Jego ramię ugięło się lekko pod naciskiem białej, kościstej dłoni.

- To nie tak, że coś mi powiedziałem, doktorze, ja tylko...

- Stale pana cytuję - dokończył Henry z najbardziej rozbijającym uśmiechem.

- Cytuję mnie? - Ponura twarz złagodniała. - Cóż, chyba nie mogę przeciw temu protestować.

Alfred rozpromienił się, jego oczy zaśmiały nad lekko zarumienionymi policzkami, a przerażenie, które skłoniło Henry'ego, by się wtrącić, znikło, jakby nigdy nie istniało.

- Proszę wybaczyć, panie Fitzroy, kilka rzeczy

wymaga mojej uwagi. - Doktor machnął energicznie dłonią. - Alfred przedstawi pana pozostałym gościom.

Henry skinął i zmrużonymi oczami patrzył, jak gospodarz opuszcza pokój.

Resztę towarzystwa stanowiło dziesięciu mężczyzn podobnych do czcigodnego Alfreda: młodzi, nieskazani żadną pracą, znudzeni. Trzech z nich Henry już znał. Pozostali byli obcy.

- No i co myślisz? - zapytał Alfred, biorąc od czarnoskórego lokaja whisky, po tym jak dokonano prezentacji, powiedziano co trzeba i znowu zostali sami.

- Myślę, że mnie obrzydliwie oszukałeś - odparł Henry, odmawiając przyjęcia drinka. - Trudno nazwać to miejsce jaskinią rozpusty.

Uśmiech zdręgał Alfredowi nerwowo w kącikach ust. W migotliwym świetle lamp gazowych twarz mężczyzny wydawała się bledsza niż zazwyczaj.

- Przyszaj, Henry, nigdy tak nie mówiłem. - Przesunął palcem po skraju swojej szklanki. - Wiesz, masz szczęście, że tu jesteś. Zaprasza się zawsze tylko dwunastu, a doktor O'Mara chciał właśnie ciebie, po tym jak Charles... eee... miał ten wypadek.

Wypadek... Charles był martwy, ale wiktoriańska wrażliwość Alfreda nie pozwalała mu tego powiedzieć.

- Miałem zamiar cię zapytać, czemu doktor O'Mara chciał właśnie mnie? Alfred zarumienił się. - Bo mu wszystko o tobie opowiedziałem.

- Wszystko o mnie? - Henry w to wątpił, pamiętając o prawach zabraniających homoseksualizmu i preferencjach Alfreda, ale ku jego zaskoczeniu młody mężczyzna przytaknął:

- Nie mogłem się powstrzymać. Doktor O'Mara... Cóż, on jest takim człowiekiem, któremu opowiesz o wszystkim.

- Z pewnością - mruknął Henry, dziękując Bogu i wszystkim świętym, że Alfred nie miał pojęcia, czym on tak naprawdę jest. - Z nim też sypiasz?

- Ależ, Henry!

Bękart Henryka VIII, zbyt niecierpliwy, by przejmować się konwenansami, tylko powtórzył pytanie:

- Sypiasz z nim? - Nie.

- Ale zrobiłbyś to...

Jakimś cudem wyglądając jednocześnie na żalostnego i rozpromienionego, Alfred skinął głową. - Jest wspaniały.

Henry raczej użyłby słowa „przytłaczający”. Osobowość doktora, niczym fala przypiływu, zmiatała wszystkie słabsze osobowości napotkane po drodze. Henry nie miał zamiaru dać się zmieść, ale wiedział, że to by go pewnie spotkało, gdyby był próżnym młodym mężczyzną, za jakiego uchodził. Pozostali zgromadzeni ulegli i wcale mu się to nie podobało.

Tuż po jedenastej doktor zniknął, a w głębi domu odezwał się gong.

- Już czas - szepnął Alfred, ujmując Henry'ego pod ramię. - Chodź.

Ku zaskoczeniu Fitzroya cała grupa, dwunastu młodzieńców w nieskazitelnych strojach wieczorowych, zeszła do piwnicy. Ogromne pomieszczenie centralne oświetlały obficie pochodnie, a na jego końcu stało coś, co najpewniej było kamiennym blokiem, sięgającym człowiekowi do pasa. Brakowało tylko leżącej na nim płaskorzeźby rycerza, a już całkiem przypominałby kryptę. Kompani Henry'ego zaczęli zdejmować ubrania.

- Rozbierz się - ponaglił go Alfred, rzucając mu luźną czarną szatę. - I włóż to.

Nagle zrozumiał, co się dzieje, Henry z trudem powstrzymał śmiech. Sprowadzono go tu jako dwunastego członka sabatu - grupy młodocianych arystokratów przywdziewających czarne prześcieradła i tańczących w kółeczku w zadymionej piwnicy. Pozwolił, by Alfred pomógł mu się przebrać.

Jego rozbawienie trwało, póki za ołtarzem nie pojawił się doktor O'Mara.

Szaty doktora były czerwone, w kolorze świeżej krwi. W prawej ręce trzymał ludzką czaszkę, w lewej starożytną księgę. Powinien wyglądać równie idiotycznie co jego wyznawcy. Ale nie wyglądał. Jego jasne oczy płonęły, a osobowość, w pokoju rysunków starannie tłumiona, teraz wyrwała się z oków, wypełniając komnatę. Używał swego głosu, by wprowadzić młodzieńców w niemal religijny szal, w jednej chwili wypełniając pomieszczenie grzotem, w następnej wyciszając go, otaczając zgromadzonych słowami i przyciągając do siebie.

Zniesmaczenie Henry'ego narastało wraz z ich histerią. Stał w najciemniejszym kącie, z dala od pochodni, i patrzył. Przeczucie niebezpieczeństwa trzymało go w miejscu, przeszywając biegnącym wzdłuż kręgosłupa dreszczem świadczącym, że nieważne, jak śmiesznie to wszystko wyglądało, doktor z całą pewnością nie bawił się w żadne gierki, a zło, które promieniowało z ołtarza, było prawdziwe.

O północy dwie anonimowe, odziane w czerń postacie przytrzymały na kamieniu wyrwijącego się kota, podczas gdy trzecia wzniosła nóż. - Krew. Krew! Krew! Krew! Gdy zapach krwi zmieszał się z zapachem dymu i potu, Henry poczuł, jak jego własne pragnienie rośnie. Pieśń stała się głośniejsza i bardziej intensywna, pulsując niczym bicie serca i aż do niego sięgając. Szaty opadły, odsłaniając ciało i płynącą

tui pod ich powierzchnią krew... i krew... i krew... Wargi wampira uniosły się, odsłaniając zęby.

Zrobił krok w przód.

Wtedy nad masą wijących się ciał napotkał spojrzenie doktora.

„On wie”.

Strach przebił się przez żądzę krwi i kazał mu uciec z tego domu. Ubrany tylko w szatę i przerażony tak jak nigdy podczas trzystu pięćdziesięciu lat, Henry wrócił do swojej kryjówki, ledwo zdążając przed świtem. Zasnął z twarzą doktora przed oczami.

Kolejnej nocy, mimo że bardzo tego nie chciał, wrócił. Niebezpieczeństwu trzeba było stawić czoła. I wyeliminować je.

- Wiedziałem, że wrócisz. - Nie wstając zza biurka, doktor O'Mara wskazał mu krzesło. - Usiądź, proszę.

Napinając zmysły, Henry powoli wszedł do pokoju. Nie licząc śpiących na trzecim piętrze służących, doktor był jedynym życiem w domu. Wampir mógłby go zabić i odejść, zanim ktokolwiek by się zorientował. Ale zamiast tego usiadł zaintrygowany. Jak ten śmiertelnik się o nim dowiedział, czego chciał?

- Zręcznie wtapiasz się w tłum, wampirze. - Doktor uśmiechnął się przyjaźnie. - Gdybym nie wiedział o istnieniu twojego rodzaju, nie zwróciłbym uwagi na bełkot młodego Alfreda. Zrobiłeś na nim wrażenie. I na mnie też. W chwili gdy zrozumiałem, czym jesteś, zapragnąłem cię tu mieć.

- Zabiłeś Charlesa, żeby zrobić dla mnie miejsce.

- Oczywiście. Nigdy nie może być więcej niż dwunastu. - Roześmiał się, widząc, jak Henry krzywi się z niesmakiem. - Widziałem wyraz twojej twarzy, wampirze. Chciałeś tego. Te wszystkie życia, ta cała krew. Młode, świeże gardła do rozerwania. Radośnie poddałby się twoim zębom, gdybym im rozkazał. - Pochylił się, a jego jasne oczy zapłonęły lodowatym ogniem. - Mogę ci to wszystko dać, każdej nocy.

- A co ja mam dać tobie?

- Życie wieczne. - Zaciśnął dłonie w pięści, a każde słowo brzmiało niczym uderzenie dzwo-
nu. - Uczynisz mnie takim jak ty.

Dość tego. Nawet więcej niż dość. Henry poderwał się z krzesła i rzucił doktorowi do gardła.

Tylko po to, by zderzyć się z niewidzialną barierą, która pochwyliła go i przytrzymała jak pajęczka sieć muchę. Mógł się poruszać, ale tylko stojąc w miejscu, nie był w stanie zrobić kroku ani w przód, ani w tył. Przez chwilę walczył z tym ze wszystkich sił, a potem poddał się i zawisł, dysząc ciężko, z uniesionymi wargami i bezdźwięcznym warkotem wykrzywiającym twarz.

- Podejrzywałem, że nie zechcesz współpracować. - Doktor wyszedł zza biurka i stanął tak blisko, że gdy mówił, Henry czuł jego oddech. - Uzna-

łem mnie za głupca, prawda, wampirze? Nigdy nie podejrzewałeś, że mam prawdziwą moc. Moc wydobyta z mroku przy pomocy tajemniczych środków zdobytych sposobami, które nawet ciebie by przeraziły. Ona więzi cię teraz i będzie więziła tak długo, aż staniesz się mój.

— Nie zmusisz mnie, bym cię przemienił - dzika furia nie zostawiała w jego głosie miejsca na strach.

- Zapewne. Jesteś bardzo silny fizycznie, a psychicznie niemal mi dorównujesz. Nie mogę też zranić cię i pić twojej krwi, bo dotyk zerwałby więzy. - Doktor odwrócił się i sięgnął po leżącą na biurku księgę. Podniósł ją na wysokość twarzy Henry'ego. - Ale skoro ja nie mogę cię zmusić, znalazłem kogoś,

kto może.

To była ta sama oprawiona w obslizgłą czerwoną skórę księga, którą doktor trzymał poprzedniej nocy podczas ceremonii. Z tak bliskiej odległości promieniujące z niej zło uderzyło w Henry'ego w sposób niemal fizyczny i zakotłyowało jego niewidzialnymi łańcuchami.

- To - powiedział O'Mara, gładząc ją pieszczotliwie - jeden z ostatnich prawdziwych grimuarów, jakie ocalały. Słyszałem, że na tym świecie są jeszcze dwa. Wszystkie pozostałe to tylko marne kopie tych trzech. Człowiek, który go napisał, sprzedał duszę za zawarte w nim informacje, ale nim zdążył

wykorzystać wiedzę kupioną za tak wielką cenę, zabrał mu go Książę Kłamców. Gdybyśmy mieli więcej czasu, mój drogi wampirze, opowiedziałbym ci, co zrobiłem, by go zdobyć. Ale go nie mamy. Musisz być mój przed świtem.

Czyste pożądanie w jego oczach było tak wielkie, że Henry'emu zrobiło się niedobrze. Zaczął się szarpać, walczyć, kiedy usłyszał, jak doktor znowu się śmieje i oddala.

- Po miesiącach ceremonii mam co trzeba, by kontrolować demona - zauważył konwersacyjnym tonem O'Mara, zwiijając dywan sprzed kominka. -Dostanę od niego wszystko poza życiem wiecznym. Ty możesz mi je dać, więc demon da mi ciebie. -Podniósł głowę znad wyciętego na drewnianej podłodze pentagramu. - Zdołasz oprzeć się Władcy Piekieł, wampirze? Nie sądzę.

Zaciskając suche usta i z wysiłkiem oddychając,

Henry wyteżył całe swoje siły, by wyrwać się z pęt. Napinając mięśnie i trzeszcząc stawami, walczył o życie. Kiedy już sądził, że nie powstrzyma jęku rozpacz, jego prawa dłoń drgnęła.

Zapaliwszy świece i postawiwszy stęchły proch na ogniu, doktor O'Mara otworzył księgę i zaczął. Prawa ręka znowu drgnęła. Potem lewa.

W centrum pentagramu coś zadrżało.

Henry zrozumiał, że za sprawą mocy pochłanianej przez przyzywanie słabła moc tworząca jego więzy. One słabły. Słabły...

Drgania zaczęły się mieszać, zapadać w sobie i formować...

Z wściekłym wyciem Henry wyrwał się na wolność i rzucił przez pokój. Zanim doktor zdążył za reagować, wampir chwycił go, uniósł w górę i z całą siłą, jaka mu pozostała, cisnął o ścianę.

Głowa doktora uderzyła o boazerię. Drewno wyszło z tego cało. Istota w pentagramie zaczęła niknąć, póki nie pozostał po niej tylko zapach zgnilizny i strach.

Oslabiony i drżący, Henry stał nad ciałem. Światło w jasnych oczach zgasło, pozostawiając tylko zamgloną szarość. Krew zbierała się pod ścianą, gorąca i czerwona, a wampir, który desperacko potrzebował pożywienia, dziękował Bogu, że martwa krew go nie wzywała. Prędzej by umarł z głodu, niż posilił się na tym człowieku.

Skóra go zaswędziała, gdy podniósł z ziemi gri-muar i razem z nim odszedł w noc.

- Powinienem był go zniszczyć! - Opierając rozczapierzone dłonie o szklane drzwi biblioteczki, Henry wbił spojrzenie w grimuar. Nigdy nie zadał sobie pytania, czemu tego nie zrobił. Wątpił, czy chce znać odpowiedź.

- Hejka, Wiktoria!

Stojąca w otwartej budce telefonicznej Vicki odwróciła się powoli, a serce waliło jej niemal jak młot kowalski.

Tony uśmiechnął się szeroko.

- O rany, ale ty jesteś nerwowa. Wydawało mi się, że już nie pracujesz nocami.

- W ogóle nie pracuję - poprawiła odruchowo Vicki, podczas gdy jej serce wracało do normalnego rytmu. - Czy ja wyglądam, jakbym pracowała?

- Zawsze tak wyglądasz.

Vicki westchnęła i przyjrzała mu się dokładnie. Nie prezentował się najlepiej. Sądząc po patynie brudu, sypiał gdzie popadnie, a jego twarz była zapadnięta, co świadczyło, że ostatnio nie jadał regularnie.

- Ty wyglądasz niezbyt dobrze.

- Bywało lepiej - przyznał. - Nie odmówiłbym burgera i frytek.

- Czemu nie. - Automatyczna sekretarka Henry'ego upierała się, że dalej nie ma go w domu. -

Opowiesz mi, co ostatnio porabiałeś. Wywrócił oczyma. - Czy wyglądam, jakby mi odbiło?

Trzy kawałki węgla spalały się na stalowej patelni kupionej przez matkę. Po raz pierwszy mu się przydała. Złoto, kadzidło i mirra już zostały dodane. Trzy krople krwi skwierczały w żarze, a Norman odsunął się pospiesznie, na wszelki wypadek.

Poprzedniej nocy coś powstrzymało demona przed zmaterializowaniem się. Ponieważ to był pierwszy i jedyny raz, kiedy tak się stało, statystycznie rzecz biorąc, tej nocy demon powinien się pojawić.

Norman mocno wierzył w statystykę.

Powietrze w centrum pentagramu zaczęło drzeć, a obandażowane palce boleć. Zastanowił się, czy dziś

znowu to się stanie. Nie powinno. Statystycznie rzecz biorąc.

I nie stało się.

- Wezwałem cię - oznajmił, podchodząc bliżej, kiedy demon już całkiem się uformował. - Jestem twoim panem.

- Jesteś panem - zgodził się demon. Wydawał się przygaszony i cały czas oglądał się za siebie.

Norman prychnął pogardliwie na to żałosne narzędzie. Po dzisiejszej nocy będzie miał pod swoimi rozkazami prawdziwego demona i wtedy nic go nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ 12

Wiesz czym jest grimuar? - Tak, panie. - Demon przeciągnął się w centrum pentagramu, wciąż czując się niepewnie i pamiętając ból, jaki towarzyszył mu po ostatnim wezwaniu.

- Dobrze. Pójdiesz tu.

Pan pokazał budynek na mapie. Demon przełożył tę informację na swój własny obraz miasta, o wiele bardziej całościowy i mniej ograniczony.

- Pójdiesz tam najkrótszą drogą. Weźmiesz grimuar z apartamentu 1407 i przyniesiesz z powrotem do centrum pentagramu, korzystając z tej samej trasy. Nie pozwól, by ludzie cię widzieli.

- Musi się pożywić - nadąsany przypomniał panu.

- Jasne, pożyw się po drodze. Chcę mieć ten grimuar jak najszybciej, rozumiesz?

- Tak, panie. - Jeszcze trochę i pożywi się tym, kto go wezwał. Obiecano mu to.

Czuł, że Władca, któremu służył, czeka, że jego gniew narasta za każdym razem, gdy demon zbacza ze ścieżki imienia. I wiedział, że sam pozna ów gniew bliżej, kiedy powróci ze świata ludzi.

Wyruszywszy, spotkał na swojej drodze wiele żyć, miał z czego wybierać. Wreszcie posilił się tam, gdzie odebrane życie zakończyłoby wzór imienia innego Władcy Demonów. To, które miał napisać, potrzebowało jeszcze czterech śmierci, ale może ten drugi Władca, o ile będzie kontrolował przejście, ochroni go przed pierwszym.

Nie znał nadziei, bo to uczucie było demonom obce, ale znał okazję, więc wykorzystał ją jak tylko umiał.

Posiłał się szybko, brutalnie, przemieszczał ostrożnie, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę siły, która poprzedniej nocy przerwała przyzywanie. Demony już kiedyś walczyły z tą potęgą, a on nie miał zamiaru zmierzyć się z nią teraz, samotnie.

Kiedy zbliżał się do budynku wskazanego przez „pana”, poczuł obecność grimuaru. Rozłożył szeroko skrzydła i opadł niżej, cień na tle gwiazd, i wylądował na balkonie. Zew księgi stawał się coraz silniejszy, mroczna moc reagowała na jednego z jego rodzaju.

Wyczuł w pobliżu życie, ale go nie rozpoznał. Zbyt wolne na śmiertelnika, zbyt szybkie na demona.

Nie rozumiał tego, ale zrozumienie nie było mu potrzebne.

Obwąchał metal wokół szkła. Nie wywarł na demonie wrażenia. Miękki metal, metal śmiertelników.

"Nie pozwól, by cię widziano". Jeśli on nie widział ulicy, żyda na ulicy nie widziały jego. Wbił szpony w ramię i wyrwał szkło.

Kapitan Roxborough podszedł bliżej, z rękami odsuniętymi od tułowia i szarymi oczami skupionymi na ostrzu.

- Z pewnością nie sądzisz... - zaczął. Ocalił go tylko niesamowity refleks, gdy brzytwa wystrzeliła do przodu, a on ledwie zdążył odskoczyć. Powiewająca materia koszuli została równo przecięta, ale skóra pod nią ocalała nienaruszona. Z wynikiem utrzymał nerwy na wodzy. -Zaczynam tracić do ciebie ciepłość, Smith.

Henry zamarł z palcami nad klawiaturą. Usłyszał coś na balkonie. Nie głośny dźwięk - bardziej szelest

suchych liści na wietrze - ale coś, co zabrzmiało nie tak, jak powinno.

Do salonu dotarł w mniej niż kilka sekund, a uderzający zapach gnijącego mięsa ostrzegł go, co tam zastanie. Dwusetletnie przyzwyczajenie sprawiło, że sięgnął dłonią do biodra, choć od początku dziewiętnastego wieku nie nosił już broni białej. Jedyna, jaką miał, służbowy rewolwer, była owinięta w natłuszczoną szmatkę i przechowywana w piwnicy budynku. „I raczej nie zdążę po niego pójść”.

Kreatura stała - czarna plama na tle mroku nocy - trzymając w szponach szklane drzwi. Niemal wypełniała małą szklarnię, która łączyła jadalnię z balkonem.

Przez odór stęchlizny przebiegał się, niczym czerwony promień, zapach świeżej krwi. Henry zrozumiał, że demon właśnie się posilił, i przypomniał sobie, kiedy ostatni raz zrobił to samo. Wziął głęboki, niespokojny oddech. „Dureń ze mnie, że nie zabezpieczyłem apartamentu!” Otwartym pentagramem,

takim jak pułapka, którą przygotował nad Humber... „Powinienem był to przewidzieć”. A teraz się stało.

- Stój, demonie, nie pozwolono ci tu wejść!

Ogromne, pozbawione powiek żółte oczy odwróciły się w jego stronę, a ich kształt zmienił się, podążając za ruchem.

- Rozkazano - powiedział i odrzucił drzwi. Henry rzucił się do przodu. Szkło rozbiło się na podłodze, tam gdzie przed chwilą stał, nie czyniąc mu krzywdy. Przemknął pomiędzy szponami, podskoczył i z całej siły uderzył pięściami w łeb demona. Ciało istoty zapadło się w tym miejscu jak mokry korek, absorbując cios i przekształcając się. Nim wampir opadł na ziemię, demon rzucił nim o stół do kawy. Henry przeturlał się, ledwie unikając śmiertelności uderzenia, i poderwał z poprzeczką od stolika w dłoni. Miejsce, w którym złamał się metal, było jasne i ostre.

Demon rozorał mu ramię tuż pod łokciem.

Przygryzając wargi, żeby powstrzymać krzyk, Henry zachwiał się, niemal upadł i wbił poprzeczkę w biodro stwora.

Machnięcie skrzydłem niemal go powstrzymało, ale panika dodała mu sił i wyszarpnął się na wolność, czując, jak tkanka ustępuje pod jego obcasami.

Cios, wymierzony w gardło, trafił Henry'ego w ramię. Wampir upadł na ziemię, złapał demona tuż powyżej zniekształconej stopy i pociągnął ze wszystkich sił. Tył głowy istoty okazał się bardziej wytrzymały od telewizora, ale tylko odrobine.

- Spokój, Owen! Cicho! - pani Hughes zaparła się nogami i ledwo udało jej się zamknąć drzwi, nim Owen, szczekając histerycznie, rzucił się naprzód i pociągnął ją w głąb holu. - Owen, zamknij się! - Pies tak hałasował, że ledwie słyszała własne myśli. Szczekanie odbijało się echem większym niż w apartamencie i nieważne, jak dźwiękoszczelne były ściany, do wnętrza docierały wszystkie dźwięki z korytarza. Musiała wyciągnąć Owena z budynku, zanim komitet mieszkańców ich przez niego wyrzuci.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i stanął w nich sąsiad, którego trochę znała. Był emerytowanym wojskowym i sam miał dwa małe psy. Ich szczekanie dobiegało z głębi mieszkania. Niewątpliwie reagowały na szal Owena.

- Co mu się stało? - krzyknął, kiedy był już na tyle blisko, że mogła go usłyszeć.

- Nie wiem. - Ledwo udało jej się ustać na nogach, kiedy Owen rzucił się całym ciężarem swojego ogromnego cielska na drzwi apartamentu Henry'ego Fitzroya, drapiąc framugę, a kiedy to nie pomogło, próbując pazurami podkopać się od dołu. Pani Hughes usiłowała go odciągnąć, ale z marnym skut-

kiem. Żałowała, że nie wie, co Owen ma przeciw panu Fitzroyowi, chociaż w tej chwili wystarczyłaby pewność, że nie grozi jej eksmisja za zakłócanie spokoju. - Owen! Siad! - Pies ją zignorował. - Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał - tłumaczyła. - Nagle zaczął szczekać jak opętany. Myślałam, że jeśli go wyprowadzę...

- Będzie ciszej - zgodził się sąsiad. - Pomóc?

- Bardzo proszę - w jej głosie zabrzmiała nutka desperacji.

Wspólnie zdołali zaciągnąć wciąż szczekającego mastiffa do windy.

- Nie rozumiem tego - westchnęła. - Zwykle nie skrzywdziłby muchy.

- Cóż, nie skrzywdził nikogo poza kilkoma bębenkami w uszach - zapewnił ją sąsiad, odsuwając kolano, którym blokował drzwi przed zamknięciem. - Powodzenia.

Słyszał, jak głębokie, gardłowe szczekanie Owena wciąż odbija się echem w szybie windy, słyszał oszalały jazgot swojej dwójki. Nagle wszystko ucichło, niemal tak gwałtownie, jak się zaczęło. Mężczyzna zatrzymał się, marszcząc brwi, usłyszał jeszcze skomlenie, a potem już nic. Pokręcił głową i wrócił do siebie.

Z żółtą, lepka substancja wypływająca z ran, demon chwycił grimuar i pokuśtykał na balkon. Imiona i in-kantacje sprawiały, że księga była niewygodnie ciężka, cięższa niż cokolwiek, co zdarzyło mu się nosić. Poza tym czuł ból. Ten nieśmiertelny, z którym walczył, zranił go.

Większość jego ciała przemieniała się powoli w szarości upstrzonej czernią w czerń upstrzoną szarością i z powrotem. Miał też rozdartą błonę prawego skrzydła.

Musiał się pożywić, zanim zanieśie grimuar „panu”. Zranione skrzydło zdołało go unieść, gdy opadał z wysokości na ziemię, ale potrzebował życia, żeby mieć z czego się zregenerować. W pobliżu było ich wiele. Nie spodziewał się, by zabranie jednego sprawiło mu trudność.

Zeskoczył w mrok nocy, a żółta substancja lśniła miejscu, gdzie przed chwilą stał.

Pani Hughes uśmiechnęła się, słuchając, jak Owen buszuje w krzakach. Ku jej ogromnej uldze w windzie się uspokoił i od wyjścia z niej był cichy niczym trusia. Jakby wyczuwając, że o nim myśli, pies wyszedł na otwartą przestrzeń, sprawdził, gdzie jest jego właścicielka i z radosnym szczeknięciem zanurzył się z powrotem w gęstwinię.

Wiedziała, że powinna trzymać go na smyczy, nawet w dolince, ale kiedy przychodzili tu późnym wieczorem i w pobliżu nikogo nie było, pozwalała mu biegać luzem, ku obopólnej radości. Żadne z nich nie lubiło dostosowywać się do tempa kroku drugiego.

Wsunęła ręce do kieszeni i skuliła ramiona przed nagłym powiewem zimnego wiatru. Wiosna. Kiedy pani Hughes była małą dziewczynką, wiosna zawsze przybywała przed Wielkanocą i nigdy nie noszono rękawiczek jeszcze w połowie kwietnia. Przy kolejnym powiewie pani Hughes zmarszczyła z obrzydzeniem nos. Śmierdziało, jakby coś rozmiarów co najmniej szopa zdechło na zachód stąd i osiągnęło już zaawansowany stan rozkładu.

A co gorsza, sądząc po tym, jak trzęsły się zarośla, Owen już to znalazł i na pewno miał zamiar się w tym wytarzać.

- Owen! - Podeszła kilka kroków bliżej, szykując smycz. - Owen! - Okropny smród gnijącego mięsa stał się silniejszy. Westchnęła. Najpierw histeria, teraz to. Resztę nocy będzie musiała spędzić na kąpieniu psa. - Ow...

Demon wyrwał jej drugą sylabę słowa wraz z gardłem, drugą ręką chwycił upadające ciało i przysunął ranę do otwartych ust. Ssąc głośno, zaczął wchłaniać krew, której potrzebował, by ozdrowieć. Potknął się i niemal upuścił posiłek, kiedy coś ciężkiego uderzyło go od tyłu, a pazury wyryły linie bólu od ramion do bioder. Warcząc, odwrócił się. Z ust kapłała mu czerwień.

Owen szczerzył zęby, uszy płasko położył po sobie, a gdy znowu rzucił się naprzód, jego warkot przeszedł w wycie. Określił się w powietrzu pod wpływem błyskawicznego uderzenia i opadł. Ot trzy nogi. Krew zabarwiła jego jasnobrązowe futro na łopatce niemal na czarno. Rozwścieczony szybkością demona, znowu warknął i rzucił się na zwisający bezwładnie fragment skrzydła, miażdżąc je w potężnych szczękach.

Nim pies zdążył wykorzystać siłę masywnego karku i barków, demon zaatakował. Jeden z ogromnych szponów zmiażdżył żebro i wbił się na piętnaście centymetrów w ciało mastiffa, obracając całą jego wściekłą furie w proch.

Ostatnim, spazmatycznym ruchem łba Owen zdołał jeszcze bardziej naderwać uszkodzoną błonę skrzydła. Potem światło żarzące się w jego ślepiach zgasło i z ostatnim, wypełnionym nienawiścią warknięciem pies zdechł.

Nawet po śmierci jego szczęki nie zwolniły uścisku i demon musiał je rozerwać, żeby się uwolnić.

Dziesięć minut później dwoje nastolatków, szukając ustronnego zakątka, zeszło do dolinki. Było to dość niebezpieczne. Ich oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, a ścieżka miała kilka schodków i kamienistych odcinków. Chłopak szedł przodem, prowadząc dziewczynę za rękę - nie dlatego, że wykazywał się rycerskością. Nie mógł się doczekać, aż dotrą na miejsce.

Kiedy już leciał na trawnik, machając wolną ręką, dziewczyna puściła go, żeby też nie upaść. Uderzył w ziemię z dziwnym, wilgotnym dźwiękiem i leżał tam, patrząc w mrok, którego ona nie mogła przebić wzrokiem. -Pat?

Odpowiedź zabrzmiiała niemal jak szloch. Poderwał się na nogi. Obie ręce i kolana miał ciemne, jakby upadł w błoto. Dziewczyna zmarszczyła nos, kiedy dotarł do niej zapach, który mogła prawie, ale tylko prawie rozpoznać. - Pat?

Jego oczy były rozszerzone, a twarz pobladła i chociaż ruszał ustami, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Zmarszczyła brwi i zrobiwszy naprzód dwa ostrożne kroki, potknęła się. Ziemia pod jej palcami była wilgotna i trochę lepka. Zapach stał się silniejszy. Wreszcie oczy dziewczyny przyzwyczyły się do ciemności i wtedy, nieskrępowana społecznymi oczekiwaniami, by być macho, zaczęła krzyczeć. I krzyczała jeszcze długo.

Vicki zmrugała oczy, desperacko starając się dojrzeć, co się kryje w odległej plamie rozmazanego światła. Wiedziała, że jasny, biały promień sięgający w głąb doliny to musi być szperacz, chociaż samego radiowozu nie mogła dojrzeć. Słyszała podniecone głosy, ale nie widziała tłumu, który je wydawał. Zrobiło się późno. Powinna już być u Henry'ego. Ale może mogła tu jakoś pomóc...

Trzymając się jedną ręką betonowej ściany otaczającej główne biuro Manu-Life, skręciła na plac

Świętego Pawła i skierowała się w stronę światła. Zawsze zaskakiwało ją, jak szybko każdy wypadek ściągał tłum gapiów - nawet po północy w poniedziałek. Czy nikt z tych ludzi nie szedł rano do pracy? Obok przejechały dwa radiowozy na sygnale, a grupa młodzieńców, którzy biegli, by popatrzeć z bliska, niemal ją stratowała. Vicki prawie nie zwróciła na nich uwagi. Po północy... Przesuwając palcami po betonie, zaczęła iść szybciej, póki nie stanęła, słysząc słowa wyróżniające się spośród dobiegających z domniemanego tłumu szmerów.

- ...gardła nie ma, tak jak u tamtych.

Henry się pomylił. Tej nocy demon znowu zabił. Ale czemu tu, niemal w sercu miasta, mile od punktów tworzących jakiegokolwiek z możliwych imion? Henry i to przecucie, które trzymało go dziś w domu—

- Szlag! - Ufając, że jej stopy same znajdą drogę.

Vicki skręciła i zaczęła biec, przebijając się przez wciąż napływający tłum ciekawskich. Potknęła się

O krawężnik, tacreco nie widziała, zaczepiła ramie-niem o niekształtną plamę, która mogła być słupem

i potraciła co najmniej trzy osoby, zbyt powolne, by zejść jej z drogi. Musiała się dostać do Henry'ego. Kiedy doszła do budynku, ulicą przejechał radiowóz, a za nim na okrągły podjazd wyległa grupa ludzi spieszących za karetką na plac niczym stado makabrycznych gąsek. Strażnik musiał być jednym z nich, bo kiedy Vicki pchnęła drzwi i weszła do holu, za biurkiem nikt nie siedział.

- Szlag do kwadratu!

Sięgnęła, żeby wymacać przełącznik otwierający wewnętrzne drzwi. Jak się obawiała, strażnik zamknął go na klucz, a ten wziął zapewne ze sobą.

Zbyt rozwścieczona i zmartwiona, by przeklinać, ze złością pchnęła drzwi. Ku jej zaskoczeniu otworzyły się ze zgrzytem świadczącym, że metalowy bolec nie zaskoczył, gdy je zamykano.

Przebiegła przez nie, poświęciła sekundę na to, by je starannie za sobą zaciągnąć - starych nawyków niełatwo się pozbyć - popędziła przez wewnętrzny hol i dopadła guzików windy

Dobrze wiedziała, że wciskanie ich raz po raz nic nie pomoże, ale i tak to robiła.

Podróż na czternaste piętro zdawała się trwać dni, może nawet miesiące, a adrenalina sprawiała, że Vicki miotła się w windzie od ściany do ściany. Drzwi Henry'ego były zamknięte. Pochłonięta myślą, że wampir ma kłopoty, nawet nie zapukała. Sięgnęła

do torby, wygrzebała zestaw wytrychów i wzięła kilka głębokich oddechów, chcąc uspokoić drżące ręce. Chociaż strach wciąż ją poganiał, zmusiła się, by powoli wsunąć właściwy wytrych i jeszcze wolniej manipulować nim delikatnie, póki nie zastąpi klucza.

Po kilku boleśnie rozciągających się chwilach, kiedy już myślała, że drogi zamek jest dla niej zbyt trudny, i marzyła, by pojawił się nagle Brudny Harry i wyrwał drzwi z zawiasów, ostatnia zapadka ustąpiła. Vicki zaczęła znowu oddychać i podziękowała Bogu, że budowniczcy nie zdecydowali się na elektroniczne zamki. Wrzuciła wytrychy do torby i otworzyła szeroko drzwi.

Wiatr wpadający przez balkon wywiał większość odoru, ale wciąż jeszcze czuć było zgniliznę. Vicki przypominała sobie kobietę znaną latem po sześciu tygodniach, ale tym razem jej wyobraźnia dała ciało twarz Henry'ego. Wiedziała, że smród pochodzi od demona, ale wyobraźnia upierała się przy swoim. - Henry?

Sięgnęła do tyłu, zamknęła drzwi i zaczęła macać po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła. Nie widziała nic. Henry mógł leżeć martwy u jej stóp, a ona nawet...

Niezupełnie u jej stóp. Leżał z rozrzuconymi rękami na przewróconej kanapie, na wpół okryty porwaną tapicerką. I nie był martwy. Martwi przybierają pozy, których żywi nie potrafią imitować.

Szkło, niemożliwe do przeoczenia, rozświetlało dywan migotaniem niczym domowe lodowisko.

Drzwi od balkonu, stolik do kawy i telewizor - kiedy Vicki szła przez pokój, ta jej część, która nauczona była obserwować, rejestrowała szczytki w różnych kolorach. Henry wydawał się być w odrobinę lepszym stanie niż jego apartament.

Siłą zamknęła drzwi od szklarni, przesuwając je przez zaschłe, lepkie plamy żółtej mazi, a potem opadła na kolano i przycisnęła palce do wilgotnej skóry na gardle Henry'ego. Jego puls był wolny, jakby serce zastanawiało się, nim zabije.

- Czy to normalne? Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co jest u ciebie normalne?

Tak delikatnie jak tylko umiała wyplątała go z ta-picerki. Jakimś cudem chyba nie miał żadnych złamań. Zauważyła też, gdy ostrożnie rozprostowywała mu ręce i nogi, że jego kości były bardzo ciężkie, i zastanowiła się mimowolnie, czy to element wam-piryzmu, czy śmiertelnego dziedzictwa - teraz nie miało to wielkiego znaczenia. W wielu miejscach był opuchnięty i pocięty przez odłamki szkła i przez, jak zakładała Vicki, szpony demona.

Rany, nawet te najgłębsze, krwawiły niewiele, jeśli w ogóle.

Skórę miał chłodną i wilgotną, oczy wywrócone do tyłu. Nie reagował, był w szoku. I nieważne, w jakich punktach legendy o wampirach zgadzały się z prawdą, w jednym z całą pewnością się myliły. Henry Fitzroy nie był bardziej nieumarły niż ona. Teraz umierał.

- Szlag. Szlag! Szlag!

Jedną ręką asekurując ciało Henry'ego tak, by ześlizgnęło się na poszarpane poduszki, popchnęła kanapę, z powrotem ją ustawiając. Uklękła obok niego i sięgnęła po torbę. Małe ostrze scyzoryka było naostrzone - rzadko go teraz używała - więc przyłożyła je do nadgarstka. Skóra ugięła się, a Vicki w duchu modliła się, żeby to zadziało, żeby, nawet jeśli legendy mylą się we wszystkim innym, w tym jednym wypadku mówiły prawdę.

Nie bolało aż tak, jak się spodziewała. Przycisnęła rozcięcie do jego ust i czekała. Karmazynowa kropla spłynęła z kącika, kreśląc czerwoną linię na policzku.

Gardło wampira poruszyło się małym, konwul-syjnym przełknięciem. Czują, jak wargi Henry'ego przyciskają się do nadgarstka, a język wyciąga do płynącej krwi. Włosy na karku stanęły jej dęba i mimowolnie przycisnęła ranę mocniej do jego ust.

Zaczął pić, najpierw gorączkowo ssąc, potem wolniej, kiedy coś w nim zrozumiało, że pokarm nie zostanie mu odebrany.

„Będzie wiedział, kiedy przestać?” Jej oddech stał się urywany, kiedy doznania wędrujące z ramienia dosięgły reszty ciała. „Zdołam go powstrzymać, jeśli on tego nie zrobi?”

Przez dwie, trzy minuty patrzyła, jak wampir się posila. Przez ten czas zdawał się być tylko głodem, niczym więcej. Przypominał niemowlę i poczuła, jak na tę myśl pod kurtką, swetrem i stanikiem twarzonej jej sutki. Rozumiała już, czemu tyle historii

o wampirach sączyło krew z seksem — to było jedno z najintymniejszych przeżyć, jakich doświadczyła.

Najpierw był ból, a potem krew. Nic, tylko krew. Świat był krwią.

Obserwowała, jak wraca mu świadomość. Uniósł rękę, by schwycić jej nadgarstek, przycisnąć go do ust.

Czuł życie, które dostarczało mu krew. Jego zapach, głos. Rozpoznał je i walczył z czerwonym szaleństwem, które mówiło, że to życie powinno należeć do niego. Tak łatwo było poddać się głodowi.

Widziała, z jakim wysiłkiem wziął ostatni łyk i odepchnął jej nadgarstek. Nie rozumiała tego. Czują jego pragnienie, czują, jak ją do niego przyciąga. Uniosła nadgarstek z powrotem do ust Henry'ego, a karmazynowe krople spływały z rozcięcia.

Odsunął go od siebie z gwałtownością, która ją zaskoczyła, zostawiając ślady palców na białej skórze ramienia. Niestety, więcej sił już nie miał. Jego ciało znowu stało się bezwładne, a głowa opadła na jej ramię.

Ból spowodowany uściskiem pomógł rozproszyć mgłę w umyśle Vicki, chociaż wciąż było jej straszliwie trudno myśleć. Zmieniła pozycję. Pokój zaczął się na przemian rozmywać i wyostrzać, a Vicki wydostała się z oparów ciemności i zrozumiała, czemu Henry zmusił się, by przestać. Nie mogła dać mu tyle krwi, ile potrzebował, nie poświęcając siebie.

- Cholera, cholera, cholera! - Nie było to zbyt kreatywne, ale poczuła się lepiej.

Posadziła go na kanapie, a potem obszukała i wyciągnęła z kieszeni spodni klucze. Jeśli miała uratować mu życie, nie mogła tracić więcej czasu na włamywanie się. „Potrzeba mu więcej krwi. Muszę znaleźć Tony'ego”.

Nagle powstanie okazało się złym pomysłem. Świat pod jej nogami zaczął się kołysać, a bieg do drzwi przypominał raczej zataczanie. „Jak mógł wypić tak dużo w tak krótkim czasie?” Oddychając ciężko, wyszła na korytarz i przyspieszonym krokiem skierowała się do windy.

- Dobry Boże, to Owen?

Owen? Greg przepchnął się przed tłum. Jeśli Owen był ranny, pani Hughes może potrzebować jego pomocy.

Owen był więcej niż ranny. Jego szczękę otwarto z taką siłą, że rozerwano mu przy tym głowę. A pani Hughes już nikt nie mógł pomóc.

Musiła dostać się do Yonge i Bloor, a ciało odmawiało współpracy. Coraz bardziej kręciło jej się w głowie i dryfowała od jednego solidnego obiektu do drugiego, uparcie nie chcąc się poddać. Przy Church Street poddanie zaczęło wchodzić w grę.

- Hej, Wiktoria.

Silne dłonie złapały ją, gdy padała. Wczepiła się w dzinsowa kurtkę Tony'ego, póki chodnik przestał grozić, że uniesie się i rozbije jej nos.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz jak kawał gówna.

Odsunęła się, puszczając kurtkę i chwytając się jego ramienia. "Jak, do cholery, mam to ująć?"

- Tony, potrzebuję twojej pomocy.

Tony patrzył na nią przez chwilę.

- Ktoś cię pobił?

Vicki pokręciła głową i zaraz tego pożałowała.

- Nie, to nie to. Ja...

- Ćpasz?

- Jasne, że nie - mimowolnie oburzenie sprawiło, że się wyprostowała.

- Więc co ci się, kurwa, stało? Dwadzieścia minut temu wszystko było w porządku.

Spojrzała na niego z góry, światło latarni jeszcze bardziej utrudniało jej skupienie się. Wyglądał na bardziej zezłoszczonego niż zmartwionego.

- Wytłumaczę po drodze.

- Kto powiedział, że gdzieś idę?

- Tony, proszę...

Chwila, jaką zajęło mu podjęcie decyzji, była jedną z najdłuższych w życiu Vicki.

- Cóż, chyba i tak nie mam nic lepszego do roboty. - Pozwolił jej pociągnąć się za sobą. - Ale lepiej, żeby to wytłumaczenie było dobre.

Szeroko otwartymi oczyma Greg gapił się nad ramieniem muskularnego policjanta. Wszystko, co widział, to sportowy but z podeszwą w czerwone plamy i kawałek spodni od dresu - koroner zastaniał resztę ciała. Biedna pani Hughes. Biedny Owen.

- Nie ma wątpliwości. - Koroner wstał i skinął na obsługę karetki, by zajęła się ciałem. - Tak samo jak u innych.

Pełen poruszenia pomruk przeszedł przez tłum. Tak samo jak u innych. Wampir.

Na ten dźwięk jeden z detektywów odwrócił się i spojrzał w górę.

- Co tu, do cholery, robią ci ludzie? Zabierzcie ich za samochody! Już!

Greg odszedł z innymi, ale nie zwracał uwagi na domysły, które snuli, pochłonięty własnymi myślami. W ciągu tej godziny rozpoznał w tłumie wielu mieszkańców budynku. Henry'ego Fitzroya pośród nich nie było. Tak jak i innych, przyznał, ale nieobecność pana Fitzroya nagle stała się bardzo ważna. Owen, który lubił wszystkich, nigdy nie lubił Henry'ego Fitzroya.

Strażnik nie potrafił wyrzucić z pamięci wyrazu twarzy młodego mężczyzny i strachu, jaki w nim wzbudził. I nie miał wątpliwości, czy pan Fitzroy mógł zabić. Pytanie brzmiało, czy zabił?

Przecisnąwszy się na skraj tłumy, Greg pospiesznie ruszył na Bloor Street. Czas uzyskać jakieś odpowiedzi.

Wampiry. Demony. Tony potarł kciukiem o zęby i przez chwilę patrzył na Vicki, zachowując obojętny wyraz twarzy.

- Czemu powierzasz mi taki sekret?

Vicki oparła się o ścianę windy i pomasowała skronie. No właśnie, czemu?

- Bo byłeś najbliższy. Bo jesteś mi coś winien. Bo wierzę, że go nie zdradzisz.

Wyglądał na zaskoczonego, a potem na zadowolonego. Od dawna nikt mu nie zaufał. Tak naprawdę zaufał. Uśmiechnął się i nagle wydał o dziesięć lat młodszy.

- To się dzieje naprawdę, tak? Żadnych kantów?

- Żadnych kantów - zgodziła się ze zmęczeniem Vicki.

Ostrożnie stąpając po szkle, Tony podszedł do kanapy i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Henry'ego.

- Nie wygląda na wampira.

- A czego oczekiwałeś? Smokingu i trumny? - Nic się nie zmieniło podczas jej nieobecności i chociaż

Henry nie wyglądał lepiej, nie wyglądał też gorzej.
- Spokojnie, Wiktorio. Wiesz, to wszystko jest trochę dziwaczne.
Westchnęła i odgarnęła rudozłoty kosmyk z czoła Henry'ego.
- Wiem. Przepraszam. Martwię się.
- Spoko. - Tony poklepał ją po ramieniu, kiedy obchodził kanapę. - Rozumiem zmartwienie. - Wziął głęboki oddech i potarł dłońmi o dżinsy. - Co mam zrobić?
Pokazała mu, gdzie uklęknąć, potem przyłożyła ostrze scyzoryka do jego nadgarstka.
- Może ja to zrobię - zaproponował, kiedy się zawahała.
- Może tak będzie lepiej.
Na tle bladej skóry jego krew wydawała się niesamowicie czerwona. Vicki czuła, jak drży mu ręka, gdy przysuwała ją i rozcięcie do ust Henry'ego.
„Co ja, do diabła, wyprawiam?“, zastanowiła się, gdy wampir zaczął ssać, a na twarzy Tony'ego pojawił się wyraz niemal niebiańskiej ekstazy. „Robię za alfonsa dla wampira“.

I znowu krew. Tym razem pragnienie nie było już tak obezwładniające i wystarczyło jej o wiek mniej,
- On naprawdę to robi. On naprawdę jest...
- Wampirem. Tak.
- To jest bardzo... hm... interesujące. - Zmienił odrobinę ułożenie ciała, poprawiając przy tym nogawkę spodni.
Vicki przypomniała sobie, jakie to uczucie, i cieszyła się, że Tony nie widzi jej rumieńców. Zdjęła kurtkę i poszła do łazienki, zastanawiając się, czy nowoczesny wampir ma coś użytecznego w apteczce. Rozmiar obrażeń Henry'ego wykluczał zajęcie się nimi przy pomocy małej apteczki, którą nosiła w torebce, chociaż gdyby nie było innego wyjścia, jakoś by improwizowała.
Ku jej zaskoczeniu nowoczesny wampir miał i opatrunki, i plastry. Zabrała je oraz dwie wilgotne ściereczki, ręcznik i szlafrok frotte, który wisiał na drzwiach, i wróciła do salonu, wspierając się po drodze o meble i o co się tylko dało.
Najpierw zajmie się głębokim cięciem na ramieniu Henry'ego, a potem resztą. Zapowiadała się robota na kilka dni.

Szamacząc się z kluczami, Greg otworzył swoją szafkę w pokoju służbowym i wyciągnął z opakowania jeden ze słupków do krykieta.
- To tylko z ostrożności - powiedział sobie, oglądając zaostrzony czubek. - Z rozsądnej ostrożności.

Próbując nie myśleć o tym, jak głęboka i poważna jest rana, Vicki przemyślała ją, ścisnęła krańce przerwanej skóry i mięśni tak blisko, jak tylko się dało, i sklepiła je plastrem. Ramię Henry'ego zadrsało, ale nie próbował się odsunąć.

Tony starannie patrzył w inną stronę.
Razem ze świadomością przyszła niepewność. Z kogo pił? Zapach Vicki był nie do pomylenia, ale młodego samca nie znał.
Czuł, jak wracają mu siły, jak ciało zaczyna się goić, bo krew, którą wypił, nie miała go już tylko utrzymać przy życiu. Teraz potrzebował czasu.

- Chyba skończył.
- Przestał?
Tony uniósł nadgarstek.
- To zwykle oznacza „skończyć”. - Rana była jeszcze otwarta, ale tylko pojedyncza kropelka krwi spłynęła pod przybrudzony rękaw dżinsowej kurtki.
Vicki pochyliła się.
- Henry?
- Chwilunia, Wiktorio. - Tony zachwiał się na czubkach obcasów i wstał. - Jeśli masz zamiar go budzić, to ja spadam.
- Co?
- On mnie nie zna. Chyba nie powinno mnie tu być, kiedy będziesz go przekonywać, że nic nikomu nie powiem.
Po chwili zastanowienia Vicki doszła do wniosku, że to nie jest taki głupi pomysł. Nie miała pojęcia,

jak Henry zareaguje, gdy się dowie, że zdradziła jego sekret komuś obcemu. Na jego miejscu byłaby wściekła.

Poszła za Tonym do drzwi.

- Jak się czujesz?

- Napalony. I kręci mi się w głowie - dodał, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Chyba nie wziął ode mnie tyle, co od ciebie. No i jestem młodszy.

- I bardziej wygadany. - Sięgnęła i chwyciła go za ramię, potrząsając łagodnie. - Dzięki.

- Hej, za nic bym tego nie przepuścił. - Przez chwilę jego twarz była otwarta, szczerza i delikatna, ale zaraz powrócił na nią cwaniacki uśmieszek. -I chcę usłyszeć, jak to się skończy.

- Usłyszysz. - Wyciągnęła z kieszeni garść pomiętych banknotów i weisnęła mu do ręki. - Pij teraz dużo płynów. I postaraj się, żeby strażnik nie widział, jak będziesz wychodził.

- Nie ucz ojca dzieci robić, Wiktorio.

W windzie Greg uderzał nerwowo siedemdziesięciocentymetrowym kijkiem o nogę. Tak naprawdę nie wierzył, że Henry Fitzroy jest wampirem, ani trochę, ale z drugiej strony nie wierzył też, że pani Hughes nie żyje - a tak było. Życie nauczyło go, że to, w co się wierzy, nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Na czternastym piętrze wyprostował się i wyszedł z windy, zdecydowany spełnić swoją powinność. Nie uważał się za specjalnie odważnego, ale miał zobowiązania wobec mieszkańców budynku. Nie zawahał się stanąć przeciw nazistom, nie zawahał się w Korei, nie zawaha się teraz. Przed drzwiami apartamentu Henry'ego Fitzroya sprawdził, czy nogawka zakrywa trzymany kołek - użyłby go, tylko gdyby musiał - i zapukał.

- Cholera! - Vicki podniosła głowę znad ciała Henry'ego i popatrzyła na drzwi. Nie brzmiało to jak policja - policyjne pukanie było charakterystyczne -ale zignorowanie go mogło się okazać najgorszym możliwym rozwiązaniem. Jeśli ktoś z ulicy dojrzał demona na balkonie Henry'ego...

Przez wizjer zobaczyła rozmazany obraz starego strażnika zza biurka w holu. Kiedy patrzyła, podniósł rękę i zapukał jeszcze raz. Nie wiedziała, czego chce, nie obchodziło jej to. Nie mógł rozmawiać z Henrym. Musiała pozbyć się go tak, żeby nie zobaczył pobjowiska w pokoju. Jeśli miał jakieś podejrzenia - a sądząc po wyrazie twarzy, coś go martwiło - należało rozwiązać wszelkie jego wątpliwości co do tego, co Henry robił przez kilka ostatnich godzin. A jeśli nie miał żadnych, ważne, żeby tak zostało.

„To szaleństwo”, uświadomił sobie nagle Greg. „Powiniem tu przyjść po wschodzie słońca, kiedy będzie spał”. Jego palce przesunęły się nerwowo po kiju. „Mogę wziąć klucz i się upewnić, tak albo nie, i...”

Drzwi otworzyły się, a razem z nimi usta strażnika, kiedy zagapił się na rozczochraną kobietę, spoglądającą na niego zaspanymi oczami, ubraną w raczej mniej niż bardziej zawiązany męski szlafrok. Vicki wyłączyła wszystkie światła poza jednym w przedpokoju, tuż za jej plecami, mając nadzieję, że oślepiający blask zasłoni to, czego sama nie da rady zasłonić ciałem. Wypełniła przestrzeń między drzwiami a futryną, opierając się o nie i na wszelki wypadek pozwalając górnemu skrajowi szlafrocka zsunąć się trochę niżej. Nie zamierzała oślepić strażnika urodą, ale jeśli dobrze oceniła starszego pana, właśnie taka sytuacja najbardziej by go onieśmieliła.

No dobra, może to był głupi pomysł. Ale jedyne, na jaki wpadła.

- O co chodzi? - zapytała, zakrywając dłonią nie do końca udawane ziewnięcie.

- Eee.. nie, ja, to znaczy czy pan Fitzroy jest w domu?

- Jest. - Vicki uśmiechnęła się i poprawiła okulary. Szlafrok zsunął się odrobinę niżej. - Ale śpi. Jest trochę... - zrobiła pauzę wystarczająco długą, by uszy strażnika zapłonęły szkarłatem - zmęczony.

- Ach. - Greg odchrząknął i zaczął się zastanawiać, jak zręcznie z tego wybrnąć. Było oczywiste, że przez kilka ostatnich godzin Henry Fitzroy nie ruszył się ze swojego mieszkania. Jak również nie wbijał kłów ani w szyję tej młodej damy, ani w większość pozostałych części jej ciała. Na które Greg nie patrzył. - Ja tylko... eee... to znaczy... w dolince był wypadek i myślałem, że może pan Fitzroy coś widział albo słyszał, bo zwykle w nocy nie śpi. To znaczy wiem, że jego okna nie wychodzą na tę stronę...

- Nie sądzę, żeby cokolwiek zauważył. Był... -znowu pauza. Znowu coraz większy rumieniec na twarzy strażnika - zajęty.

- Bardzo przepraszam, że panią niepokoiłem. Porozmawiam z panem Fitzroyem kiedy indziej.

Wyglądał na tak przygnębionego, że Vicki odruchowo wyciągnęła rękę.

- Ten wypadek... Zdarzył się komuś, kogo pan znał? Greg kiwnął głową, reagując na współczucie w jej głosie.

- Pani Hughes i Owen. Owen był jej psem. Mieszkali tu, na końcu korytarza - wskazał, a Vicki aż zatchnęło, gdy zobaczyła, co strażnik ma w ręce.

Spojrzał tam, gdzie ona, i zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Jaskrawe paski wymalowane na czubku kija do krykieta zdawały się z nim drażnić. Zapomniał, że go ma.

- Dzieciaki - wyjaśnił pospiesznie. - Zostawiają rzeczy gdzie popadnie. Ja tylko odnoszę go na miejsce.

- Ach. - Zmusiła się, by odwrócić wzrok. Wykazywanie zbytniego zainteresowania wszystko by popsuło, a wyrwanie kołka strażnikowi z ręki i zrzucenie do szybu windy - co chciała zrobić - podpadało pod „zbytnie zainteresowanie”. - Przykro mi z ich powodu - zdołała wykrztusić.

Znowu kiwnął głową.

- Mnie też. - Wyprostował się, a Vicki niemal widziała, jak obowiązek i odpowiedzialność siadają z powrotem na jego ramionach. - Muszę wracać na stanowisko. Przepraszam, że przeszkadzałem. Dobranoc pani.

- Dobranoc.

Czekał, póki nie usłyszał, jak kobieta przekręca zamek, a potem wrócił do windy. Kiedy drzwi zasunęły się za nim, spojrzał na trzymany w dłoni kołek. Ostatnim razem tak się wstydził, kiedy miał dziewiętnaście lat i podczas drugiej wojny światowej przypadkiem zawędrował do łazienki strzyżków, kobiet z pomocniczej formacji Marynarki Królewskiej.

- Wampiry, ha! Starzeję się, jak nic.

Vicki oparła się o drzwi, bo nagle zmiękły jej kolana. Niewiele brakowało. Włączyła z powrotem światło w salonie i ostrożnie wróciła do Henry'ego.

Miał otwarte oczy. Uniesionym ramieniem osłaniał je przed światłem.

- Lepiej się czujesz? - zapytała.

- Zależy... Lepiej od czego? - Zsunął nogi z kanapy i uniósł się do pozycji siedzącej. Od dawna nie czuł się aż tak źle.

Vicki podtrzymała go, kiedy niemal się przewrócił.

- Najwidoczniej pan Stoker nie przesadzał, kiedy wspominał o zdolnościach regeneracyjnych wampirów.

Henry spróbował się uśmiechnąć. Marnie mu to wyszło.

- Pan Stoker był grafomanem. - Poruszał ramionami i wyprostował obie nogi. Wszystko zdawało się działać, choć nie najlepiej i nie bez bólu. - Kim był chłopak?

- Ma na imię Tony. Od dziecka na ulicy. Jest dobry w akceptowaniu ludzi takimi, jakimi są.

- Nawet jeśli są wampirami?

Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Nie wyglądał na zezłoszczonego.

- Nawet. I wie, jak to jest, kiedy chce się być zostawionym w spokoju. — Ufasz mu?

- Naturalnie. Inaczej pomyślałabym o czymś innym. O kimś innym - chociaż nie miała pojęcia o czym lub o kim. Celluci nawet nie przyszedł jej do głowy. Nawet przez chwilę. „Co tylko dowodzi, że nawet półprzymiotna jestem mądrzejsza, niż na to wyglądam”. Reakcja Celluciego nie zaliczałaby się do tych wspierających. „Może okradłabym Czerwony Krzyż”. - Potrzebowałeś więcej, ale nie chciałeś...

- Nie mogłem - poprawił cicho. - Gdybym wziął więcej, wziąłbym wszystko. - Pod znaczącymi czoło fioletowymi i zielonymi siniakami jego oczy były przygaszone. - Zbyt wiele krwi od jednej osoby i ryzykujemy utratę kontroli. Czuję twoje życie, czuję pragnienie, by zaryzykować i je odebrać.

Uśmiechnęła się, nie mogła się powstrzymać.

- Co? - Henry nie widział w tym nic śmiesznego. Tej nocy oboje otarli się o śmierć.

- Wskoczył mi do głowy cytat z książki dla dzieci: „To nie jest tak, że on jest oswojonym lwem”. Nie jesteś taki całkiem oswojony, prawda? Chociaż wyglądasz na cywilizowanego?

Myślał nad tym przez chwilę.

- Nie, myślę, że według waszych standardów nie jestem. Przeraza cię to?

Jej brwi powędrowały w górę i niemal natychmiast opadły. Była zbyt zmęczona, żeby dbać o wyraz twarzy.

- Daj spokój.

Uśmiechnął się i uniósł jej dłoń, obracając nadgarstek do światła.

- Dziękuję - powiedział, delikatnie śledząc palcem bieg żyły pod skórą.

Każdy włoszek na ciele Vicki stanął na baczność i zanim się odezwała, musiała przełknąć ślinę.

- Nie ma za co. Dla każdego bym to zrobiła. Wciąż trzymał ją za rękę, kiedy na jego twarzy

zagościł wyraz zaskoczenia.

- Masz na sobie mój szlafrok.

Vicki poprawiła okulary i starała się nie patrzeć na stos ubrań rzuconych na stół w jadalni.

- Długa historia. - Pozwoliła usadzić się obok niego i nerwowo zwilżyła wargi. Jej skóra pulsowała pod jego dłonią. „A on nawet nie dotyka żadnych ciekawych miejsc”.

Nagle wyraz twarzy Henry'ego zmienił się. Vicki odwróciła się, żeby sprawdzić, co sprawiło go w pełne przerażenia niedowierzanie. Jedno skrzydło drzwi biblioteczki, o dziwo, z całym szkłem, było otwarte.

- Demon - powiedział Henry głosem współgrającym z wyrazem twarzy - ma grimuar.

ROZDZIAŁ 13

Henry poderwał się i stanął chwiejnie. - Muszę...

Vicki wyciągnęła ręce i kiedy padał, pomogła mu trafić w kanapę.

- Musisz co? Nie jesteś w stanie gdziekolwiek iść.

- Muszę odzyskać grimuar, zanim Władca Demonów zostanie wezwany. - Strząsnęła z siebie jej dłonie i wstał znowu, tym razem z rozłożonymi rękami. - Jeśli teraz zacznę szukać, może zdołam wytropić demona. Musi zachować fizyczną formę, żeby nieść grimuar. - Jak wytropić?

- Po zapachu.

Vicki spojrzała na balkon i z powrotem na Henry'ego.

- Zapomnij o tym. Ma skrzydła. Będzie leciał. Nie obchodzi mnie, czym jesteś, niczego nie wytropisz, jeśli nie miało na czym zostawić zapachu.

-Ale...

- Ale nic. Gdybyś nie był, czym jesteś, już byś nie żył. Zaufaj mi. Może nie widziałam wieków śmierci, jak ty, ale widziałam dość, żeby wiedzieć.

Miała rację. Henry podszedł do okna i oparł delikatnie czoło o szkło. Gładkie i chłodne, pomagało ukoić łupanie w głowie. Wszystko działało, ale też wszystko bolało. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł taką słabość albo tak cierpiał. Teraz, gdy pierwsza fala energii spowodowanej posileniem się opadła, jego ciało domagało się, by pozwolił mu odpocząć i leczyć się

- Uratowałaś mi życie - przyznał. - Więc go teraz nie marnuj. - Vicki poczuła

w nadgarstku słabe echo ciepła. Zignorowała je. Może kiedyś będą mieli szansę zacząć od chwili, w której przerwali, ale na pewno nie tym razem.

„A cokolwiek bardziej energicznego niż zaawansowane petting pewnie by nas oboje zabiło”. Zebrała ubrania i przeszła do kuchni, zasuważąc za sobą jedno skrzydło azurowych drzwi. - Zrobiłeś, co mogłeś, teraz pozwól, by ktoś inny się tym zajął.

- A widzisz tu kogoś innego? Henry zdobył się na półśmieszek.

- Nie. - W tej kwestii też miała rację. Dostał swoją szansę i zawiódł.

- Świetnie. - Zasuwała zamek w dżinsach i strząsnęła z siebie szlafrok. - Możesz do mnie dołączyć po zachodzie słońca, jeśli będziesz wtedy w stanie się poruszać.

- Dzień odpoczynku i powinienem dojść do siebie. No, może nie całkiem - poprawił się, gdy Vicki prychnęła niedowierzająco - ale na tyle, żeby móc funkcjonować.

- Wystarczy. Nagram ci się na sekretarkę, jak tylko się dowiem, gdzie najpewniej będę.

- Mamy mniej niż dwadzieścia cztery godziny, żeby znaleźć człowieka z grimuarem w trzymilionowym mieście. Może i byłaś dobrym gliną, Vicki...

- Byłam najlepsza - poinformowała, ostrożnie przeciągając kołnierzyk bluzy, by nie zahaczyć o okulary.

- Dobra. Byłaś najlepsza. Ale nie aż tak dobra. Nikt nie jest.

- Może nie - nawet jeśli jej słowa nie przeczyły temu, co powiedział, robił to ton - ale kiedy ty spędzałaś noce, czekając, aż demon uderzy, ja nie spędziłam dni beczynnicy. - Ostrożnie przeszła między odłamkami szkła do kanapy. Usiadła, żeby włożyć

buty. - Jedną z rzeczy zabranych przez demona był majstersztyk wśród systemów komputerowych.

Wychodzi na to, że nie robią komputerów szybszych ani mądrzejszych niż ten. Poszłam dziś na Uniwersytet York - jest wystarczająco wiele poszlak i powiązań, by uznać, że to nie przypadek - i rozmawiałam z dziekanem wydziału informatyki. Dał mi listę dwudziestu trzech studentów, którzy naprawdę potrafiliby coś zrobić z takim systemem. - Wyprostowała się i poprawiła okulary. - Więc zamiast jednego do trzech milionów mamy jeden do dwudziestu trzech spośród dwudziestu tysięcy.

- Świetnie. - Henry zdarł z siebie strzępy koszuli i przeszedł z powrotem przez pokój. Ostrożnie usiadł na kanapie, a zwinięty materiał rzucił w zniszczony ekran telewizora. - Jeden do dwudziestu trzech spośród dwudziestu tysięcy.

- To nie jest niewykonalne. Co więcej, nie muszę się użerać z dwudziestoma tysiącami. Mężczyźni i kobiety na tej liście należą do dość wąskiej grupy. Myślę, że zdołam odsiać ich z tłumu, jeśli ich nie znajdę.

- W jeden dzień? Jeżeli grimuar zostanie użyty jutrzejszej nocy, masz tylko tyle czasu, nim rozpęta się piekło.

Uniosła podbródek i ściągnęła brwi.

- Więc co proponujesz? Mam się poddać, bo nie wierzysz, że da się to zrobić? Myślałeś, że zdołasz pokonać niższego demona, pamiętasz? - Jej spojrzenie prześlizgnęło się po jego ranach. - Nie jesteś taki całkiem nieomylny.

Henry zamknął oczy. Jej słowa raniły go głębiej niż jakikolwiek cios, który otrzymał tej nocy. Miała rację. To, że grimuar został zabrany, było jego winą, jak również to, że świat stanął przed groźbą bólu i śmierci w niewyobrażalnej dla większości śmiertelnych umysłów skali.

- Henry, przepraszam. To było niepotrzebne.

- Ale prawdziwe.

Przysunęła się bliżej. Czuł, jak bicie jej serca wprawia w drżenie powietrze między nimi. Delikatnie zamknęła dłoń na dłoni Henry'ego. Czekał na słowa pocieszenia, które w żaden sposób nie zmniejszyłyby jego poczucia winy.

- Prawdziwe - zgodziła się.

Otworzył gwałtownie oczy.

- Ale nie żyłbyś tak długo, gdybyś nie umiał uczyć się na własnych błędach. Kiedy znajdę tego człowieka, będę potrzebowała twojego wsparcia.

- Cóż, dziękuję ci bardzo. - Tylko tego brakowało, żeby traktował go protekcjonalnie ktoś, kogo przodkowie z całą pewnością spędzili życie, odrabiając pańszczyznę na polach, obok których on przejeżdżał u boku króla. Wysunął swoją dłoń spod jej i postarał się nie krzywić z bólu, jaki ten ruch spowodował w ranie na ramieniu.

- Zanim zaczniesz zadzierać nosa, Wasza Królewska Wysokość, zastanów się może, do jasnej cholery, kogo innego mam zabrać? Uwierz mi, podejrzenie, że ktoś wzywa demony, nie poruszy policji. Nie sądzę, żeby to w ogóle było przestępstwo.

- A młody Tony?

- Tony chadza własnymi drogami. Poza tym to nie jest sprawa, w której mógłby pomóc.

- Jestem jedyną opcją w całym mieście?

- My jesteśmy jedyną opcją w całym mieście.

Ich spojrzenia spotkały się i Vicki uświadomiła sobie natychmiast, że to była najgłupsza rzecz, jaką mogła zrobić - we wszystkich opowieściach, wszystkich filmach o wampirach przed tym ostrzegano. Przez chwilę czuła, jak chwieje się nad krawędzią otchłani, i walczyła z pragnieniem, by się w nią rzucić. Potem ta chwila minęła, zamiast otchłani pojawiła się para zmęczonych orzechowych oczu, a Vicki uświadomiła sobie, podczas gdy jej serce przyspieszyło, że to na mężczyznę, nie na wampira tak

reagowała. Albo na mężczyznę jako wampira, Albo wampira jako mężczyznę. Albo jakoś tak.

„Świetnie. Miasto - ba, świat - może w każdej chwili stanąć w piekielnych płomieniach, a ja myślę kroczeniem”.

- Muszę wcześniej zacząć. Pójdę już.

- Tak będzie lepiej.

Kilka tuzinów spraw zostało niewypowiedzianych.

Patrzył, jak nakłada kurtkę, a dźwięk bicia jej serca niemal go obezwładniał. Gdyby wziął od niej tylko odrobinę więcej krwi, nie umiałby się powstrzymać przed wzięciem także życia. Posilanie się było najwspanialszym doznaniem dla jego rodzaju i rozsmakowanie się w nim zniszczyło wiele wampirów. Przyrowadzenie chłopca ocaliło ich oboje. Ona naprawdę była niezwykłą kobietą, tylko kilku innych śmiertelników miałyby dość siły, by oprzeć się przyciąganiu jego pragnienia.

Chciał więcej. Więcej jej. Jeśli przeżyją następne dwadzieścia cztery godziny...

Zatrzymała się w drodze do drzwi, jedną ręką łapiąc oparcia krzesła.

- Przypomniałam sobie. Gdzie byłeś wcześniej? Dzwoniłam i cały czas włączała się sekretarka.

- Dlatego przyszłaś tak późno?

- Cóż, po co miałam przychodzić, skoro nie było cię w domu?

- Byłem. Włączyłem sekretarkę, żeby wiedzieć, kto dzwoni. - Jego brwi uniosły się, podczas gdy jej opadły. - Ty tak nie robisz?

- Jeśli jestem w domu, odbieram telefon.

- Gdybym ja odebrał, a ty byś tu była, kiedy przybył demon...

- Oboje bylibyśmy martwi - dokończyła. Skinął głową.

- Vicki?

Odwróciła się, rękę trzymając na klamce.

- Zdajesz sobie sprawę, jak duża jest szansa, że nam się nie uda? Że nic nie znajdziesz albo nie damy rady powstrzymać Władcy Demonów?

Uśmiechnęła się, a zszokowany Henry nagle odkrył, że nie jest jedynym drapieżnikiem w tym pokoju.

- Nie - powiedziała. - Z niczego takiego nie zdaję sobie sprawy. Odpocznij. - I już jej nie było.

Ulice miasta spływały krwią, a zawodzący ludzie, którzy się przez nie przedarli, szukali ratunku u Vicki. Uniosła rękę, żeby im pomóc, i zobaczyła, że krew wypływa z ogromnych otwartych ran na jej nadgarstkach.

- On nadchodzi, Vicki. - Henry Fitzroy upadł przed nią na kolana, a krew spłynęła mu do otwartych ust, w które łąpał jej strumień.

Próbowała się odsunąć i odkryła, że nie może się ruszyć. Twardniejący cement pokrywał jej nogi aż do kostek.

- On nadchodzi, Vicki - powtórzył Henry. Pochylił się i zaczął chleptać krew ściekającą po jej ramionach.

Nagle zimny wiatr owiał jej plecy, a z tyłu dochodził dźwięk pazurów ryjących po kamieniu, gdy coś ogromnego czołgało się ku niej. Nie mogła się odwrócić i spojrzeć na to: ręce Henry'ego i cement trzymały ją w miej-scu. Mogła tylko walczyć z więzami i słuchać, jak to coś podchodzi bliżej i bliżej. Zapach zgnilizny stał się silniejszy, a kiedy spojrzała w dół, to nie Henry, a rozkładające się ciało starej kobiety trzymało ją za nadgarstki. Za nią było to, co zostało z Mike'a Celluciego.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał zmasakrowanymi ustami. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Vicki wcisnęła włącznik światła i usiadła, mrużąc oczy w nagłym blasku, a jej serce boleśnie łomotało. Sen, który ją obudził, był tylko ostatnim z całej serii. Na szczęście nie pamiętała zbyt dokładnie pozostałych.

Drżącymi dłońmi nałożyła okulary i spojrzała na zegarek. 5:47. Prawie trzy godziny snu.

Wyłączyła bezużyteczny budzik - nastawiła go na 6:30 - i zsunęła nogi z łóżka. Jeśli wzywający demony będzie się trzymał przyjętego wzoru, Władca Demonów pojawi się o północy. To dawało osiemnaście godzin na znalezienie jego albo jej i wepchnięcie jemu lub jej grimuaru do gardła. Strona po stronie. Sny były przerażające, a nic nie złościło Vicki bardziej niż strach, z którym nie mogła sobie poradzić.

Powoli, ostrożnie wstała. Litr soku pomarańczowego i dwie tabletki witaminowe z żelazem, które wzięła po powrocie do domu, pomogły jakoś wyrównać utratę krwi, ale wiedziała, że nie będzie w najlepszej kondycji. Nie dziś. Nie przez jakiś czas. Rozcięcie na nadgarstku wydawało się już niemal zagojone, chociaż skóra wokół niego była odrobinę posiniaczona i nadwrażliwa. Wspomnienie z prawdziwego karmienia splątało się ze wspomnieniem ze snu, więc odłożyła je razem na bok, żeby uporać się z nimi później. W tej chwili miała poważniejsze zmartwienia.

Zostałaby pod prysznicem dłużej, próbując zmyć z siebie sny, ale nie mogła się pozbyć uczucia, że coś się za nią czai. Woda utrudniała jej widzenie i słyszenie i Vicki czuła się zbyt bezbronna i odsłonięta, by się dłużej ociągać.

Włączyła ekspres do kawy i sięgnęła po kolejny karton soku pomarańczowego. Przez chwilę wyglądała na ulicę. W jednym czy dwóch oknach paliło się światło. Młody Edmond Ng wyszedł, ziewając, na ganek i skierował się na róg ulicy po swoją paczkę gazet, kompletnie nieświadomy, że to może być jego ostatni kurs. Za osiemnaście krótkich godzin hordy piekiel rozewną miasto i ludzi na strzępy.

- A jedynymi, którzy mogą stanąć im na drodze, są na wpół ślepa ekspolicjantka i bękart Henryka VIII. - Wzięła duży łyk soku i poprawiła okulary. - To daje do myślenia, prawda? - Tyle że nie podobało jej się to, o czym myślała.

Znajdź jednego z dwudziestu trzech spośród dwudziestu tysięcy. Tak naprawdę, ponieważ wymagało to głównie policyjnej roboty, miała całkiem duże szanse. Nawet jeśli nie zdoła wydobyć adresów studentów od administracji uniwersytetu -a szczerze mówiąc, wątpiła, czy bez odznaki jej się to uda - rozmowy ze studentami pewnie pomogą. Szczyt piramidy zwykle zna sobie podobnych i jeśli jeden z tej dwudziestki trójki był tym, kogo szukała, przynajmniej jeden z pozostałych powinien potrafić go wskazać.

Oczywiście istniała możliwość, że niewłaściwie połączyła wszystkie ślady i poszlaki. Że nie tylko szczeblała na niewłaściwe drzewo, ale w ogóle przeszukiwała nie ten las.

Pot spłynął jej po kręgosłupie i oparła się pragnieniu, by spojrzeć za siebie. Wiedziała, że mieszkanie

jest puste, że nic za nią nie stoi, i nie zamierzała nie jest puste, że nic za nią nie stoi, i nie zamierzała poddać się urojonym lękom - miała wystarczająco wiele prawdziwych.

Zdażyła jeszcze zjeść śniadanie, zanim wyruszyła do Yorku. Nie było sensu jechać z pustym brzuchem na pusty kampus. O 6:35, kiedy zjadła już jajecznicę i prawie skończyła drugą kawę, zadzwoniła do Mike'a Celluciego, odczekała trzy sygnały i rozłączyła się. Co miała zamiar mu powiedzieć? Że wydawało jej się, że wie, kim jest zabójca? Wiedziała od tej nocy w Woodbine, kiedy poznała Henry'ego. Że jeden z dwudziestu trzech geniuszy komputerowych z Uniwersytetu York w wolnych chwilach wzywał demony i jeśli nie zostanie powstrzymany lub powstrzymana, wezwie coś, z czym nie da sobie rady, a co zniszczy świat? Pomyślałaby, że jej całkiem odbiło.

- Wszystko kręci się wokół demona. Wszystko. Cholera. - Komputer w trochę naciągany sposób wskazywał na jednego z tych dwudziestu trzech studentów, ale w żaden inny sposób nie był powiązany z morderstwami, nad którymi pracował Celluci. Tylko przez demona. - A skąd wiem o demonie? Wampir mi powiedział. - Dopiła kawę i postawiła kubek z powrotem na stole z siłą większą, niż to było konieczne. Uchwyt odłamał się i został jej w dłoni. Błyskawicznym ruchem Vicki cisnęła odłamkiem przez pokój i z satysfakcją usłyszała, jak rozbił się o ścianę na jeszcze drobniejsze odłamki.

Satysfakcja ulotniła się wraz z kolejnym uderzeniem serca.

- Jedna na wpół ślepa ekspolicjantka i bękart

Henryka VIII - powtórzyła, kiedy dotarło do niej, naprawdę dotarło, że już nie jest gliną.

Wbrew wszystkiemu - wzrokowi, rezygnacji - przez ostatnie osiem miesięcy wciąż myślała o sobie jako funkcjonariuszu policji. A nim nie była. Bez wsparcia, bez osłony. Do zachodu słońca była zdana wyłącznie na siebie, a jeśli ktokolwiek powinien dostać szczegółowe informacje co i jak, to nie Mike Celluci, ale Henry Fitzroy.

- Cholera. - Przetarła oczy rękawem i wepchnęła okulary z powrotem na nos. Nie poprawiała jej humoru myśl, że gdyby wciąż służyła, nie dotarłaby tak daleko, że zasady i regulamin - choć tak elastyczne, jak tylko zwierzchnicy pozwalali - związałyby jej ręce. Gdyby nigdy nie służyła, też by tak daleko nie zaszła, bo nie miałyby dostępu do informacji. -

Wygląda na to, że jestem po prostu idealna do tej roboty. - Jedna kobieta z szansą na powstrzymanie Armagedonu.

Wzięła oddech tak głęboki, że prawie zwichnęła sobie szczękę.

- No to do roboty. - Jajka siadły jej na żołądku niczym kula ołowiu, a gardło przypominało bardziej obolałą kolumnę, a nie coś z żywego ciała. To było w porządku. Z tym umiała dać sobie radę. A przy odrobinie szczęścia znajdzie później chwilę na uporanie się z własnymi uczuciami.

Powinna była zabrać poprzedniej nocy kopię listy do Henry'ego. Nie chciała teraz tracić na to czasu - nie na kopiowanie, ale na dostarczenie jej.

- Henry, tu Vicki. - Ta sekretarka nie miała li-

mitu czasu na wiadomości, bo odczytanie nazwisk i wyłuszczenie planów na dzień zajęło Vicki więcej niż pięć minut. - Kiedy będę wiedziała coś więcej, odezwę się.

Za pięć siódma. Siedemnaście godzin. Wrzuciła listę do torby, złapała kurtkę i ruszyła do drzwi. Do-
stanie się na York zajmie godzinę, pozostanie jeszcze szesnaście na poszukiwania.

Kiedy Vicki była już przy drzwiach i mocowała się z zamkiem, zadzwonił telefon. Zaciekawiona, kto dzwonił tak wcześnie, zaczęła, póki nie zabrzmiał dźwięk oznaczający początek nagrywania się wiadomości.

- Dzień dobry, pani Nelson? Tu Coreen. Ponoć próbowała się pani ze mną skontaktować. Przepra-
szam, że nie odpowiadałam, byłam u przyjaciół.

Zasuwka wreszcie wskoczyła na miejsce. Pogada z Coreen później. Tak czy inaczej, o północy sprawa i tak będzie zamknięta.

- To dlatego, że czułam się bardzo źle. Dziewczyna, którą zabiło, Janet, była moją dobrą przyjaciółką. Nie mogę przestać myśleć, że gdybym nie postąpiła tak głupio z tym całym Normanem Birdwellem, poczekałaby, aż ją odwiezę do domu.

- Cholera! - Zamek był tak samo trudny do otwarcia, jak do zamknięcia. Norman Birdwell był jednym z listy.

- Myślę, że gdy znajdzie pani tego wampira, który zabił Iana, znajdzie pani wtedy też tego, który zabił Janet, prawda? Chcę tego bardziej niż kiedykolwiek.

Przerwała, a brzęk opadającego łańcucha niemal zagłuszył jej westchnienie.

- Gdyby chciała pani zadzwonić, będę dziś w domu...

- Coreen? Nie rozłączaj się, to ja, Vicki Nelson.

- Ach. Cześć. - Wydawała się trochę zawstydzona, że przyłapano ją na gadaniu do maszyny. - Obu-
dziłam panią? Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale mam dziś egzamin i chciałam pójść do biblioteki się pouczyć.

- To żaden problem, uwierz mi. Musisz mi opowiedzieć o Normanie Birdwellu.
- Czemu? To dziwak.
- To ważne.
Vicki niemal słyszała, jak dziewczyna wzrusza ramionami.
- OK. Co pani chce wiedzieć? - Jak dobrze go znasz?
- No prooszę, mówiłam przecież, że to dziwak. Jest w mojej grupie z religioznawstwa. I tyle.
- O co chodziło z tym głupim postępowaniem? - Co?
- Powiedziałaś wcześniej, że gdybyś nie postąpiła tak głupio z tym całym Normanem Birdwellem, Janet poczekalaby, aż ją odwieziesz do domu.
- No tak... Nie poszłabym z nim, gdybym nie wypila tych piw, ale on powiedział, że może udowodnić istnienie wampirów i wie, kto zabił Iana. Cóż, chyba niedokładnie tak to ujął... ale coś w tym stylu. Poszłam z nim do jego mieszkania, a on chciał mnie tylko zaliczyć. Nie miał nic wspólnego z wam-
- Zauważyłaś, czy ma komputer? Duży, bardzo skomplikowany i rozbudowany.
- Miał komputer. Nie wiem, jak bardzo skomplikowany. Byłam zajęta tym, żeby nie dać się wyściskać, i wysłuchiwałam jakichś bredni o przyzywaniu demonów.
Świat na chwilę stanął.
- Pani Nelson? Jest tam pani?
- Uwierz mi, nigdzie się nie wybieram. - Vicki opadła na krzesło przy biurku i zaczęła szukać długopisu. - Coreen, to bardzo ważne. Gdzie mieszka Norman?
- Gdzieś w zachodniej części kampusu.
- Możesz mi podać dokładny adres? - Nie.
- Nie? - Vicki wzięła głęboki oddech i próbowała nie zapomnieć, że krzyki nie pomogą. Wepchnęła słuchawkę pod brodę i zajęła się kartkowaniem książki telefonicznej leżącej na podłodze przy biurku. Białe Ptaki.. Bird. Birddal..
- Ale jeśli to takie ważne, chyba mogę tam panią zawieźć. Tak jak jechałam wtedy w nocy, chyba udałoby mi się tam trafić. Chyba.
- Chyba nie wystarczy. - W książce telefonicznej nie było żadnego Birdwella. To miało sens, pewnie wprowadził się na jesieni, na początku roku akademickiego, a nowe numery dodawano do listy pod koniec maja. - Zaraz tam będę. Gdzie możemy się spotkać?
- Nie mogę się z panią spotkać do piątej. Jak mówiłam, mam dziś egzamin.
- Coreen, to ważne!
- Mój egzamin też - jej ton zdradzał skłonność do kompromisu. - Przed egzaminem...
- NAPRAWDĘ muszę się uczyć.
Dobra, 5:00, wciąż wystarczająco wcześnie. Trochę ponad dwie godziny do zachodu słońca i siedem godzin do północy.
Wiedziała, kogo szukać, siedem godzin to kupa czasu. Zresztą krzyki nie pomogą. - W takim razie 5:00. Gdzie?
- Wie pani, gdzie jest Audytorium Burtona?
- Znajdę.
- Spotkamy się przy północnych drzwiach. - Dobrze, 5:00, północne drzwi Audytorium Burtona. Do zobaczenia.
Vicki odłożyła słuchawkę i przez chwilę po prostu się na nią gapiła. Rozważała wszystkie możliwe scenariusze zdarzeń, włączając w to ostateczną, rozpaczliwą konfrontację z Władcą Demonów, ale do głowy jej nie przyszło, że ktoś poda rozwiązanie na tacy. Poprawiła okulary i pokręciła głową. W sumie nie powinno jej to zaskoczyć. Kiedy już zada się właściwe pytanie, wkrótce pojawia się właściwa odpowiedź.
Mając po książce telefonicznej, wykręciła numer informacji - na wszelki wypadek.
- Dzień dobry, szukam nowego numeru Normana Birdwella. Nie mam adresu, ale mieszka gdzieś w pobliżu Uniwersytetu York.
- Proszę chwilę poczekać. Mamy nowy numer dla N. Birdwella..
Vicki zapisała numer na okładce ozdobionej artystycznym wyobrażeniem centrali telefonicznej.
- Czy mogłabym też dostać adres?
- Przykro mi, ale nie wolno nam podawać takiej informacji.
- Będzie wam bardziej przykro, kiedy świat się skończy - mruknęła Vicki, przerywając połączenie. Spodziewała się takiej odpowiedzi, ale wcale nie zmniejszyło to jej irytacji.
Kiedy wykręciła numer Birdwella, na linii zatrzeszczał donośnie działający modem i Vicki pośpiesznie się rozłączyła.
- Wygląda na to, że wracamy do Coreen.
8:17. Ziewnęła. Mogła spędzić resztę dnia, próbując dopaść N. Birdwella - który mógł, ale nie mu-

siał być Normanem - ale to, czego naprawdę potrzebowała, to jeszcze cztery czy pięć godzin snu. Utrata krwi i późne pójście spać - zawsze była raczej typem skowronka niż sowy - naprawdę się na niej odbiły. Powinna pewnie i tak jechać do Yorku, porozmawiać z pozostałymi studentami z listy, ale teraz, kiedy tuż przed nosem miała szansę na jeszcze trochę snu, jej ciało postanowiło zdecydować samo i tę szansę wykorzystać.

Vicki zawlokła się do sypialni, rzuciła ubranie na podłogę i zdołała jeszcze pozostać przytomna na tyle długo, żeby przestawić budzik na pierwszą po południu. Jej oczy zamknęły się, jeszcze zanim głowa opadła na poduszkę. Telefon od Coreen rozwiął niepewność, nadał groźbę imię, a to dawało Vicki broń, którą mogła walczyć z koszmarami, gdyby się pojawiły.

„Czasem wygrywamy większą siłą ognia, większą liczebnością broni albo jej większą mocą, ale tym, co przede wszystkim przesądza o naszym zwycięstwie, jest wiedza. Coś, co znamy, traci nad nami przewagę”.

Vicki obudziła się ze słowami jednego z instruktorów z akademii dźwięczącymi w głowie. Słyszał z kwiecistych, niemal szekspirowskich przemów, ale kadeci mu to wybaczały, bo nie tylko mocno wierzył w to, co mówił, ale też zazwyczaj miał rację.

Potwór miał imię. Norman Birdwell. Teraz można go było pokonać.

Po zjedzeniu miski zupy, tost z pomidorem i połknięciu kolejnej tabletki z żelazem zadzwoniła do Henryego.

- ...więc jak tylko dostanę od Coreen coś na kształt adresu, zadzwonię do ciebie. Nie wygląda na to, żeby chłopak stwarzał jakieś trudności, jeśli demona nie będzie w pobliżu. Poproszę Coreen, żeby odwiozła mnie do Yorku. Tam na ciebie zaczekam.

Z palcem na widelkach, zapatrzona w przestrzeń, siedziała, słuchając sygnału w słuchawce, i próbowała się zdecydować. Wreszcie to zrobiła.

- Cóż, spróbować nie zaszkodzi. - Uwierzy jej czy nie, i tak powinien wiedzieć. - Poproszę z Mi-kiem Cellucim. Tak, zaczekam.

Nie było go w budynku, a młody chłopak po drugiej stronie linii okazał się wyjątkowo mało pomocny.

- Mógłby mu pan przekazać, że dzwoniła Vicki Nelson?

- Tak, proszę pani. To wszystko? - Młodziak naj-widoczniej nigdy o niej nie słyszał i nie był pod wrażeniem.

Ton Vicki zmienił się. Nie doszła do swojej szarży w tak młodym wieku, nie zdobywając po drodze umiejętności obchodzenia się z młodzieńcami zadzierającymi nosa. Słowa brzmiały jak wybite butami w ziemię podczas policyjnej parady.

- Proszę mu powiedzieć, że powinien sprawdzić studenta z Uniwersytetu York, Normana Birdwella. Powiem mu więcej, kiedy się czegoś dowiem.

- Tak jest, sir! To znaczy proszę pani! Uśmiechnęła się smutno, kiedy odkładała słuchawkę.

- No dobra, nie jestem już gliną - powiedziała swojemu staremu zdjęciu, które wisiało nad biurkiem. Była na nim w mundurze. - Ale nie ma powodu, żeby wylewać dziecko razem z kąpielą. Może pora zbudować zupełnie nowe układy z policją.

Ponieważ miała czas, z którym nie dało się nic zrobić, Vicki wsiadła w autobus do Yorku. Dzieciństwo spędzone na ciulaniu grosza do grosza sprawiło, że unikała taksówek, jak tylko się dało.

Warczała i narzekała na miejski transport, tak jak większość mieszkańców Toronto. Musiała jednak przyznać, że o ile komuś się nie spieszyło i było mu wszystko jedno, z kim się gniecie w tłoku, mógł dostać się tam, gdzie chciał, i mniej więcej wtedy, kiedy chciał.

Podczas długiej podróży na uniwersytet ułożyła w myślach wszystko, co wiedziała, w długi, wypunktowany raport. Dojeżdżając do swojego przystanku, jednocześnie doszła do ostatecznego pytania. Co zrobią z Normanem Birdwellem, gdy już go będą mieli?

„No więc zabierzemy grimuar i zlikwidujemy najważniejsze zagrożenie”. Wyjrzała przez okno na szarą ścianę niskich budynków przemysłowych. „A co potem? Można go oskarżyć najwyżej o paserstwo i nielegalne posiadanie broni. Opaska na nadgarstku i kilka godzin prac społecznych - o ile cała sprawa w ogóle zostanie przyjęta przez sąd - a on wróci do wzywania demonów. Udało mu się, jak by nie patrzeć, zabić siedem osób, zanim dopadł grimua-ru”. Musiała być jakaś możliwość poza ostatecznym -i absolutnie niewchodzącym w grę - rozwiązaniem. „Może jeśli powie przed sądem, skąd ma komputer, kurtkę i całą resztę, uznają go za niepoczytalnego”.

Znaleźć go. Zdobyc grimuar. Resztę zostawić policji.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Resztę zostawić policji - z jej nowego punktu widzenia ta opcja prezentowała się nader atrakcyjnie.

Coreen czekała przed głównymi drzwiami Auditorium Burtona, a jej rude włosy niemal płonęły na tle kolejnego zimnego, wciąż jeszcze nie wiosennego popołudnia.

- Skończyłam egzamin wcześniej, niż myślałam -zawołała, kiedy Vicki podeszła bliżej. ~ Dobrze, że jest pani wcześniej. Umarłabym tu z nudów, gdybym musiała jeszcze czekać. Mój samochód stoi z

tyłu. -Kiedy Vicki zrównała się z nią krokiem, z brzękiem plastikowych bransoletek odrzuciła z twarzy lok.

Nigdy nie wiem, czy kończenie w czasie minimal-nym jest dobrą rzeczą, czy nie. To tak jakby albo się wszystko miało obkute na amen, albo nie wiedziało się nic i tylko myślało, że jest się obkutym.

Raczej nie oczekiwała odpowiedzi, więc Vicki milczała, myśląc: „Ja nigdy nie byłam aż taka młoda”.

- Moim zdaniem, poszło mi świetnie, Ian zawsze mówił, że nie ma sensu myśleć, że się oblało, kiedy już jest za późno, by coś z tym zrobić. - Otrzeźwiała nagle, przypomniawszy sobie o Ianie, i nie odezwała się już, póki nie wsiadły do samochodu i nie wyjechały na Shoreham Drive.

- Norman naprawdę to robi, tak?

Vicki spojrzała na młodą kobietę zaciskającą dłonie na kierownicy.

- Robi co? - zapytała, bardziej by zyskać na czasie, a nie dlatego, że nie wiedziała, o co chodzi.

- Wzywa demony, tak jak powiedział. Myślałam

o tym po rozmowie z panią. Nie ma powodu, dla którego to demon, a nie wampir miałby zabić Iana i Janet. To dlatego pani tu jest, prawda?

Rozważywszy dostępne opcje, Vicki uznała, że najlepiej powiedzieć prawdę. Coreen z całą pewnością nie weźmie jej za wariatkę, choć ogólnie rzecz biorąc, to była marna pociecha.

- Tak - powiedziała cicho - on to naprawdę robi.

Coreen skrzyła na północ, w Hullmar Drive, a opony z piskiem otarły się o chodnik.

- A pani tu jest, żeby go powstrzymać.

To nie było pytanie, ale Vicki i tak odpowiedziała:

- Nie, ja tu jestem, żeby go tylko znaleźć. - Ale ja wiem, gdzie on... cztery, pięć, sześć...

jest. - Coreen stanęła na parkingu przy czterech budynkach mieszkalnych. - W tamtym. - Zatrzymała samochód niedaleko od drzwi, a Vicki pospiesznie zapisała numer.

- Pamiętasz numer mieszkania? - zapytała, zerkając w stronę wejścia z przydymionego szkła.

- Dziewięć coś. - Coreen wzruszyła ramionami. -Dziewiątka to potężna liczba. To pewnie pomogło mu z zaklęciami.

- Jasne. - Vicki wysiadła z samochodu, a dziewczyna poszła w jej ślady.

- Moim zdaniem, powinniśmy go teraz zatrzymać.

Vicki zamarła w pół kroku i zagapiła się na towarzyszkę.

- Słucham?

Coreen odpowiedziała nieugiętym spojrzeniem.

- Pani i ja. Powinniśmy go teraz zatrzymać.

- Nie żartuj sobie. Ten człowiek jest niebezpieczny.

- Norman? Niebezpieczny? - prychnęła pogardliwie. - Jego demon może być niebezpieczny, ale Norman to kujon. Sama dam sobie z nim radę, jeśli pani nie ma zamiaru. - Kiedy ruszyła naprzód, Vi-cki zastąpiła jej drogę.

- Stój, to nie czas na amatorskie bohaterstwo. - Amatorskie bohaterstwo? - głos Coreen

wzniósł się o oktawę wyżej. - Zwalniam panią, pani

Nelson! - Obracając się na obcasie, minęła Vicki i pomaszerowała w stronę budynku.

Vicki z westchnieniem poszła za nią. Powstrzymanie dziewczyny siłą zostawiła sobie jako środek ostateczny. „Poza tym nie uda jej się nawet wejść do budynku”.

Wewnętrzne drzwi w holu były otwarte na oścież i Coreen wpadła przez nie jak Elliott Ness ścigający Capone. Vicki wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać.

- Coreen...

- Stać, obydwie.

Młody mężczyzna, który wyłonił się zza palmy w donicy, był wręcz ekstremalnie niedopasowany.

Wysoki i chudy, poruszał się tak, jakby każdą część ciała pożyczył od kogoś innego. Plastikowy futerał kieszonkowy wręcz pękał od długopisów, a poliestrowe spodnie kończyły się gwałtownie jakieś pięć centymetrów powyżej kostek.

Coreen wywróciła oczami i ruszyła prosto na niego.

- Norman, nie bądź takim...

- Coreen - Vicki gwałtownie zatrzymała dziewczynę, kładąc dłoń na jej ramieniu - być może powinniśmy jednak zrobić, co mówi pan Birdwell.

Uśmiechając się szeroko, Norman uniósł skradziony AK-47.

Vicki nie miała zamiaru ryzykować niczym życiem, zakładając, że dobrze widoczny magazynek będzie pusty. Nie po tym, jak wyczytała w policyjnym raporcie, że zginęła też amunicja.

Jedna z wind w budynku była na poziomie korytarza i miała otwarte drzwi. Norman zagonił do niej obie kobiety.

- Wyglądałem przez okno i zobaczyłem was na parkingu - wyjaśnił. - Wiedziałem, że przyjechałyście mnie powstrzymać.

- Cóż, miałeś rację... - zaczęła Coreen, ale zamilkła, kiedy Vicki zacisnęła mocniej rękę na jej ramieniu.

Detektyw nie miała wątpliwości, że zdołałaby zabrać broń Normanowi tak, by nikomu - poza być może Normanem - nie stała się krzywda, ale z całą pewnością nie zamierzała tego robić w windzie ze ścianami z czegoś, co wyglądało na hartowaną stal. Co tam wystrzał - rykoszety rozerwałyby ich na strzępy. Nie puszczała ramienia Coreen, kiedy szli przez korytarz do mieszkania Normana, a lufa rosyjskiego karabinu chwiała się między nimi jak szalona wskazówka.

„Niech nikt nie otwiera drzwi”, modliła się. „Dam sobie radę, jeśli tylko wszyscy zachowają spokój”. Ponieważ musiała liczyć się z tym, że któryś z sąsiadów wejdzie nagle na linię ognia, wolała czekać, póki we trójkę nie znajdą się w środku.

Mieszkanie Normana było otwarte. Vicki pchnęła Coreen przodem. „Jak tylko zamknie drzwi...”

Usłyszała kliknięcie, puściła ramię dziewczyny, obróciła się i została zepchnięta na bok, kiedy Coreen minęła ją i rzuciła się na porywacza.

- Cholera!

Chwyciła za dziko rozkołysany łokieć i próbowała ściągnąć Coreen z linii ognia. Ciemny, niemal niebieski metal lufy otarł się o jej okulary. Kątem oka zauważyła, że palce Normana bieleją na spuszcie. Dziewczyna uwiesiła jej się na ramieniu. Vicki nie dojrzała wzmocnionej stalą kolby, która zatoczyła łuk poza jej ograniczonym polem widzenia. Uderzenie o włos minęło skroń i dosięgło czaszki, rzucając kobietę na ścianę i w ciemność.

Z brwiami ściągniętymi w głębokie V Celluci przeglądał zostawione na biurku karteczki z wiadomościami, kto dzwonił. Dwóch dziennikarzy, wujek, Vi-cki, sprzątaczkę, znowu jeden z tych dziennikarzy... i znowu. Warcząc pod nosem, zmiął kartki i wrzucił je do kieszeni. Nie miał czasu na takie bzdury.

Spędził dzień, przeczesując okolicę, gdzie znaleziono ostatnią ofiarę i jej psa. Rozmawiał z dwójką dzieciaków, które trafiły na ciało, i z większością ludzi mieszkających w najbliższych czterech budynkach. Na miejscu zbrodni było kilka niewyraźnych śladów stóp, wskazujących, że szukali kogoś boso, z trzema palcami u nóg i bardzo długimi paznokciami. Nikt nic nie widział, chociaż pijak koczujący trochę głębiej w dolince słyszał coś jakby łopot żagli i czuł zgniłe jajka. Laboratorium policyjne właśnie poinformowało, że między zębami mastiffa znaleziono skrawki identyczne z kawałkami tego czegoś - cokolwiek to było - co ścisnął w dłoni DeVerne Jones. A Celluci wciąż był daleki od znalezienia rozwiązania.

Albo przynajmniej od znalezienia rozwiązania, które byłby skłonny zaakceptować.

„Są rzeczy na niebie i ziemi...”

Wypadł z pokoju służbowego i ruszył przez hol. Nowy budynek komendy głównej wydawał się pochłaniać hałas, ale Mike i tak hałasował jak tylko mógł.

„To miejsce potrzebuje drzwi, którymi można trzaskać. A Szekspir powinien być zajmować się swoimi cholernymi sprawami!”

Kiedy mijał biurko, kadet pełniący służbę wysunął się do przodu.

- Eee... Detektywie, Vicki Nelson dzwoniła wcześniej. Wydawała się stanowczo nalegać, żeby sprawdził pan...

Uniesiona ręka Celluciego sprawiła, że przerwał w pół słowa.

- Zapisaleś to?

- Tak, sir. Zostawiłem wiadomość na pańskim biurku.

- Więc zrobiłeś swoje. - Tak, sir, ale...

- Nie mów mi, co mam robić.

Kadet przełknął nerwowo ślinę, a jabłko Adama zatrzęsło się nad ciasnym kołnierzem jego munduru.

- Nie mówię, sir.

Rzucając złowrogie spojrzenia, Celluci wyszedł z budynku. Potrzebował czasu, by pomyśleć w samotności. Ostatnie, czego mu w tej chwili brakowało, to Vicki.

ROZDZIAŁ 14

Henry wyszedł spod prysznic i skrzywił się na widok swojego odbicia w dużym lustrze. Mniejsze rany i stłuczenia, których dorobił się poprzedniej nocy, zagoiły się, a większe nie sprawiały już problemów. Odwinął plastikową torbę z bandaży na ramieniu i delikatnie nacisnął opatrunek. Bolało i jak podejrzewał, poboli jeszcze przez jakiś czas, ale o ile zachowa ostrożność, ramię nie będzie bezużyteczne.

Od wielu lat nie odniósł rany tak poważnej, że największy problem sprawiało pamiętanie o niej, nim przysporzy mu więcej cierpienia.

Obrócił się odrobinę na bok i pokręcił głową. Zielone plamy znikających sińców wciąż pokrywały większość jego ciała.

- Właściwie wyglądają znajomo...

Czubek kopii trafił Henry'ego tuż pod prawym ramieniem, unosząc go i wyrzucając z siodła. Przez sekundę mężczyzna wisiał w powietrzu, a gdy ryk patrzącego tłumu uniósł się do crescendo, rozbił się o ziemię. Gruchot zbroi uderzającej o szranki obijał się we wnętrzu jego głowy równie mocno, co głowa o wnętrze hełmu. Upadki nawet by mu nie przeszkadzały - gdyby nie były tak cholernie, potrójnie cholernie głośne.

Zamknął oczy. „Tylko póki nie skończy się ten hałas...”

Kiedy znowu je otworzył, patrzył w górę, na twarz sir Gilberta Talboysa, męża jego matki. „A ten, do diabła, skąd się wziął?”, pomyślał. „Gdzie jest mój hełm?” Lubił sir Gilberta, więc spróbował się uśmiechnąć. Jego twarz wydawała się nie działać.

- Henry, dasz radę wstać? Jego Wysokość Król nadchodzi.

W głosie sir Gilberta brzmiało ponaglenie, które przebiło się przez dzwonienie w uszach Henry'ego.

Da radę wstać? Nie był pewien. Wszystko go bolało, ale niczego chyba nie złamał. Król, niezadowolony, że Henry'ego wysadzono z siodła, będzie niezadowolony jeszcze bardziej, jeśli ten pozostanie na ziemi. Zaciskając zęby, pozwolił, by sir Gilbert podniósł go do pozycji siedzącej, a potem z pewną pomocą postawił na nogi.

Henry zachwiał się, ale jakoś zdołał utrzymać się w pionie, nawet kiedy podtrzymujące go ręce zostały zabrane. Rozmazany obraz przed oczami wystrzelił się na osobie króla, odzianego w czerwony aksamit i złote sukno, nadchodzącego od strony trybuny. Henry rozpaczliwie próbował zebrać się w sobie. Był w nielase, odkąd niemądrze zdradził się z tym, że uważa królową Katarzynę za jedyną i prawdziwą królową Anglii. Ojciec nie odzywał się do niego, odkąd zadał się z tą luterzańską dziwką. Nawet teraz, po trzech latach, francuski dwór wciąż kipiał od historii o jej starszej siostrze, Mary, a Henry wciąż nie mógł uwierzyć, że jego ojciec naprawdę posadził Annę Boleyn na tronie.

Niestety, król Henryk VIII właśnie to zrobił.

Dziękując Bogu, że zbroja oszczędziła mu kłęknięcia - wątpił, czy zdołałby wstać albo, skoro o tym mowa, opanować upadek - Henry skłonił się tak dobrze jak tylko mógł i czekał, aż król przemówi.

- Trzymasz tarczę zbyt daleko od ciała. Przysuń ją bliżej, a nikt nie sięgnie kopią poza nią. - Królewskie ręce lśniące od złota i klejnotów uniosły ramię Henry'ego i przycisnęły mu je do boku. - Noś ją tutaj.

Henry nie zdołał opanować drgnięcia, kiedy krawędź pancerza wbiła się w wyjątkowo wrażliwy siniak.

- Cierpisz, prawda?

- Nie, Wasza Wysokość. - Przyznanie się do bólu nie polepszyło jego sytuacji.

- Cóż, jeśli nie teraz, to później. - Król wydał z siebie gardłowy śmiech, a w chwilę potem rudo-złote brwi opadły na małe, głęboko osadzone oczy. - Nie ucieszyło nas, że zobaczyliśmy cię na ziemi.

Odpowiedź była bardzo ważna. Henry zwilżył wargi. Tyle dobrego, że z prostacko przyjacielską osobowością króla Hala najłatwiej się było obchodzić.

- Przykro mi, panie. Żałuję, że nie znalazłeś się na moim miejscu.

Ociężała twarz króla poczerwieniała niebezpiecznie.

- Chciałbyś zobaczyć, jak twojego suwerena wyrzucają z siodła?

Wokół natychmiast zapanowała cisza, dworzanie wstrzymywali nawet oddechy.

- Nie, panie, bo gdybyś to ty siedział w siodle, sir John siedziałby teraz na ziemi.

Król Henryk odwrócił się i spojrzął na szranki i na sir Johna Gage'a, mężczyznę o dziesięć lat młodszego, w pełni sił i w najlepszej kondycji. Zaczął się śmiać.

- Dobrze mówisz, chłopcze. Ale nowożeniec

nie może nie nacierać z obawy, że złamie przy tym lancę.

Zachwiał się pod ciężarem żartobliwego klejnotu w plecy, Henry upadłby, gdyby nie dyskretna pomoc sir Gilberta. Śmiał się wraz z innymi, bo król zażartował. I choć był wdzięczny, że powrócił do łask, tak naprawdę myślał tylko o tym, by ulżyć swoim siniakom w gorącej kąpieli.

Henry uniósł ramię.

- Może trochę mniejszy, ale z pewnością ten sam odcień. - Napiął mięśnie i skrzywił się, gdy naciąg-

nał jedno z jeszcze nie do końca zagojonych ścięgien. Obrażenia, których wyleczenie kiedyś zajmowało tygodnie, a nawet miesiące, teraz znikwały w kilka dni. - Zeszłej nocy przydałaby się dobra zbroja turniejowa.

Zeszłej nocy... Wziął od Vicky i jej młodego przyjaciela więcej krwi, niż zwykle wypijał w miesiąc. Kobieta ocaliła mu życie, niemal kosztem własnego, i był jej wdzięczny, ale niesło to wiele nowych problemów. Musiały poczekać, póki stare nie zostaną rozwiązane.

Spojrzał na zegar. 8:10. Może Vicky dzwoniła, kiedy był pod prysznicem.

Nie dzwoniła.

- Świetnie. Norman Birdwell, Uniwersytet York, odezwę się jeszcze. Więc się odezwij. - Wbił wzrok w telefon. Czekanie było najgorsze, zwłaszcza teraz, kiedy wiedział, że grimumar gdzieś tam jest i pewnie" zostanie użyty.

Ubrał się. 8:20. Wciąż nie dzwoniła.

Książki telefoniczne leżały gdzieś w szafie w przedpokoju. Wyciągnął je na wszelki wypadek.

Żadnego Normana Birdwella. W ogóle żadnych Bird-wellów.

Wiadomość uwiązała Henry'ego w apartamencie. Vicki spodziewała się go zastać, kiedy zadzwoni.

Nie mógł iść i szukać na własną rękę. To i tak nie miało sensu, skoro ona była już tak blisko.

8:56. Pozbierał większość odłamków szkła. Zadzwonił telefon.

- Vicky?

- Proszę się nie rozłączać. Rozmawiają państwo z automa...

Henry odłożył słuchawkę tak gwałtownie, że plastik aż pękł.

- Cholera! - Zadzwonił na próbę, trzeci raz od zachodu słońca odsłuchiwał wiadomość od Vicki, nie dowiadując się niczego nowego, i odrobinę delikatniej rozłączył się. Chyba nic poza obudową telefonu nie było uszkodzone.

9:17. Metal znany kiedyś jako telewizor i rama od stolika do kawy zostały złożone na stertę w przedpokoju, gotowe do wyrzucenia. Henry nie wiedział, co zrobić z kanapą. Szczerze mówiąc, nie obchodziło go to. Czemu Vicki nie dzwoniła?

9:29. Na dywanie były plamy, a balkon wciąż nie miał drzwi - chociaż Henry zakrył otwór płytą pilśniową - ale w zasadzie wszystkie ślady walki zniknęły z apartamentu.

Nie zostało już żadne banalne zajęcie, które powstrzymałoby go od myślenia.

Jakoś nie mógł nie myśleć o zmaltretowanym ciele kobiety zwisającym z zardzewiałego haka.

- Do diabła, Vicki, dzwoń!

Puste miejsce w biblioteczce przyciągało spojrzenie Henry'ego i poczucie winy, które dotąd skutecznie w sobie tłumił. Grimumar należał do niego. Odpowiedzialność też. Gdyby był silniejszy. Gdyby był szybszy. Gdyby był mądrzejszy. W końcu po czterystu pięćdziesięciu latach doświadczeń powinien umieć przechytrzyć samotnego śmiertelnika, ponad dziesięć razy młodszego.

Z żalem wyrzwał na miasto.

- Powinienem być... - urwał. Niczego nie mógłby zrobić inaczej. Nawet gdyby wciąż wierzył, że zabójca to porzucone dziecko z jego rodzaju, nawet gdyby Vicki nie wpadła na niego, gdy pochylał się nad ciałem, nawet gdyby nie zdecydował się jej zaufać, nic nie zmieniłoby walki z demonem zeszłej nocy, jego przegranej i straty grimumaru. Nic oprócz zniszczenia księgi od razu, na początku dziewiętnastego wieku, gdy tylko Henry ją zdobył. Szczerze mówiąc, nie był pewien, czy dałby radę to zrobić ani wtedy, ani teraz. - Chociaż - przyznał, obejmując prawą dłońią lewe przedramię, w porównaniu z bielą opatrunku nawet bledsze niż zwykle - gdyby Vicki nie dołączyła do tego równania, zginąłbym. - I nie zostałby nikt, by powstrzymać Władcę Demonów. Wargi Henry'ego odsłoniły zęby. - Nie żebym ja robił coś, by go powstrzymać.

Zaczął chodzić w tę i z powrotem, w tę i z powrotem wzdłuż okna.

Zeszłej nocy straciła wiele krwi. Wpadła w kłopoty i była zbyt słaba, by sobie z nimi poradzić?

Przypomniał sobie dotyk martwego ciała Ginev-ry, gdy je zdejmował. Wcześniej była tak pełna życia. Tak jak Vicki...

Czemu nie dzwoniła?

Już od jakiegoś czasu Vicki była przytomna. Leżała w milczeniu, z zamkniętymi oczami, czekając, aż bębnienie w skroniach przestanie odbijać się echem między uszami. Czas był cenny, to prawda, ale gwałtowny ruch skończyłby się wyrzyganiem wnętrzności, a to raczej nikomu by nie pomogło. Lepiej czekać, zebrać informacje i poruszyć się wtedy, kiedy to coś da.

Oblizła wargi i poczuła smak krwi. Coś ciepłego i wilgotnego ściekało jej po nosie.

Nogi miała związane w kostkach. Ręce splecione razem niemal od nadgarstków aż do łokci, materiałem, nie sznurem. Rzucono ją na bok, z podkulonymi kolanami, lewym policzkiem dotykała czegoś

twardego i lepkiego - pewnie podłogi. Ktoś zdjął jej kurtkę. Nie miała okularów. Z trudem zwalczyła falę paniki, jaką wywołała ta konstatacja.

Słyszała - a może czuła - czyjeś kroki za plecami i świszający oddech dochodzący z tego samego miejsca. Norman. Z przeciwnej strony dochodził krótki, urywany oddech, każdy wydech połączony z wściekłym prychnięciem. I Coreen.

„Ciagle żyje. Dobrze. I chyba jest rozwścieczona, a nie ranna. Jeszcze lepiej”. Vicki podejrzewała, że Coreen też została związana, inaczej nie siedziałyby nieruchomo. „Co w zasadzie nie jest takie złe. Niewielu ludziom udaje się zginąć szybciej niż bohaterom amatorom. Nie żeby profesjonalistom”, dodała, gdy kolec bólu ukłuł ją z tyłu głowy, „powodziło się lepiej”.

Przez chwilę leżała, bawiąc się w „co by było, gdyby Coreen się nie wtrąciła”, póki nowa fala bólu nie zblakła i dołączyła do swojej poprzedniczki w tle.

Odór pozostający po demonie był bardzo silny - tylko w budynku zamieszkanym przez studentów nie zwracało to niczyjej uwagi - i mieszały się z nim zapachy kadzidełek, świec, odświeżaczy powietrza i tostów.

- Wiesz, mógłbyś mi jednego dać. Umieram z głodu.

- Zjesz po.

Vicki nie była zaskoczona, że Norman mówi z pełnymi ustami. „Pewnie też dłubie w nosie i nosi skarpety do sandałów. Ekstrafacet po prostu”.

- Po czym?

- Po tym, jak Władca Demonów uczyni cię moją.

- Spoważnij, Birdwell! Demony nie są aż tak potężne!

Norman zaśmiał się.

Po kręgosłupie Vicki przemknął dreszcz. Musiała powstrzymać się od ułożenia tak, żeby nie mieć za plecami tego czegoś, czym stał się Norman Birdwell. Już kiedyś słyszała taki śmiech. Drużynie SWAT zajęło siedem godzin unieszkodliwienie tego człowieka, a i tak stracili przy tym dwóch zakładników.

- Zobaczysz - oznajmił, przeżuując tost. - Najpierw chciałem, żeby cię rozerwał na małe kawałeczki. Potem miałem zamiar użyć cię przy przywoływaniu Władcy Demonów. Mówiłem ci, że do tego potrzebne jest życie? Póki się nie pokazałyście, planowałem złapać jakiegoś dzieciaka w korytarzu - jego głos przybliżył się, a Vicki poczuła, jak duży paluch szturcha ją w plecy. - Teraz postanowiłem użyć jej, a ciebie sobie zatrzymać.

- Jesteś obrzydliwy, Birdwell!

- NIE MÓW TAK!

Przytomna czy nie, Vicki otworzyła oczy, akurat żeby zobaczyć, jak Norman rzuca się naprzód i uderza Coreen w twarz. Bez okularów wszystko było rozmazane, ale sądząc po dźwięku, uderzenie nie należało do silnych.

- Zrobiłem ci krzywdę? - zapytał, a złość ulotniła się równie szybko, co się pojawiła.

Jaskrawa plama włosów poruszyła się w lewo i prawo, kiedy Coreen pokręciła głową.

- Nie - powiedziała, unosząc podbródek. W jej głosie pojawił się strach, ale wciąż był spychany na bok przez złość.

- Och. - Norman skończył swój tost i wytarł ręce o spodnie. - Ale zrobię.

Vicki rozumiała i pochwalała złość Coreen. Ona

też była wściekła - na Normana, na sytuację, na własną bezradność. Chociaż wolałaby kląć i zawodzić, trzymała złość na wodzy. Wypuszczanie jej z siebie teraz, kiedy leżała związana, nie pomogłoby ani jej, ani Coreen, ani miastu. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Miała wrażenie, że jej głowa chwieje się na samym skraju świata i jeden nieostrożny ruch zrzuci ją w otchłań.

- Przepraszam - nie miała zamiaru szeptać, ale tylko to jej się udało.

Norman odwrócił się. - Tak?

- Zastanawiałam się... - „Przełknij. Pokonaj ból. Kontynuuj”. - ...czy mogłabym dostać moje okulary. - „Oddychaj, raz, dwa, trzy, póki Norman cierpliwie czeka. Przecież nigdzie się nie wybiera”. - Bez nich nie widzę, co robisz.

- Och. - Niemal słyszała, jak marszczy brwi, chociaż nie mogła tego zobaczyć. - To byłoby nie w porządku, gdybyś nie widziała.

Wyszedł z jej pola widzenia. Zamknęła na chwilę oczy, żeby dać im odpocząć. „Byłoby nie w porządku? Cóż, chyba powinnam się cieszyć, że nie chce tracić widowni”.

- Proszę. - Pochylił się i ostrożnie wsunął jej końcówki oprawek za uszy, a skrzydełka okularów oparł na nosie. - Lepiej?

Vicki zamrugała, gdy wyraźny szew na jego czarnym kowbojskim bucie nagle pojawił się tuż przed jej oczami.

- O wiele. Dziękuję. - Z bliska, jeśli nie liczyć

wyrazu twarzy, nie był taki nieatrakcyjny. Trochę zbyt chudy i nieporadny, ale to minie z czasem. Czasem, którego dzięki Normanowi Birdwellowi żadne z nich nie miało.

- To dobrze. - Poklepał ją po policzku i ten dotyk, chociaż delikatny, wypełnił głowę kobiety ognikami bólu. - Powiem ci to samo co jej. Jeśli zaczniesz krzyczeć albo robić cokolwiek głośnego, zabiję was obie. A teraz idę umyć zęby - ciągnął, prostując się. - Czyszczę je po każdym posiłku. - Wyjął z kieszonkowego futerału coś, co wyglądało jak grube pióro, i zdjął nakrętkę. Okazało się przenośną szczoteczką z pastą w ręczce. - Powinnaś sobie taką sprawić - powiedział, pokazując, jak działa, tonem pełnym samozadowolenia. - MNIE nigdy nie zakładano plomb.

Na szczęście nie czekał na odpowiedź.

Szczęśliwym trafem umieścił Coreen dokładnie po drugiej stronie małego pokoju i Vicki nie musiała poruszać głowy. Przez kilka sekund obserwowała młodą kobietę i czerwony ślad na jej bladym policzku. Nawet w okularach miała problem ze skupieniem wzroku.

- Wszystko w porządku? - zapytała cicho.

- A jak myślisz? - Coreen nie starała się nawet zniżyć głosu. - Jestem przywiązana skarpetkami do kuchennego krzesła Normana Birdwella!

Vicki spojrzała niżej. Nogi Coreen przywiązano do chromowanych nóg kuchennego krzesła co najmniej sześcioma parami skarpetek. Szare, czarne i brązowe, nylonowe, były naciągnięte do granic możliwości i niemożliwe do zerwania. Zaintrygowana wbrew wszystkiemu Vicki spróbowała szarpnąć własne więzy. Nie reagowały jak skarpetki. Ponieważ było to bezpieczniejsze od poruszania głową, przesunęła ręce po podłodze, póki ich nie zobaczyła. Krawaty. Przynajmniej cztery, może pięć - wirujące tureckie wzory i bijące po oczach zestawienia kolorów utrudniały rozróżnienie. Co prawda Vicki była osłabiona, ale Norman, choć raczej nigdy nie należał do skautów, najwyraźniej znał się na węzłach.

- Miałaś zamiar się na niego rzucić, prawda?

- Co? - Vicki podniosła głowę i zaraz tego pożałowała, bo jej ciało zaprotestowało przeciw temu ruchowi falą mdłości i zawrotów.

- Kiedy weszliśmy do mieszkania i ja... to znaczy... No, przepraszam.

To zabrzmiało bardziej jak wyzwanie niż przeprosiny.

- Nie przejmuj się tym teraz. - Vicki przełknęła, starając się nie dodawać już nic do kałuży śliny zbierającej się pod jej policzkiem. - Spróbujmy po prostu... wypłatać się z tego bagna.

- A myślisz, że co próbuję zrobić? - Coreen nerwowo poderwała się, co skutkowało tylko przesunięciem krzesła do tyłu o centymetr. - Nie wierzę w to wszystko! Naprawdę nie wierzę w to, co się dzieje! Słyszając w jej głosie nadszarpniętą panikę, Vicki powiedziała najbardziej wypranym z emocji tonem, na jaki udało jej się zdobyć:

- To jest trochę tak, jakby Alfred Hitchcock nakręcił Zemstę frajerów.

Coreen wytrzeszczyła na nią oczy w zdumieniu, pociągnęła nosem i uśmiechnęła się, trochę niepewnie.

- Albo David Cronenberg Miodowe lata - podsunęła.

„Grzeczna dziewczynka”. Pełen aprobaty uśmiech pochłoniął całą energię, jaką dysponowała Vicki. Chociaż istniało niebezpieczeństwo, że Coreen nie weźmie Normana na poważnie, byłoby znacznie gorzej, gdyby dziewczyna się załamała.

Szarpanie się bardziej zaszkodziło Vicki niż krawatom, ale i tak próbowała dalej. Jeśli świat miał się skończyć, to nie w tak obraźliwy dla niego sposób, pod jednym z idiotycznie wysokich obcasów Normana Birdwella. Musiała dopilnować, by tak się nie stało.

- Dość! - Henry oderwał się od okna i ruszył pospiesznie do drzwi. Znał nazwisko, znał miejsce. Czas przyłączyć się do polowania. - Nie powinienem był tyle czekać.

Przy drzwiach zwołnił, złapał płaszcz i wyszedł na korytarz niczym zwykły człowiek. Wsunął klucz do drzwi, potem skierował się na schody, nienawidząc z całego serca szarady, która zmuszała go do utrzymania tempa śmiertelnika.

Na słabo oświetlonej klatce schodowej darował sobie zachowywanie pozorów i poruszał się szybko, jak pozwały mu obolałe mięśnie.

Do północy zostało mniej niż dwie godziny.

Całkiem zapomniał, że klatka schodowa stanowiła część systemu losowego monitorowania budynku.

Vicki odzyskała przytomność, myśląc: „To się musi skończyć”. Za każdym razem, gdy próbowała się poruszyć, ciemność upominała się o nią i spychała w otchłań. Chwilami upominała się o nią też

wtedy, kiedy Vicki tylko leżała cicho, zbierając siły. „Będę musiała wymyślić coś innego”. Jedyne, co osiągnęła dzięki sukcesywnemu, choć przerywanemu szarpaniu więzów, to pogorszenie samopoczucia i odsłonięcie zegarka.

„Siedem po dziesiątej. Henry pewnie wpadł w szal. O Boże, Henry!” Jej mimowolne drgnienie przywołało kolejną falę bólu. Zignorowała go zdjęta nagłym przerażeniem. „Zapomniałam go ostrzec przed strażnikiem...”

Chociaż rozumiał konieczność wprowadzenia monitoringu, Greg nigdy nie lubił kamer. Zawsze czuł się przy nich jak podglądacz. Dwóch albo trzech strażników na nieustającym obchodzie, a jeden na stałe przy biurku - wolał pracować w ten sposób. Kamera nie mogła zastąpić wytrenowanego człowieka. Ale

ludziom trzeba płacić, a kamerom nie, więc był na nie skazany.

Kiedy atrakcyjna młoda kobieta na basenie wyszła z wody i sięgnęła po ręcznik, uprzejmie odwrócił wzrok. Może był stary, ale nie nazwałby tych dwóch pasków materiału kostiumem kąpielowym. Kiedy spojrział znowu, monitor pokazywał tylko równe rzędy samochodów w garażu podziemnym.

Usiadł wygodniej i poprawił czarną opaskę, którą nosił na ramieniu jako wyraz szacunku dla pani Hughes i Owena. Bez nich ten budynek nie będzie już taki sam. Im później się robiło, tym bardziej się spodziewał, że zaraz zobaczy, jak wychodzą na ostatni spacer przed snem. Musiał sobie przypominać, że już nigdy ich nie ujrzy. Człowiek, po którym przejął dziś służbę, uniósł brew najpierw na widok opaski, a potem słysząc wyjaśnienia. Dziś młodzi nie wiedzieli, czym jest szacunek. Ani dla zmarłych, ani dla władzy, ani dla siebie samego. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Greg spotkał niewielu, którzy to rozumieli. Henry Fitzroy był jednym z nich.

Henry Fitzroy. Greg przygryzł dolną wargę. Zeszłej nocy zrobił coś bardzo, bardzo głupiego. Wstydził się i było mu przykro, ale nie miał pewności, czy się mylił. Jak mawiał jego stary sierżant: „Jeśli coś chodzi jak kaczką, mówi jak kaczką i zachowuje się jak kaczką, to istnieją duże szanse, że jest kaczką”. Sierżant miał na myśli nazistów, ale Greg uznał, że można to też odnieść do wampirów. Wątpił, czy

młody człowiek - taki jak pan Fitzroy, mógł popełnić równie szaleńczą zbrodnię - a w tym, co wiele tygodni temu Greg zobaczył w jego oczach, nie było nic szalonego, wręcz przeciwnie, tylko przerażająca rozumność. Ale już zupełnie nie mógł uwierzyć, że mężczyzna, pokroju pana Fitzroya pozwoliłby odwiedzającej go młodej damie otworzyć drzwi w dezabilu. Wstałby i sam to zrobił. Teraz, kiedy o tym myślał, Greg uświadomił sobie, że ona musiała coś ukrywać. Ale co?

Ruch na jednym z monitorów przyciągnął uwagę Grega. Strażnik odwrócił się w jego stronę. Zmarszczył brwi. Coś czarnego mignęło przy drzwiach pożarowych na siódmym piętrze, zbyt szybko, by zdążył rozpoznać co. Sięgnął do kontrolki i zaczął włączać kamery na klatce schodowej.

Kilka sekund później kamera na piątym piętrze pokazała, jak Henry Fitzroy zbiegał na dół, pokonując po dwa schodki naraz i piorunując je wzrokiem. Wyglądał jak każdy inny młody człowiek w dobrej formie - i w złym humorze - który uznał, że nie będzie marnował czasu, czekając na windę. Chociaż Greg nie schodziłby z czternastego piętra, uświadomił sobie, że nie ma nic nadnaturalnego w tym, że Henry Fitzroy to robi. Ani w tym, jak to robi.

Z westchnieniem przełączył monitor z powrotem na przypadkowe obrazy.

- A co, jeśli nie zawsze zachowuje się jak kaczką? - zapytał głośno.

Henry był już na szóstym piętrze, kiedy odezwały się obrażenia, które odniósł zeszłej nocy, i musiał zwolnić niemal do prędkości śmiertelnika. Warknął, gdy przenosił ciężar swojego ciała wokół poręczy, sfrustrowany, że mięśnie nie działają tak, jak powinny. Zamiast dotykać jednego stopnia między półpiętarami, musiał stawać niemal na każdym.

Kiedy dotarł do samochodu, był w złym humorze. Przejechał przez rampę wyjazdową z garażu podziemnego o wiele szybciej, niż powinien, szorując rurą wydechową po betonie. Jej zgrzyt zmusił go do uspokojenia się. Nie dotrze do celu szybciej, jeśli po drodze zniszczy samochód albo przyciągnie uwagę policji.

Przy wyjeździe, gdy czekał niecierpliwie na zmianę świateł, poczuł znajomy zapach.

- BMW? Normalnie zalewasz. - Tony oparł się przedramionami o otwarte okno i zaklaskał językiem. - Jeśli ten zegarek to Rolex - dodał miękko - to chcę z powrotem moją krew.

Henry wiedział, że wiele temu chłopcu zawdzięcza, postarał się zatem ukryć wściekłość. Czuł, jak jego wargi unoszą się, odsłaniając zęby, i uświadomił sobie, że marnie mu to ukrywanie wychodzi.

Jeśli Tony miał jakieś wątpliwości co do swoich wspomnień z zeszłej nocy, rozwiąłby je wyraz twarzy

Henry'ego. Było w nim coś zdecydowanie nieludzkiego, ten gniew skierował się przeciw niemu, chłopak rzuciłby się do ucieczki i nie zatrzymał aż do bezpiecznego wschodu słońca. Na wszelki wypadek zabrał ręce z samochodu.

- Myślałem, że może chcesz pogadać...

- Później. - Jeśli świat przetrwa tę noc, porozmawiają. To nie było pilne.

- Tak. Jasne. Później może być. Powiedzmy... - Tony zmarszczył brwi. - Czy z Wiktorią wszystko w porządku?

- Nie... - zmieniło się światło. Henry ruszył gwałtownie - wiem.

Tony stał i patrzył na odjeżdżający samochód, zaciskając wargi i z rękami w kieszeni. Pomiedzy palcami obracał ćwierćdolarówkę.

- To mój numer domowy. - Vicki podała mu wizytówkę, odwracając ją tak, żeby zobaczył drugi numer, napisany z tyłu ręcznie. - A do niego zadzwonisz, jeśli będziesz miał kłopoty, a mnie nie znajdziesz.

- Mike Celluci? - Tony pokręcił głową. - Wiktoria, on za mną nie przepada.

- No i co?

- Ja za nim nie przepadam. - A co mnie to obchodzi? I tak do niego zadzwoni.

Wyciągnął ćwiartkę z kieszeni i skierował się do telefonu na rogu. Cztery lata spędzone w przeróżnych kieszeniach odbiły się na wizytówce, ale numer na odwrocie wciąż był czytelny. Wcześniej Tony zadzwonił na numer wydrukowany z przodu i zmarszczył głowę na głupią automatyczną sekretarkę. Wszyscy wiedzieli, że Vicki nigdy jej nie włączała, jeśli była w domu.

- Muszę pogadać z Mikiem Cellucim.

- Przy telefonie.

- Wiktoria ma kłopoty. - Był tego pewien jak niczego nigdy wcześniej.

- Kto?

Tony wyrócił oczami. A ponoć byli najlepsi w mieście. Co za kretyn.

- Vicki Nelson. Pamiętasz - wysoka blondynka, z siłą przebicia, ekszlina.

- Jakie kłopoty?

Dobrze. Celluci był zaniepokojony.

- Nie wiem.

- Gdzie?

- Nie wiem. - Tony słyszał, jak po drugiej stronie słuchawki zgrzytają zęby. Gdyby sprawa nie była poważna, świetnie by się teraz bawił. - Ty jesteś glina, dowiedz się.

Rozłączył się przed wybuchem. Zrobił, co mógł.

Mike Celluci zapatrzył się na telefon i zaczął kłać długo i głośno po włosku. Po chwili zastanowienia rozpoznał głos - to był ten mały ulicznik Vicki - a to sprawiało, że wiadomość zyskiwała odrobinę wiarygodności i nie mogła być zignorowana. Wyrzucił na kuchenny stół plik różowych karteczek i zaczął w nich grzebać.

- Norman Birdwell. Uniwersytet York. - Podniósł kartkę do światła w kompletnie niepotrzebnym geście, a potem rzucił ją do pozostałych.

Vicki nigdy nie była typem samotnego bohatera. Zawsze działała zgodnie z zasadami, sprawiała, że obracały się na jej korzyść. Nigdy nie pojechałaby zgarnąć domniemanego wielokrotnego mordercy - domniemanego psychopaty i wielokrotnego mordercy - bez wsparcia. „Ale teraz już nie ma wsparcia, prawda? I może jej się wydawać, że musi coś udowodnić...”

Uderzył w klawisz, pod którym miał zapisany numer komendy, zanim dokończył myśl.

- Tu Celluci. Darrel, potrzebuję numeru do kogoś z administracji Uniwersytetu York. Wiem, że jest środek nocy, chcę numer domowy. Wiem, że jestem po służbie. Nie płacisz za moje nadgodziny, więc co cię to, do cholery, obchodzi? - Wetknął słuchawkę pod brodę i sięgnął po zawieszoną na oparciu krzesła kburę. Założył ją, czekając przy telefonie. - Więc zadzwon do mnie do domu, jak już znajdziesz. Darrel, to najwyższy priorytet. Chcę ten numer na wczoraj.

Sięgnął po kurtkę i położył ją obok telefonu. Nienawidził czekania. Zawsze nienawidził czekania.

Wyciągnął różową karteczkę ze stosiku.

Norman Birdwell.

- Nie wiem, skąd wyciągnęłaś to nazwisko, Nelson - warknął - ale jeśli wyruszę na ratunek, a ty nie będziesz tkwiła w naprawę głębokim gównie,

zły wzrok i brak poczucia bezpieczeństwa okażą się otatnim z twoich problemów.

Norman rozmawiał z grimumem, i to od jakiegoś czasu. Jego ciche mamrotanie przeszło w stały szum

w tle, towarzyszący Vicki, gdy odzyskiwała i traciła przytomność. Czasem słyszała słowa, zwykle mówiące o tym, że teraz świat będzie traktował Normana tak, jak on na to zasługuje. Vicki popierała ten postulat całym sercem. - Hej, Norman!

Mamrotanie ustało. Vicki próbowała skupić wzrok na Coreen. Młoda kobieta wyglądała na... zawstydzoną?

Przyciskając grimuar do piersi, Norman wszedł na linię jej wzroku. Zadrżała na samą myśl, że można tę księgę trzymać tak blisko siebie. Ten jeden raz, kiedy jej dotknęła w mieszkaniu Henry'ego, przyprawił ją o dreszcze, a wspomnienie wciąż sprawiało, że Vicki robiło się nieprzyjemnie.

- Słuchaj, Norman, ja naprawdę muszę iść do łazienki - głos Coreen był niski i ponaglący, nie pozwalał wątpić w jej szczerą, a Vicki nagle zaczęła żałować, że to nie ona to powiedziała.

- Eee... - Widać było, że Norman nie ma pojęcia, jak się uporać z tym problemem.

Coreen westchnęła głośno.

- Słuchaj, jeśli mnie rozwiązesz, pójdę cicho do łazienki, a potem wrócę na krzesło, żebyś mógł mnie znowu przywiązać. Możesz we mnie cały czas celować z tej głupiej broni. Ja naprawdę muszę.

- Eee...

- Twój Władca Demonów nie będzie zachwycony, kiedy się pojawi i odkryje, że obsikałam mu pentagram.

Norman przez długą chwilę gapił się na Coreen, głaszcząc ciemną skórę, w którą oprawiono grimuar.

- Nie zrobiłabyś tego - odezwał się wreszcie.

- Przekonaj się.

Może to przez uśmiech, może przez ton jej głosu Norman postanowił nie ryzykować.

Vicki odplynęła, kiedy Norman rozwiązywał Coreen, i ocknęła się znowu, kiedy dziewczyna, na powrót przywiązana do krzesła, powiedziała:

- A co z nią?

Norman przesunął dłońmi po broni. - Ona się nie liczy. I tak wkrótce będzie martwa.

Vicki zaczynała się poważnie obawiać, że on ma rację. Brakowało jej już sił i za każdym razem, gdy wyrwała się z ciemności, świat zdawał się być trochę dalej. „Dobra, jeśli i tak jestem martwa, zacznę krzyczeć i on mnie zastrzeli, sąsiedzi wezwą policję - ta broń nie ma tłumika. Oczywiście może mnie po prostu znowu walnąć w głowę”. To ostatnia rzecz, jakiej jej było trzeba. „Jeśli Coreen też zacznie krzyczeć, Norman może tego nie wytrzymać i jedną z nas zastrzeli”.

Coreen mimo wiary w wampiry, demony i kto wie w co jeszcze nie rozumiała, co się ma stać. „To nie jej wina. Nie powiedziałam jej”.

Vicki stawiała na szali życie dziewczyny przeciw życiu całego miasta. Nie miała prawa podejmować tej decyzji. Ale i tak to zrobiła. „Przykro mi, Coreen”.

Zwilżyła wargi i wciągnęła do płuc tyle powietrza, ile tylko zdołała.

- Cor... - Kolba karabinu trzasnęła w podłogę kilka centymetrów od jej nosa, metal uderzył o płytki.

Dźwięk i wibracje sprawiły, że jej starannie zbierany oddech wydarł się z płuc w cichym jęku bólu.

„Dzięki Bogu, broń jest zabezpieczona...”

- Zamknij się - powiedział nonszalancko Norman.

Nie miała innego wyjścia, jak tylko posłuchać, bo znowu odplynęła w ciemność.

Norman rozejrzył się po mieszkaniu, niesamowicie z siebie zadowolony. Już niedługo ci wszyscy ludzie, którzy mieli go za nikogo, za nic, zapłacą. Wyciągnął rękę i pogładził księgę. To ona mu tak powiedziała.

10:43. Czas zacząć rysować pentagram, o wiele bardziej skomplikowany od tego, którego zwykle używał. Norman chciał mieć pewność, że dobrze mu wyjdzie.

To będzie najwspanialsza noc jego życia.

ROZDZIAŁ 15

Dobrze wiedziała, że nie powinna podchodzić do obcych mężczyzn w samochodach. Wychowała się na historiach o porwaniach, gwałtach i rozkładających się ciałach młodych kobiet znalezionych tygodnie później w studzienkach kanalizacyjnych. Mimo to odpowiedziała na wezwanie, a ostrzeżenia matki straciły moc w chwili, gdy spojrzała w oczy nieznanego.

- Gdzie są biura administracji? Wiedziała, przynajmniej tak jej się wydawało - tak naprawdę nie była pewna, czy jeszcze myśli. Oblizła wargi i podsunęła:

- Budynek Rossa? - Widziała tam biuro, może więcej niż jedno.

- Gdzie to jest?

Odrzuciła się i wskazała. Chwilę później zastanawiała się, czemu stoi na środku St. Lawrence Bou-

levard, patrząc za światłami samochodu jadącego na kampus - i czemu czuje się taka zawiedziona. Henry przyjrzał się tablicy informacyjnej i zmarszczył brwi. Tylko w jednym z biur na niej wymienionych mógł znaleźć to, czego potrzebował. Biuro Programów Studenckich, S302. Wyczuł w budynku kilka rozproszonych żyć, ale będzie się nimi martwił, jeśli zajdzie taka konieczność.

11:02. Kończył mu się czas.

Przyćmione światło niewiele ukazywało i gdyby ktoś patrzył, zauważyłby tylko ciemniejszy cień migający wzdłuż zacienionego holu.

Pierwsza klatka schodowa, na jaką trafił, prowadziła na drugie piętro. Znalazł kolejną, dotarł na trzecie piętro i zaczął iść wzdłuż wrytych na drzwiach numerów.

322, 313, 316... 340? Odwrócił się i spojrzął na drzwi przeciwpożarowe, przez które właśnie przeszedł. Z pewnością musiały istnieć jakiś wzór. Nikt, nawet w dwudziestym wieku, nie numeruje pomieszczeń w budynku w kompletnie przypadkowy sposób.

- Nie mam na to czasu - warknął. 340, 342, 344, 375a...

Krzyżujące się korytarze były ponumerowane w dwóch kierunkach. Henry zatrzymał się. Słyszał głosy, które mówiły coś, czego nie mógł zignorować.

- A czego innego się spodziewasz, wzywając imię Władcy Demonów w świątyni jego towarzysza?

Świątynia? Towarzysz? Jeszcze jakieś grupy angażowały się akurat teraz we wzywanie demonów czy też założenie, że robi to jedna osoba, było od po czątku błędne? Nie miał czasu, by to sprawdzać. Nie mógł sobie pozwolić na to, by tego nie sprawdzić.

Przez skrzyżowanie, korytarz, za róg i do drzwi na końcu korytarza, spod których przebijało światło. Najwyraźniej kilka osób mówiło jednocześnie.

- Jak przypuszczam, to oznacza, że demon ma Eliasa?

- Trafne spostrzeżenie. Co teraz zrobimy?

- A co możemy zrobić? Czekamy.

- Wy możecie czekać - z gwaru wybił się trzeci głos - ale Lexi kopie statuetkę i wrzeszczy ze wszystkich sił: „Ashwarn, Ashwarn, Ashwarn, oddawaj go!”.

Henry zatrzymał się z ręką opartą o drzwi. W pomieszczeniu było sześć żyć i ani śladu obecności demona. Co się działo?

- Nic się nie dzieje. -Jak to nic?

- Tak jak mówiłam, nic. - Młoda kobieta siedząca u szczytu stołu zauważyła Henry'ego, mrugnęła do pozostałych i uśmiechnęła się. - Cześć. Wyglądasz na zagubionego.

Grali w coś. To było oczywiste, wystarczyło spojrzeć na leżące przed nimi kupki jaskrawych kostek.

- Szukam danych studentów...

- Aleś zabłądził. - Wysoki chłopak podrapał się po zaroście. - Musisz iść do ZBA. - Widząc niezrozumienie w oczach Henry'ego uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Zachodni Budynek Administracyjny, ZBA, tam jest to całe gówno.

- Tak, ale ZBA zamykają o piątej. - Ostrożnie stawiając trzymaną w rękach figurkę na stole, jedna z pozostałych graczy zerknęła na zegarek. - Jest osiem po jedenastej. Nikogo tam nie będzie.

Osiem po jedenastej. Jeszcze więcej czasu zmarnowanego na bezowocne poszukiwania.

- Ej, nie martw się tak. Możemy jakoś pomóc?

- Możemy zagrać? - mruknęła inna z graczy. Pozostali ją zignorowali.

Czemu nie? W końcu szukał człowieka, który wzywał demony. Ci tutaj mieli z nim w pewien sposób coś wspólnego.

- Szukam Normana Birdwella.

Młoda kobieta u szczytu stołu wygięła wargi w uśmiechu.

- Po co? - zapytała. - Jest ci winien pieniądze?

- Znaie go?

- Niestety - oznajmiła zgodnie cała grupa.

Zaśmialiby się, ale Henry już stał przy stole, zanim zdążyli wydać pierwszy dźwięk. Zamiast tego spojrzeli po sobie nerwowo, a on widział na ich twarzach, jak przypominają sobie o dziewięciu ciałach z wyrwanymi gardłami. Nie zdołałby wpłynąć na tak dużą grupę, mógł mieć tylko nadzieję, że są jeszcze wystarczająco młodzi, by poddać się jego władzy.

- Potrzebny mi adres.

- Raz... eee... graliśmy u niego. Grace, zapisałaś adres?

Wszyscy obserwowali, jak Grace, młoda kobieta u szczytu stołu, grzebie w swoich papierach. Wyglądało na to, że ma wszystko pozapisywane. Henry zwalczył pragnienie, by pomóc jej szukać.

- Czy Norman ma kłopoty?

Henry nie odrywał wzroku od papierów, pragnąc, by ten, którego potrzebuje, się odnalazł. -Tak.

Grace siedzący najbliżej odsunęli się, rozpoznając łowcę. Sekundę później z arogancją właściwą

młodym uznali, że nie mogą być ofiarami, i usiedli normalnie.
- Przystaliśmy z nim grać, bo brał wszystko za bardzo poważnie.
- Taaa, i zaczął się zachowywać, jakby to było naprawdę. Jakby na każdym rogu wpadał na czarodziejów, wojowników i długonogie potwory.
- Kretyn z niego.
- To tylko gra.
- Gra, w którą nie gramy - zauważył ktoś.
- Czy Norman ma duże kłopoty? - Tak.
Po jego odpowiedzi przestali gadać. Nie mieli sposobu na to, by poradzić sobie z tonem głosu Henry'ego.
Grace niepewnie oddała mu kartkę, chociaż nie była całkiem przekonana, czy dobrze robi.
- Chwileczkę - zaprotestował chłopak. - Też nie lubię Normana, ale czy powinniśmy dawać jego... - Henry odwrócił się i na niego spojrział. Chłopak zbladł i zamknął oczy.
Wcisnął pedał gazu i pałac gumy na parkingu, Henry zerknął na zegarek. 11:36. Tak mało czasu.

- ...a ostatni dochodzi tu. - Norman wyprostował się i spojrział z dumą na podłogę swojego mieszkania. Białe linie pentagramu niemal ginęły wśród otaczających je czerwonych i żółtych symboli. Połgłodził pieszczotliwie stronę grimuaru, wodząc palcami po pentagramie, który właśnie skończył odwzorowywać. - Już niebawem - powiedział. - Już niebawem.

Zapach farby akrylowej tak blisko twarzy tylko wzmacniał nudności, które odczuwała Vicki, i sprawiał, że jej oczy swędziały i łzawiły. Nie miała siły, by z tym walczyć, więc pogodziła się z sytuacją i próbowała wykorzystać. Zatarcie kawałeczka pentagramu, zanim ten wyschnie, wydawało się niezłym pomysłem, póki nie uświadomiła sobie, że to pozwoli Władcy Demonów wcześniej wyrwać się i rozpocząć rzeź. Ale musiało być coś, co mogła zrobić. Nie przyznałaby, nie mogła przyznać, że Birdwell wygrał.

Coreen przenosiła spojrzenie z pentagramu na Normana i z powrotem na schnącą farbę. To było naprawdę i chociaż zawsze wierzyła, teraz zaczęła wierzyć. Nagle w ustach zrobiło jej się sucho, a serce zaczęło bić tak mocno, że ten chudy kujon musiał je usłyszeć. Coraz usilniej próbowała uwolnić prawą nogę. Kiedy Norman przywiązywał ją, po tym jak skorzystała z łazienki, zadbała, by w skarpetkach zostało trochę luzu. Od tej pory, podczas gdy on rozwodził się o zrobieniu nie wiadomo czego, Coreen starała się rozluźnić więzy, rozciągając je kawałek po kawałku. Prędzej czy później uwolni nogę. I na

razie jej umysł odmawiał zajęcia się czymkolwiek poza tym punktem.

Norman ustawił wokół pentagramu pięć nowych świec. Czerwone i żółte spirale łatwiej było znaleźć niż jakiegokolwiek czarne świece. Trzymał grimuar przy sobie, przyciskając go łokciem, kiedy potrzebował obu rąk, a w pozostałych sytuacjach tuląc do piersi. Bez niego zaczynał się czuć niekompletny, jak gdyby księga stała się jego częścią. Zabrał ją nawet do Canadian Tire, kiedy poszedł kupić nowe hibachi. Z grimuarem w objęciach wiedział, że jego najdziksze marzenia się spełnią.

Dudnienie w jego głowie stało się głośniejsze, dziksze, bardziej drażniące. Ton zmieniał się w zależności od tego, co Norman robił... a może to, co robił, zmieniało się w zależności od tonu - Norman nie był tego pewny.

Wyciągając z pudełka minigrilla, sprawdził, czy publiczność jest pod wrażeniem. Starsza kobieta znowu zamknęła oczy, jej okulary zsunęły się wyraźnie, ale ciągle oddychała i tylko to się liczyło. Wkurzyłby się, gdyby umarła, zanim ją zabije, bo wtedy musiałby użyć Coreen, a co do niej miał inne plany. Dziewczyna też nie wydawała się być pod wrażeniem, ale chyba się bała, a to na razie wystarczyło.

- Nie śmiejesz się. - Szturchnął ją w plecy grimu-arem i z satysfakcją patrzył, jak dziewczyna odsuwa się od jego dotyku, a potem przykucnął, by ułożyć trzy brykiety.

- Nie ma się z czego śmiać, Norman. - Coreen odwróciła się na krześle. Stała za nią, trochę z boku, nie mogła znieść, że nie widzi, co on robi. Chociaż chciała piszczeć, starała się pilnować, żeby jej głos nie brzmiał zbyt wysoko. Do wariatów należy mówić miękko, tak wyczytała w jakiejś książce. - Słuchaj, to zaszło za daleko. Pani Nelson potrzebuje lekarza. - Odrobina błagań nie zaszkodzi. - Proszę, Norman, wypuść nas, a zapomnimy, że cię kiedykolwiek widziałyśmy.

- Wypuścić was? - Teraz to Norman się z niej śmiał. Nie sądził, by Władca Demonów mógł zaofiarować coś, co sprawiłoby mu równie wielką przyjemność. Śmiał się z niej tak, jak wszyscy przez całe jego życie śmiali się z niego. Coraz głośniejsze i głośniejsze, tak, że niemal go przytłaczało. Czuł, jak śmiech odbija się echem w grimuarze, jak jego ciało zaczyna wibrować pod wpływem dźwięku, jak ten śmiech wplata się w pulsowanie w jego głowie.

- Norman! - nie powiedziała tego głośno, ale wystarczyło, żeby przerwać jego śmiech. „No dobrze, może i w imieniu jest siła. W innych sprawach ostatnio się myliłam”. Vicki próbowała skupić się na twarzy chłopaka, nie zdołała i zrezygnowała. Szaleńcza histeria śmiechu skończyła się. Po to właśnie poświęciła siły i musiała się cieszyć osiągniętym zwycięstwem.

Z brwiami ściągniętymi w głębokie V Norman spojrział spode łba na kobietę na podłodze. Cieszył się, że ona umrze. Przegonił śmiech. Wciąż ponury, zapalił świecę i zgasił górne światło. Nawet to, że Coreen gwałtownie nabrała powietrza, gdy zapadł mrok, nie wystarczyło, by wprawić go w lepszy nastrój. Nie póki nie podpalił brykietów, a pokój wypełnił się dymem błękitnym od kadzideł. Wtedy się uśmiechnął.

Została tylko jedna rzecz do zrobienia.

Kiedy Vicki znowu otworzyła oczy, spanikowała bardziej niż kiedykolwiek tej nocy.

„Kiedy zrobiło się tak ciemno?”

Widziała pięć migoczących punktów światła. Reszta pokoju, Coreen, Norman - zniknęli. A powietrze... pachniało dziwnie, ciężko, trudno nim było oddychać.

„Dobry Boże, czy ja umieram?!”

Próbowała się poruszyć, walczyć, żyć. Ręce i nogi wciąż miała związane. To ją uspokoiło, zwolniło rytm serca i oddechu. Jeśli była związana, nie była martwa. Jeszcze nie.

Te światła to świece, nic innego, a powietrze pachniało kadzidłami. Musiało się zacząć.

Nie widziała, jak Norman podchodzi, nie zda-wała sobie sprawy, że przy niej jest, póki delikatnie nie poprawił jej okularów. Czowała ciepło jego palców, gdy mocował się z jej rękami i odsuwał więzy, póki nie odsłonił lewego nadgarstka. Miała wrażenie, że widzi cienką linię w miejscu, z którego Henry pił zeszłej nocy, i wiedziała, że sobie to wyobraża. W tym świetle, o tej porze, nie zobaczyłaby żadnej rany, nawet gdyby odrąbano jej rękę.

Poczuła zimne ostrze na skórze. Cięcie otworzyło żyłę. I kolejną. Nie bezpieczne poziome cięcia, jakie robili ona i Tony, ale pionowe. Krew spłynęła z nadgarstka do dłoni.

- Musisz zostać przy życiu na czas inkantacji - wyjaśnił Norman, odsuwając jej ramiona od ciała i układając z nich kolejne symbole otaczające pentagram. - Więc zajmę się tylko jednym nadgarstkiem. Nie umieraj za szybko. - Usłyszała, jak nóż dzwięczy na podłodze za jej plecami, a kroki oddalają się. „Ażebys, kurde, wiedział, że nie...” Gniew ją męczył, więc zrezygnowała z niego. „Skup się na najważniejszym i nigdy nie mów »umierać«”. Zwłaszcza kiedy „umierać” oznaczało wykrwawiać się na śmierć na brudnej podłodze i zafundować miastu, o świecie nie wspominając, Armagedon. Leżała na lewym boku, jej serce nie mogło być więcej niż dziesięć centymetrów nad podłogą. Koncentrując wszystkie pozostałe siły w prawym ramieniu, zdołała wsu-nać je pod lewe i unieść krwawiący nadgarstek tak

wysoko, jak tylko się dało. Może nie na dziesięć centymetrów, ale tak. żeby osłabić wpływ krwi.

„Ciśnienie będzie niskie... Mogę tak trwać... godzinami”.

To mogła być tylko kwestia czasu, ale Vicki zamierzała go maksymalnie wykorzystać, a nie oddawać Normanowi. Uchem przyciśniętym całym ciężarem głowy do podłogi słyszała tylko cichy, rytmiczny szum, jakby morza w muszli. Leżała, słuchając go, ignorując rozbrzmiewające wokół inkantacje.

Zdołałby zidentyfikować właściwy budynek na osiedlu nawet bez adresu. Otaczająca go moc, oczekiwanie zła sprawiały, że Henry'emu zjeżyły się wszystkie włosy. Wsiadł z samochodu, zanim ten się zatrzymał, i już chwilę później przedarł się przez zamknięte drzwi do holu. Wzmocnione szkło nie było dostatecznie grube, by powstrzymać betonową donicę, którą w nie rzucił.

Norman wypowiedział ostatnie chropowate słowo i pozwolił swojej lewej dłoni opaść na otwarty grimmuar trzymany w prawej. Gardło go bolało, oczy piekły, dygotał z podekscytowania, czekając, aż znaczące drżenie powietrza zapowie przybycie demona. Co się nie stało.

W jednej chwili pentagram był pusty, a bębnienie w głowie Normana utrzymywało swój wspaniały rytm. W następnej, bez ostrzeżenia, pentagram świecił pustką, a w ciszy, jaka zapadła, pozostało tylko gasnące echo.

Norman załkał i upadł na kolana, upuszczając grimmuar, by zakryć dłońmi twarz.

Coreen zaszlochała i zaczęła szarpać więzy. Jej świadomość odpychała od siebie to, czego nie była w stanie zaakceptować.

Vicki starała się oddychać płytko przez zęby, pierwszy raz szczęśliwa, że tak naprawdę nic nie widzi. Każdy strach, który kiedykolwiek czuła, każdy koszmar, każda zmora od dzieciństwa aż do wczoraj

ucieleśniły się w tym rozmałym kształcie w pentagramie. Zaciśnęła zęby, dusząc zawrodoenie, i wykorzystał swój stan - osłabienie, ból - jako osłonę przed Władcą Demonów. „Za bardzo mnie już wszystko boli, żeby mogło boleć bardziej”.

To coś w pentagramie wydało się tym rozbawione.

Kolory stapiały się ze sobą w niemożliwy sposób w cieniu, które paliły serce i mroziły duszę, aż stworzyły wreszcie istotę ze złotymi lokami, niebieskimi oczami i bardzo, bardzo białymi zębami. Smukła i hermafrodytyczna, nie przynależała do żadnej płci, przynależąc jednocześnie do obu.

- Wystarczy - powiedział Władca Demonów i prerażenie opadło do znośnego poziomu. Obejrzał granice swojego więzienia, a potem życia poza nim. Zignorował Coreen, ale przykucnął po tej stronie pentagramu, gdzie leżała Vicki, i uśmiechnął się z aprobatą, patrząc na wzory z krwi na podłodze.

- Więc to ty jesteś życiem, które otwiera moją

drogę do władzy. - Uśmiechnął się, a Vicki odczuła ulgę, że widzi tylko niewyraźny zarys jego twarzy.

-Ale nie jesteś zbyt skłonna do współpracy, prawda?

Tylko brak władzy nad mięśniami pozwolił jej zwalczyć nagłą potrzebę położenia krwawiącego nadgarstka z powrotem na podłodze. Szok, którego doznała, gdy rozpoznała kreaturę, dodał jej sił.

-Ja... Ja cię znam. - Nie twarz, nie tę bestię, ale jej istotę, tę istotę znała.

-Ja też cię znam. - W oczach Władcy Demonów coś przez chwilę migotało. - Tym razem wygrałem.

To koniec, Victorio.

Nienawidziła tego imienia.

- Nie póki... nie zaśpiewa gruba dama.

- Żart? W twojej sytuacji? Myślę, że lepiej byś spożytkowała siły, błagając o litość. - Wstał i otrzepał dłonie o uda. - Szkoda, że nie mogę pozwolić ci żyć. Z przyjemnością bym popatrzył, jak zareagujesz na moje plany.

Wszystko, czego w tej chwili chciała Videi, to mieć dość śliny, by splunąć.

Odwrócił się do Normana, wciąż chowającego się za hibachi.

- Wstań!

Podnosząc grimuar i trzymając go niczym talizman, Norman wstał chwiejnie.

- Uwolnij mnie!

Dolna warga Normana opadła, a na jego twarzy zagościł wyraz buntu.

- Nie. Ja cię wezwałem. Jestem twoim panem. -To on miał moc, nie to coś. On.

Śmiech Władcy Demonów zmiotł okna w mieszkaniu.

Norman zaczął zbliżać się do pentagramu, poruszając tak, jakby do ramion miał przyczepione sznurki, a Władca Demonów sterował nim niczym marionetką.

- Nie - zajęczał. - Ja jestem panem.

„On walczy”, uświadomiła sobie Vicki. Spodziewała się, że wolna wola Normana zostanie zmieciona jak domek z kart. Ale duma i egoizm stawiały większy opór, niż myślała.

Gdy Henry wysiadł z windy na dziewiątym piętrze, zapach krwi niemal go oszołomił. Silniejszy nawet od rozchodzącego się trującego odoru demona, prowadził go do właściwych drzwi. Były zamknięte. Metal wytrzymał. Drewno ustąpiło i poszło w drzazgi.

Vicki usłyszała hałas, jakby dochodził z bardzo daleka. Rozpoznała go, pojęła, co to znaczy, ale nie była w stanie się przejąć.

Hałas nie uszedł uwadze Władcy Demonów, ale ten go zignorował. Skupiał uwagę na Normanie, który stał już bardzo blisko pentagramu, trzęsąc się, spływając potem i przegrywając walkę.

Słowo składało się głównie ze spółgłosek i rozdzierało uszy, tak samo jak rozdzierało gardło.

Władca Demonów prychnął i odwrócił się, tracąc przy tym ruchu pozory ludzkości. Kiedy zobaczył Henry'ego, pozory powróciły i stwór uśmiechnął się.

- Wzywasz moje imię, Dziecko Nocy, czyżbyś był tu panem? Przyszedłeś ocalić świat śmiertelnych przed moją władzą?

Henry poczuł, jak demon napiera na jego umysł, i odtrącił go. Gdy odpowiedział, jego własne prychnięcie było niewiele mniej demoniczne.

- Wracaj do otchłani, nasienie szatana! Ten świat nie jest twój!

- Nasienie szatana? - Władca Demonów pokręcił głową. - Znać po tobie wiek, Henry Fitzroyu. Ten świat nie wierzy w Mrocznego Pana. Nauczę go wierzyć, a ty mnie nie powstrzymasz.

- Nie oddam ci tego świata bez walki. - Nie odważył się odwrócić wzroku od demona, by spojrzeć na Vicki, choć wiedział, że to zapach jej krwi wypełnia pokój.

- Walcz, ile tylko chcesz. - Kreatura skłoniła się z gracją. - Przegrasz.

- Nie! - Norman wstał na wykrzywionych nogach, z grimuarem wciśniętym pod pachę, ściskając AK-47 tak mocno, że aż zbiełały mu palce. - Ja wezwałem twoje imię! Ja jestem panem! Nie będziesz mnie ignorował! Nie będziesz! Nie będziesz! Nie będziesz!

Krótką serią przecięła przestrzeń nad pentagramem, niemal przecinając Władcę Demonów na pół.

Ten, wyjął z wściekłości, stracił kontrolę nad kształtem, stając się ponownie skłębioną chmurą ciemności, jaką był na początku.

„Nadużycie broni”, pomyślała mętnie Vicki, kiedy kule rozerwały na kawałki szafki kuchenne za jej plecami.

Hałas przywrócił Coreen do przytomności. Panika dodała jej sił i dziewczyna zaczęła szarpać więzami, rzucając się gwałtownie na boki, podrywając nogi krzesła z podłogi.

Niczym noc zapadająca się w sobie, Władca Demonów przekształcił się, a temperatura w pomieszczeniu spadła. Uśmiechnął się, pokazując przy tym zaostrome zęby, których wcześniej nie miał. Norman znowu ruszył ku niemu.

Nagle zapaliły się światła, rzucając gwałtowny blask na całą scenę, i ktoś krzyknął:

- Stać! Policja!

W pierwszej chwili widok znieruchomiałych twarzy mógł być nawet zabawny. Potem Henry uniósł dłoń, by chronić oczy, Władca Demonów odwrócił się i spojrzał na nowego przeciwnika, a Norman rzucił się w stronę drzwi, krzycząc:

- Nie, on jest mój! Nie możecie mnie zatrzymać! Jest mój!

Noga Coreen wreszcie wyplątała się ze skarpetek. Kiedy Norman mijał dziewczynę, kopnęła go energicznie.

Przez chwilę walczył o zachowanie równowagi, machając rękoma. Grimuar upadł na podłogę.

Norman runął do pentagramu.

A potem już nie było Normana, ale jego krzyk trwał jeszcze przez sekundę czy dwie.

Mike Celluci stał przy włączniku światła z trzydziestkąósemką w jednej ręce, a drugą mimowolnie czynił znak krzyża.

- Jezu Chryste - jego słowa przerwały nagle zapadłą ciszę. - Co, u diabła, się tu dzieje?

Władca Demonów odwrócił się do niego.

- Ależ właśnie to, detektywie. Diabły się tu dzieją.

To było gorsze niż cokolwiek, co Celluci mógł sobie wyobrazić. Bo nie umiał sobie wyobrazić chłopca z bronią szturmową znikającego w powietrzu ani tego czegoś stojącego pośrodku pokoju i uśmiechającego się.

Tyle że właśnie to widział. Naprawdę.

Zauważył leżącą na podłodze ofiarę i wszystkie te dziwactwa natychmiast przestały być ważne.

- Kto to zrobił? - zapytał gwałtownie, podbiegając do Vicki i przyklekając. - Co tu się dzieje?! - tym razem pytanie zabrzmiało odrobinę bardziej rozpaczliwie. Gdy sprawdzał jej puls, cały czas trzymał Władcę Demonów na muszce. Po tym, co zobaczył, nie miał wątpliwości, skąd pochodzi zagrożenie.

- W zasadzie to, co widać - odparł Henry. Ten nieugięty stróż prawa najwyraźniej był przyjacielem Vicki. Tym, co mu się wydawało, że robi, można było zająć się później. - To Władca Demonów.

Właśnie zniszczył... osobę, która go wezwała, i mamy bardzo duże kłopoty.

- Kłopoty? - zapytał Celluci, chwilowo nie przejmując się tym, czy w to wszystko wierzy, czy nie.

- Tak - powiedział Władca Demonów i wyszedł z pentagramu. Bez wysiłku wyrwał broń z ręki Cellodego i wyrzucił ją za okno.

Mike patrzył, jak trzydziestkąósemka odlatuje, bo nic innego mu nie pozostało. Potem z ustami zacisniętymi w cienką, bladą linię pochylił się nad Vicki, ignorując zimny pot, który zlał całe jego ciało, i strach, który zaciskał lodowatą dłoń na jego sercu, ignorując wszystko poza tą jedną sprawą, na jaką miał jakiś wpływ. Rozplątał więzy na krawatach i pierwszym, jaki udało mu się odsupłać, obwinął nadgarstek Vicki

- To nic nie pomoże - stwierdził Władca Demonów. Kiedy uwaga wszystkich skupiona była na Vicki, on kiwał się na boki, wirował, aż wreszcie zanurkował po grimuar.

Henry dopadł księgi pierwszy, chwycił ją w ramiona i wycofał się. Ku jego zaskoczeniu Władca Demonów prychnął, ale go nie zatrzymał.

- Nie masz żadnej mocy - uświadomił sobie Henry. - Jesteś na tym świecie, ale bez mocy.

- Inwokacja nie zostanie zakończona - przyznał Władca Demonów, nie spuszczać wzroku z księgi - póki kobieta nie umrze.

- Więc nie zostanie zakończona. - Brutalna siła sprawiła, że więzy na nogach Vicki puściły, a Celluci rzucił krawatami przez pokój z niepotrzebną mocą.

- Zostanie już niedługo - zauważył Władca Demonów. - Ona umiera.

- Nieprawda - warknął Celluci, odwracając bezwładne ciało Vicki na plecy.

„Prawda”. Vicki żałowała, że nie może poczuć dotyku dłoni na policzku, ale już od jakiegoś czasu nie czuła. Oczy ją piekły, lecz nie miała siły nimi zamrugać. Żałowała, że tak się to potoczyło. Ale dała z siebie wszystko. Teraz przyszedł czas odpocząć.

I wtedy Władca Demonów uniósł głowę i spojrzał prosto na nią, pełen złośliwej satysfakcji i otwarcie triumfujący. Kiedy ona umrze, on wygra.

„Co to, to nie". Uchwyciła się tej resztki życia, która jej została, i wstrząsnęła nią mocno. „Nie umrę. Nie umrę!"

- Nie... umrę...

- Właśnie to mówiłem. - Celluci nie silił się na uśmiech. Żadne z nich by w niego nie uwierzyło. - Posłuchaj.

Przez pozbawione szyb okna z końca ulicy dobiegało zbliżające się wycie syren.

- Kawaleria? - zapytała. Skinął głową.

- Kiedy dotarłem do budynku, zgłosiłem, że mamy rannego policjanta. Wyglądało tu jak w czasie obłączenia. Przyjedzie z nimi ambulans. Nieważne, ile krwi straciłaś, uzupełnią ją.

- Jeszcze cios w głowę...

- Twoja głowa jest dość twarda, żeby sobie z nim poradzić. Nie umrzesz. - Na w pół odwrócił się do Władcy Demonów, rzucając mu przez ramię swoją pewnością.

Demon uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Wszyscy śmiertelnicy w końcu umierają. Ja, oczywiście, postaram się, żeby to było wcześniej niż później.

- Po moim trupie - prychnął Celluci.

- To nie będzie potrzebne. - Henry pokręcił głową.

- On nie może jej zabić, inaczej zrobiłby to, gdy tylko wyszedł z pentagramu. Jej śmierć jest połączona z inwokacją, a on nie może na to wpływać. Może tylko czekać. Jeśli tu zostaniesz - zwrócił się do demona, podchodząc bliżej - będziesz walczył o każdą sekundę. Nie możemy cię zniszczyć, ale bez mocy nie dasz rady.

Władca Demonów śledził jego ruchy przymrużonymi oczami.

„Nie", uświadomiła sobie Vicki. „Nie patrzy na niego, patrzy na grimuar".

- Więc co proponujesz? - roześmiał się pogardliwie demon. - Żebym się poddał? Czas to wszystko, czego mi trzeba, i będę go miał pod dostatkiem.

Vicki odepchnęła ramię Celluciego, wytrącając go z pozycji, którą przyjął, żeby ją chronić.

- Układ... Chcesz... grimuaru. - Gdyby jej język nie był tak cholernie zdrętwiąły. - No dalej... Idź... Złam inwokację... jest twój.

- Za jakiś czas wezmę grimuar. Nie macie pojęcia, jak należy posługiwać się wiedzą w nim zawartą. - Nie starał się ukryć pożądania, kiedy patrzył na księgę. - Niczego nie możecie mi zaoferować.

- Moc dana z wolnej woli jest potężniejsza niż moc wzięta siłą. - Coreen poczerwieniała, kiedy obaj mężczyźni i Władca Demonów odwrócili się w jej stronę. - No, tak jest. Wszyscy to wiedzą.

- A moc dana z wolnej woli nie trafia się często tam, skąd pochodzisz - dodał Henry, kiwając powoli głową. Dziewczyna wspomniała o czymś bardzo ważnym. - To może być naprawdę zyskowna transakcja.

- Imię... wypisane... na... mieście. - Demony udowodniły, że nie są pozbawione ambicji.

- Pazerny karierowicz. - Władca Demonów wyrzucił z siebie jeszcze inne słowa w języku, który brzmiał jak kocia walka, i jego kształt znowu zaczął się rozmywać.

- Czemu czekać na ten świat, skoro masz inny w zasięgu ręki? - podpuścił go Henry. - Chcesz grimuaru. Przy jego pomocy możesz kontrolować innych ze swego rodzaju. Pokonać wrogów...

- Taaaaaak.

- Damy ci go z wolnej woli, jeśli w zamian złamiesz inwokację i wrócisz, skąd przyszedłeś. Tego, który cię wezwał, już nie ma. Nic cię tu nie trzyma. Po co czekać, skoro możesz rządzić?

Z dużym wysiłkiem Władca Demonów utrzymał swój kształt i wyciągnął przed siebie ręce, które już rękami nie były.

- Daj mi go. Zawrę z wami układ.

- Przysięgnij na swoje imię.

- Przysssssiegam.

- I że nie użyjesz księgi przeciw ludzkości - dodała pospiesznie Coreen, zanim Henry zdążył się poruszyć.

- Zzawiera wiedzdzdę, którą możżżna użyć tylko przeciw demonom. _

Wydeła dolną wargę.

- I tak przysięgnij. Na swoje imię.

- Przysssssiegam. Przysssssiegam.

Henry zrobił krok naprzód i złożył księgę w tym, co zostało z dłoni Władcy Demonów. Grimuar i stwór zniknęli.

Vicki zaczęła chichotać.

Celluci spojrział na nią i zmarszczył brwi.

- No co? - zapytał ostro.

- Właśnie... sobie... pomyślałam... co napiszesz... w raporcie.

- Widziałem się z Henrym. - Tony dokończył galaretkę i odstawił miseczkę na tacę. - Przyszedł i opowiedział mi, co się stało. Uznał, że mam prawo wiedzieć. Fajny z niego gość. Chyba mnie sprawdził.

- Prawdopodobnie - zgodziła się Vicki. - Wiesz o nim niebezpiecznie dużo.

Tony wzruszył ramionami.

- Ze mnie żadne zagrożenie. Wisi mi, kiedy facet wstaje.

- To nie ma znaczenia. Uśmiechnął się szeroko.

- No właśnie to powiedziałem.

Buty pielęgniarki zaskrzyphiały delikatnie na posadzce, kiedy ta weszła do pokoju.

- Godziny odwiedzin się skończyły. Może pan przyjść jutro.

Tony spojrział na pielęgniarkę, potem na Vicki i wstał. Zatrzymał się w drzwiach i obejrzał.

- Zachowaj dla mnie galaretkę. Vicki wykrzywiła się.

- Jest twoja - obiecała.

Pielęgniarka krzątała się jeszcze przez chwilę. Poprawiła koce, sprawdziła kroplówkę i bandażę okrywającą lewą rękę Vicki od dłoni aż do łokcia. Wychodząc, wpadła na Mike'a Celluciego.

- Przykro mi. - Wyprostowała się jak struna i zastawiła drzwi. - Godziny odwiedzin już minęły.

Celluci delikatnie odsunął ją na bok, a kiedy zaczęła protestować, pokazał odznakę.

- Sprawy policji - powiedział i zamknął drzwi.

Pokręcił głową nad ogromnymi sinymi półkolami pod oczami Vicki, zaklaskał językiem na widok kroplówki, pochylił się, pocałował kobietę i nie prostując się, powiedział:

- Wyglądasz jak kawał gówna.

- Ale czuję się o wiele lepiej. - Sięgnęła i odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. - Wczoraj czułam się jak kawał gówna. A skoro o wczoraj mowa, gdzie byłeś?

- Pisałem raport. - Opał na krzesło, które Tony przystawił do łóżka. - Jasne, śmieję się. To jest ten kawał policyjnej roboty, za którym nie powinnaś tęsknić.

Nie zabolalo to tak jak kiedyś. Z czasem, jak podejrzewała, w ogóle przestanie boleć. - I co napisałeś?

- Prawdę. - Uśmiechnął się, widząc wyraz jej

twarzy. - No dobra, nie CAŁĄ.

- A Norman?

- Uciekł, kiedy próbowałem utrzymać cię przy życiu. Na szczęście szef przefiltrował sobie wszystkie wspomnienia o tobie przez różowe okulary i uznał, że to wystarczająco dobry powód. Zarządzono poszukiwania w całym kraju. - Wzruszył ramionami. - Rejestru aresztowań mi to nie poprawi, ale zabójstwa ustaną. Sądzę, że Norman dostał, co mu się należało.

Vicki nie była pewna, czy się z nim zgadza, więc milczała. Za bardzo jej to załatywało zasadą „oko za oko”. „Aż w końcu cały świat będzie ślepy”.

- Twój nowy chłopak jest trochę nieśmiały.

Musiła się uśmiechnąć, słysząc ton, jakim to powiedział.

- Mówiłam ci. To pisarz. Jest przyzwyczajony do samotności.

- Jasne. A ja mówiłem, że marny z ciebie kłamca. Ale jestem mu coś winien za to, że zajął się tą... nastolatką, więc na razie mu odpuszczę.

Vicki uśmiechnęła się szerzej. Coreen nie miała pojęcia, że w końcu spotkała swojego wampira, a rzeczony wampir przekonał ją, że większość z tego, co zaszło, nie zaszła. Wersja Henry'ego pomijała obecność mniejszego demona i Władcy, a całą winę zrzucała na Birdwella. W pewien sposób Norman doczekał się wreszcie uznania, o jakim marzył.

Wyciągnęła rękę i dźgnęła Celluciego palcem w udo.

- Ta nastolatka, jak ją właśnie zapła-

ciła mi niezłą sumkę za tę całą awanturę, więc wyrażaj się o niej z większym szacunkiem. Celluci skrzywił się.

- Vicki, ona ma pusto w głowie. Nie wiem, jak ją skłonił, żeby nie wspominała o... no, sama wiesz... - nie mógł tego powiedzieć na głos, wtedy stałoby się zbyt prawdziwe - ale aż się wzdragam na myśl, że ona może pójść do gazet. A teraz - wstał i skierował się do drzwi - pójdę sobie, żebyś mogła pospać.

Sen długo nie nadchodził. Ścisnęła w dłoni pigułki, które jej dali, i leżała, słuchając, jak szpitalny gwar cichnie.

Była już prawie pierwsza w nocy, kiedy drzwi się otworzyły.

- Nie śpisz - powiedział miękko.

Skinęła głową, świadoma, że on ją widzi, nawet jeśli ona jego nie.

- Czekałaś na mnie?

Starła się, żeby jej głos brzmiał lekko.

- Cóż, nie spodziewałam się ciebie w przepisowych godzinach odwiedzin. - Poczula, jak ciężar jego ciała naciska na jedną stronę łóżka.

- Nie byłem pewien, czy chcesz mnie oglądać.

- Czemu nie?

- Nie masz przyjemnych wspomnień z naszych wspólnie spędzonych chwil.

- Rzeczywiście, niewiele ich. - Niektóre z tych wspomnień należały do bardzo przyjemnych, ale Vicki nie była pewna, czy chce mu o nich teraz przypominać. Ze swoimi czterystu pięćdziesięcioma latami doświadczeń i tak miał dostateczną przewagę.

Henry zmarszczył brwi, bezpieczny w ciemności. Mówiła jedno, ale jej zapach...

- Musiało ci być trudno się tu dostać.

- W szpitalach jest mało cieni - przyznał. - Miałem nadzieję, że spotkamy się, kiedy cię wypuszczą...

- Jasne. - Czy rozumie, co mu proponowała? Czy sama to rozumiała? - Możemy zjeść kolację.

Nie widziała, jak Henry się uśmiecha, ale usłyszała go, a potem poczuła chłodny dotyk jego palców wokół swojej dłoni.

- Wierzysz w przeznaczenie? - zapytał.

- Wierzę w prawdę. Wierzę w sprawiedliwość. Wierzę w moich przyjaciół. Wierzę w siebie. - Przez jakiś czas nie wierzyła, ale teraz odzyskała tę wiarę. - I wierzę w wampiry.

Jego wargi musnęły skórę na jej nadgarstku, a gdy się odezwał, ciepły dotyk jego oddechu postawił na baczność każdy włoszek na ciele Vicki.

- To wystarczy.